

Karen Robards

UWODZICIEL

(tłum. Joanna Klaput)

wyd. 1987

polskie wydanie 2002

Książkę tę dedykuję

mojemu najmłodszemu synowi,

Johnowi Hamiltonowi Robardsowi,

urodzonemu 16 listopada 1995 roku.

Dedykuję ją również z wielką miłością

Dougowi, Peterowi i Christopherowi.

Prolog

19 czerwca 1996, godz. 15.00

Jesteś gotów na śmierć?

Jess Feldman zerknął porozumiewawczo na swego brata Owena i skręcił w bok, starając się ominąć mężczyznę o nawiedzonym spojrzeniu, który niespodziewanie zaszedł im drogę.

- Pytałem, czy jesteś gotów na śmierć?

- Mężczyzna podniósł głos o oktawę, nie dając za wygraną.

Należał do niewielkiej gromadki maszerującej z transparentami przed budynkiem lotniska w Salt Lake City. Miał ze czterdzieści lat, z lekka łysiejącą czaszkę, nosił tani kombinezon z szarego poliestru; poźółkłą ze starości koszulę i niemodny czar ny krawat.

- Spływaj! - warknął niezbyt uprzejmie Jess.

Owen, chwyciwszy brata za rękaw flanelowej koszuli w kratę, pociągnął go za sobą.

- Żałujcie za grzechy! - huknął za nimi mężczyzna. - Koniec tego świata jest bliski!

- Doprawdy? - zadrwił Jess, odwracając głowę.

Owen ponownie szarpnął go bezlitośnie. - A kiedyż to ma nastąpić?

- Dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięć dziesiątego szóstego roku, nędzny grzeszniku. O dziewiątej rano!

Do krawężnika cicho podjechał policyjny wóz na światłach. Zwiastun apokalipsy ulotnił się w okamgnieniu.

- Co za precyzja działania - zwrócił się Jess do brata. - Ciekaw jestem, co się dzieje z takimi prorokami, kiedy ich przepowiednia się nie sprawdza?

Owen wzruszył ramionami.

- Zapewne układają nową. Chodź już! Chyba nie chcesz spóźnić się na spotkanie z naszymi uroczymi turystkami z tej szacownej szkoły dla dziewcząt w Chicago?

- Za nic. To mój ulubiony typ turystek. - Jess wykrzywił twarz w uśmiechu.

Wchodząc za Owenem do budynku, obejrzał się raz jeszcze. Dwóch policjantów w

mundurach zawzięcie dyskutowało z uczestnikami pochodu. Ujrzawszy porzucony na ziemi transparent, Jess odczytał jego słowa: „Żałujcie za grzechy! Koniec świata już blisko!”. Pod napisem wymalowano pęknięte na pół krwistoczerwone serce. Jedna z połówek leżała przewrócona na bok. Poniżej zaś umieszczone było hasło: „Miłość uzdrawia”.

- Stek bzdur - mruknął Jess, kręcąc głową. A gdy tylko szklane drzwi zamknęły się za nim cicho, natychmiast o wszystkim zapomniał.

1

19 czerwca 1996, godz. 23.45

Ktoś jest na zewnątrz!

Szesnastoletnia Theresa Stewart wypuściła z dłoni koniec spłowiałej żółtej zasłony i spłoszona cofnęła się od okna. W jej głosie brzmiał strach. Bezkresne, górzyste pustkowia, otaczające trzy po chylone ze starości chaty, tonęło w ciemnościach nocy. Zagubiona w głuszy leśnych rezerwatów Uinta w Utah dawna osada górników stanowiła dotąd bezpieczny azyl. Theresa niejednokrotnie słyszała, jak ojciec zapewniał matkę, że nikt ich tutaj nie znajdzie.

Tymczasem teraz, po upływie ośmiu miesięcy od dnia, kiedy Stewartowie osiedlili się w swojej pustelni, po raz pierwszy zawitali do niej obcy. Światło księżycy na krótką chwilę wydobyło z mroku sylwetki przybyszów, którzy wynurzyli się z lasu na polanę otaczającą osadę. Było ich trzech, może więcej.

- To pewnie niedźwiedź - odezwała się Sally, matka Theresy, odrywając się na chwilę od Eliasza, najmłodszego, siódmego dziecka, które właśnie usypiała, kołysząc się razem z nim w fotelu na biegunach. Eliasz, pulchniutki i słodki bobas, miał już sześć miesięcy. Sally powoli odzwyczajala go od karmienia piersią, lecz wciąż lubiła tulić synka w ramionach przed snem. Twierdziła, że dzięki temu mały spokojniej śpi.

- To nie niedźwiedź, mamó. Widziałam obcych mężczyzn wychodzących z lasu.

- W takim razie zapewne turyści. W końcu jest lato i teraz, niestety, nie mamy lasu tylko dla siebie jak podczas srogiej zimy.

Sally siedziała przed kominkiem, który stanowił jedyne źródło ciepła i światła w maleńkiej chatce. Choć starała się mówić uspokajającym tonem, jej głos zdradzał napięcie. Razem z Theresą i czwórką młodszych dzieci była w chatce sama. Jej mąż, Michael, zabrał dwóch najstarszych chłopców do Provo, gdzie mieli załatwić parę spraw i kupić żywność. Nie spodziewała się ich wcześniej niż następnego dnia.

- To nie turyści - odrzekła Theresa ściszym głosem, podchodząc do matki.

Zatrzymała się przy niej, zaciskając dłonie w pięści. Maleńki domek, składający się z dwóch pomieszczeń na parterze i sypialni na strychu, nagle ożył. Z każdego zakamarka zdawały się wyzierać chybotliwe cienie. Dławiący, prymitywny strach ścisnął dziewczynę za gardło. Nie miała pojęcia, skąd ta pewność, kim są nieznajomi przybysze. Mimo to wiedziała.

- Może więc Kyle. Albo Alice lub Marybeth. Albo któreś z dzieci pobiegło do lasu.

Marybeth i Alice były siostrami Michaela, a Kyle mężem Alice. Razem z jedenaściorciem dzieci w wieku od ośmiu do osiemnastu lat zamieszkiwali dwie sąsiednie chaty. Ponieważ osada pochodziła z końca dziewiętnastego wieku, domy nie miały kanalizacji i do załatwiania naturalnych potrzeb obecnym mieszkańcom służyła naprędce przystosowana do tego celu szopa, stojąca u wejścia do starej kopalni srebra. Czasem też szukano odosobnienia w głębi lasu.

- Nie, wyraźnie widziałam jakiegoś mężczyznę. Kilku mężczyzn. Wyszli z lasu. - głos Teresy się załamał.

- Jesteś pewna?

Theresa pokiwała głową.

Odjąwszy śpiące dziecko od piersi, Sally wstała i zapięła bluzkę.

- Thereso, skarbie, to na pewno nie oni. To niemożliwe.

- Mamo...

Przerwało jej pukanie do drzwi. Obie z matką instynktownie przywarły do siebie, wpatrując się z napięciem w grubo ciosane drewniane deski. Jakby w przeczuciu nadciągającego zagrożenia niemowlę zakwiliło żałośnie. Sally przycisnęła je mocniej do piersi.

I ona, i Theresa dobrze wiedziały, że nikt z ich krewnych nie zastukałby w ten sposób. Cicho, a zarazem złowieszczo.

- Spokojnie, mój maleńki - szepnęła do synka Sally. A potem, oddając go

Theresie, nakazała: - Zabierz go stąd.

To polecenie przeraziło dziewczynę; uświadomiła sobie, bowiem, iż matka podziela jej obawy. Wzięła w ramiona niemowlę i przytuliła je mocno do siebie. Kontakt z dzieckiem sprawił jej przyjemność. Zapach mleka, ciepło bijące od małego ciała, dotyk główki muskającej jej podbródek, kiedy braciszek próbował umościć się wygodnie na jej piersi, na chwilę przywróciły Theresie spokój.

- Idź już - ponagliła ją Sally, popychając z lekka. - To na pewno turyści, ale na wszelki wypadek...

Theresa schroniła się do pomieszczenia służącego jednocześnie jako kuchnia i składzik. Wszedłszy tam, odwróciła się, by zapytać o coś jeszcze. Lecz na widok matki, która schyliła się po stojącą w kącie siekiere o dwóch ostrzach, dziewczyna straciła mowę.

Przyciskając do siebie Eliasza, ukryła się w najgłębszym cieniu pomieszczenia, podczas gdy Sally, z siekiere w ręku, ruszyła ku frontowym drzwiom.

Znienacka ciszę rozdarł głuchy łoskot. Z piekielnym trzaskiem pękającego drewna i zgrzytem wyłamywanych zawiasów drzwi runęły do środka. Rozpaczliwie szukając lepszej kryjówki, Theresa, z niemowlęciem w ramionach, usłyszała odgłosy walki i krzyk matki.

Aż w końcu dał się słyszeć głos; rozpoznała go od razu, głos z dręczącego ją od dawna sennego koszmaru, o którym nadaremnie starała się zapomnieć.

To był szepot śmierci:

- Godzina wybiła!

2

20 czerwca 1996, godz. 17.00

Dół pośladków stał się nieznośny.

Z trudem powstrzymując się od jęku, Lynn Nelson obiema dłońmi potarła dającą się jej we znaki część ciała. Ten zaimprovizowany masaż nie przyniósł jednak żadnego rezultatu. Ból nie ustąpił ani trochę.

Nagle zdała sobie sprawę, że jej zabiegi mogą wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Zakłopotana opuściła ręce, niespokojnie rozglądając się, wokół, aby sprawdzić, czy przypadkiem nikt jej nie obserwuje. Ale wszyscy uczestnicy tej wakacyjnej wyprawy: dwadzieścia czternasto- i piętnastoletnich dziewcząt; dwie nauczycielki oraz pozostałe dwie matki, pełniące podobnie jak ona funkcję opiekunek, wydawali się całkowicie pochłonięci przygotowaniem obozowiska do noclegu. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Nikt też nie cierpiał z powodu bolących pośladków.

Mają to miejsce ze stali czy co?

Ani chybi. Nikt oprócz niej nie stapał tak, jakby miał jeża w spodniach tam, gdzie słońce nie dochodzi. Nikt nawet nie utykał.

- Czy już wiesz, co mu dolega? - zagadnął ją dwudziestokilkuletni twardziel o imieniu Tim, pozujący na kowboja.

W dzinsach, długich butach i nasuniętym na jasne loki kowbojskim kapeluszu w każdym calu pasował do otaczającego ich krajobrazu. I jak podsumowała Lynn, o to zapewne chodziło.

- Jeszcze nie. - Lynn zmierzyła nienawistnym spojrzeniem kudłatego górskiego konika o imieniu Heros - przyczynę swych kłopotów, po czym odnalazła wśród trawy metalowy szpikulec, który przed chwilą wetknęła w ziemię na chybił trafił.

Schwyciwszy przednią nogę zwierzaka w sposób, który wcześniej pokazał jej Tim, usiłowała nieco unieść ubłocone kopyto.

Pięćset kilogramów żywego, spoconego i smrodliwego cielska oparło się o nią przyjacielsko, a jej szyję owionął mdły oddech Herosa, zalatujący odorem sfermentowanej trawy.

Brrr. Lynn już wiedziała, dlaczego tak nie cierpi koni.

- Odsuń się, ty... - syknęła przez zęby, z całej siły odpychając zwierzę ramieniem; w nagrodę czule przygniół ją jeszcze większy ciężar.

Choć zaparła się ze wszystkich sił, kopyto ani drgnęło.

- Poczekaj. - Tim wyszczerzył zęby w uśmiechu i poderwał się by jej pomóc. Bez najmniejszego wysiłku uniósł nogę konia.

- Dzięki - wycedziła Lynn kwaśnym tonem.

Jeśli nawet zabrzmiało to szorstko, nie umiała temu zaradzić. Tak się właśnie czuła. Skwaszona i obolała.

Stanęła w rozkroku, zgięta niemal wpół nad kosmatą, ubłoconą nogą zwierzęcia i wkłuła stalowy szpikulec w kopyto, unieruchomione między jej kolanami.

Heros nachylił się ku niej łagodnie. Swoją drogą jego cierpliwość była godna podziwu.

- Spróbuj trochę głębiej, a założę się, że zaraz znajdziesz ten kamyk - poradził jej Tim.

„Nauczysz się oporządzać swego wierzchowca” - obiecywał slogan reklamowy, zachwalający tę wycieczkę.

Rzeczywiście, pomyślała Lynn, sama radość.

Jeszcze jedno dźgnięcie i wreszcie kawał zaschniętego błota poleciał w trawę.

Spod niego, zgodnie z przewidywaniami Tima, wyłonił się kamyk, oblepiony substancją znacznie bardziej cuchnącą niż błoto. Fúj. Nareszcie. Co za ulga.

- Dobra robota.

Tim klepnął ją z uznaniem w plecy, (choć może słowo „trzasnął” byłoby bardziej na miejscu). Lynn zatoczyła się do tyłu, puszczając jednocześnie nogę wierzchowca i szpikulec. Konik tupnął i parsknąwszy głośno, odwrócił łeb, by jej się przyjrzeć. Gdyby to zwierzę było człowiekiem, Lynn przysięgłaby, że w prychnięciu zabrzmiała pogarda.

- Och, przepraszam. - Tim nie krył rozbawienia, schylając się po szpikulec. -

Wkrótce zrobimy z ciebie prawdziwego jeźdźca. Zobaczysz.

- Nie mogę się doczekać.

- Masz, daj to Herosowi, a zaskarbisz sobie jego dozgonną miłość.

- Szczęściara ze mnie.

- Pod okiem Tima Lynn z niechęcią założyła na szyję swego wierzchowca worek z obrokiem. Zwierzę zastrzygło z wdzięcznością uszami i zaczęło się posilać.

- A teraz poklep go jeszcze po szyi - zachęcił ją mężczyzna.

Lynn, co prawda miała ochotę zupełnie inaczej potraktować tę paskudną bestię, lecz powściągnęła swe zamiary i posłusznie poszła za radą kowboja. Skóra konika okazała się nieprzyjemna w dotyku. Klepnąwszy go, Lynn z obrzydzeniem spojrzała na wnętrze dłoni oblepione burorudą sierścią i brudem.

- Doskonale - pochwalił ją Tim, po czym ruszył przed siebie, wzdłuż szeregu pozostałych wierzchowców.

Kiedy tylko się oddalił, pozostawiona wreszcie sobie samej Lynn natychmiast przycisnęła pięści do bolącej części ciała poniżej pleców, usilnie starając się nie myśleć o tym, że minął dopiero drugi z dziesięciu dni cudownych „wakacji” w głuszy. Z całej siły powstrzymywała się również, by ponownie nie potrzebować pośladków.

Co, u licha, skłoniło ją do uczestniczenia w tej wyprawie? No tak, Rory, przypomniała sobie, patrząc na swą czternastoletnią córkę przycupniętą przy jednym z niewielkich ognisk, które rzekomo miały chronić od „niewidzialnych” niebezpieczeństw. Rory, co prawda, wcale nie zapraszała jej do wzięcia udziału w wycieczce pierwszoklasistek. Wręcz przeciwnie: na wieść o tym, że matka sama zgłosiła się jako opiekunka, jęknęła tylko głucho- Jednak Lynn w głębi duszy czuła, że córka bardzo potrzebuje jej obecności. Pragnęła poświęcić dziewczynce trochę więcej czasu niż zwykle, aby umocnić mocno ostatnio nadwątloną więź między nimi.

Poza tym wszystkie ulotki reklamowe zachwalały ten rodzaj letniego odpoczynku jako niepowtarzalne, a zarazem pouczające oraz niezwykle odprężające doświadczenie życiowe.

Toteż nie namyślając się długo, postanowiła zafundować sobie pierwsze od trzech lat prawdziwe wakacje. Pożegnała się na dwa tygodnie z niekończącym się codziennym młynem w rodzimej stacji telewizyjnej i tak oto właśnie znalazła się na zapomnianym przez Boga i ludzi górzystym pustkowiu w paśmie Uinta w stanie Utah, wlokąc się jak cień za zwariowaną grupą kilkuna stoletnich pannie, które tam właśnie postanowiły urządzić sobie konną wycieczkę.

Czy przynajmniej miała przyjemność z tej eskapady?

Odpowiedź brzmi: nie, i jeszcze raz nie!

Usiadła ciężko na wiązce siana, rozłożonej specjalnie w tym celu przy ognisku, próbując znaleźć jaśniejsze strony w całym tym przedsięwzięciu. W każdym razie lepiej już pozwolić Rory wyszaleć się na takiej wyprawie niż przyglądać się bezradnie jej rosnącemu zainteresowaniu chłopcami. Ta wycieczka, stanowiąca nagrodę za rok mężnie spędzony w ekskluzywnej szkole dla dziewcząt, kosztowała fortunę, ale za to eliminowała męskie towarzystwo.

Z wyjątkiem przewodników, niestety. Jak na złość samych mężczyzn. I do tego przystojnych. No tak. Cóż za ironia losu. Na leżało przewidzieć taką ewentualność.

Powinna była przewidzieć również, że nowe buty do konnej jazdy będą ją uwierać, pośladki boleć, a nos spiecze jej się w słońcu jak skwarka - pomimo mleczka chroniącego przed słońcem i kapelusza z szerokim rondem, który nosiła przez cały dzień - oraz że każdy cal jej ciała, nawet głęboko ukryty pod ubraniem, pokryją tony drażniącego pyłu.

Och, jakże nienawidziła jazdy konnej!

Zmieniła pozycję, jęcząc przy tym z bólu, po czym zaciśniętymi w pięści dłońmi potarła zeszywniałe uda. Od pasa w dół czuła wszystkie mięśnie.

- To powinno pomóc. - Mężczyzna, który przycupnął obok niej na piętach (a jakżeby inaczej mógł przysiąc prawdziwy kowboj z Utah), wręczył jej płaską złotą puszczkę.

„Maść dla jeźdźców doktora Grandviewa” - głosiły wielkie czarne litery na wieczku.

Pięknie, pomyślała Lynn. Fakt, że nawet zaoferowany lek udawał specyfik z podręcznej apteczki Johna Waynea, podsycił jej rosnący z godziny na godzinę sceptycyzm. Wszystko wokół, poczynając od przewodników, a na muchach bzykających bez przerwy podczas jazdy wokół końskich uszu kończąc, wyglądało jak żywcem wyjęte z legend o dawnym Dzikim Zachodzie. Jednym słowem, w opinii Lynn - raziło zbytnią sztucznąścią.

- Wyglądam aż tak źle? - Mimo wszystko zdobyła się na uśmiech, obracając wolno puszczkę w dłoni.

Owen Feldman do spółki ze swym młodszym bratem prowadził firmę Adventure Inc., która zajmowała się zorganizowaniem i obsługą tej wyprawy. Owen był wysoki, miał szerokie bary i wąskie biodra, krótko ostrzyżoną płową czuprynę, wyrazistą twarz o kwadratowej szczęce i błękitne jak niezabudki oczy. Zapewne starszy o kilka wiosen od trzydziestopięcioletniej Lynn, robił wrażenie rasowego mieszkańca

Utah, urodzonego i wychowanego w tych stronach, który jak nikt znał wszystkie bezdroża górzystych pustkowi Uinta. Ponadto ulotka reklamowa przedstawiała go jako człowieka uczciwego, biegłego w swym fachu oraz w naj wyższym stopniu godnego zaufania, a na dodatek - prawdziwego kowboja.

Po dwóch dniach podróży Lynn miała jednak dość kowbojów. Szczególnie tych podrabianych. Ilekroć Feldmanowie lub któryś z ich ludzi wskakiwali na koński grzbiet, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że za chwilę rozlegną się pierwsze taktę znanej melodii z filmu „Bonanza”.

W przeciwieństwie do matki Rory z zachwytem chłoneła te wszystkie ekstrawagancje. Co więcej, zdążyła już wyznaczyć Owenowi rolę potencjalnego konkurenta mamy, sobie zaś zarezerwowała przywilej ubiegania się o względy jego młodszego brata, Jessa.

Lynn zmartwiała nagle. Gdzie podziewa się Rory? I gdzie zniknął Jess?

- Wiele osób po pierwszym dniu spędzonym w siodle ma kłopoty - zauważył Owen, najwyraźniej biorąc jej smętną minę za wyraz przygnębienia wywołanego dolegliwościami fizycznymi. - Wetrzyj to w... bolące miejsce, a jutro poczujesz się o wiele lepiej.

- Dzięki, tak zrobię. Lynn schowała metalową puszczkę wielkości pudełka pasty do butów do kieszeni swej jaskrawopomarańczowej kurtki. Sprawiała sobie ów ubiór specjalnie na tę wyprawę, wybierając kolor, który miał ułatwić zbyt impulsywnym myśliwym odróżnienie jej od łosia. Potem, przewyciężając drzenie w kolanach, ból pośladków i dygotanie wewnętrznej części ud, wstała. Zagryzając wargi, omiotła szybkim spojrzeniem grupę siedzącą przy ognisku, po czym zwróciła się do Owena:

- Nie widziałeś Rory? Albo swojego brata?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, aż wokół oczu zarysowały mu się głębokie zmarszczki, właśnie takie, jakie powinny się po jawić wokół oczu kowboja.

Również wstał, przytłaczając Lynn swym okazałym wzrostem. Najlepszy reżyser nie obsadziłby trafniej tej roli, pomyślała z sarkazmem.

- Rory to twoja córka? Ta mała blondyneczka? Razem z grupą innych dziewcząt chciała nauczyć się rzucać lassem. Jess zaofiarował się, że udzieli im lekcji przed kolacją.

- Wspaniale - podsumowała Lynn jawnie zgryźliwym tonem.

Owen, oczywiście, nie dostrzegał niczego niestosownego w zachowaniu brata, który bez żenady oddalił się w odosobnione miejsce sam na sam ze stadkiem egzaltowanych nastolatków, lecz ona wprost zatrzęsała się z oburzenia.

Niewątpliwie Jess Feldman był ulepiony z zupełnie innej gliny niż jego starszy brat i określenie „godny zaufania” z pewnością w tym wypadku nie mogło mieć zastosowania.

- W którą stronę poszli? - Próbowała nadać swemu głosowi lekki ton, ale nie w pełni jej się to powiodło.

Twarz Owena nieco stężała.

- Chodź, pokażę ci - zaproponował.

- Och, nie chciałabym cię odciągać od innych pilnych zajęć.

W odpowiedzi tej znalazło się ziarenko prawdy, sedno jednak tkwiło, w czym innym. Otóż Lynn przyzwyczaiła się unikać jak ognia nawet drobnych gestów uprzejmości ze strony innych ludzi. Od tak wielu lat sama borykała się z życiem i nauczyła się cenić wszystko, co z takim trudem zdobywała dla siebie i Rory, że w końcu jej jedyną dewizą życiową stało się: „Nigdy nie być od nikogo zależną”. A już w szczególności od podrabianych kowbojów.

- Bob i Ernst zajmują się przygotowaniem posiłku, Tim dogląda koni. Nie mam więc do czego się śpieszyć. - Owen posłał jej uspokajający uśmiech. - Chodźmy.

Odwzajemniwszy się nieco wymuszonym grymasem ust. Lynn ruszyła potulnie aa kowbojem. Przeszli przez obozowisko, kierując się w stronę gęstego lasu porastającego strome zbocze na jego tyłach. Niebotyczne sosny zdążyły przez wiele dziesiątków lat zrzucić tyle igieł, że Lynn nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż spaceruje po grubym, miękkim kobiercu.

Po drodze minęli grupę dziewcząt, siedzących razem kołem na trawie i z zapalem wyśpiewujących piosenki. Pat Greer i Debbie Stapleton, dwie pozostałe mamy-opiekunki, oderwały się na chwilę od dobrowolnie podjętego zadania - prowadziły bowiem improwizowane gry i piosenki - aby bacznym spojrzeniem obrzucić przechodzącą parę.

- „Jeśli kolejna butelka spadnie, osiemdziesiąt siedem butelek mleka pozostanie na dnie...”.

Mleka! Dobre sobie!

Taka wersja znanej piosenki nie przyszłaby Lynn do głowy. Owe stanowczo przesłodzone, naiwne słowa napełniły ją niesmakiem. Te dwie świętoszkowate matrony, Pat i Debbie, nigdy by nie pozwoliły swym podopiecznym śpiewać o czymś równie nieodpowiednim dla ich wieku jak piwo.

Lynn lubiła piwo. Gdyby jakaś butelka znalazła się w zasięgu ręki, nie odmówiłaby sobie przyjemności pociągnięcia tęgiego haustu - chociażby po to, by zdenerwować obie mamusie.

Ich demonstracyjna wesołość, wścibstwo i perfekcyjna macierzyńska nadopiekuńczość wyjątkowo ją drażniły.

Oddalając się, nieomal namacalnie czuła spojrzenia obu pań wbite niczym dwie pary sztyletów w plecy jej i Owena. Dwie zadowolone z siebie damy z luksusowego przedmieścia, szczęśliwie poślubione ludziom sukcesu, którzy zapewнили im życiową stabilizację, instynktownie czuły nieufność w stosunku do Lynn.

Podejrzewała nawet, że jako samotna matka, miłośniczka kawy i papierosów, a przede wszystkim przedstawicielka trudnej profesji wymagającej specjalnych predyspozycji i lat nauki, została przez obie zaliczona do odmiennego niż one same gatunku kobiet.

Nie bez pewnej racji, przyznała niechętnie.

- Czy masz więcej dzieci? - niespodziewanie zagadnął ją Owen, zatrzymując się, by przytrzymać gałąź tarasującą ścieżkę, która wiodła w las, i przepuścić Lynn pierwszą.

- Tylko Rory - wyjaśniła krótko, siląc się na ożywiony ton.

Wyprzedzając mężczyznę, próbowała odsunąć od siebie nieprzyjemne myśli. W leśnym gąszczu było ciemno i ponuro. Mech porastał wszystko: od skał przez pnie drzew aż po wąską ścieżkę. Powietrze pachniało stęchlizną jak w piwnicy.

- To moje jedyne pisklątko.

- Jest uderzająco podobna do ciebie. Nie sposób tego nie zauważyć.

Niespodziewanie Lynn wpadła w pułapkę misternej pajęczyny rozciągniętej w poprzek dróżki. Wzdrygnęła się, a potem za częła zdejmować z twarzy porwane, mokre nitki. Wyswobodziwszy się z pułapki, ponownie ruszyła przed siebie.

- Naprawdę? - wróciła do tematu, starając się nie myśleć, co też mogło się stać z pajakiem, który zrobił tę sieć.

Nie znosiła pajaków. Co do Rory, faktycznie przypominały dwie krople wody. Obie miały jasne włosy, (choć Lynn pomagała trochę naturze w utrzymaniu świetlistego odcienia swej krótkiej blond czupryny), perłową karnacją i wielkie, niebieskie oczy. Żadna z nich nie odznaczała się wysokim wzrostem (Lynn nie tolerowała określenia: niska), lecz nienaganne sylwetki z nawiązką nagradzały im ów niedostatek. Jedyna różnica między matką a córką w kwestii wyglądu polegała na tym, że o ile Lynn od kilkunastu lat z ogromnym samozaparciem zabiegała o utrzymanie szczupłej sylwetki, jej córce przychodziło to bez najmniejszego wysiłku.

- Biedna mała - podsumowała po dłuższej chwili z niezamierzoną kokieterią.

- W żadnym razie tak bym tego nie ujął. - Szedł o krok za nią. Choć nie widziała twarzy swego towarzysza, ton głosu zdradzał podziw dla jej urody.

Lynn zgrzytnęła zębami. Chyba nie zamierzał przystawiać się do niej, u diaska.

Mimo całego swego wdzięku nieokrzesanica naraziłby się na srogie rozczarowanie, gdyby spróbował. Nie miała najmniejszej ochoty wplątać się w wakacyjną przygodę z pseudokowbojem.

- A ty masz dzieci? - zapytała, by przerwać milczenie.

Ścieżka z wolna pięła się w górę; skalista polana, na której mieli spędzić noc, pozostała w dole za nimi. Z powodu licznych korzeni i sterczących z ziemi głazów musieli ostrożnie stawiać każdy krok. Gdzieś z oddali przed nimi dobiegał huk spadającej wody, wokoło zaś rozlegały się chroboty, piski i szelesty - odgłosy życia, których źródeł Lynn wołała nie dociekać.

- Nie - odrzekł Owen z nutką rozbawienia w głosie. - Ani żony. Mój brat twierdzi, że nie jestem facetem zdolnym utrzymać przy sobie kobietę. Wszystkie odchodzą, gdy tylko poznają mnie bliżej.

Lynn ze zdziwieniem rozejrzała się dokoła.

- Chyba nie jest aż tak źle - odparła.

Owenowi rozbłysły oczy.

- Mam nadzieję, chociaż Jess wydawał się mówić całkiem poważnie. Przyśpieszyła kroku. W smutnym uśmiechu kowboja kryło się coś, co wzbudziło jej czujność.

Wydawał się zbyt uroczy, zbyt gładki i nieomal wystylizowany, jakby stanowił część przedstawienia. Wszystkie owe wyznania mogły się okazać jednym wielkim

kłamstwem. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby w rzeczywistości ten typek miał żonę i dwanaścioro dzieci.

Mniejsza zresztą o to, czy jest żonaty, czy nie. To jej nie obchodziło ani trochę. Wyprowadzało ją natomiast z równowagi przekonanie, że ten facet uważa ją za idiotkę gotową ulec urokowi jednego uśmiechu, błękitnych oczu i kowbojskiego kapelusza do tego stopnia, by brać wszystkie jego słowa za dobrą monetę. Owszem, nie brakowało jej wad, ale z pewnością nie zaliczała się do nich tępota.

Nagle uwagę Lynn przyciągnął refleks świetlny w oddali przed nimi. Poprzez rozkołysane gałęzie ujrzała z daleka promie nie słoneczne igrające na powierzchni srebrzyście połyskującej wody. Kiedy podeszła bliżej w tę stronę, jej oczom ukazał się wspaniały widok: szeroki strumień mienił się na tle zielonobrazowej ściany lasu porastającego wysoką górę na drugim brzegu; lazuruwe niebo jaśniało w górze nad nimi. Na gładkiej, szarej skale wystającej z bystrej wody siedział tłusty piżmoszczur, po ruszając wąsami na widok czegoś niedostrzegalnego dla ludzkiego oka. Po chwili bezgłośnie zanurkował w fale, znikając z pola widzenia.

Urzeczona tak wspaniałą scenerią, Lynn wyszła spod cienistych zarośli, by rozkoszować się zapierającą dech w piersiach urodą tego miejsca. Szeroki strumień toczył swe ciemnozielone wody wśród wygładzonych kamieni aż do skalnego progu oddalonego około pięćdziesięciu metrów. Tam zaś z hukiem spadał z wysokości, by zmienić się w dole w buchającą oparami mokrej mgły spienioną, białą kipieli, która z każdym następnym metrem uspokajała się powoli, płynąc dalej leniwie przez górską dolinę.

Na dwóch wielkich głazach ponad wodospadem usadowiły się dwie smukłe, wciśnięte w dzinsy nastolatki. Trzecia - niewysoka, roześmiana blondynka - stała, zapierając się mocno na szeroko rozstawionych nogach w samym środku strumienia, tuż ponad wodospadem. Zanurzona po uda, opierała się ufnie plecami o szeroki tors ubranego w białą koszulkę, opalonego przystojniaka o płowej czuprynie.

Rory i Jess Feldman. Oczy Lynn zwężyły się w szparki. Wbrew wszystkim zewnętrznym znamionom dojrzałości - Rory dorównywała już wzrostem matce, a do niedawna dziecinna, przypominająca nitkę sylwetka zaczęła się właśnie zaokrąglać - córka wciąż była tylko czternastoletnią dziewczynką. I do tego zwariowaną na punkcie chłopców.

Jess Feldman zaś nie przypominał już chłopca. Z całą pewnością był, co najmniej trzydziestoletnim, dojrzałym mężczyzną. I choć to nie do wiary, ten łobuz pozwalał sobie właśnie obejmować ramionami jej córkę!

3

Lynn zastygła bez ruchu i przez chwilę po prostu bez słowa obserwowała tę parę, bezwiednie mocno zaciskając pięści.

Wielkie, opalone ręce Jessa Feldmana spoczywały na drobnych dłoniach Rory. Łagodnie pomagał jej prowadzić uniesioną na wysokości głowy, złożoną do strzału kuszę na ryby. W końcu wypuścili z niej bambusową żerdź na odbłaskowej zielonej linie, która rozwinęła się ze świstem. Przymocowany do niej ciężarek z pluskiem

uderzył w wodę o kilka metrów dalej i szybko zatonął.

Dziewczynki na skale zaczęły wiwatować. Rory ze śmiechem odwróciła twarz w stronę Jessa, chcąc mu coś powiedzieć, lecz niespodziewanie ujrawszy matkę, zamarła. Idąc śladem jej znieruchomiałego spojrzenia, Jess również spostrzegł Lynn w towarzystwie swojego brata. Pokiwał im wesoło ręką.

Nonszalancko, jak oceniła Lynn. Niby przyjacielsko, jak gdyby nic się nie stało. Jakby w przed chwilą oglądanej przez nią scenie, gdy obejmował jej niewinne dziecko, nie tkwiło nic zdrożnego.

- Jess świetnie radzi sobie z dziećmi - szepnął jej do ucha zadowolony Owen. Lynn przyjęła tę uwagę z niedowierzaniem, wciąż nie mogąc oderwać oczu od pary w wodzie. „Świetnie radzi sobie z dziećmi” - a to dobre! Nie, z pewnością nie określiłaby w ten sposób zachowania Jessa Feldmana.

- Ani Rory, ani pozostałe dziewczęta nie są już dziećmi. To nastoletnie panny, młode kobiety - wypaliła ostro, po czym gestem próbowała przywołać córkę. Rory naburmuszyła się oczywiście. Widząc to, Lynn poczuła, że nakłonienie nastolatki do poddania się jej woli nie pójdzie gładko. Zaczęła w duchu szykować się do nieprzyjemnej sceny, myśląc równocześnie, co niejednokrotnie czyniła ostatnimi czasy, kiedy to jej słodkie małeństwo zdążyło przeobrazić się w lolitkę zdradzającą autodestruktywne upodobania.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przemiana nastąpiła w ciągu jednej zaledwie nocy. To nieodmiennie przywodziło jej na myśl sceny z filmu: „Inwazja łowców ciał”. Może to jakiś Obcy podstępnie zamieszkał w ciele córki, korzystając z nieuwagi Lynn, podczas gdy prawdziwa Rory pozostaje wciąż uśpiona.

Lynn nie miałaby nic przeciwko takiemu właśnie wytłumaczeniu. W każdym razie zwalniałoby ją przynajmniej od odpowiedzialności za obecny stan rzeczy.

Z zadumy wyrwał ją rozbrzmiewający w oddali hałaśliwy metaliczny jęk: odgłos wzywającego do stołu gongu. Wcześniej Lynn zauważyła, jak któryś z mężczyzn wydobywał go z pakunków.

- Kolacja! - zawołał Owen do brata, zwinawszy dłonie wokół ust.

Słyszając to, Jess wyszczerzył zęby w uśmiechu i podniósłszy kciuki do góry na znak radości, powiedział coś do Rory, a potem zgrabnie skręcił linkę wędki.

Zarzuciwszy na ramię bambusową żerdkę, ujął pod ramię dziewczynkę, pomagając jej wygramolić się z wody. Lynn ruszyła w ich stronę. Za nią Owen.

- Dziękuję, Jess - odezwała się Rory, spoglądając z uwielbieniem na swego towarzysza, kiedy wdrapali się na brzeg.

Pozostałe dwie nastolatki: Jenny Patoski, najlepsza przyjaciółka Rory, oraz Melody James, druga jej najlepsza koleżanka, zeskoczyły ze swej skalnej grzędy, by podejść do tamtych dwojga. Jenny była wyższa od Rory, miała czarne, kręcone włosy sięgające ramion, ogromne czekoladowe oczy i przyjemne, harmonijne rysy twarzy. Jej uroda przyciągała wzrok, natomiast Melody, choć jej piękne, długie, proste włosy mogły budzić zachwyt, szpecił długi nos i zbyt blisko osadzone oczy. Ale nawet Jenny, stwierdziła obiektywnie Lynn, nie umywała się do Rory, szczególnie kiedy ta promieniała radością, tak jak w tej właśnie chwili.

- Bardzo proszę. - Jess obdarzył Rory wystudiowanym uśmiechem podrywacza. Potem, zwróciwszy się ku pozostałym, wyraźnie domagającym się jego względów, uniósł dłoń, prosząc o uwagę. - Później jeszcze się spotkamy. Teraz chodźmy coś zjeść. Trzy maślane pary oczu wpatrywały się weń z zachwytem, kiedy odłożywszy na bok kuszę do wędkowania, sięgnął po porzuconą na pobliskim kamieniu flanelową koszulę.

A gdy ją wkładał bez pośpiechu, prezentując napięte muskuły, nastolatki poblady z wrażenia, bliskie ekstazy.

Na ten widok z ust Lynn wyrwało się drwiące, przeciągłe gwizdnięcie.

Wcale zresztą nie pod adresem dziewcząt. Wręcz przeciwnie: doskonale rozumiała ich zachowanie. Gdyby tak jak one, miała czternaście lat, sama zapewne dałaby się porwać urodzie Jessa Feldmana. Musiała przyznać, że wyglądał niezwykle pociągająco, lecz cały jego wdzięk, wszystkie pozy wydawały się nazbyt wystudiowane. Tego akurat młode dziewczęta nie mogły jednak ocenić właściwie. Dumnie podrzucał grzywę złotawo połyskujących włosów (Lynn nie zdziwiłaby się wcale, gdyby wyszło na jaw, że owe jaśniejące wśród ciemniejszych pasma są tak samo dziełem fryzjera jak jej własne), przeżył szerokie bary, napinał muskularny tors i chępliwie obnosił ciemną opaleniznę w odcieniu starego indiańskiego mokasyna. Wąskie biodra, długie nogi w opiętych dżinsach, błękitne jak u brata oczy i nieodmiennie przyklejony do twarzy irytujący, szelmowski uśmiech dopełniały obrazu. Jess Feldman śmiało mógł uchodzić za ucieleśnienie marzeń młodych dziewcząt. Wszystko w nim, bowiem, poczynając od jasnych loków na głowie aż po obciste spodnie, zostało starannie dobrane, tak by służyć jednemu tylko celowi: wywarciu oszałamiającego wrażenia na kobietach.

Ciekawe, czy chwyt z odgrywaniem ostatnich prawdziwych kowbojów naprawdę pomagał braciom Feldmanom przyciągać turystów, zastanowiła się Lynn. Z całą pewnością tak.

W każdym razie turystki.

Choć Jess, zapinając koszulę, na pozór pozostawał obojętny wobec pełnych uwielbienia spojrzeń nastolatek, niemożliwe, aby nie zdawał sobie w głębi duszy sprawy z zamętu, jaki wywoływał w ich wrażliwych serduszkach. Zachwyt malujący się na twarzach dziewcząt świadczył nazbyt dobitnie o ich uczuciach. Lynn nie miała cienia wątpliwości, że ten drań świadomie wodzi biedaczki na pokuszenie. Zapewne czerpał przyjemność ze swej gry. Lynn dobrze знаła ten typ mężczyzn, spotkała już niejednego takiego megalomana na swojej drodze. Dufny samiec, pewny, że żadna kobieta mu się nie oprze, gotowy bez przerwy udowodniać własną męskość. Na tę myśl zadrżała.

O nie, nie z jej małą córeczką!

- Gdzie twoja kurtka? - zwróciła się przez zaciśnięte zęby do Rory.

Pod niebieską koszulką ozdobioną pyskiem szczerzącego kły buldoga, opinającą kibić dziewczynki, wyraźnie rysowały się sterczące brodawki drobnych piersi. Nie wiadomo, czy nabrzmiały tak za sprawą wieczornego chłodu, mokrych spodni czy innej jeszcze przyczyny.

Lynn woląa wierzyć, że winowajcą jest zimny wiatr.

Tak czy siak, jedno nie ulegało kwestii: mała nie nosi stanika!

- Zostawiłam kurtkę w obozie. Nie potrzebuję jej, przecież jest ciepło!

Lynn przyjrzała się bacznie córce, która z niepokojem pod chwyciła jej wzrok.

- Na stanik też za ciepło? - zadrwiła matka tonem słodkiej trucizny, ścisząc głos tak, by nikt oprócz Rory nie usłyszał tego pytania.

- Och, daj spokój, mamu - zjeżyła się nastolatka. - Czy musisz się czepiać?

- Posłuchaj, młoda damo... - zaczęła Lynn podniesionym tonem, ale natychmiast ugryzła się w język i zaniechała dalszej przemowy.

Przypomniała sobie, bowiem, że ostra wymiana zdań z Rory kończy się zawsze w ten sam sposób: łzami dziewczynki i jej własnymi wyrzutami sumienia.

Nie, powinna nauczyć się postępować z córką inaczej. Ale jak? Nie miała pojęcia.

Tymczasem w oddali odezwał się kolejny gong. Spojrzenie nastolatki przeniosło się z matki na Jessa. Oczy Rory natychmiast ponownie rozbłysły podziwem. Lynn zacisnęła zęby.

- Jeśli nie wrócimy w porę, możemy zastać puste stoły - odezwał się Owen, a Jess wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dla nas Bob odłoży jakiś kasek, w końcu jesteśmy jego szefami. Ale co do tych dam, to zupełnie inna sprawa...

Wśród głośnych protestów dziewcząt ruszyli całą grupą w stronę obozowiska. Owen przejął komendę, spokojnym głosem starając się jednocześnie zapanować nad emocjami, wywołanymi przewrotnym oświadczeniem brata.

Lynn wyłączyła się zupełnie z ich paplaniny. Idąc tuż przed Owenem, który zamykał niewielką grupkę, zagłębiła się w rozmyślnościach, rozważając wszystkie za i przeciw dotyczące udzielenia córce krótkiej lekcji pogładowej na temat niebezpieczeństw czyhających na niewinne dziewczęta zadające się z dojrzałymi mężczyznami o wybujałym temperamencie. Wystarczyło jednak rzucić okiem na wyprostowaną jak struna sylwetkę Rory i wdzięcznie podrygujący przy każdym kroku tyłeczek, by uznać ten pomysł za poroniony. Smarkuła doskonale wiedziała, co czuje matka. Prowokacyjny chód świadczył o tym najdobitniej.

Co więcej, nie zamierzała wcale poddawać się woli Lynn. To także wyrażał sposób, w jaki się poruszała.

Lynn westchnęła ciężko. Zajmując się małą Rory, nieraz wyobrażała sobie, że macierzyństwo stanie się mniej uciążliwe, kiedy córka podrośnie. Jakże niewiele wiedziała o dzieciach!

Kiedy dotarli do obozowiska, z ulgą stwierdziła, że irytujące śpiewy na szczęście dawno już umilkły. Dziewczęta z menażkami w rękach tłoczyły się w kolejce po kolację. Zaszczębiotawszy wesoło do przyjaciółek, Rory pobiegła się przebrać.

Lynn w towarzystwie dwóch pozostałych dziewcząt poszła umyć ręce w specjalnie przygotowanym do tego celu wiadrze z wodą. Natomiast bracia Feldmanowie oddalili się spieszenie w sobie tylko znanym kierunku.

Chwała Bogu, odetchnęła z ulgą.

- Czyż Jess nie jest słodki? - zagadnęła Jenny stojącą za nią w kolejce do mycia Melody.

Lynn z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się, by nie wznieść oczu do nieba.

- Jak cukiereczek - przytaknęła Melody. A napotkawszy wzrok matki Rory, zapytała: - Zgadza się pani z. nami, pani Nelson?

- Och, oczywiście - rzuciła zdawkowo, ucieszona widokiem córki, która zmierzała właśnie w ich stronę ubrana w suche džinsy i zapinany na suwak szary sweterek. Sześć jaskrawożółtych namiotów, w których mieszkali, stało tak blisko siebie, że obraz Jessa Feldmana zrzucającego mokre džinsy w tak bliskim sąsiedztwie Rory prześladował Lynn podczas nieobecności dziewczynki. Mówiąc szczerze, ta niebezpiecznie mała odległość między nastolatką o rozszalałych hormonach a obiektem jej westchnień, przebijającym się w tym samym czasie, budziła uzasadniony głęboki matczyzny niepokój.

- O czym rozmawiacie? - zaświergotała Rory do przyjaciółek.

- O Jessie Feldmanie - odrzekła Melody. - Twoja mama też uważa, że jest wyjątkowo słodki.

- Naprawdę?

Rory spojrzała na matkę szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, podczas gdy Jenny wreszcie dopchała się do wiadra z wodą.

Tego już było Lynn za wiele.

- Jak landrynka - oświadczyła ponuro, przewracając oczami.

- A ja twierdzę, że rzeczywiście jest słodki - podkreśliła Rory z zaciętym wyrazem twarzy.

Lynn gotowa była pójść o zakład, iż córka właśnie podsumowała ją jako przeraźliwie starą, nudną i ogólnie beznadziejną rodzicielkę. Pozostałe dziewczynki przesłały Rory spojrzenia pełne współczucia.

- Nie sądzicie, że jest dla nas cokolwiek za stary? - wyrwało się Melody, której kolej mycia rąk właśnie nadeszła.

Lynn zapewne rzuciłaby się ucałować ją za ten przejaw zdrowego rozsądku, gdyby w tym samym momencie pozostałe dwie smarkule nie zaprotestowały chórkami: „Skąd!”, i nie skwitowały tego stwierdzenia histerycznym chichotem.

- Hej tam, dziewczyny! Lepiej się pośpieszcie, jeśli chcecie coś zjeść! - pogoniła je Pat Greer z przodu kolejki.

Cały zapas prowiantu oraz niezbędne naczynia i sprzęty kuchenne dostarczono do obozu samochodem, a ściśle rzecz biorąc, czerwonym dżipem marki Grand Cherokee. Dotarł na miejsce przed uczestnikami wyprawy inną, łatwiejszą trasą i czekał już na nich. Teraz zaś wyciągnięty z samochodu opasy kociołek kołysał się nad największym z ognisk, rozsiewając rozkoszne wonie mięsa duszonego z fasolą.

- Już lecimy!

Melody wręczyła Lynn mydło, po czym wraz z Jenny pomknęły ku źródłu smakowitych zapachów. Lynn przekazała mydło córce, twardo postanowiwszy nie odstępować jej ani na krok. Umyje ręce, kiedy Rory skończy. Zostawszy sam na sam z matką, dziewczynka w milczeniu zaczęła namydlać dłonie, popatrując spode łba na Lynn.

Ta odwzajemniła jej się niespokojnym spojrzeniem.- Tak, mamó? - zaczęła nastolatka z nutką sarkazmu w głosie, kładąc nacisk na słowo „mamó”. Jeszcze do niedawna Rory nie nazywała jej inaczej niż „mamusia”, nieodmiennie wymawiając to słowo z wielką czułością, a naiwnej Lynn ów zwrot w ustach dziewczynki wydawał się czymś najnaturalniejszym na świecie. Sądziła, że zawsze już, po wieczne czasy, będzie tak tytułowana. Toteż, kiedy pewnego dnia nagle to się zmieniło, Lynn nie mogła ochłonąć ze zdumienia.

Słowo „mamó” zostało rozmyślnie wymówione dobitnie i zimno - córka chciała ją zranić. I choć Lynn za nic w świecie nie przyznałaby się do tego głośno, Rory udało się to osiągnąć.

- Powinnyście być bardziej powściągliwe w zachowaniu i wygłaszaniu opinii. Jess Feldman gotów was niewłaściwie zrozumieć - odezwała się ostrożnie, celowo używając liczby mnogiej w nadziei, że w ten sposób, choć odrobinę złagodzi ostry ton, nieuchronnie prowadzącego do spięcia przemówienia.

- Nic podobnego! - nie dała jej skończyć Rory. Spokojnie odłożyła mydło i zanurzyła dłonie w wodzie. - Powiedziałam mu, wprost, że chciałabym mieć z nim dziecko.

- Co mu powiedziałaś? - wykrzyknęła Lynn.

Wiedziała, że ujawnianie macierzyńskiej troski wobec Rory jest równie niebezpieczne jak okazywanie strachu przed ujadającym psem, lecz nie potrafiła się opanować.

- Że chciałabym mieć z nim dziecko - powtórzyła dziewczynka ze złośliwą satysfakcją.

- Rory Elizabeth - Lynn poczuła, że uchodzi z niej całe powietrze. Zamarła z wrażenia, a kiedy oprzytomniała, zdołała jedynie wykrztusić słabym głosem: - Nie, nie zrobiłabyś czegoś podobnego...

- Och, mamó, jesteś taka dziwna. - Przy tych słowach błękitne oczy córki zapłonęły wrogo. Dziewczynka wytarła ręce, a potem kontynuowała myśl: - Podoba ci się Owen, chyba nie zaprzeczysz? Dlaczego więc nie przyznasz się do tego przed samą sobą i nie spróbujesz zakręcić się wokół niego, dopóki jest okazja? W końcu masz tylko jedno życie, powinnaś wreszcie przypomnieć sobie jego smak!

- Rory! - Zaskoczona Lynn straciła mowę z wrażenia.

Dziewczynka uśmiechnęła się triumfalnie, najwyraźniej zadowolona z celnego strzału. Wyrzuciwszy do śmieci zużyty kawałek papierowego ręcznika, ze stosu piętrzących się obok wiadra przygotowanych naczyń porwała blaszany talerz i pognęła w stronę kolejki, by dołączyć do przyjaciółek, pozostawiając matkę samą w stanie całkowitego oszołomienia. Nie mając sił na nic więcej, Lynn patrzyła przez dłuższą chwilę tępo, jak Rory, przerzuciwszy charakterystycznym dla siebie gestem długi jasny warkocz przez ramię, szepcze coś z ożywieniem do ucha Jenny. Melody włączyła się do spisku i po chwili wszystkie trzy plotkowały z zapalem.

Lynn mogła się jedynie domyślać, o czym tak zawzięcie rozprawiają.

Wolała jednak nie zgadywać.

Po chwili doszła do siebie na tyle, że mogła umyć ręce. Namydłając dłonie,

modliła się w duchu, aby wyznanie jej małej córeczki okazało się kłamstwem wymyślonym na poczekaniu na użytek matki. Nie, Rory nie mogła palnąć czegoś tak głupiego. Zna ją przecież, to nie w jej stylu.

- No, więc od jak dawna tego nie kosztowałaś? - dobiegł ją zza pleców męski głos, kiedy odwrócona tyłem do wiadra wycierała ręce w papierowy ręcznik. Gwałtownie wyrwana z zamyślenia, Lynn obejrzała się przez ramię. Tuż za sobą ujrzała Jessa Feldmana, najbardziej nienawidzonego człowieka na ziemi. Z podwiniętymi do opalonych ramion rękawami płukał ręce w wiadrze. Miał na sobie czyste, suche dżinsy i koszulę w niebieskiej tonacji, w którym to stroju nadal do złudzenia przypominał Brada Pitta z reklamy Marlboro.

Na ten widok przez głowę Lynn przemknął jak błyskawica upiorny obraz Rory deklarującej owemu pseudokowbojowi chęć posiadania z nim dziecka.

- Nie kosztowałam czego? - powtórzyła jak automat, starając się zapanować nad sobą. Powinna ochłonać, zanim się rozprawi z tym łotrem.

- Smaku życia - odpowiedział z uśmiechem.

4

- To chyba nie twoja sprawa? - warknęła, dając upust całej wrogości, jaką odczuwała wobec tego człowieka.

Świetny sobie moment wybrał na zaczepki, nie ma, co. Zamiast rozmawiać miała ochotę trzasnąć go czymś ciężkim w czaszkę. Zgniotła zużyty papierowy ręcznik w kulę i cisnęła nią z furią w stronę wiadra pełniącego funkcję kosza na śmieci.

Szkoda, że to nie kamień; jeszcze bardziej było jej żal, że nie głowa Jessa.

Pocisk trafił prosto do celu z godną podziwu precyzją. Lata treningów w szkolnej drużynie piłki ręcznej wydały piękny plon: Lynn niezwykle rzadko chybiała celu.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli mógłbym się na coś przydać w tym względzie, chętnie służę. - Mył ręce, uśmiechając się bezczelnie.

Najwyraźniej na nic się zdała ostentacyjna wrogość Lynn. Ciekawe, czy ów typ zawsze bierze za dobrą monetę tak jawne objawy niechęci ze strony otoczenia? Pewnie tak. Przystojniacy na ogół nie grzeszą bystrością.

- Och, wierzę, że byłbyś do tego zdolny - odparła chłodno, mierząc go wyniosłym spojrzeniem od stóp do głów.

- Pohamuj jednak swoje zapędy, Romeo, nie jesteś w moim typie.

- Po czym z zawziętym wyrazem twarzy dodała, ścisząc głos: - A jeśli już o tym mowa, wiedz, że nie jesteś także w guście mojej córki. Na wszelki wypadek przypominam ci też, że ona ma dopiero czternaście lat. Ta zabawa pachnie więzieniem, mój panie. Radzę o tym pamiętać.

- Słodki z niej dzieciak. - W oczach Jessa zamigotały iskierki rozbawienia.

Lynn czuła, że zaraz wybuchnie, zdobyła się jednak na ogromny wysiłek, by zapanować nad sobą i dorzuciła ostro:

- Trzymaj się od niej z daleka. Ostrzegam cię!

- Bardzo chętnie, pod warunkiem, że ty się mną zajmiesz. - Zgniół swój papierowy ręcznik i wymierzył do wiadra na śmieci. Chybił, a Lynn uśmiechnęła się z politowaniem. No, ten facet z pewnością nie biegał po boisku jako

rozgrywający. W odpowiedzi Jess uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wyglądał na niezrażonego ani jej oschłością, ani swoim chybionym strzałem. - Twoja córka jest naprawdę miła. Ty za to masz niezły temperamencik.

- A z ciebie odpychający typ.

- Doprawdy? - Jess przeszedł parę kroków, by podnieść papier i wrzucić go do kosza. Potem powoli odwrócił się ku Lynn i zatknąwszy kciuki za przednie kieszenie w dżinsach, odezwał się ponownie: - Coś ci powiem. Owen właśnie próbuje się pozbierać po rozpadzie diabelnie nieudanego małżeństwa. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuje, jest złąkniona męskiej czułości turystka, która pragnęłaby owinać go sobie dookoła palca pod czas wakacji. Ja to co innego: nie mam złamanego serca, jestem wolny jak ptak i gotów na każde twoje skinienie. Odpychający czy nie, to inna sprawa. Ale na twoim miejscu wybrałbym moją kandydaturę.

- Złąkniona męskiej czułości? ... - Lynn nie wierzyła własnym uszom. - Czyja dobrze słyszę?

- Jak najbardziej. Rory twierdzi, że nie spotykałaś się z nikim od rozstania z mężem, czyli od jej niemowlęstwa. Twoja córka uważa, że to z tego powodu wiecznie jesteś taka zgryźliwa.

- Moja córka nie powiedziała czegoś podobnego!

- Czyżby? - droczył się z uśmiechem.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła bez przekonania.

Tak, Rory niewątpliwie zdolna była chlapnąć podobne głupstwo, jak również tamto o dziecku z Jessem. Po prostu temat seksu ostatnio nie schodził jej z ust.

- Lynn! Chodź wreszcie, jeśli chcesz coś zjeść! I ty też, Jess! - dobiegło ich wołanie Pat Greer.

Dobroduszna, gadatliwa Pat o puciołowatych policzkach i czarnych lokach okalających twarz nie wiadomo jak i kiedy wzięła wszystkich uczestników wyprawy pod swoje opiekuńcze skrzydła. Wciśnięta w dżinsy o wiele za ciasne na jej obfite biodra i z trudem oddychając w opinającej solidny biust dżinsowej koszuli, wyglądała jak uosobienie pełnego poświęcenia macierzyństwa, bogini domowego ogniska, która z oddaniem codziennie pichci swym piskletom świeże obiady i nigdy nie podnosi głosu nawet na najbardziej niesforne latorośle. Typ matki, o jakiej Rory mogła tylko marzyć.

Ideał, któremu Lynn mimo najlepszych chęci nigdy nie dorówna.

- Trzymaj się z daleka od mojej córki - syknęła na koniec do Jessa, po czym odwróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę Pat.

Pomimo wielu godzin spędzonych na świeżym powietrzu, sporego fizycznego wysiłku w ciągu dnia oraz zachęcającego wyglądu potraw apetyt jej nie dopisał. Smętnie dziobała zbyt ostro przyprawione mięso, bez entuzjazmu pogryzając gumowatą fasolkę. Bąble na szyi od ukąszeń podstępnych komarów, których nie zdołała odstraszyć gruba warstwa ochronnego kremu, dokuczały jej niemiłosiernie, tak że bez przerwy musiała się drapać; dym z ogniska szczypał w oczy, aż zaczęła mrugać i łzy napłynęły jej pod powieki. Jednym słowem, kosztowała wszystkich

przyjemności cudownej wyprawy w głąsę, obiecanych w pełnym entuzjazzmu materiałach reklamowych Adventure Inc.

„Siedząc przy wesoło buzującym ognisku, docenisz smak autentycznych potraw z Dzikiego Zachodu i urodę otaczającej cię pierwotnej przyrody”.

Mówiąc szczerze, nie powinna narzekać. W sloganach reklamowych nie tkwiło ani źdźbło przesady, tylko że wszystkie te atrakcje z perspektywy jej zacisznego saloniku wydawały się o wiele bardziej ekscytujące.

Caveat emptor. Niech kupujący ma się na baczności. Święte słowa. A czego się spodziewała? Hotelu Ritz do jej wyłącznego użytku na każdym postoju?

Wyłączywszy się z niewesołych przemyśleń, Lynn zarzuciła zmagania z „autentyczną potrawą z Dzikiego Zachodu” i odstawiła talerz z prawie nietkniętym jedzeniem do miski na brudne naczynia. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu córki. Gdyby przynajmniej udało jej się znowu trochę zbliżyć z Rory, cała ta, pozał się Boże, wyprawa byłaby warta zachodu. Może gdyby częściej zaczęły ze sobą rozmawiać, nawiązałyby się między nimi na nowo nić porozumienia. Może jest jeszcze szansa, by zmniejszyć dzielącą je od niedawna przepaść, która z dnia na dzień wydaje się pogłębiać.

Lynn pielęgnowała w sobie te nadzieje i wierzyła głęboko, że pewnego dnia odnajdą z córką wspólny język.

Rory, z pełnym talerzem na kolanach, siedziała otoczona wianuszkami koleżanek. Lynn podeszła do nich szybko.

- Nie masz ochoty na spacer po kolacji? - zapytała, kładąc pojednawczym gestem dłoń na ramieniu dziewczynki. Córka spojrzała na nią niewinnie.

- Chętnie - odparła zgodnie, lecz natychmiast dodała, bezlitośnie pozbawiając Lynn złudzeń: - Pójdę z nimi! - i wskazała na roześmiane przyjaciółki. Nie zwracając uwagi na rozczarowanie matki, paplała dalej: - Chcemy pobiegać po lesie. Jess twierdzi, że to całkiem bezpieczne, pod warunkiem, że będziemy się przy tym głośno zachowywać. Hałas odstraszy niedźwiedzie i inne dzikie zwierzęta. No i oczywiście nie wolno nam zbyt się oddalać.

- Niedźwiedzie? - jak echo powtórzyła Lynn, uśmiechając się z przymusem. Przecież miałam na myśli spacer ze mną, tylko we dwie, ty i ja, myślała rozżalona. Lecz oczy jej córki zabłysły buntowniczo. Jasne było, iż nie zmieni swych planów tylko po to, by sprawić przyjemność matce.

Lynn nie miała zamiaru nalegać - wiedziała, że wszelkie jej wysiłki przyniosą efekt zgoła odwrotny do założonego. Ale świadomość, że Rory przedkłada towarzystwo koleżanek nad spacer z matką, zabolowała dotkliwie.

- Tu wokoło grasuje pełno niedźwiedzi. Kto wie, może nawet w tej chwili obserwują nas z ukrycia. Na wszelki wypadek lepiej na noc nie zostawiać na wierzchu żywności - zauważyła Melody z przejęciem.

- Wobec tego życzę miłej przechadzki. Uważajcie na siebie - Lynn, wycofując się, na pożegnanie odruchowo pogłaskała córkę po głowie, jak to zwykle robiła. Teraz jednak ów niewinny gest wywołał gwałtowną reakcję dziewczynki. Rory szarpnęła głową w bok, patrząc na matkę z wyrzutem.

- Przepraszam - szepnęła ta z zakłopotaniem.

Najwyraźniej wszelkie przejawy czułości ze strony matki irytowały dziewczynkę. W obecności przyjaciółek nie chciała być dłużej traktowana jak dziecko. Lynn otrzymała kolejną lekcję.

- Idź już! - syknęła do niej córka, krzywiąc twarz w czymś na kształt wymuszonego uśmiechu i ukazując przy tym dwa rzędy równych białych zębów (których wyprostowanie, notabene, kosztowało fortunę). Zanim zaskoczona Lynn zdążyła zareagować, Rory, odwróciwszy się do niej plecami, paplała już żywo z towarzyszkami.

Lynn ugryzła się w język, choć ostra reprimenda za tak nie grzeczne zachowanie wręcz cisnęła jej się na usta. Niezależnie od tego, czy przyczynę krnąbrnych reakcji dziewczynki stanowił jej cielecy wiek (tak uważała matka Lynn) czy zgoła, co innego, zbesztanie córki przy jej koleżankach zaogniłoby tylko sytuację.

Przyjęła, więc obcesową odprawę jedynie kwaśnym grymasem. Co za swoista ironia losu: subiektywnie i obiektywnie rzecz biorąc, wszystkie jej życiowe poczynania wieńczyło zawsze powodzenie. Dlaczego w takim razie zupełnie nie radzi sobie w roli matki?

Nie chcąc się narazić na kolejny zarzut Rory, że stale kręci się w jej pobliżu, ruszyła bez celu przed siebie.

W oddali ujrzała Debbie Stapleton plotkującą z werwą z krępą, rumianą Irene Holtman, jedną z nauczycielek. Druga z nauczycielek, dobiegająca sześćdziesiątki Lucy Johnson, wyróżniająca się doskonale przystrzyżoną srebrną czupryną, prowadziła właśnie do namiotu zapłakaną nastolatkę o ciemnych włosach związanych w koński ogon. Ani chybi kolejna nieszczęsna ofiara tęsknoty za domem, jako że poprzedniego wieczoru popłakiwały dwie inne dziewczynki. A ponieważ ostatnią noc spędzili we wspólnej sypialni przypominającego barak domku noclegowego na ranczu Feldmanów, wszyscy uczestnicy wycieczki mimo woli stali się świadkami tych łez.

O, Rory nie groziły takie przeżycia, nawet gdyby matka nie uczestniczyła w tej wyprawie, co do tego Lynn nie miała najmniejszej wątpliwości. Ostatnio każda okazja wymknięcia się z domu wręcz uskrzydlała jej córkę.

Czwórka dziewcząt pełniących wieczorny dyżur w kuchni szorowała naczynia upchnięte w dwóch wielkich miskach. Pat Greer porządkowała otoczenie: uprzątnęła pozostawione gdzieś śmieci, zdjęła z drzewa porzucony tam przez zapomnienie blezer, pomogła Bobowi i Ernstowi upchnąć niedojedzone resztki kolacji z tyłu dżipa. Ramię w ramię z Pat pracowała jej córka, Katie, z uśmiechem i bez szemrania pomagając matce. No tak, taka Pat na pewno nie miewa kłopotów z Katie. Na myśl tę serce Lynn ścisnął smutek.

Odszukała wzrokiem Rory. Patrząc na nią, poczuła się bezradna, zagubiona i niepotrzebna. Kochała swoje dziecko i ze wszystkich sił starała się jak najstaranniej wypełniać obowiązki matki, lecz mimo jej wysiłków ich wzajemne relacje nie układały się dobrze. Dlatego tak wielkie nadzieje pokładała w tej wspólnej wycieczce. Tymczasem nieporozumienia między nimi narastały zamiast

maleć.

Zgnębiona, zatęskniła nagle za papierosem. Od czasu do czasu ulegała tej drobnej słabości, której Rory zdecydowanie nie pochwałała. Mimo wielu prób Lynn nie umiała wyzwolić się z wieloletniego nałogu, aż w końcu porzuciła daremne trudy, wierząc, że palenie pomaga jej utrzymać szczupłą sylwetkę.

Ilekoć zdarzało jej się pomyśleć o dziesięciu kilogramach nadwagi, które mogłaby zyskać, definitywnie rzucając palenie, natychmiast sięgała po papierosa. Przy jej wymagającej smukłej sylwetki pracy palenie stało się wręcz koniecznością.

W obawie, że Pat ją wypatrzy i poprosi o pomoc w sprzątaniu, a nie mając wielkiej ochoty na jakąkolwiek robotę właśnie w tej chwili, zaszyła się w ustronnym miejscu na skraju polany. Wytropiwszy tam porzuconą belę sprasowanej słomy, rozsiadła się na niej, nie zważając na ból pośladków. Zresztą podczas spaceru także nie pozwalały o sobie zapomnieć.

Kręciła się przez dłuższą chwilę, próbując znaleźć jak najwygodniejszą pozycję, wreszcie usadowiła się ostrożnie, zakładając nogę na nogę. Ból, co prawda, nie ustał, ale wydawał się mniej dokuczliwy.

Wyciągnąwszy z kieszeni kurtki papierosy i zapalniczkę, zapaliła, z lubością zaciągając się dymem.

- Jak obolałe mięśnie? Obejrzała się szybko: stał przy niej Owen. Wokoło zapadała już noc, a wraz z nią nadciągnął przenikliwy wieczorny chłód, jak gdyby wcale nie była to druga połowa czerwca. Zaciągnąwszy się ponownie, Lynn próbowała niezdarnie zgasić niedopałek, lecz zbuntowała się nagle i pociągnęła jeszcze raz. Czemu właściwie miałyby się wstydzić tej słabości i to właśnie tutaj, na świeżym powietrzu? Nikomu nie robi krzywdy, no może tylko komary nawdychają się dymu. Oby się nim udławiły!

- Bolał - odpowiedziała z uśmiechem.

Odczytawszy jej uśmiech jako zaproszenie, Feldman przy siadł obok. Prawdę mówiąc, nie tęskniła za towarzystwem, ale ostatecznie uznała, że odrobina uprzejmości jej nie zaszkodzi. W końcu naprawdę sympatyczny człowiek z niego, a cóż może biedak poradzić na to, że ma brata zakałę.

- Wypróbowałaś już maść? - zagadnął ponownie i oparł łokcie na kolanach, przyglądając się uważnie Lynn.

Chybotliwe światło ogniska nie sięgało jednak tak daleko, by można było dojrzeć wyraz twarzy kowboja. Gdzieś w ciemności zarżał koń, a inne zawtórowały mu z cicha. Las rozszumiał się nad ich głowami. W powietrzu płynął miły zapach dymu i pieczonych na grillu żeberek.

- Jeszcze nie. Posmaruję się przed snem - mówiąc to, poklepała kieszeń z puszką.

- Dobry pomysł. Ten środek to najlepszy sposób na odstraszenie wszelkich stworzeń, które lubią zniecka wpelznąć do śpiwora.

- Jakich stworzeń? - przeraziła się Lynn, drętwiąc cała na myśl o dziesiątkach różnych żyjątek przemykających w ciemnościach wokół niej, kiedy tymczasem będzie pogrążona we śnie.

- Wymień pierwsze lepsze, a na pewno okaże się, że właśnie tu gdzieś spaceruje - zaśmiał się Owen. - Co to byłby za nocleg w namiocie bez robaków, pajaków, węży oraz...

Powstrzymała go, wyciągając rękę.

- Wolę już przekonać się sama - zdecydowała, po czym dla kurażu po raz kolejny zaciągnęła się papierosem.

- Czy mogłabyś mnie też poczęstować?

- Palisz? - zdziwiła się Lynn.

- Uhm - potwierdził. Wziął od niej zapalniczkę i papierosa. - Przez wiele lat nie paliłem. Ale po... kilka miesięcy temu znowu zacząłem. Ten rytuał pozwala mi się odprężyć.

- Mnie też - przyznała Lynn.

Owen oddał jej zapalniczkę; wrzuciła ją do kieszeni.

- Czy podobał ci się pierwszy etap podróży?

- Och, tak, szalenie.

Kowboj się roześmiał.

- Dlaczego więc nie mogę się pozbyć wrażenia, że nie jesteś wielką miłośniczką tego rodzaju wypraw?

- Prawdopodobnie dlatego, że rzeczywiście nie jestem.

- Jess twierdzi, że pracujesz w telewizji. To podobno świetna posada.

Wolno wydmuchując dym, Lynn zmrużyła oczy w szparki.

- Nie wiem, skąd twój brat ma takie informacje - odparła cierpkim tonem. - Ach, tak, zapewne od Rory. No cóż, jestem dziennikarką stacji telewizyjnej WMAO w Chicago. Wierz mi jednak, że to wcale nie tak olśniewające zajęcie, jak mogłoby się wydawać.

- Od dawna tam pracujesz?

- Od czterech lat.

- A w jaki sposób otrzymałaś tę posadę?

- Najpierw na uniwersytecie Indiana zgłębiałam tajniki metod komunikowania się między ludźmi. Jeszcze podczas studiów udało mi się zostać gońcem w stacji telewizyjnej w Indianapolis. Po skończeniu nauki zaczęłam pracować jako reporterka w Evansville. Potem zaś trafiłam do Peorii jako prezenterka, pojawiająca się na antenie tylko w weekendy, a stamtąd prosto do WMAQ w Chicago. To wszystko - wyrecytowała jednym tchem.

Często ją o to zagadywano, więc po kilku latach udzielania odpowiedzi na to samo pytanie jej relacja została zredukowana do niezbędnego minimum.

- Imponujące.

- Owszem - przytaknęła Lynn bez przekonania w głosie, zaciągając się papierosem. Ludziom spoza środowiska telewizyjnego takie zajęcie mogło wydawać się szczytem marzeń. Tylko wtajemniczeni zdawali sobie sprawę z tego, ile nerwów i wysiłku kosztuje owa praca. I jaką nie pewność jutra niesie z sobą. Wystarczy utyć pięć kilogramów lub dorobić się zmarszczek pod oczami, aby pożegnać się ze studium.

A co potem?

To pytanie bezustannie kołatało gdzieś w podświadomości Lynn, nie dając jej spokoju. Skończyła już trzydzieści pięć lat i intuicyjnie wyczuwała, że zbliża się nieuchronnie kres jej kariery. Ile czasu jeszcze zostało?

- Owen, Tim cię szuka. Chce uzgodnić piany na jutro. Głos dobiegający zza ich pleców niewątpliwie należał do Jessa. Lynn zeszywniała.

- Nie możesz sam się tym zająć? - Jej towarzysz odwrócił się, próbując dojrzeć brata w ciemności.

- Nie - padła zdecydowana odpowiedź.

Skupiwszy uwagę na coraz krótszym papierosie, Lynn starała się omijać wzrokiem obu braci. Mimo to wyraźnie poczuła narastające między nimi przez chwilę napięcie. Tę rozmowę bez słów pierwszy zakończył Owen. Obrócił się ku Lynn, z niezadowolaniem mrucząc coś pod nosem.

- Wobec tego muszę już iść - powiedział markotnie, gasząc papierosa o podeszwę buta i upychając niedopałek do kieszeni kurtki. - Nie zapomnij o maści - rzucił do Lynn, wstając.

- Nie zapomnę. Dziękuję - uśmiechnęła się do niego na pożegnanie. Odwzajemniwszy uśmiech, zniknął w ciemnościach.

- O jakiej maści mowa? - podchwycił temat Jess.

Obszedł belę słomy, by zająć miejsce opuszczone przez brata. Zsunął kapelusz na tył głowy, oparł łokcie na kolanach w taki sam sposób jak Owen, zerkając z ukosa na Lynn. Profil mężczyzny rysował się wyraziście na tle pomarańczowego blasku płonącego nieopodal ogniska. Grzbiet nosa Jessa znaczył garb mówiący o dawnym złamaniu, usta wydawały się zbyt wąskie, a czoło i podbródek - zbyt wydatne. Krótko mówiąc, wiele mu jednak brakowało do Brada Pitta, skonstatowała Lynn ze złośliwą satysfakcją. Uznała więc ostatecznie z ulgą, że dla niej w każdym razie ten amant jest całkowicie niegroźny.

- To nie twoja sprawa - odparła niezbyt grzecznie, patrząc w przestrzeń i wydmuchując niby od niechcenia wielki kłęb dymu. - Idź stąd.

- Mojego brata potraktowałaś łaskawiej.

- Jego lubię, a ciebie nie.

- Ciekawe, czemuż to? Ludzie zwykle za mną przepadają.

Lynn spojrzała nań z pogardą.

- Ludzie? Chyba wyłącznie kobiety?

- 1 kobiety, i mężczyźni. Wszyscy.

- Wobec tego może powinieneś pomyśleć o zorganizowaniu klubu wielbicieli?

- Kto wie, może to zrobię. Zapiszesz się?

- Po moim trupie.

Jess roześmiał się niefrasobliwie.

- To bez wątpienia oznacza, że nie pozwolisz mi nasmarować się maścią.

- Zgadłeś.

- Rano będziesz tego żałowała. Zwykle dopiero następnego dnia ból pośladków po jeździe konnej staje się nie do wytrzymania.

- Przeżyję.

- Och, szkoda tego zmarnowanego czasu - stwierdził nagle niespodziewanie miękkim tonem ni to wyznania, ni to zaczepki.

Lynn zaciągnęła się po raz ostatni papierosem. Rzuciwszy niedopałek na ziemię, zgasiła go czubkiem buta, jednocześnie wydmuchując dym.

- Chyba nie nadążam. Co właściwie miałeś na myśli? - zapytała.

- Zostało nam już tylko osiem dni na letnią przygodę - zaśmiał się, widząc jej oburzenie. Aby nie dopuścić do riposty, szybko schylił się po rzucony na ziemię niedopałek, dodając już poważnie: - Nie powinnaś zostawiać petów w lesie. Mogą spowodować pożar.

Lynn spaşowiała, widząc, jak schował niedopałek do kieszeni swojej dżinsowej kurtki. Wiedziała, że Jess ma rację. Przypomniała sobie, że taką samą ostrożność wykazał Owen.

- Zapamiętam na przyszłość - obiecała krótko, po czym wstała, krzywiąc się z bólu. Jej nadwerężone mięśnie dawały o sobie znać przy najmniejszym ruchu.

- Pójdę sprawdzić, co robi Rory - chciała oddalić się jak najszybciej, aby nie widział, jak pociera obolałe kolana, uda i pośladki.

Prędeż, prędeż, to nie do wytrzymania.

- Dlaczego nie zostawisz małej więcej swobody? - zaprotestował Jess łagodnie, podnosząc się również.

Dopiero, kiedy się wyprostował i spojrzał na nią z góry, mogła stwierdzić, że dorównuje bratu wzrostem. Poczula się przy nim niezwykle niska, tym bardziej, że na nogach miała płaskie buty do konnej jazdy. Nie przywykła tak się ubierać; zawsze w pracy i na ogół także poza nią chodziła w pantoflach na niebotycznych obcasach.

- Nie potrzebuję twoich rad co do wychowania mojej córki. Wystarczy, żebyś trzymał się od niej z daleka, to wszystko.

- Widzę, że w twojej głowie aż się roi od nieprzyzwoitych myśli - zauważył Jess z sarkazmem w głosie.

- Nie bez powodu - odparła wyniośle.

- Uważasz, że dałem jakiś powód?

- No nareszcie cię mam. Tu się zaszyłaś - z ciemności nagle wynurzyła się Pat. Spoglądała to na jedno, to na drugie, wielce z siebie zadowolona, nie przejmując się wcale głuchą ciszą, która nastąpiła po jej nadejściu. - O, i Jess też tu jest! To świetnie! - trajkotała dalej. - Chodźcie ze mną, szybciotko! Właśnie dzielimy się na grupy, żeby zaśpiewać kanon.

- Mnie proszę zwolnić z tego obowiązku. - Kowboj, odtajawszy nieco, znowu rozsyłał wokół swe bez troskie uśmiechy. - Nie śpiewam, lecz skrzeczę jak żaba, a poza tym, jeśli panie życzą sobie jutro wyprawić się na szczyty Lovenii, czeka mnie jeszcze sporo przygotowań.

- Och tak, nie trać czasu! Marzę, żeby pstryknąć zdjęcie orłom! Mój aparat fotograficzny już czeka zapakowany w jukach przy siodle - zapaliła się Pat.

- Z całą pewnością prędeż czy później nadarzy się po temu okazja - zapewnił ją Jess.

- Tymczasem proszę mi wybaczyć. - I z tymi słowami, obdarzywszy przybyłą kolejnym uśmiechem, a także posyłając nieodgadnione spojrzenie Lynn, oddalił się spieszenie.

Pat tymczasem pociągnęła nieco bezwolną Lynn w stronę ogniska, nie przestając przy tym mówić:

- Czy wiesz, że codziennie oglądamy cię w "Wiadomościach"? Jesteś po prostu niezrównana. Katie aż skręca się z zazdrości, że matka Rory występuje w telewizji - paplała, objawszy ciasno Lynn ramieniem, by udaremnić jej czmychnięcie w bok.

- Doprawdy? - wyraziła swe zdziwienie Lynn, porzucając zamiysł ucieczki. Trudno, będzie, co ma być. Jeśli Pat chce, żeby śpiewała, zaśpiewa. Nie sposób wykręcić się od tego gładko, nie stety. - Wyobraź sobie, że Rory zazdrości Katie matki, którą o każdej porze dnia można zastać w domu - dodała.

- Ach, te dzieciaki! - Kobieta pokręciła głową z pełnym wyrozumiałości uśmiechem. - Nigdy nie można im dogodzić.

Na moment połączyła je nić porozumienia. Powodowana poczuciem matczynej wspólnoty Lynn poczuła przyływ sympatii do Pat. Odwzajemniła jej uśmiech właśnie w chwili, gdy wciągnięto ją na trawę w sam środek zgromadzonego chóru. Świadomość, że Katie dostrzega pewne wady także w swojej na pozór doskonałej matce, działała kojąco.

Dopiero w godzinę później Lynn udało się wreszcie zrejterować z placu boju.

Dźwięki wyśpiewywanego z zapalem kanonu towarzyszyły jej, kiedy przemykała się w stronę namiotów.

„Polubisz wspólne śpiewy przy ognisku”...

Te, co chwila napływające z zakamarków pamięci cytaty z ulotki reklamowej doprowadzały Lynn do szaleństwa. Dlaczego wszystko to, co na papierze wydawało się tak ciekawe, w praktyce okazuje się nużące i bezbarwne?

W niewielkim oddaleniu od skupiska pozostałych namiotów ustawiono jeszcze jeden: wysoki, okrągły, pełniący funkcję zaimprovizowanej damskiej umywalni z prysznicami. Wyłowiwszy z plecaka ręcznik oraz dres, w którym zamierzała spać, Lynn udała się w tamtą stronę ścieżką biegnącą w pobliżu ogniska. Towarzystwo zgromadzone wokół niego zajęło się właśnie opowiadaniem historii o duchach. Lynn przyspieszyła kroku, nie mając ochoty na słuchanie owych bzdur.

Rory natomiast wyglądała na zachwyconą. Widocznie zniknięcie matki wprawiło ją w tak doskonały nastrój. Zajmowała miejsce z tyłu, mając przed sobą Jenny i Melody, ściśnięte na jutowym worku, a za plecami pień drzewa, o który opierała się plecami. Rozprawiła z ożywieniem ze stojącym obok Jessem, który właśnie próbował zawiesić coś wśród konarów.

Ujrzawszy to, Lynn wstrzymała oddech. Miała ochotę wedrzeć się między nich i odciągnąć córkę jak najdalej od tego drania. Nie, to bezcelowe. Rory jest zawzięta. Najprawdopodobniej zaparłaby się i nie usłuchała dobrowolnie matki. A o użyciu siły nie ma mowy. Nawet gdyby Lynn zamierzała to zrobić, nie poradziłaby sobie sama z córką. Przede wszystkim jednak nie chciała. Była

przeciwna stosowaniu przemocy wobec dzieci, nigdy nie ukarała Rory nawet kłapsem. I może właśnie, dlatego teraz ma takie kłopoty, przyszło jej do głowy. Może pokutuje za zbytnią pobłażliwość.

Wychowywanie dzieci z całą pewnością nie jest zajęciem dla słabych kobiet, skwitowała z westchnieniem.

Dobrze przynajmniej, że ostrzegła tego draba. Jeśli sprawy przybiorą niewłaściwy obrót, pokaże mu, gdzie raki zimują.

Kiedy tak patrzyła, Jess skończył mocować się z gałęziami i ujawszy Rory pod ramię, wrócił z nią do pozostałego towarzystwa. Usiedli razem na worku obok Melody i Jenny.

Tym razem Lynn nie wahała się dłużej. Obojętnie z jakim skutkiem, ale przerwie te ostentacyjne karesy. Już miała ruszyć, gdy Jess niespodziewanie wstał.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na nim, zewsząd rozległy się oklaski zachęcające go do wystąpienia. Ukłonił się z uśmiechem, wychodząc na środek. Przysiadł na słomie i zaczął coś opowiadać.

Choć nie mogła z oddalenia usłyszeć ani słowa, domyśliła się raczej, że zabawia zebranych kolejną historyjką o duchach.

W każdym razie lepsze to niż jego sam na sam z Rory.

Uspokojona, podjęła przerwana wędrówkę w stronę umywalni. Po wszystkich przeżyciach dnia Lynn nie miała dobrego nastroju. Po głowie tłukło się jej natrętne pytanie: czy jest zadowolona ze swoich wakacji?

Jak dotąd nie. Ani trochę!

Na szczęście nocują z Rory w tym samym namiocie, więc przez cały czas będzie mogła mieć córkę na oku. Każdej z opiekunek przypadły cztery dziewczynki pod wspólnym dachem. Lynn przygarnęła Rory, Jenny, Melody i Lisę, zaledwie od kilku tygodni uczęszczającą do tej samej szkoły.

Pozostałe dziewczęta, od dawna zaprzyjaźnione ze sobą, odsuwały się od nowicjuszek. Oczywiście Lynn próbowała wpłynąć na ich postępowanie, wygłaszając mały wykład na ten temat, ale bez rezultatu. Nikogo nie przekonała, nic nie zmieniła.

Westchnęła ciężko. I to ma być urlop? Boże, ja chcę wrócić do pracy!

Wślizgnąwszy się do namiotu-umywalni, Lynn po raz pierwszy w życiu dziękowała Bogu za swój niewielki wzrost. Nie dość, że mogła bez trudu się wyprostować, to do sufitu brakowało jej jeszcze kilkunastu centymetrów. Idąc po omacku przed siebie, zawadziła o coś głową. Wyciągnąwszy rękę, namacała latarkę zawieszoną na drążku, najwyraźniej przeznaczoną do oświetlania namiotu. Lynn zapaliła ją i uważnie przyjrzała się wyposażeniu zaimprovizowanej łazienki. Hm, prymitywne, ale wystarczające. Sitko natrysku zamocowano na gumowym węźu przeciągniętym po dachu namiotu. Lynn doszła do wniosku, że wąż ma zapewne połączenie ze zbiornikiem wody umieszczonym na zewnątrz.

Upewniwszy się, że cień jej sylwetki nie może być widoczny od ogniska, szybko zrzuciła z siebie ubranie i drżąc z zimna, sięgnęła do kurka, by puścić wodę.

Och, jakże marzyła o gorącym prysznicu! Strumień ciepłej wody uśmierzy ból

mięśni, a także zmyje zapach kurzu, końskiego potu oraz płynu przeciw komarom, których mieszanka tworzyła zaiste niepowtarzalny bukiet.

Kurek ani drgnął. Jedną ręką unieruchomiła wąż doprowadzający wodę, drugą zaś chwyciła kranik i zacisnąwszy zęby, przekręciła go z całej siły. Zwycięstwo!

Lynn usłyszała szum wody, która wśród kaszlnięć i prychmęć z hurgotem nadciągała z oddali.

Puściwszy kurek, cofnęła się o krok, nadstawiając twarz w oczekiwaniu na pierwsze ciepłe krople.

Strumień runął na nią nagle z niespodziewanym impetem, zalewając całą od stóp do głów.

Lodowaty strumień.

Lynn wyskoczyła jak oparzona, nie mogąc złapać tchu. Przez chwilę stała naga, szczękając zębami, i patrzyła w osłupieniu na lejącą się wodę, póki nie dotarło do jej świadomości, że oczekiwać ciepłej wody tutaj może z równym powodzeniem, jak lodu na Saharze.

„Nawet na odludziu nie zabraknie ci wszelakich wygód, nie wyłączając orzeźwiającego prysznica”. Sprytnie pominięto słówko: „lodowatego”.

Lynn przysięgła sobie w duchu, że kiedy tylko wróci do cywilizacji, pošle autora tej przeklętej broszury za kratki.

5

20 czerwca 1996, godz. 22.00

Michael Stewart wrócił, a razem z nim zapewne jej bracia, Thomas i James.

Siedząc w swojej kryjówce, Theresa usłyszała dobiegający z oddali ryk osłów, których ojciec zwykle używał do transportowania sprzętu po szutrowej drodze łączącej dom z odległym o prawie osiem kilometrów miejscem postoju ciężarówki.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy zaczął się ten koszmar, wstąpiła w nią nadzieja.

Ale dokonywanie rzeczy niemożliwych leżało w mocy ojca.

Czuła, że trzeba cudu, by wyzwolić ich od złych mocy czających się w ciemności.

Tata ich uratuje. Dokona cudu, przecież nieraz już wychodził cało z gorszych oparów.

Eliasz zakwilił, nie mogąc sobie znaleźć miejsca wśród stosu starych ubrań, które gromadzono w piwnicy przed przerobieniem na kołdry, dywaniki lub inne użyteczne rzeczy.

- Nie płacz, malutki! Och, nie płacz, proszę!

Odnalazłszy po omacku niemowlę, Theresa wzięła maleństwo na ręce, kładąc mu palec na ustach, aby stłumić łkanie. Jednocześnie zaczęła rozglądać się wokół w poszukiwaniu plastikowej butelki po wodzie, na którą wcześniej naciągnęła gumową rękawiczkę mającą zastąpić smoczek.

W piwniczce było tak ciemno, że wypatrzenie czegokolwiek sprawiało dziewczynie wielką trudność. To ciasne pomieszczenie, tak niskie, że wymagało skulenia się, wykuto w skale pod chatą przed z górą stu laty. Można było tu wejść jedynie przez klapę w podłodze składzika, zwykle zasłoniętą balią.

Jak dotąd napastnicy nie zauważyli klapy. Zajrzeli do składzika tylko raz, pobieżnie przeszukując wnętrze, po czym się wycofali.

Słyszając ich kroki nad głową, Theresa skuliła się ze strachu.

- Szs, króliczku - szepnęła do Eliasza.

Siedząc z dzieckiem na ziemi, rozpięła mu miękkie, błękitne śpiochy, aby sprawdzić pieluchę, którą zastępowała teraz podarta koszula, wyciągnięta ze sterty starych szmat i wciśnięta przez Theresę maluchowi pod ceratkę. Do buzi wetknęła mu zaimprovizowany smoczek, który niemowlę zassało łapczywie.

Na wpół zawodząc, na wpół mrużąc niezrozumiałe słowa wprost do ucha braciszka, Theresa kołysała go w ramionach. Malec, cmokając z zapalem, wtulił się w nią, a jego maleńka łapka oplótła się wokół jej palca.

W zimnej piwniczce pachniało stęchlizną. Stewartowie używali jej do przechowywania puszek z jedzeniem i innych produktów żywnościowych. Poprzedni mieszkańcy osady zwykli trzymać tu dosłownie wszystko, od ziemniaków po sprzęt górniczy.

Eliasz posapywał z ukontentowaniem, delektując się mieszanką mleka w proszku i porzeczkowego wina, którą przyrządziła mu Theresa. Przez cały czas ich pobytu w piwniczce tylko jadł albo spał, co dziewczyna przypisywała błogostawionym właściwościom porzeczkowego trunku. Miała nadzieję, że alkohol nie zaszkodzi chłopcu. W każdym razie na pewno nie uczyni mu większej krzywdy niż złoczyńcy na górze.

Jeśli tamci ich znajdą, oboje czeka śmierć.

Początkowo Theresa obawiała się bardzo, że płacz małego zdradzi miejsce ich kryjówki. Przypomniała sobie zasłyszaną niegdyś historię o pewnej kobiecie z Dzikiego Zachodu, która wraz z dziećmi ukryła się w piwnicy przed grasującą w pobliżu watahą Indian. Kiedy jedno z dzieci zaczęło płakać, w obawie przed odkryciem ich kryjówki zdesperowana matka udusiła je własnymi rękami, by ocalić siebie i pozostałe potomstwo.

Jedno życie złożone w ofierze dla ratowania wielu istnień. To z pewnością słuszna decyzja.

Theresa wiedziała jednak, że nigdy nie zdobyłaby się na poświęcenie życia Eliasza w zamian za swoje.

Ledwie to pomyślała, gdy z góry dobiegł ją tupot nóg. Najwidoczniej przeganiano siostry wraz z matką do frontowego pokoju. Dziewczynki płakały, Sally mówiła coś błagalnym tonem. Jej słowa przerwał odgłos uderzenia.

Po chwili powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk.

W tej samej sekundzie Theresa zdała sobie sprawę ze strasznej prawdy, że w razie potrzeby poświęciłaby jednak Eliasza.

Błagam Cię, Boże, zaczęła się modlić, jak czyniła to już wielokrotnie od momentu ich uwięzienia w piwnicy, spraw, by mój maleńki braciszek nie zakwilił. Nie dopuść, bym musiała dokonywać tak strasznego wyboru w obliczu zła. Uchroń nas oboje od śmierci!

6

Klik, klak. Klik, klak. Klik, klak.

Kucyk Heros truchtał pilnie w ślad za towarzyszami. Przy każdym jego kroku Lynn albo ulatywała w powietrze, albo gwałtownie opadała na siodło. Powtarzający się niezmiennie od godziny monotony rytm tej katorgi sprawiał, że w porównaniu z nim chińskie tortury wydawały się niewinną pieszczotą.

Klik, klak. Klik, klak.

Uff, chyba jej odpadną za chwilę pośladki. Wczorajsza niedyspozycja to fraszka w porównaniu z dzisiejszymi męczarniami.

Jeżeli tak się czuła po zażyciu dwóch tabletek przeciwbólowych dzisiaj rano, co poczęłaby bez nich?

Maść od Owena także niewiele pomogła. Lynn pocieszała się tylko myślą, że ów cudowny specyfik może przynajmniej odstraszył parę komarów, w każdym razie jego paskudny zapach po zwał na takie przypuszczenia. Mimo upływu dwunastu godzin od zastosowania maści, Lynn wciąż się krzywiła, gdy woń medykamentu docierała do jej nosa.

Co gorsza, zupełnie nie mogła zmyć z siebie tej mazistej substancji. Choć próbowała szorować uda i pośladki gąbką, mydłem i zimną wodą, nic nie wskórała - jej skóra nadal lepiała się w nie przyjemny sposób do spodni.

Czy znajdzie się wybawca, który wreszcie obudzi ją i uspokoi, że to tylko zły sen?

- Mamo, czemu tak się wleciesz? - zdziwiła się Rory, zawróciwszy, by dotrzymać jej kroku.

Sama radziła sobie świetnie na kucyku. Lekcje konnej jazdy, które za słońcą opłata pobierała w szkole, jak widać nie poszły na marne. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że w przeciwieństwie do Lynn nic jej nie przeszkadza. Trochę tylko obawiała się złego humoru matki, poza tym jednak najwyraźniej promieniowała zadowoleniem z wyprawy. Oczy spoglądające spod ronda różowego kowbojskiego kapelusza, który uparła się kupić specjalnie na tę wycieczkę, lśniły żywym blaskiem, policzki pałały, a długie jasne włosy związane nisko w koński ogon podrygiwały na plecach w rytm kroków wierzchowca. Kołysząc się z gracją na kucyku podobnym do tego, który jej matce przysparzał tyle cierpień, tryskała energią i radością życia.

- Staram się, jak mogę.

Lynn, zaciskając zęby przy kolejnym twardym lądowaniu w siodle, zebrала wszystkie siły, by nie zabrzmiało to jak warknięcie. Przecież dla Rory gotowa była ujeżdżać krokodyle, zawiązać na kokardkę ogon tygrysowi, a nawet spać pośród biegających szczurów. Wytrzyma, więc i tę jazdę. Potwornie męczącą jazdę, dodała, jęcząc w duchu. Czy ten przeklęty dzień nigdy się nie skończy?

Ze zgrozą stwierdziła, że jest dopiero kilka minut po dziesiątej. Do przerwy na obiad jeszcze daleko, a po obiedzie znów trzeba będzie wskoczyć na siodło. I tak aż do wieczora. Ta ponura wizja przywiodła ją do rozpacz. Miała ochotę płakać rzewnymi łzami.

Klik, klak.

Wyjechali z lasu na rozległą łąkę. Turystki, jadąc parami, uformowały się w luźny pochód. Na jego szarym końcu wlokła się Lynn, do niedawna samotnie, teraz w towarzystwie córki. W pewnym oddaleniu za nimi posuwali się Owen i Jess Feldmanowie, zamykając kawalkadę. Po lazurowym niebie wolno płynęły pierzaste chmurki, przygrzewało słońeczko, rześkie powietrze pachniało trawą. Rysujący się w oddali widok pokrytych śniegiem, bezkresnych górskich szczytów zapierał dech w piersiach. Zieloną łąkę zdobiły kępki drobnych, purpurowych kwiatków, kołyszących się na wietrze. Jak można czuć się tak podle wśród tak pięknego otoczenia, zastanawiała się Lynn.

A jednak tak właśnie się czuła.

- Powinnaś anglezować, mamó - oświadczyła Rory, krytycznie oceniwszy umiejętności jeździeckie matki czy też raczej ich brak.

- Anglezować - powtórzyła jak echo Lynn z bladym uśmiechem, grzotnąwszy pośladkami o siodło.

- O tak, popatrz - zawołała dziewczynka, demonstrując unoszenie się i opadanie w strzemionach w takt ruchów kucyka. - Ściśnij kuca kolanami. Przyjrzyj się, jak robią to pani Greer i pani Stapleton.

Pat i Debbie klusowały ramię w ramię o kilka par przed nimi. Prowadziły przy tym głośną, niczym niezmaconą konwersację ani trochę nie przypominając osób bliskich wyzionęcia ducha z powodu nieustannych wstrząsów. Przeciwnie, wyglądały na wyjątkowo ożywione i rozradowane.

Pat Greer jako perfekcjonistka w każdej dziedzinie nie stanowiła jednak wiarygodnego przykładu. Z góry można było, bowiem założyć, że wszystko, czego dotknie, zawsze idzie jej jak z płatka, nawet jazda konna. Co prawda, mocno zaokrąglone kształty na pewno znacznie ułatwiały zadanie. Otóż to, miękkie lądowanie. Ze też Lynn wcześniej o tym nie pomyślała.

Wystarczyłoby przecież podłożyć sobie poduszkę w odpowiednim miejscu, żeby zamortyzować siłę tych piekielnych uderzeń. Oto, czego jej trzeba. Przydałyby się też lekcje konnej jazdy. Niestety, zbyt późno doszła do tego wniosku.

Warunkiem uczestnictwa dziewczynek w wyprawie było ukończenie kursu jazdy konnej. Od dorosłych natomiast wymagano jedynie oświadczenia, że takie umiejętności posiadają. Lynn beztrąsko wstawiła, więc krzyżyk przy twierdzącej odpowiedzi w ankiecie, którą podsunęła jej córka. Sądziła, że nikt nigdy nie wykryje jej niewinnego kłamstwa. W końcu, czy to taka wielka sztuka jeździć konno? Okazało się jednak, że wielka. Przynajmniej na tym kucyku i w tym siodle. Auuu!

- W porządku, już wiem, w czym rzecz - skłamała, usiłując nadać głosowi beztrąski ton, choć głowa pękała jej od kolejnych wstrząsów.

Pomimo wściekłego bólu wewnętrznych części ud, z wielkim wysiłkiem ścisnęła kolanami boki kuca. Nieudolnie naśladując pozostałych jeźdźców, niezdarnie trzy razy uniosła się w strzemionach i na powrót opadła w siodło.

- No, trochę lepiej - zawyrokowała Rory. - Jak to się stało, że nie umiesz jeździć konno? Sądziłam, że każdy to potrafi - nie mogła się nadziwić. Jej pełne

wyższości słowa rozzłościły Lynn.

- Nie każdy. Tylko ci wybrańcy losu, którym zafundowano lekcje - odparła cierpko.

Rory z miejsca się nachmurzyła.

- 1 to właśnie z tego powodu ciężko pracujesz, dlatego nigdy nie ma cię w domu i nie masz dla mnie czasu. Poświęcasz się tak strasznie po to właśnie, żeby stać cię było na opłacanie takich moich fanaberii jak lekcje konnej jazdy, czyż nie?

- W tonie córki pobrzmiwał sarkazm.

- Rory... - Lynn poniewczasie pożałowała swoich słów.

-Nienawidzę cię. - Dziewczynka spiorunowała matkę pełnym wzgardy spojrzeniem i spiąwszy konika, wysforowała się naprzód.

Lynn znowu została sama. Westchnęła ciężko. No tak, jak zwykle każda jej uwaga musi prowadzić do spięcia z Rory. Rzecz jasna, mała wcale tak nie myśli, była tego pewna. Mimo to słowa córki zraniły ją mocno.

Ta wyprawa to kompletne nieporozumienie, pomyślała ze znużeniem. Zamiast zbliżyć je do siebie, z każdą chwilą coraz bardziej oddała. Powinna była pójść za radą szefa i spędzić wakacje, pływając eleganckim jachtem po Morzu Karaibskim, mając zapewnione wszelkie wygody i luksusy.

I to bez córki.

Choć prawdę mówiąc, jedynie chęć spędzenia kilku dni wyłącznie w towarzystwie Rory sprawiła, że Lynn w ogóle zdecydowała się skorzystać z urlopu. Niechętnie rozstała się ze studium. Właśnie nastał tam czas wielkiej reorganizacji, podczas której rozsądniej byłoby trwać na stanowisku i pilnować posady.

Chętnych do zastąpienia trzydziestopięcioletnich prezenterek nie brakowało.

Bęc!

Znowu wypadła z rytmu. Tym razem jednak, mając w pamięci trudny do zniesienia ból ud przy zwieraniu kolan, zrezygnowała z kolejnej próby anglezowania.

Klik, klak. Klik, klak.

O Boże.

- Hej, skarbie!

To me do wiary, że w takiej chwili diabli musieli jeszcze przy nieść Jessa Feldmana, na dodatek jak zwykle drwiąco uśmiechniętego.

- Odczep się - warknęła Lynn przez zaciśnięte zęby.

- Spokojnie, spokojnie - rzucił pojednawczym tonem Jess.

Trzeba przyznać, że na koniu trzymał się jak urodzony jeździec. Dosiadał rosnącego wierzchowca o gładkiej, połyskującej sierści, prawdziwego konia, nie takiego kudłatego, krępego kuca, na jakim jechała Lynn. Kowbojski kapelusz i zamszowa kurtka narzucona na flanelową koszulę prezentowały się jak z obrazka. Błękitne oczy mężczyzny skrzyły się humorem, wymykające się spod kapelusza złotawe kosmyki rozwiewał wiatr. Jess wyglądał jak żywcem wyjęty z filmu reklamującego dżipy lub dżinsy. Na pozór doskonały, na oko bez skazy, zupełnie jak jego kłamliwe broszury. Na szczęście Lynn umiała przejrzeć tego draba.

- Niezbyt przyjazne powitanie - zauważył.

- Nie stać mnie na inne - wybrnęła dyplomatycznie, choć na usta cisnęła jej się znacznie mniej uprzejma odpowiedź.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek jeździłaś konno?

- Bez przerwy. Nie widać?

- Nie zachęcamy ludzi, którzy nie opanowali tej umiejętności do uczestnictwa w naszych wycieczkach. Chyba sformułowaliśmy to dostatecznie jasno w broszurach.

- Zgadza się, skłamałam w ankiecie. Możesz mnie teraz zastrzelić, proszę bardzo.

- Aż tak niedobrze?

- Jeszcze gorzej - wyrwało jej się, o zgrozo, nieomal z jękiem.

Jess parsknął śmiechem, a Lynn posłała mu spojrzenie bazyliuszka. Zamiast jednak paść trupem, zwinął dłonie w trąbkę wokół ust, wołając do brata, który w oddali rozmawiał z Lucy Johnson:

- Hej tam, Owen!

Lynn przypomniała sobie, że to właśnie Lucy Johnson zachwalała wycieczkę dziewczętom jako „znakomity sposób spędzenia wakacji”. Tej biednej kobiecie brakuje piątej klepki albo też firma Adventure Inc. zaferowała jej prowizję od każdej skaptowanej naiwniaczki, złośliwie podsumowała Lynn.

- Owen!

Owen rozejrzał się wokół. Podobnie jak Jess dosiadał konia, a nie kuca i, podobnie jak brat, nosił kapelusz z szerokim rondem, zamszową kurtkę, dżinsy i kowbojskie buty. W całym tym rynsztunku pasował jak ulał do krajobrazu wokół nich, ale Lynn nie dała się na to nabrać. Podrabiani z nich kowboje i tyle.

- Przyspiesz tempo! - wrzasnął Jess.

- Co?

Jess powtórzył. Lynn zdusiła jęk rozpacz, rzucając tylko w jego stronę pełne nienawiści spojrzenie. Ten bezduszny drań wiedząc, jak ona cierpi, nie wahał się pogonić wszystkich tylko po to, by jeszcze wzmóc jej męczarnie.

Owen, porzuciwszy swą rozmówczynię, popędził na czoło pochodu. Pozostałe zwierzęta jak na komendę pomknęły w ślad za nim na złamanie karku. Heros, nie zwlekając, ruszył także z kopyta przed siebie. Lynn miała wielką ochotę po prostu zamknąć oczy z przerażenia, ale się przemogła i zrobiwszy jedynie głęboki oddech, kurczowo zacisnęła dłonie na przednim łęku siodła.

Góry, ziemia i niebo przesuwały się w szalonym tempie przed jej oczyma, kiedy trzymając się rozpaczliwie siodła, czekała, aż lada moment wyląduje na trawie, by w kwiecie wieku połączyć się ze Stwórcą.

Nic podobnego jednak nie nastąpiło.

Mimo zapierającej dech w piersiach szybkości krok kuca stał się równiejszy. Tak uciążliwe „klik” i „klak” zniknęły, tempo na brało płynności.

- Lepiej? - zawołał Jess, wciąż pędząc u boku Lynn.

Wyrwana z otępienia, spojrzała na niego nieprzytomnie. Upewniwszy się, że ziemia, niebo i góry wciąż znajdują się na swoim miejscu, krótko skinęła głową.

- To nazywa się cwał. Nawet kołyska nie huśta tak łagodnie.

Uśmiechnął się, uklonił i pognał naprzód do Owena. Zamienił z bratem kilka słów, po czym zawróciwszy, zajął miejsce u boku Debbie Stapleton.

No oczywiście, zajmowanie się turystkami należało do jego obowiązków służbowych. Ciekawe, czy takiej Debbie też zaproponuje pomoc przy wcieraniu maści. Gdyby się tylko ośmielił, tak postawna kobieta jak Debbie jednym ruchem wysadziłaby go z siodła. Lynn rozpromieniła się na ową myśl.

Jej uśmiech zgasł jednak momentalnie, gdy zauważyła Rory i Jenny, zbliżające się do Jessa. Widząc córkę u boku kowboja, zapomniała nawet o trapiącym ją bólu, który niezależnie od tempa jazdy gnębił ją bezustannie, tak iż w końcu zaczęła go uważać za wrodzoną cechę organizmu.

Kiedy zatrzymali się wreszcie na posiłek, Lynn z wielkim trudem wygramoliła się z siodła. Zsunawszy się niezgrabnie na ziemię, poczuła, że kolana odmawiają jej posłuszeństwa, uda i pośladki zaś paliły żywym ogniem.

Tymczasem całe towarzystwo naokoło dziarsko posiadało z koni, śmiejąc się i rozprawiając w najlepsze o podobnych bzdurach jak pogoda czy czekający już obiad. Nikt nie upadł, nikt się na nic nie skarżył, nikt nawet nie jęknął.

Nieprawdopodobne.

Lynn postanowiła nie okazywać słabości i zagadywana na wszystkie pytania odpowiadała z uśmiechem, życzliwie kiwając głową. Jeśli inni wytrzymują te męki, ona też stawi im czoło.

Chciała wierzyć, że jej się powiedzie. Modliła się o to.

- Pomóc?

Jess Feldman pojawił się, gdy oparłszy dłonie i czoło o siodło, zbierała przez chwilę siły. Najpierw zobaczyła jego opaloną dłoń o długich palcach, która z za jej pleców sięgnęła do pasa mocującego siodło. Popręgu, upomniała się w myśli. Od wszystkich uczestników wycieczki wymagano, żeby rozkulbaczyli i przywiązali swe wierzchowce na czas postoju, by mogły swobodnie poskubać sobie trawę. Większość jeźdźców wypełniła już ten obowiązek i poszła się posilić. Lynn nie miała pewności, czy w obecnym stanie zdoła unieść kubek z kawą, nie wspominając już o ciężkim siodle. Nie zamierzała się jednak ani poddać tak łatwo, ani tym bardziej przyjąć pomocy od Jessa.

- Poradzę sobie - odparła sucho, patrząc nań z ukosa. Opuścił rękę i cofnął się o krok w oczekiwaniu. Lynn nie miała wyjścia - musiała wykonać swe zadanie. Zaciskając zęby, wyprostowała się i zabrała do pracy. Przez kilkanaście minut zmagala się z węzłem na popręgu, zanim go wreszcie rozsuptała. Ostatkiem sił chwyciła obiema rękami siodło i na wpół ciągnąc, na wpół niosąc, zdjęła je z grzbietu kuca.

Ważyło chyba z tonę, w każdym razie znacznie więcej niż rano lub poprzedniego dnia. Jakimś cudem jednak udało się jej nie upuścić ciężaru, tylko spokojnie położyć go na ziemi. Uff.

- Całkiem nieźle - pochwalił ją Jess. Odwróciła się ku niemu. Stał z założonymi na piersiach rękoma i kapeluszem zawadiacko zsuniętym na tył głowy; w oczach migotały mu iskierki rozbawienia. - Nie zapomnij o uździe.

- Nie masz innych zajęć? - zapytała ostro, mierząc żartownisia niechętnym spojrzeniem.

Potem na powrót odwróciła się do swojego wierzchowca. Heros z opuszczonym łbem skubał już trawę, smętnie wlokąc za sobą po ziemi puszczone luzem wodze. Lynn zdała sobie sprawę, że zapomniała go przywiązać przed zdjęciem siodła. Na szczęście głodne i zmęczone zwierzę wolało się zająć napełnieniem brzucha zamiast myśleć o ucieczce.

- Nie radzę zostawiać go na wolności. Możesz go nie zastać, gdy wrócisz z obiadu.

To byłoby zbyt piękne, aby mogło stać się naprawdę, pomyślała Lynn smętnie.

Pochyliła się, czując nieopisany ból przy każdym najdrobniejszym poruszeniu, podniosła wodze i wyprostowała się ostrożnie.

Jej wysiłki, by przywiązać kuca, spełzły na niczym. Pochłonięty skubaniem trawy Heros opędzał się od niej jak od uprzykrzonej muchy.

Tłumiąc w ustach przekleństwo, Lynn mocno szarpnęła za wodze.

Tym razem Heros oderwał się na chwilę od swojego zajęcia, by uniośszy łeb, spojrzeć na nią z wyrzutem, po czym najspokojniej w świecie wrócił do posiłku.

Dalsze rozpaczliwe targania cugłami nie odniosły najmniejszego rezultatu.

Kręcąc głową, Jess pośpieszył jej w sukurs, podniósł z ziemi rzemienne postronki przywiązane do przeciągniętej między pniakami długiej liny, do której przywiązano wszystkie pozostałe wierzchowce, i zatknął je za metalowe kółko u uzdy kuca. Następnie ściągnął zwierzęciu cugle przez łeb i złożył je na ułożonym w trawie siodle.

- Sama bym sobie poradziła - rzuciła gniewnie Lynn, kiedy skończył.

- Nie mogłem pozwolić, żeby obiad ci przepadł - odparował z szyderczym uśmiechem.

- Mamo, nie potrzebujesz pomocy? ... Och, cześć, Jess!

Rory wyrosła przy nich jak spod ziemi i nagle stanęła zaskoczona. Ledwie musnąwszy wzrokiem matkę, zatopiła zachwycone spojrzenie w obiekcie swego uwielbienia. Za nią natychmiast pojawiły się Melody i Jenny. Zachowanie dziewczynki wskazywało wyraźnie, że to na pozór przypadkowe spotkanie zostało szczegółowo zaplanowane przez wszystkie trzy przyjaciółki. Polowały na kowboja, a pomoc zaoferowana Lynn stanowiła jedynie sposób na szczęśliwe zakończenie ich starań.

W tym momencie Lynn postanowiła, że nadeszła pora działania. Nie dopuści do dalszej zażyłości córki z Jessem Feldmanem, nawet gdyby miało ją to drogo kosztować.

- Zastanawialiśmy się właśnie... - zaczęła Jenny, kiedy cała trójka obstała Jessa, bez skrupułów porzucając Lynn parę kroków za nimi.

- ...czy nie mógłbyś nam udzielić jeszcze jednej lekcji strzelania z kuszy do ryb. Och, zgódź się, proszę - dokończyła Rory, uśmiechając się przymilnie do kowboja.

Spojrząwszy na dziewczęta, Jess przeniósł wzrok ponad ich głowami na Lynn.

Pokręciła głową na znak dezaprobaty.

W odpowiedzi wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu.

- Jasne - zgodził się, pieszczotliwie biorąc Rory pod brodę. Ten przesadnie poufały gest wzburzył krew w żyłach jej matki. - Dziś zatrzymamy się na nocleg w pobliżu rzeki Lakę Fork, która słynie z wielkiej obfitości ryb. Jeśli nam się powiedzie, schrupiemy na kolację świeżego pstrąga, jeśli nie - cóż, grozi nam wczorajsza odgrzewana fasola.

Tę ostatnią wizję trio dziewcząt powitało gromkim jednogłośnym:

- Uuuu...

Na odchodnym Jess posłał Lynn figlarne spojrzenie.

7

Popołudnie przywitało ich deszczem. I to nie żadnym kapuśniaczkim, lecz najprawdziwszą ulewą. W dodatku lodową. Kolebiąc się ponownie na grzbiecie Herosa, tak dotąd dzielna Lynn zupełnie upadła na duchu. Przemoczona do suchej nitki, obolała i przygnębiona poczuła, że na dodatek zbiera jej się na przeziębienie. Łaskotało ją w gardle, bez przerwy siąkała nosem i co chwila kichała jak z armaty.

Używanie papierowych chusteczek do nosa w takich warunkach oznaczało brak rozsądku. Zanim zdołałaby wygrzebać jedną z paczki, lignina rozmiękłaby w strugach płynącej z nieba wody.

Poniechała, więc elegancji i prast! - wytarła nos rękawem.

To też nie na wiele się zdało.

Klik, klak. Chlup, chlup. Uff, brr...

Czy ten przekłęty dzień nigdy się nie skończy? Czy te wakacje będą trwać wiecznie?

Wakacje, dobre sobie! - pomyślała z goryczą Lynn. Raczej test na wytrzymałość. W końcu zatrzymali się na krótki popas. Wszyscy stłoczyli się wokół niewielkiego ogniska rozpalonego przez Owena pod osłoną skalnego nawisu. Posilano się przygotowanymi wcześniej kanapkami, popijając je czekoladą i rozpuszczalną kawą. Potem mężczyźni, okutani w chroniące ich przed deszczem wojskowe peleryny i w kapeluszach mocno wciśniętych na czoło, odeszli, by zająć się końmi. Dziewczęta paplały z ożywieniem, nie zwracając uwagi na tajemnicze naskalne rysunki, uznane przez panią Johnson za staroindiańskie malowidła. Pat Greer upychała do worków śmieci, Debbie Stapleton i Irene Holtman gawędziły z cicha, popatrując z przygnębieniem na srebrzystą ścianę deszczu.

Oparwszy się plecami o skałę, Lynn odpoczywała, rozkoszując się chwilowym spokojem i samotnością. Wyjęła wilgotną chusteczkę i wyczyściła nos. Potem poruszyła kilkakrotnie głową i ramionami, żeby rozprostować zeszywniały kark. Wreszcie rozpięła buty i wyprostowała ściśnięte palce u stóp. Ach, jak przyjemnie byłoby zdjąć wilgotne skarpetki i wszystkie pozostałe nasiąknięte wodą rzeczy, niestety, jej bagaż podróżował właśnie dżipem w stronę dzisiejszego obozowiska. Nie miała się więc w co przebrać, zresztą nawet gdyby mogła to uczynić, świeże ubranie pozostałoby suche nie dłużej niż przez parę chwil.

Jej nieprzemakalna peleryna została zakupiona specjalnie na tę okazję. Kłuła w oczy jaskrawożółtym kolorem, miała modny krój i pochodziła z markowego sklepu, ale sięgała Lynn zaledwie do połowy ud, pozostawiając prawie całe nogi na łasce i niełasce zjadłych żywołów. Z kolei wycięcia na ręce były tak szerokie, że woda wlewała się przez nie do środka, wsiąkając w rękawy białego golfa i dalej przez cienki materiał wędrując nieomal po talię. Siodło, nabrawszy po drodze hektolitrow wody, przypominało kałużę, toteż spodnie na siedzeniu również przemokły razem z bielizną. Chyba jedynym miejscem, które pozostało suche, był czubek głowy, osłonięty zarówno kowbojskim kapeluszem, jak i kapturem.

- Ach; spójrzcie, tęcza!

Wyrwana z rozmyślań nad swą nędzną dolą, Lynn podniosła wzrok, by stwierdzić, że ulewa przeszła w kapuśniaczek. Zza ciężkich, ołowianych chmur, które przez całe popołudnie posuwały się w ślad za wędrowcami, wyrzowało słońce, rozpinając na granatowym niebie łuk wspaniałej tęczy.

Ten zapierający dech w piersiach widok w jednej chwili poprawił samopoczucie Lynn. Żółte, różowe, lawendowe i pomarańczowe pasy przenikały się nawzajem, tworząc niepowtarzalną harmonię, równie zachwycającą, jak krótkotrwała. „Gwarantujemy niezapomniane widoki”.

Przynajmniej raz nie skłamali. Lynn zapięła buty, dwukrotnie postukując obcasami o ziemię, chcąc docisnąć pięty do podeszew, po czym pośpieszyła za resztą uczestników wyprawy, by przyjrzeć się lepiej niezwykłemu zjawisku.

Wybiegła na otwartą przestrzeń usianą wielkimi głazami. Zaciszny nawis, pod którym cała grupa schroniła się przed ulewą, wyrastał z wysokiej ściany skalnej wznoszącej się nad polaną od północy. U jej stóp rozciągał się łagodnie opadający skalisty stok, z rzadka porośnięty drzewami. To tamtędy właśnie mieli kontynuować podróż aż do gęstego sosnowego lasu, który rysował się w oddali zielononiebieską kreską. Od zachodniej strony natomiast otwierała się wspaniała panorama pokrytych śniegiem szczytów, które niczym kamienny ocean ciągnęły się aż po horyzont. Nad nimi to właśnie widniał szeroki łuk wspaniałej tęczy.

Lynn przebiegła wzrokiem gromadę ochających i achających nastolatków, szukając córki. Dostrzegła ją, jak się spodziewała, obok Jenny na samym przedzie grupy. Zresztą nie sposób było nie zauważyć Rory. Dziewczynka, w przeciwdeszczowej pelerynie barwy ostrego różu, dobrze dobranej do o ton jaśniejszego kowbojskiego kapelusza, wyróżniała się z grupy pozostałych dziewcząt.

A może wszystkie nieporozumienia między nimi dwiema należy przypisać trudnemu wiekowi Rory, zastanowiła się Lynn. Może wszystkie incydenty są jedynie efektem szalejących hormonów? Może nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do zmiennych nastrojów dojrzewającej nastolatki?

Przeciskając się przez tłumek dziewcząt w stronę córki, zerknęła na jej czysty profil. Uderzył ją malujący się na twarzy dziewczynki wyraz szczerego zachwytu, który sprawił, że Lynn nagle poczuła ogromną radość.

Jak to dobrze, że są tu razem. Tego widoku z pewnością nigdy nie zapomną, nikt nie odbierze im wspólnego wspomnienia. Nawet chłodna mgła, unosząca się wokół po

deszczu, nie mogła rozproszyć magicznego uroku tej chwili. Wśród bezkresu tych dzikich gór, ona, Rory i wszyscy pozostali zamarli w milczeniu, bez reszty oddając się kontemplacji tego odwiecznego symbolu nadziei.

- Zachwycająca, prawda? - szepnęła Lynn, kładąc dłoń na ramieniu córki. Ręka zsunęła się po gładkim i mokrym tworzywie różowej peleryny.

- Boska - przyznała Rory, spoglądając na matkę z uśmiechem.

Blask tego uśmiechu, pierwszego spontanicznego uśmiechu dziewczynki, skierowanego do niej od czasu rozpoczęcia podróży, przyćmił w oczach Lynn urodę tęczy.

- Nieskończenie boska. - Jenny wychyliła się zza ramienia przyjaciółki, także się uśmiechając.

Stały wszystkie niedaleko skalnej krawędzi, za którą stok opadał gwałtownie stromą ścianą, by około sześciu metrów niżej zmienić się w łagodne zbocze porośnięte sosnowym lasem, wiodące wprost do odległej górskiej doliny, której środkiem toczył spienione wody wartki górski strumień. Nikły niczym strużka wody z ogrodowego węża, przedzierał się z oddali przez kanion otoczony wyszczerbionymi skałami, przypominającymi dwa rzędy krzywo rosnących zębów. W górze nad kanionem połykiwała tęcza.

Zachwyceni widzowie mimowolnie ulegli wrażeniu, że oto znaleźli się na krańcu świata.

Rory postąpiła krok naprzód, prawdopodobnie chcąc lepiej widzieć.

Z tyłu rozległ się męski głos. Któryś z mężczyzn krzyknął coś ostrzegawczo, ale z powodu zbyt dużej odległości jego słowa rozplynęły się w powietrzu.

Zaniepokojona Lynn rozejrzała się wokół, a w tym momencie ziemia zadygotała nagle pod jej stopami. Przerażona odruchowo spojrzała w dół. Granitową półkę, na której stała, w mgnieniu oka pokryła rozszerzająca się z prędkością błyskawicy siateczka drobnych rys, cieniutkich jak włos.

Pęknięcia w skale?

Nagle zdała sobie sprawę, że Rory znajduje się znacznie bliżej krawędzi, i serce w niej zamarło, kiedy ujrzała, że pod stopami jedynaczki kołysze się grunt.

- Rory! - krzyknęła rozpaczliwie Lynn.

Krawędź kamiennej półki wypiętrzyła się niebezpiecznie. Kiedy tylko Lynn zdała sobie sprawę z powagi sytuacji, wyciągnęła ręce, usiłując pochwycić córkę. Na próżno. Przechyliwszy się gwałtownie w bok, Rory wyslizgnęła się jej z rąk w ostatniej chwili.

- Mamo! - W tym rozpaczliwym okrzyku zabrzmiało śmiertelne przerażenie.

Dziewczynka zamachała ramionami, daremnie szukając oparcia dla nóg, po czym zaczęła osuwać się w przepaść. Lynn ponownie wyciągnęła rękę. Tym razem zdołała pochwycić dłoń córki. Dłoń mokrą ze strachu, tak samo jak jej własna. Żadną miarą nie mogła jej utrzymać.

Puściła Rory, w chwili gdy skała wreszcie ustąpiła na dobre. Lynn wydała przeraźliwy okrzyk, gdy dziewczynka, również krzycząc i wymachując rozpaczliwie rękami, zupełnie jak bohaterka zwariowanej komedii filmowej, runęła w dół razem

z warstwą kamieni i błota.

Trwało to może sekundę.

Lynn oniemiała nie tyle z przerażenia, ile ze zdumienia. Imię córki uwięzło jej w gardle, stała z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom. Kiedy wreszcie oprzytomniała, serce skoczyło jej do gardła.

- Rory! - zawyła dziko, nieomal nie czując, że grunt wymyka się także spod jej stóp.

Teraz Lynn również osuwała się bezwładnie, razem z panicznie krzyzącą Jenny i Bóg jeden wie, kim jeszcze na dokładkę. Instynktownie czuła, że dzieje się coś niedobrego, ale zdała sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa dopiero wtedy, gdy jej stopom i dłoniom zabrakło oparcia, a przed szeroko otwartymi oczami zawirował bezmiar szarego nieba i granitowych skał przepasanych milczącą niczym epitafium tęczą.

Spadała jak kamień, krzyząc rozpaczliwie.

s

Boli, a więc żyję. To była pierwsza myśl Lynn po odzyskaniu świadomości. Czuła każdą najdrobniejszą cząsteczkę swego ciała, od czubka głowy aż po palce stóp. Nad nią rozpościerały się przestworza. Poza nimi widziała niewiele, gdyż przeszkadzały jej kropelki deszczu, które obmywały twarz oraz włosy i wpływały do oczu, tak, że musiała ciągle mrugać. Nagle jak grom z jasnego nieba przeszło ją wspomnienie ostatniej chwili. Upadek. Rory.

Rory!

Tęcza zniknęła jak sen, pozostawiając po sobie chmurne, szare niebo.

Lynn nie śmiała się poruszyć w obawie, że dopiero wtedy się okaże, w jak kiepskim jest stanie. Mało prawdopodobne przecież, aby spadłszy z tak wysoka, nie poraniła się przy tym dotkliwie.

A może jednak nie żyje...

A jeśli to Rory nie żyje? Przejęła ją taka zgroza, że czym prędzej odrzuciła tę myśl. Jeśli jej córce nie udało się uniknąć śmierci, ona chce umrzeć także.

Wszystkie dotychczasowe kłopoty z dziewczynką stały się nagle nieistotne.

Jedyne, co naprawdę miało znaczenie, to fakt, że Rory jest jej ukochanym i jedynym dzieckiem.

- Oooh!

Dobiegający skądś jęk, o ile rzeczywiście był to jęk, a nie okrutny żart wiatru, zelektryzował Lynn. Poderwała się gwałtownie, rozglądając dookoła i pilnie nasłuchując.

Początkowo widziała same szarości: szare niebo i góry, szarą skalną ścianę zwieszającą się nad jej głową pod dziwnym kątem. Platforma, na której niedawno stały, pękła na pół wzdłuż krawędzi niczym kruche ciastko.

Zewnętrzna część osypała się gradem odłamków i ziemi kilka metrów w dół i zaległa długim garbem w poprzek stromego zbocza.

Nad urwiskiem szybowała para ciekawskich jastrzębi, spoglądając z wysoka na rumowisko.

Tuż pod nim, na kamiennym występie powyżej Lynn, tuliła się do skalnej ściany dziewczynka. Przywarła do niej całym ciałem, rozpostarłszy szeroko ramiona jakby w kurczowym uścisku.

Nie Rory. Jenny. Lynn, rozpoznawszy ją po cytrynowej pelerynie i czarnych włosach, ucieszyła się ogromnie, choć w głębi duszy zaprzętała ją wyłącznie troska o córkę.

Co się z nią dzieje?

- Rory! - zawołała głosem ochryplym z trwogi.

Cisza. Lynn powtórzyła okrzyk i nie przestała nawoływać córki dopóty, dopóki gardło nie odmówiło jej posłuszeństwa. Nadal nic.

Zmusiła się, żeby zamilknąć na chwilę. Znieruchomiawszy, starała się zrehabilitować siły. Jeśli teraz wpadnie w panikę, nie pomoże swojemu dziecku. Ani sobie.

Leżąc jak trusia, zaczęła rozważać to, co się stało, i trwoga zjeżyła jej włosy na głowie. Własne położenie wydawało się Lynn bez wyjścia, Jenny znajdowała się w równie przykrew sytuacji, nad losem Rory zaś lepiej w ogóle się nie zastanawiać.

Kto wie, czy nie leży bez życia w kanionie?

Zadrżawszy na tę myśl, Lynn odrzuciła ją, czym prędzej. Z dwojga złego wolała już skupić się na analizowaniu szczegółów własnej niedoli.

Im więcej ich odkrywała, tym większe ogarniało ją przerażenie. Okazało się, że dziwnym zrzędzeniem losu wylądowała wśród konwulsyjnie powykręcanych konarów karłowatej jodły wyrastającej ze stromego zbocza skalnej ściany. Upadła na wznak, z powykręcanyimi, uniesionymi ku górze kończynami, a jej poza stanowiła zaprzeczenie praw grawitacji. Przed niechybną śmiercią chroniła ją jedynie wątlą plątanina wiotkich brązowych gałązek i zielonych igieł. Lynn leżała jak sparaliżowana, bojąc się poruszyć, gdyż każdy najlżejszy oddech sprawiał, że gałęzie zaczynały się kołysać. Jeśli się z nich nieopatrznie zsunie lub jeśli drzewo nie wytrzyma jej ciężaru, spadnie wprost w czającą się w dole bezdenną przepaść.

Kiedy zdała sobie z tego sprawę, zacisnęła kurczowo dłonie na najbliższych konarach, oślizgłych z nadmiaru wilgoci i zimnych. Nie grubsze niż trzonek miotły, uginały się pod jej rękami. Lynn oblała się zimnym potem: jej zielona, kłująca ostoja nie robiła wrażenia szczególnie wytrzymałej.

Gdzieś z prawej strony z dołu usłyszała cichy, lecz wyraźny dźwięk przypominający ni to skowyt, ni to jęk.

Czyżby Rory?

Żywiąc w głębi duszy ponure przekonanie, że wystarczy najlżejsze drgnięcie, by ześlizgnąć się z jodły wprost w ziejącą w dole otchłań, Lynn nie odważyła się poruszyć cała. Z bijącym sercem przekręciła jedynie lekko głowę, by kątem oka rzucić w kierunku, skąd dolatywał ów głos. To wystarczyło. W oddali zamajaczyła jaskraworóżowa, poruszająca się plama.

Bogu dzięki!

Rory, podobnie jak ona, kołysała się w dziwnej pozie na drzewie o kilka metrów niżej. Prawdę mówiąc, kamienne zbocze porastał cały pułk karłowatych jodełek, podobnych do tych, które ocaliły życie matce i córce.

Przynajmniej na razie.

- Rory, nie ruszaj się! - próbowała przestrzec córkę, lecz słowa te padły tak cicho, że sama ledwo je słyszała. Wytężywszy wszystkie siły, zawołała z całej mocy, na jaką było ją stać: - Rory, słyszysz mnie?

- Mamusiu! - nadbiegło w odpowiedzi płaczące wezwanie. Dawniej malutka Rory często przywoływała tak matkę.

Ton głosu córki zmroził Lynn. A jeżeli dziewczynka jest ranna? Jak jej pomóc, skoro sama nie zdoła nawet się poruszyć? Nikt im nie pomoże, nikt tu przecież do nich nie dotrze. Wiszą jak dwie drobinki gwiazdowego pyłu wśród nieskończonej czasoprzestrzeni, zagubione i niepewne każdej chwili.

Co będzie, jeśli Rory nieświadoma kruchości oparcia, zacznie się wiercić na swoim drzewie? Gotowa spaść niczym ulęgałka. A jeśli jest ranna, to nawet gdyby cudownym trafem utrzymała się na jodle, może i tak umrzeć z wyczerpania, samotna, zawieszona w zimnej, mokrej przestrzeni na wysokości piętnastu pięt nad ziemią.

Pomimo chłodu i wilgoci Lynn spociała się na tę myśl.

Taka czy inna śmierć zaglądała im obu w oczy.

Och, Boże, zaczęła się modlić. Ocal, proszę, moje dziecko. Ocal nas obie. I Jenny.

- Rory! - krzyknęła znowu głosem, któremu dodał siły strach. - Rory Elizabeth, czy mnie słyszysz?

Szelest gałęzi kołysanych wiatrem stanowił jedyną odpowiedź.

- Rory Elizabeth, czy mnie słyszysz? Słyszysz? - powtarzało w nieskończoność echo.

Macierzyńska troska wzięła w końcu górę nad rozsądkiem. Ponad wszystko na świecie pragnąc sprawdzić, co się dzieje z Rory, Lynn obróciła się, nie zważając na nic. Kiedy tylko się przesunęła, podtrzymujące ją dotąd konary również zmieniły położenie. Straciwszy oparcie, zsunęła się kilkanaście centymetrów w dół, czując jak żołądek podchodzi jej przy tym do gardła.

- Na miłość boską, nie ruszaj się! - rozległo się z góry.

Lynn jednak tak była pochłonięta walką o życie, że nie miała czasu zająć się sprawdzaniem, skąd pochodził ów okrzyk. Wypadłszy ze swej zielonej kołyski, machała teraz rozpaczliwie jedną nogą w powietrzu, drugą zaczepiwszy o konar dużo cieńszy od pozostałych. Uniknęła śmierci tylko dzięki temu, że udało jej się nie wypuścić utrzymanych w żelaznym uścisku gałęzi, które wszakże wygięły się niebezpiecznie pod jej ciężarem...

Nieomal namacalnie czuła na plecach zimny oddech czyhającej pod nią otchłani.

Wisząc tak, bała się oddychać, nie mówiąc już o zrobieniu jakiegokolwiek ruchu.

- Lynn, trzymaj się mocno!

Tym razem powiodła spojrzeniem za głosem, starając się przy tym nie odwracać

głowy. To, co zobaczyła, przywróciło jej cień nadziei na ocalenie.

Jess Feldman, zawieszony na linie opadającej z górnej krawędzi kamiennej ściany, z gracją linoskoczka balansował na skalnym występie obok Jenny. Zrzucił gdzieś swoją przeciwdeszczową pelerynę i teraz tylko we flanelowej koszuli i dżinsach próbował drugą liną przewiązać Jenny w pasie.

No właśnie, przecież tam na górze czeka wiele rąk gotowych do udzielenia pomocy. Wyciągną Jenny z pułapki. Wyciągną i ją, i Rory. Oczywiście pod warunkiem, że Jessowi uda się do nich dotrzeć. I to na czas.

Na razie pseudokowboj poczynił sobie całkiem nieźle. Lynn kurczowo uczepliła się tego jednego jedyne go promyka nadziei.

Wszystko wskazywało na to, że Jenny raczej ześlizgnęła się kilka metrów w dół, niż spadła. Zawieszona nad klifem granitowa płyta, która pękła pod nimi trzema, stoczyła się po stromym zboczach, po czym oparła o skalny występ, podobny do tego, który litościwie przygarnął Jenny. Aby wydostać się na szczyt wierzchołka, dziewczynka musiała pokonać ową zalegającą ponad jej głową przeszkodę.

Płyta długości około piętnastu metrów i szerokości sześciu ważyła zapewne niemało. Gdyby z niewiadomej przyczyny runęła teraz w dół, zmiotłaby lub zmiażdżyła wszystko na swej drodze, nie wyłączając Jenny, Lynn i Rory. Jedynie Jess dzięki chro niącej go linie miał pewne szansę na przeżycie.

Po raz kolejny Lynn spociała się ze strachu.

Jess zawołał coś do niewidocznych towarzyszy na górze, zapewne do Owena i pozostałych pracowników Adventure Inc. W chwilę później Lynn obserwowała z zapartym tchem, jak podciągana na linie Jenny dźwiga się powoli na nogi, a potem, przytrzymywana przez Jessa, zaczyna w ślimaczym tempie wjeżdżać pionowo do góry. Kiedy dziewczynka uniosła się na tyle wysoko, że Jess nie mógł już stanowić dla niej oparcia, ze wszystkich sił przywarła do liny i z odchyleną do tyłu głową, powiewając grzywą czarnych włosów, pozwoliła się wciągać krok po kroku ku ocaleniu. Jess został na skalnym występie sam.

Zbliżywszy się do zagraudzającej drogę kamiennej płyty leżącej w poprzek zbocza, Jenny zawadziła o nią ramieniem. Płyta wystawała ze ściany na szerokość około trzech metrów, tak że nie sposób było przeprowić się bez uszczerbku przez jej poharataną krawędź. Krzyknąwszy z bólu, Jenny oderwała jedną rękę od liny i zaczęła odpychać się od przeszkody. W ten prosty sposób po chwili sforsowała ją szczęśliwie, by kontynuować swą powolną wędrówkę w górę wzdłuż gładkiej już ściany. Wisząc na końcu liny, wykonywała nieskoordynowane ruchy nogami. Z dołu przypominało to szalony taniec ku odstraszeniu śmierci, Lynn odgadła jednak, że dziewczynka po prostu bezskutecznie szuka oparcia dla stóp.

Pokonała już jedną trzecią odległości dzielącej ją od wierzchołka...Połowę...

Wtem z głośnym łoskotem wielka płyta drgnęła i zsunęła się w bok, uruchamiając lawinę skalnych odłamków.

Lynn skuliła się pod gradem spadających kamieni. Jeden z nich, wielkości kuli do gry w kręgle, świsnął tuż obok niej. Krzyknęła, omal nie puszczając przy tym konarów. Kilka centymetrów bardziej w lewo, a głaz uderzyłby ją w plecy i

stracił z drzewa. Byłoby po niej...

Może i będzie za chwilę. Spojrzała w górę na kamienną płytę. Jeśli spadnie...

Wydawało się, że wraz z momentem obsunięcia się skalnego bloku czas stanął.

Jenny zamarła bez ruchu w powietrzu. Wisząc na linie niczym pajak na wiotkiej nici, tak samo jak Rory i Lynn bezradna wobec nieubłaganych wyroków losu, czekała w napięciu na dalszy rozwój wydarzeń.

Lynn wstrzymała oddech. Z wrażenia zaschło jej w gardle.

Błagam Cię, Boże. Błagam.

Po chwili, która trwała dłużej niż cała wieczność, płyta przestała się kołysać i zastygła w niezbyt fortunnym położeniu, opierając długi czubek o wąską skalną półkę.

Równie stabilnie wyglądałoby cielec postawione na środku lodowiska.

Jenny wznowiła swą podróż ku wybawieniu. Tym razem unosiła się szybko, jakby wyciągający dziewczynkę niewidzialni dobroczyńcy uznali, że jej życie zależy od tempa, w jakim pokona groźną przeszkodę. Jej stopy już nie tańczyły, przesuwała się w górę bezwładnie, z całej siły ściskając linę i z odchyłoną głową wyglądając już nie śmierci, a bliskiego kresu udręki.

Za minutę pochwyca ją dziesiątki niecierpliwych rąk i wciągną na górę, poza zasięg wzroku Lynn. Za kilka sekund. Już.

Jenny była bezpieczna.

Teraz kolej na nie. Na Rory i na nią.

Lynn z takim przejęciem przyglądała się zmaganiom Jenny, że zupełnie zapomniała o ich wybawcy. Odszukawszy go wzrokiem, zauważyła, że w tym czasie zdążył opuścić się znacznie niżej, zмирzając w ich stronę. Postanowiła wymóc na nim, aby najpierw zajął się Rory. Na nią przyjdzie czas później. Kamienny blok, co prawda, gotów był w każdej chwili obudzić się ponownie, ale o tym lepiej nie myśleć.

- Rory! - zawołała. - Rory, trzymaj się, pomoc już blisko!

Cisza. Nie było żadnej odpowiedzi. Rozejrzała się ostrożnie. Ze swojej nowej pozycji nie widziała córki lepiej niż poprzednio. Wytężając wzrok, mogła jedynie kątem oka dostrzec różową plamę na tle zielonych gałęzi około dwóch metrów poniżej w prawo. Na szczęście Rory leżała spokojnie.

Na szczęście? Oczywiście pod warunkiem, że nie jest ranna albo nieprzytomna. W końcu spadła z wysokości ponad piętnastu metrów. Kto zaręczy, że nie uderzyła w coś, zanim wylądowała na jodle?

O, nie. Boże, proszę!

- Lynn! Lynn, nie jesteś ranna?

Zerknąwszy w górę, ujrzała kilka kroków nad swoją głową Jessa. Ależ błyskawicznie zjechał z góry, pomyślała z uznaniem. Zauważyła przy tym, że kowboj ma rękawice, by ochronić dłonie przed otarciem szorstką żółtoniebieską liną; liną, dzięki której być może powrócą do żywych. Jess poruszał się po stromej ścianie ze zręcznością pajaka, pobrzękując z cicha podkutymi butami o skałę. Przemieszczał się zwinnie, obwiązany w pasie i wokół bioder liną w sposób

imitujący nieco alpinistyczną uprzęż. Pokażny zwój tejsze liny opasywał mu tors niczym szarfa, jedna jej pętla zwiślała nieopodal, kołysząc się na wietrze.

Przez chwilę Lynn zastanawiała się, czy nie zaryzykować sięgnięcia po zbawczy sznur, ale ostatecznie oparła się tej pokusie. Nie pora na impulsywne działania.

Spokojnie, na wszystko przyjdzie czas.

- Do licha, kobieto! Odpowiedz, czy nie jesteś ranna? - niecierpliwił się tymczasem Jess, spoglądając na nią groźnie przez ramię.

- Nnie, chyba nie - odrzekła niepewnie.

Objąwszy spojrzeniem jego sylwetkę w dopasowanych dżinsach, która budziła tyle zachwytów w Rory i jej koleżankach, jego rozwiane, spłowiałe na słońcu długie włosy i ogorzałą, tym razem pełną skupienia twarz, jęknęła w duchu.

Wypisz, wymaluj gwiazda gazetowych reklam Marlboro. Teraz dla odmiany podczas górskiej wspinaczki.

Tymczasem Lynn i Rory potrzebny jest ratownik z krwi i kości, uie zaś papierowy bohater!

Zatrzęsła się cała z irytacji, a drzewo zadrżało również, przesuając ją znowu kilkanaście centymetrów w stronę śmierci. Z trudem łapiąc oddech, mocniej ścisnęła konary dłońmi.

- Na miłość boską, nie ruszaj się!

Odepchnąwszy się od ściany, Jess jednym susem znalazł się na wysokości jodły zaledwie kilka kroków od Lynn, która tymczasem doszła ostatecznie do wniosku, że lepszy podrabiany bohater niż żaden. O wiele lepszy.

- Na pomoc! - wyszeptała, szczękając zębami.

- Już dobrze. Zaraz cię wyciągnę z tych gałęzi, tylko nie wierzgaj już, proszę.

Nie trzeba jej było powtarzać tego dwa razy. Nie miała najmniejszego zamiaru nawet drgnąć z własnej woli. Mżawka dawno się skończyła, ale powietrze wciąż przesączone było wilgocią. Przemoknięta do suchej nitki Lynn z coraz większym trudem starała się utrzymać na mokrych i śliskich gałęziach jodły.

Na dodatek swędział ją nos.

Czyżby zbierało jej się na kichanie? Przeraziła się nie na żarty. Nie, lepiej o tym nawet nie myśleć.

- Rory - wychrypiąta. - Najpierw ona. Proszę.

- Zajmę się nią, nie martw się - uciał, przysuwając się jeszcze bliżej jodły.

Korona drzewa, tuląca w swych objęciach Lynn, znajdowała się w odległości około pięciu metrów od skalnej ściany i Jess musiał pokonać ten dystans, by dosięgnąć Lynn. Zawieszanej nad równą piętnastu piętrom przepaścią pięć metrów wydawało się teraz tak samo odległe i nie do przebycia jak pięć kilometrów.

- Boję się... Boję się, że Rory jest ranna! - niemal krzyknęła do szukającego właściwej pozycji obok pnia drzewa Jessa.

- Z całą pewnością żyje. Widziałem, że się porusza. - Ta wymijająca odpowiedź upewniła Lynn, że kowboj podziela jej obawy.

- Chciałabym, abyś najpierw ją wyciągnął na górę.

- Twoje życzenia są nieistotne. To ty znajdujesz się bliżej wierzchołka, a więc

do ciebie pierwszej mogłem dotrzeć i ty pierwsza stąd wyfruniesz. Im wcześniej zamilknieš i zrobisz, co ci każe, tym szybciej wyciągnę was obie z tej opresji.

- Ale Rory...

Kłóćąc się ze mną, opóźniasz tylko moment udzielenia jej pomocy.

Ten argument uciszył wreszcie Lynn.

- Czy to drzewo jest mocne? Utrzyma mnie razem z tobą? Dopiero w tej chwili zorientowała się, do czego on zmierza: chciał wspiąć się do niej po pniu jodły!

- Nie! - zaprotestowała żywo.

Nawet dla niej samej, ważącej niecałe pięćdziesiąt pięć kilogramów, drzewko stanowiło nad wyraz kruche oparcie. Łatwo sobie wyobrazić, co się stanie, gdy będzie musiało udźwignąć dodatkowe osiemdziesiąt pięć kilogramów żywej wagi! Nagły powiew wiatru zakolysał gałęziami jodły i Lynn aż skuliła się ze strachu.

Cóż z tego, że miała Jessa nieomal w zasięgu ręki. Jeśli wichur wyrwie drzewo z korzeniami, nikt i nic nie uratuje jej przed runięciem na łeb na szyję w dół.

- Dobrze, już dobrze - uspokajał ją Jess, rozglądając się wokół w poszukiwaniu innego oparcia.

Przyglądała się podejrzliwie, gdy próbował manipulować przy zawiązanej w pasie linie.

Wraz z upływem czasu ochłodziło się znacznie. Gwałtowne podmuchy wiatru z kanionu szarpały drzewem i unosiły włosy obojga. Przemoczona Lynn trzęsła się jak osika z zimna i ze strachu.

- Lynn - Jess wymówił jej imię w sposób, który budził czujność. - Lynn, posłuchaj. Umocowałem linę tak, że nie pozwoli mi się zsunąć ani trochę w dół.

Ani troszeczkę, rozumiesz?

- Nie zsuniesz się ani odrobinę niżej - powtórzyła mechanicznie, z drżeniem czekając na ciąg dalszy.

- Mam zamiar odepchnąć się z całej siły od ściany i śmignąć na linie w twoją stronę. Kiedy będę przelatował obok ciebie, oderwiesz się od drzewa i złapiesz mnie mocno.

- Co takiego? - Przeszły ją ciarki, gdy wyobraziła sobie tak karkołomną operację. Odruchowo przylgnęła do gałęzi.

- Schwyć cię, przelatując obok wahadłowym ruchem. Ty musisz jedynie puścić gałęzie drzewa i ucześć się mnie jak najmocniej - powtórzył cierpliwie.

- Tylko tyle? - zadryła, czując rosnącą w gardle kulę, po czym kontynuowała podniesionym głosem: - Czy rozejrzałeś się dobrze? Nie widzisz, że wisimy nad pięćdziesięciometrową przepaścią? A jeśli mnie nie dosięgniesz? Albo gdy drzewo nie wytrzyma, co wtedy?

Co się stanie, jeżeli nie zdążę cię złapać w od powiednim momencie - albo ty nie zdążysz?

Przekonałeś mnie, że tobie nic nie grozi, ale mnie nic nie chroni przed upadkiem!

- Nie ma innego sposobu.

- Nie wierzę.

- Proszę, zaproponuj coś.

Zastanowiła się przez chwilę.

Kolejny podmuch wiatru zatargał nagle jodłą. Podtrzymujące Lynn gałęzie roztańczyły się dziko na wietrze, a ona sama, z widmem śmierci w oczach, zacieśniła kurczowy uścisk wokół konarów.

Spojrzała ponuro na Jessa.

Nie może tu zostać na wieki, to pewne. Co więcej, zachodzi obawa, że nie wytrzyma zbyt długo. Już teraz ścierpły jej palce, zaciśnięte kurczowo wokół gałęzi, nogi zdrętwiały, a stóp, zziębniętych i mokrych, od dawna w ogóle nie czuła.

Przestanie czuć cokolwiek, jeśli Jess źle obliczy odległość i upuści ją zamiast schwycić, stwierdziła ponuro w duchu i zadrżała.

Ale czy jest jakieś inne wyjście? Czy w ogóle istnieje jakakolwiek alternatywa?

Jess nie może wspiąć się tu do niej po rozchwianej jodle, która gotowa trzasnąć pod ciężarem kowboja jak zapalka lub w ogóle oderwać się od ściany. Lynn zaś za żadne skarby nie spróbuje zejść po pnium - przecież nawet nie może unieść głowy bez narażania się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Gdyby Jess rzucił jej linę, nie zdołałaby jej złapać, nie mówiąc już o okręceniu się sznurem w pasie.

Spojrzała w zadumie na rozciągające się w górze niebo. Myślała o swojej matce, o Rory, o pracy w telewizji, o całym życiu. I o tym, że tak bardzo nie chce jeszcze umierać.

Na koniec musiała przyznać z żalem sama przed sobą, że nie potrafi wskazać innego rozwiązania, nawet, jeśli ono istnieje.

Nie ma rady, musiała zaakceptować propozycję kowboja.

- Lynn? - usłyszała jego głos.

- Zgoda - rzuciła krótko.

- Zgoda? - Nie dowierzał własnym uszom.

- Tak! - potwierdziła pośpiesznie, choć dławił ją strach. Jeśli Jess pozwoli jej namyślać się dłużej, z pewnością za chwilę pošle go do wszystkich diabłów z jego szalonym planem, a potem zostanie na drzewie dopóty, dopóki nie zgnije na nim lub nie spadnie podczas drzemki.

- Dobrze. Skoczę, więc i cię złapię. Pamiętaj cały czas, że ja nie spadnę. Ty też nie spadniesz, jeśli tylko przytrzymasz się mnie wystarczająco mocno. Nie bój się - daję słowo, że cała ta operacja jest znacznie prostsza, niż sobie to teraz wyobrażasz. Ja schwycę cię, a ty mnie, i po wszystkim. Nie spadniesz.

- Dobrze odrzekła drżącym głosem, pocąc się z emocji. Jej życie zależy od akrobatycznej sztuki, której w takich warunkach nie polecałaby nawet cyrkowemu mistrzowi trapezu.

Nie, po prostu tego nie zrobi i już.

- Uwaga, skaczę! - Jess nie zostawił jej czasu na wahania i odepchnął się z całej siły od stromej skalnej ściany.

9

Widząc, że szybuje w jej stronę, Lynn spięła się do skoku, który miał ocalić jej życie. Przynajmniej próbowała to uczynić, lecz utrudniała jej to, czy wręcz uniemożliwiała, plątanina kłujących gałązek.

- Teraz! - wrzasnął Jess, wpadając jak burza między zielone igliwie i chwytając Lynn za nadgarstek. Impet uderzenia wyrzucił ją z pachnącej kołyski i gdyby nie żelazny uścisk dłoni Jessa, runęłaby w przepaść niczym kamień.

Przerażenie ścięło jej krew w żyłach.

Krzycząc wniebogłosy, zanurkowała w wiotkie gałązki. Wykręcała się przy tym na wszystkie strony, wierzgała i wymachiwała ze wszystkich sił wolną ręką, usiłując dosięgnąć nią swojej jedynej ostoi: Jessa.

Natrafiwszy w końcu na jego nogę, próbowała wczepić się różowymi paznokciami w materiał spodni. Na próżno. Zdrętwiałe palce ześlizgnęły się po sztywnej i mokrej nogawce dżinsów.

Druga ręka, zmiażdżona dławiącym chwytem mężczyzny, dźwigała cały ciężar jej ciała. Ze skurczonym ze strachu żołądkiem Lynn z trudem łapała powietrze, uwieszona dłoni Jessa niczym ciągnięta przez dziecko szmaciana lalka. Lecąc razem ze swym ratownikiem na powrót w stronę klifu, wielkimi jak spodki oczyma wpatrywała się w ząbkowane koronki odległych ośnieżonych szczytów.

Pod jej stopami przesuwaly się granatowozielone plamy lasu, poprzecinane srebrną wstążką rzeki, nad głową wirowało stalowe niebo z szybującą po nim parą jastrzębi.

Jess ścisnął jej nadgarstek tak mocno, że krew nie dochodziła do dłoni. Lynn daremnie próbowała poruszyć palcami - straciła w nich czucie. Poddała się w końcu: nie pozostało jej nic innego jak, dyndając w powietrzu, zdać się całkowicie na łaskę i niełaskę wybawcy.

Nagle nieopatrznie uderzyła plecami o skalną ścianę z taką mocą, że straciła oddech, a w oczach zamigotały jej wszystkie gwiazdy. Przez ułamek sekundy nie zważała na to, czy kowboj ją upuści, czy nie. Nieznośny ból w tyle głowy, łopatkach i biodrze przesłonił wszystkie obawy. Tymczasem chwyt Jessa jakby rzeczywiście osłabł...

Wymknęła mu się na sekundę z rąk... Żołądek skoczył jej gwałtownie do gardła. Jednak nie spadała długo, gdyż Jess błyskawicznym ruchem w ostatniej chwili złapał ją za rękę, ponownie niemal wyrывая jej ramię ze stawu. Przerażająca wizja upadku w jednej chwili zobojętniła Lynn na ból i wróciła siły. Walcząc o życie, zaczęła wierzgać, szukając na oślep oparcia dla stóp i wolnej ręki.

- Uspokój się! - ryknął Jess.

Ten okrzyk przywrócił jej trzeźwość myślenia. Zrozumiała, że kręcąc się, utrudnia mu i tak niełatwe zadanie. Jej dłoń i tak jest śliska i mokra. A jeśli znowu wymknie mu się z ręki?

Zamarła w bezruchu jak przyczajony pod miedzą zając, zwisając ciężko i czekając na dalszy rozwój wypadków.

Wówczas Jess objął jej nadgarstek również drugą dłonią. Lynn poczuła, że powoli i z wysiłkiem podciągają do góry i odruchowo wysunęła doń drugą rękę. Ból w

barku doskwierał jej niemiłosiernie, ale zagryzała tylko usta, nie wydając z siebie ni słowa skargi, gotowa znieść wszystko, aby tylko uchronić się przed upadkiem.

Jess, oparłszy się o skałę, pół leżał, pół wisił na linie pod kątem czterdziestu pięciu stopni do klifu. Lynn zauważyła to dopiero, gdy otarłszy się policzkiem o buty swego wybawcy, złapała go za spodnie i kurczowo zacisnęła na nich dłoń. W tej samej chwili wyobraźnia podsunęła jej idiotyczny obraz Jessa dyndającego bez spodni na linie i jej samej szybującej w przepaść z jego dżinsami w ręku.

Nieoczekiwanie złagodził uścisk i serce Lynn zamarło. Po trwającym wieki ułamku sekundy poczuła, że palce kowboja zaciskają się wokół przegubu jej drugiej dłoni.

Teraz powolutku z wielkim wysiłkiem Jess podciągnął ją wyżej ku sobie. Spojrzawszy w górę, Lynn ujrzała na jego twarzy wielkie napięcie. Musiała z całej siły powstrzymać się przed przemożną chęcią objęcia go ramionami. Nie mogła jednak pozwolić sobie na żaden nierozważny gest, aby nie zniweczyć wysiłków swego wybawcy.

- Udało się - oświadczył w końcu z satysfakcją w głosie, podciągając ją na skałę. Lynn, bez tchu, oparła się o niego ciężko całym ciałem. Namacałszy jego lewą nogę wspartą o kamienną ścianę, postawiła na niej swoją, równie bezceremonialnie jak gdyby miała do czynienia ze skalnym podłożem. Podciągając ją następnie nieco do góry, drugą nogę zaczepiła o podtrzymującą ich linę.

Jess, uwolniwszy obie dłonie Lynn, jedną ręką objął ciasno jej talię, drugą zaś mocno ścisnął linę, unieruchamiając ją wreszcie.

Wycieńczeni morderczą przeprawą zastygli oboje bez ruchu. Na wpół żywa Lynn leżała po prostu na swym wybawcy, oplótłszy mu szyję ramionami.

Przez dłuższą chwilę odpoczywała bez słowa, drżąc jeszcze na całym ciele z emocji i zmęczenia.

Jess objął ją mocno, ogrzewając własnym ciałem dopóty, dopóki nie wróciły jej siły i wiara w ocalenie.

- Dobrze przynajmniej, że nie ważysz dużo - szepnął jej do ucha.

Parsknęła śmiechem - tak pogodnym i beztroskim, że zaskoczyło to ją samą. Zerknąwszy w dół ponad ramieniem kowboja, zauważyła Rory. Różowa peleryna odcinała się niczym płatek róży od czarnej skały.

- Uratuj Rory - poprosiła cicho.

- Uhm - mruknął Jess, nie drgnąwszy nawet.

Najwyraźniej on także nie doszedł jeszcze do siebie po wyczerpujących zmaganiach o życie Lynn.

Tymczasem ona, ochłonąwszy nieco, zrozumiała, że aczkolwiek cudem wymknęła się śmierci, nadal jednak znajduje się w strasznym niebezpieczeństwie. Wprawdzie nie wisiła już samotnie nad równą piętnastu piętrami przepaścią, tylko w towarzystwie Jessa, lecz czy można nazwać taką odmianę ocaleniem, to inna sprawa.

- Jak powinnam opasać się liną, żeby bezpiecznie pokonać tę górę? - zapytała, oparłszy policzek o ramię kowboja.

Choć owinięta wokół torsu mężczyzny lina oddzielała ich od siebie, Lynn czuła, jak jego klatka piersiowa unosi się przy każdym oddechu. Ogarnął ją błogi spokój. Nie na długo jednak. Wystarczyło, że powiodła wzrokiem, dokoła, aby uprzytomnić sobie grozę położenia i gwałtownie wrócić z obłoków na ziemię.

- Nie wybieramy się na górę. Zejdziemy na dół. Lepiej nie ryzykować przeprawy przez ten chybocliwy skalny blok.

Miał rację. Lynn sama przecież widziała, że podróż Jenny na linie o mało nie zakończyła się katastrofą.

- Potrafisz sprowadzić nas na dół?

- Czyż nie wyciągnąłem cię z drzewa?

- Owszem.

- Zaufaj mi, więc.

Lynn milczała.

- Próbowalaś kiedykolwiek wspinać się po górach?

-Nie.

- Tak myślałem - westchnął z rezygnacją. - No dobrze. W takim razie przejdźmy do rzeczy. Dopóki tu tkwimy, podtrzymując się nawzajem, upadek ci nie grozi.

Niestety, kiedy tylko zaczniemy zsuwać się wzdłuż ściany, sytuacja zmieni się zasadniczo.

- Tak? - Lynn poczuła znajome mrowienie w krzyżu.

- Będę potrzebował obu rąk. Nie mogę jednocześnie trzymać ciebie i manewrować liną. Wobec tego postanowiłem przywiązać cię do siebie.

- A co z Rory?

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw zajmę się tobą, a potem przyjdzie kolej na nią. Trzeba zachować pewien porządek. A teraz posłuchaj: nie ruszymy się stąd, dopóki nie zrobisz tego, w ci powiem. Masz odwrócić się do mnie tyłem, tak żeby twoje plecy dotykały mojej klatki piersiowej. Nogi oprzesz o skałę, a rękami chwycisz linę. I w ten sposób będziemy razem schodzić prosto w dół, jasne?

Lynn zadrżała.

- Uhm - odrzekła tylko przez zaciśnięte zęby.

- Najpierw puść moją szyję i odsuń się trochę, abym mógł zdjąć ten sznur z siebie.

- Dobrze.

Posłusznie zdjęła ręce z karku swego wybawcy i czepiając się kurczowo jego flanelowej koszuli, pochyliła się w bok. Podtrzymująca ich oboje lina napięła się, szorując udo Lynn i uświadamiając jej, że jeszcze nie wszystko stracone. Oto ich więź ze światem. Wydostaną się stąd.

- Nie spadniesz - zapewnił ją po raz kolejny Jess z lekko drwiącym uśmiechem, szukając czegoś w kieszeni. Po chwili wyjął scyzoryk, a następnie zdjął przez głowę zwój pieczołowicie złożonej nylonowej liny.

- Jak duże obciążenie to wytrzyma? - zaniepokoiła się Lynn, krytycznie oceniwszy

grubość sznura.

- Spore. Sto pięćdziesiąt kilogramów na pewno. - Przerzuciwszy skręconą linę przez ramię, zębami pomógł sobie otworzyć scyzoryk. - A może i więcej. Naprawdę doceniam to, że niewiele ważysz.

- A gdybym ważyła więcej?

Po twarzy przemknął mu figlarny uśmiezek.

- Wysłałbym ci na ratunek Owena.

Lynn roześmiała się cicho.

- Ale dość żartów - oznajmił poważnym tonem, odcinając linę. Wsunął nóż do kieszeni i ponownie opasał się zwojem. - Te raz musisz się odwrócić.

- Tak po prostu? ... - Mimo wysiłków Lynn nie zabrzmiało to naturalnie.

- Nie pozwolę ci spaść, obiecuję. - Mocniej ścisnął ją w pasie lewą ręką.

- O Boże!

- Poradzisz sobie. Puść moją koszulę i przerzuć nogę przez linę.

- O Boże!

Starając się nie myśleć o przepaści, rozdygotana Lynn przesunęła się ostrożnie opierając prawe biodro o brzuch Jessa. Dzięki temu zyskała dość miejsca, by przy dalszych manewrach nie tracić kontaktu z jego ciałem. Następnie w skupieniu przełożyła lewą nogę przez linę i wypuściwszy z rąk koszulę swego wybawcy, odwróciła się gwałtownie na plecy z gracją hipopotama.

- Jezu Chryste!

Oszołomiony niespodziewanym uderzeniem kowboj na mgnienie oka stracił równowagę, gubiąc oparcie dla stóp. Klnąc jak szewc, odpadł od ściany i zawisł na linie z wyprostowanymi nogami. Lynn, pisnąwszy cienko, przytomnie zdążyła uchwycić się liny z taką siłą, że poraniła sobie dłonie.

Ostatecznie ocaliło ją mocne ramię Jessa, niczym obręcz zamykające jej talię w stalowym uścisku. Przez moment kręcili piruety w powietrzu, po czym Jessowi udało się ponownie zaczepić stopy o występ w skale i wrócić z trudem do dawnej pozycji pod kątem do stromej ściany. Po chwili Lynn pólleżała już bezpiecznie na nim, tym razem zwrócona twarzą do skały, ściskając w dłoniach drogocenną linę.

- Uff! - westchnął prosto do jej ucha mężczyzna.

Lynn zamknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę dziękczynną. Potem otworzyła je znowu.

- Wszystko w porządku? - upewnił się Jess.

Wciąż nazbyt wstrząśnięta, by przemówić, pokiwała tylko głową.

- Doskonale. Wobec tego przełoż nogę przez linę - o, tutaj. Powoli. - mówiąc to, trącił jej prawą stopę. Jak automat przesunęła ją ponad liną, stając w lekkim rozkroku. Jess tymczasem zaplątał sznur wokół jej talii.

- Teraz nie masz prawa już spaść ani o milimetr. Przywiązałem cię do siebie.

Schodzimy?

Znowu kiwnięcie głową.

- To całkiem proste. Oprzyj się o mnie i słuchaj moich poleceń. Nic więcej.

Wszystko jasne?

Lynn zrobiła głęboki oddech. Nadal trzęsły jej się kolana na wspomnienie mocnych wrażeń sprzed kilku sekund, ale dzielnie zacisnęła zęby. Nie czas rozpamiętywać. Im szybciej przebrnie przez ten koszmar, tym lepiej. A więc w drogę.

- Om - wymamrotała pod nosem formułę zen.

Medytacje jak dotąd jeszcze nigdy jej nie zawiodły, prowadząc do spokoju w pełnych napięcia godzinach.

- Słucham?

- Jestem gotowa.

- Schodzimy w dół. Oprzyj się o mnie i przebijaj nogami. Tylko tyle.

Zrozumiano?

Lynn przytaknęła, bezgłośnie połykając cisnące jej się na usta kolejne „om”.

- No to jazda.

Kowboj ruszył w dół, unosząc ją ze sobą bezwolną jak marionetka. Wobec powagi nowej sytuacji praktyki zen odeszły w zapomnienie. Wtulona w Jessa, odliczała kolejne kroki. Plecami opierała się o jego tors, nogami przywarła do jego nóg; muskularne ramiona wybawcy opasywały jej talię. Ręce zacisnęła wokół liny, opierając nadgarstki o splecione poniżej dłonie mężczyzny.

Zjeżdżali właśnie po ścianie gładkiej jak cokół pomnika.

Nie spadnę bez niego, a on przecież spaść nie może, próbowała dodać sobie w duchu odwagi Lynn.

- Musimy przeskoczyć szczelinę w ścianie. Proszę, weź je. - Jess zatrzymał się nagle.

Oderwał lewą rękę od liny i pomagając sobie zębami, ściągnął rękawicę i podał Lynn, czekając, aż ją włoży. Wsunęła dłoń w miękką, wielką rękawicę z żółtej skóry, ogrzaną ciepłem jego ciała.

- Za duże - zaprotestowała, kiedy zaczął zdejmować drugą. - Zostaw je sobie.

- Musimy zjechać kawałek po linie. Bez rękawic nie dasz sobie rady, wierz mi. Spadniesz jak ulęgałka.

Nie musiał jej dłużej przekonywać. Dłonie i tak piekły ją od chwili, gdy na ułamek sekundy zawisała na sznurze, zanim Jess chwycił ją w locie. Strach przed kolejnym upadkiem sprawił, że dla ratowania własnej skóry Lynn zdolna byłaby nawet wyrzucić Jessowi bezcenne przy wspinaczce rękawice.

Próbowała zagłuszyć wyrzuty sumienia, perswadując sobie, że przecież on ma zapewne znacznie twardszą skórę na dłoniach niż ona.

Kowboj podał jej drugą rękawicę. Włożyła ją i oparła stopy o skałę, zacisnęła dłonie na linie. Starając się opanować drżenie, czekała w milczeniu na dalszy rozwój wypadków.

Tylko rozpaczliwe „om, om” kołatało jej w kółko po głowie.

- Kiedy powiem: „już”, odepchnij się nogami od klifu i pozwól linie prześlizgnąć się między palcami. Odpocznij teraz chwilę i do dzieła. To zaledwie trzy metry pod nami. Gotowa?

O Boże. Lynn pokiwała twierdząco głową. Jess napiął mięśnie.

- Już!

Odorwała się od ściany nie tyle z własnej woli, ile pociągnięta gwałtownym szarpnięciem liny, spowodowanym przez skok Jessa. Oszołomiona zjechała parę metrów w dół, sama nie wiedząc, kiedy i w jaki sposób.

Nagła zmiana pozycji sprawiła, że żołądek znów podskoczył jej do gardła. Lynn przyrzekła sobie, że jeżeli uda jej się przeżyć te zmagania z górą, następne próby wspinaczki ograniczy do wejścia na kuchenny taboret.

Jess na powrót podciągnął się do ściany, a całkowicie zależna od niego Lynn z konieczności poszła w jego ślady. Właśnie mozoliła się ze stabilnym oparciem dla gładkich podeszew, gdy Jess, poruszywszy się niespodziewanie, pozbawił ją równowagi. Poślizgnąwszy się, uderzyła kolanami o ścianę, a jednocześnie z całej siły odruchowo zacisnęła dłonie na linie. Jess, który zdążył już usadowić się w stabilnej pozycji, okazał się prawdziwą opoką. Stopami wylądowała na jego nogach, plecami wsparła na piersi. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Odetchnąwszy, Lynn zaczęła gramolić się niezgrabnie do góry, nie zważając na drżenie całego ciała.

- Świetnie sobie radzisz - podsumował z uznaniem kowboj.

Wyciągając szyję ponad jego ramieniem dostrzegła sylwetkę Rory. Znajdowali się teraz poniżej miejsca, w którym utknęła dziewczynka. Zaczepiona peleryną o nadłamaną czubek jodły, zwisała w pozycji prawie pionowej z rozrzuconymi wśród kłujących gałęzi rękoma, nogami obejmując grubego konar. Jej oparcie budziło o wiele większe zaufanie niż kruche drzewko Lynn. Widok ów wlał w serce matki odrobinę otuchy.

Ale zaledwie odrobinę, gdyż z całą pewnością Rory nie wyszła z wypadku bez szwanku. Świadczyły o tym jej zamknięte oczy i biała jak płótno twarzyczka.

Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka straciła przytomność.

- Rory! - zawołała Lynn pełna niepokoju. Córka ani drgnęła.

- Wyjdzie z tego, nie martw się.

- Idź po nią! Zaraz! Proszę cię! - błagała roztrzęsiona.

- Nie poradzę sobie z wami obiema naraz. Pozwól, że najpierw sprowadzę cię, a potem wrócę po nią - perswadował łagodnie Jess, pragnąc ją uspokoić. Bez rezultatu.

- Ale ona jest nieprzytomna! - gorączkowała się Lynn.

- Na szczęście, leżąc w tej pozycji, nie spadnie - odparł krótko.

Uwaga ta, choć zgodna z prawdą, stanowiła mizerną osłodę.

- Nie mogę jej pomóc, dopóki ty nie znajdziesz się w bezpiecznym miejscu - zamknął dyskusję Jess i podjął wędrówkę w dół skalnej ściany.

Chcąc nie chcąc, Lynn ruszyła wraz z nim, co chwila zerkając na córkę. Ze zmartwienia o nią zapomniała nawet o własnym strachu.

Zejście na dół trwało całą wieczność. Kiedy wreszcie Lynn dotknęła stopami rozmiękłej na skutek ulewy ziemi, stwierdziła z przerażeniem, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

Zachwiała się i niechybnie upadłaby jak długa, gdyby Jess nie złapał jej w porę

- Hola - upomniał ją żartobliwie.

- Ja... nie mogę stać - tłumaczyła się zawstydzona.

- Miałaś dość wrażeń jak na jeden dzień - przyznał.

Podtrzymując ją wciąż jedną ręką, drugą przeciął krępującą oboje linę. Gdy więzy opadły, Lynn osunęła się na kolana i tylko mocnemu ramieniu wybawcy zawdzięczała, że nie upadła na twarz.

- Idź po Rory, proszę - wyszeptwała.

Podparłszy się rękami, zadarła wysoko głowę, aby spojrzeć na córkę, która z tej odległości przypominała nie więcej niż różową cętkę na tle plamy ciemnej zieleni znaczącej szary klif.

- Zaraz ją tu ściągnę, nie denerwuj się - uspokoił ją Jess, dy sząc ciężko.

Spojrzała na niego. Zgięty wpół, odpoczywał, oparłszy dłonie o kolana.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Lynn.

- Jak nigdy. - Wyprostował się z wolna. - Oddaj mi lepiej rękawice.

- Ach, prawda.

Ściągnęła skórzane rękawice i zwróciła właścicielowi. Jess włożył je i ruszył na powrót w stronę skalnej ściany, po drodze poprawiając swą zaimprovizowaną uprzążę wspinaczkową. Potem kilkakrotnie pociągnął za koniec zwisającej z klifu liny, sprawdzając, czy się nie poluzowała. Wreszcie, dopełniwszy przygotowań, zaczął wspinać się tak lekko i zwinnie, że wzbudził szczerą podziw Lynn. Wyszukiwał przy tym kamienne szczeliny i niewidoczne oparcie dla stóp w napozór litej skale, tam gdzie Lynn nawet nie podejrzewałaby ich istnienia.

Choć zręczność kowboja wywarła na Lynn wielkie wrażenie, dziwiła ją wielce niezachwiana pewność mężczyzny, że bezpiecznie sprowadzi Rory. Puste przechwałki i tyle.

Tymczasem Jess słowa dotrzymał. Zniósł Rory na dół całą, choć nieprzytomną.

Kiedy znaleźli się dostatecznie nisko, Lynn poderwała się, by pomóc córce.

Podtrzymywała ją, gdy tymczasem Jess rozcinał linę wiążącą go z bezwładnie spoczywającą mu na piersi dziewczynką. Potem zdjął z szyi skrępowane w nadgarstkach ręce Rory i delikatnie ułożył ją na żółtej pelerynie, którą Lynn rozpostarła na ziemi. Obserwując swego wybawcę, Lynn zdała sobie sprawę, że spacer na linie z nieprzytomną Rory w objęciach musiał go kosztować znacznie więcej wysiłku niż ich wspólne zejście.

- Och, spójrz na jej głowę!

Lynn pochyliła się nad leżącą na wznak córką. Odgarnęła jej z czoła grzywkę oraz kilka niesfornych jasnych kosmyków, które wymknęły się z końskiego ogona, i ze zgrozą ujrzała, że lewą skroń Rory pokrywają liczne siniaki i głębokie rozcięcia.

- Prawdopodobnie podczas upadku otarła się o klif albo też zranił ją jeden z osypujących się skalnych odłamków - podsumował Jess.

Przyklękawszy na jedno kolano, uwolnił nadgarstki Rory z oplątujących je więzów, po czym osunął się ciężko na ziemię obok dziewczynki i zaczął powoli ściągać z siebie zaimprovizowaną alpinistyczną uprzążę. Dyszał przy tym jak

parowóz, a perlisty pot obficie zrosił mu czoło. Lynn, zbyt przejęta stanem córki, nie miała czasu na współczucie.

- Rory - przemawiała czule, przykładając dłoń do czoła i policzków nieprzytomnej dziewczynki i roztasowując jej skostniałe ręce.

Różowa peleryna, podarta i poplamiona, przedstawiała widok godny pożałowania. Lynn rozdarła ją do końca, gdyż uznała to za najprostszy sposób, by zdjąć z Rory nieprzydatne już okrycie.

- Pozwól mi ją obejrzeć - zaproponował Jess. Nie czekając na zgodę, ukląkł przy Rory i przesunął dłońmi wzdłuż rąk, nóg oraz kręgosłupa nieprzytomnej, sprawdził żebra, a na koniec dotknął czaszki. Wreszcie spojrzał na Lynn. - Nie widzę żadnych złamań. Chyba tylko porządnie uderzyła się w głowę - zawyrokował. W obecnych warunkach Lynn nie upierała się już, by Jess trzymał ręce z dala od jej córki. Przeciwnie, wysoce sobie ceniła wszelkie przejawy jego wiedzy medycznej.

- Przemarża na kość - zauważyła, zmartwiona stanem Rory. Rzeczywiście, dziewczynka miała na sobie, podobnie jak Lynn, wełniany golf, dżinsy i buty, przemoczone teraz całkowicie z powodu dziurawej peleryny. - Trzeba ją przebrać. Co prawda na dole było cieplej niż wśród powiewów lodowatego wiatru omiatającego skalną ścianę, ale i tak temperatura nie przekraczała piętnastu stopni. Stanowczo za chłodno dla leżącego bez ruchu nieprzytomnego dziecka. Wprawdzie golf Lynn też pozostawiał wiele do życzenia, jednak, choć miejscami mokry, szczególnie wokół szyi i na końcach rękawów, mimo wszystko był w lepszym stanie niż rzeczy Rory. Podobnie jak jej dżinsy.

- Odwróć się, proszę - poleciła Jessowi.

Otworzył usta, jak gdyby chciał zaprotestować, lecz powstrzymał się i usłuchał bez słowa. Po krótkich zmaganiach z opornymi butami Lynn szybko zrzuciła z siebie wierzchnią odzież, po czym, szcękając zębami, rozebrała do bielizny również Rory. Dziewczynka zadygotała z zimna, pokrywając się od stóp do głów gęsią skórką.

- Mamusiu... - Lynn bardziej wyczytała to z ruchu warg córki, niż usłyszała. Na dźwięk tego pieszczotliwego zdrobnienia serce jej się rozplynęło.

- Cicho, maleńka. Już dobrze. Nic ci nie grozi. Jestem przy tobie - zapewniała Rory żarliwie, pochylając się nad nią i zapominając o wszystkim, nawet o trzymanym w ręku ciepłym swetrze.

- Boli mnie głowa - poskarżyła się dziewczynka, znowu zamykając oczy. - 1 zimno mi.

Lynn otrzeźwiała w jednej chwili. Spostrzegłszy, że córka trzęsie się coraz mocniej, czym prędzej zaczęła wciągać jej golf. Za żadne skarby nie wolno dopuścić do zbytowego wychłodzenia organizmu.

- Załóż jej to. Jest sucha.

Flanelowa koszula Jessa wylądowała na brzuchu Rory. Podniósłszy wzrok, Lynn spojrzała na kowboja, siedzącego w cienkim białym podkoszulku z kolorowym nadrukiem. Nie ulegało wątpliwości, że na pozór posłusznie odwrócony plecami,

podejrzanie dobrze orientuje się w rozwoju sytuacji.

- Jej potrzebny jest lekarz! - zawołała Lynn.

- Przede wszystkim musimy ją rozgrzać - zawyrokował Jess stanowczym tonem. Co rzekłszy, odwrócił się, nie zważając na wcześniejsze obiekcje Lynn, i przyklęknął przy dziewczynce.

- Ta uwaga dotyczy też ciebie - dodał, zerknąwszy na jej zsiniałe z zimna ciało okryte jedynie skąpą koronkową bielizną. Choć przysłaniała ona nie mniej niż kostium bikini (a nawet więcej, jeśli wziąć pod uwagę skarpetki), pod wzrokiem Jessa Lynn poczuła się naga.

- Nie byłbyś tak łaskaw?... - zaczęła groźnie i znacząco zawiesiła głos.

- Na miłość boską, nie sądzisz chyba, że nigdy dotąd nie oglądałem kobiety w samej bieliznie? - zirytował się Jess, biorąc do ręki swoją koszulę. - Ja jej to założę, a ty tymczasem zajmij się sobą. Masz już fioletowe usta.

Lynn zawahała się chwilę, lecz dała za wygraną. Rzeczywiście trzęsa się jak galareta, a i Rory dygotała jak w febrze. W tej sytuacji wszystkie inne względy musiały ustąpić pierwszeństwa szybkiemu działaniu. Poczucie wstydu i poskramianie zapędów Jessa wobec Rory można było odłożyć na później. Zresztą trzeba przyznać, że od chwili wypadku ich wybawca zachowywał się bez zarzutu. Przede wszystkim z narażeniem własnego życia wyrwał je obie ze szponów śmierci. Wykazał się przy tym godną podziwu zręcznością, troskliwością, pomysłowością i odwagą. Owszem, znalazł potem okazję, by obrzucić uważnym spojrzeniem Lynn w samej bieliznie, lecz na szczęście jej córce zostało to oszczędzone.

A teraz na dodatek ściągnął z pleców własną koszulę, żeby okryć nią Rory. Gruba flanela, sucha i ciepła, z pewnością najlepiej ogrzeje przemarzniętą dziewczynkę. Gest kowboja napełnił serce Lynn wdzięcznością.

Wciągając na powrót golf, obserwowała, jak mężczyzna zakłada Rory swoją koszulę. Otulił nią dziewczynkę i zebrawszy obie połowy z przodu, zabrał się do zapinania guzików. Lynn tymczasem rozpoczęła zmagania z mokrymi džinsami córki. Choć szczupła, biodra miała jednak znacznie okrągłejsze niż Rory, i gdyby nie fakt, że dziewczęta gustowały obecnie w zbyt obszernych fatałaszkiach, nie zdołałyby poradzić sobie z mokrymi spodniami.

Wreszcie mogła się zająć Rory i odsunęła bezceremonialnie Jessa, w momencie gdy kończył zapinać koszulę pod brodą dziewczynki. Odtrąciwszy jego ręce, podniosła kołnierz koszuli, by osłonić szyję córki, a potem odwinęła na całą długość rękawy, zakrywając jej zziębnięte dłonie. Poły koszuli sięgały kolan Rory. Widocznie buty małej nie przemakały, gdyż ku zaskoczeniu Lynn jej skarpetki okazały się suche. Zostawiła je więc na nogach córki i pośpiesznie naciągnęła jej własne džinsy.

- Już? - Usłyszała głos Jessa, brzmiący cokolwiek uszczypliwie.

Uniosła głowę i napotkała spojrzenie mężczyzny. Stał z rękoma w kieszeniach spodni, skulony z zimna, spoglądając na nie z góry.

- Dziękuję za koszulę - odezwała się pojednawczym tonem.

- Nie ma za co.

Lynn ponownie zajęła się córką, starając się opatulić ją kawałkami porwanej peleryny dla ochrony przed wiatrem. Jess tymczasem oddalił się kilkanaście kroków od ściany i zadartszy wysoko głowę, zaczął wymachiwać rękami. Zapewne usiłuje zwrócić na siebie uwagę szczęśliwców na górze, odgadła Lynn.

- Sądysz, że cię dostrzeżę? - zagadnęła.

Siedziała obok Rory, na powrót wkładając przemoczone buty na nogi w mokrych skarpetkach.

- Powinni. Choć z drugiej strony wiem, że teraz Owen nie pozwoli nikomu zbliżyć się zbyt blisko do krawędzi.

- Szkoda, że nie pomyślał o tym wcześniej - palnęła Lynn.

- Cóż, obawiam się, że w naszej firmie nieodmiennie popełniamy ten sam błąd, zbyt często polegając na zdrowym rozsądku turystów. Chcemy ich nauczyć samodzielności. Niestety, ich instynkt samozachowawczy czasem zawodzi... O, jest Owen!

Lynn posłała mu zimne spojrzenie.

- Nie masz przypadkiem długopisu? - zapytał nieoczekiwanie Jess, poklepując się po kieszeniach dżinsów.

- Czego?

- Może być ołówek. Cokolwiek do pisania.

- Po co? - nie rozumiała Lynn.

- Chcę posłać wiadomość Owenowi - mówiąc to, kowboj wskazał na wijącą się po skalnej ścianie linę.

- Ach, tak. - Lynn zaczęła sprawdzać zawartość kieszeni swoich (a właściwie Rory) spodni. Namacawszy niewielkie zgrubienie, zanurzyła rękę i wyciągnęła ze środka szminkę w niebieskim opakowaniu. - A to?

- Może być - odrzekł krótko Jess.

Przykłąknął, odciął nożem płat materiału z podartej peleryny Rory i szminką nabazgrał coś szybko na jasnym płótnie podszewki.

- Prosisz go, żeby zszedł tu po nas? - upewniła się Lynn.

Jess zamarł na chwilę, po czym spojrzał na nią przeciągle.

- Żartujesz chyba?

- Nnie - odrzekła, tracąc nieco rezon.

- Rozejrzyj się wokół, dziecinko. - Jess powrócił do pisania.

- Tylko nie dziecinko - zaprotestowała odruchowo, od lat przyzwyczajona tępić podobne przejawy dyskryminacji własnej płci w studiu telewizyjnym.

Równocześnie jednak posłusznie potoczyła wokół spojrzeniem.

Znajdowali się na niemal płaskim terenie, który parę kroków dalej zaczynał łagodnie opadać ku ciemniejszemu nieopodal gęstemu lasowi. Powrotna wspinaczka po pionowej ścianie nie wchodziła w rachubę. Nie mieli wyboru: mogli tylko ruszyć w dół.

- Nie twierdzą, że powinna zejść po nas cała grupa. - Lynn nie chciała dać za wygraną. - Ale przecież można tu chyba dotrzeć dżipem. Na pewno w pobliżu jest jakaś droga, choćby okrężna. Rory potrzebuje lekarza.

Jess uśmiechnął się cierpko.

- Niestety, są jeszcze na świecie miejsca, do których nie można dotrzeć nawet dżipem, i obawiam się, że to właśnie jedno z nich. Musimy wydostać się stąd o własnych siłach. Na szczęście wiem, gdzie jesteśmy. Dzień marszu stąd biegnie bity trakt, po którym bez trudu może przejechać auto. Chcę, aby tam właśnie czekał na nas Owen.

- Ale Rory potrzebuje lekarza!

- Nic nie mogę na to poradzić. Zresztą nie wygląda na poważnie ranną. Odezwała się do nas, a w dodatku zaczynają jej wracać kolory, spójrz tylko! Szybko dojdzie do siebie.

-A jeśli nie?

- Posłuchaj, powinnaś dziękować Bogu za to, że obie w ogóle jeszcze żyjecie. Lynn nie odpowiedziała, wstrząśnięta nowym spostrzeżeniem.

- Czy mam rozumieć, że nie masz w zanadru żadnego specjalnego planu na wypadek takich okoliczności jak te? Żadnej łączności z cywilizacją, helikoptera, który w razie konieczności przyleciałby na ratunek, żeby zabrać poszkodowanych do szpitala?

- Nie.

- Nie? - powtórzyła piskliwym głosem, zdruzgotana nonszalancją lakonicznej odpowiedzi Jessa.

Niezrażony oburzeniem Lynn, kowboj ze spokojem stawiał czoło jej druzgocącemu wzrokowi.

- Chyba muszę ci przypomnieć, że przebywamy na terenie ustanowionego decyzją władz federalnych górskiego parku narodowego w stanie Utah. To obszar odludny, dziki i trudno dostępny, ale wyjątkowo piękny. Przybywają tu ludzie żądni przygody. Założę się, że wasza grupa przyjechała z tych samych powodów. A może sądziłaś, że wybierasz się do miejsca podobnego do Disneylandu, gdzie wszystko jest na niby?

Ostatnie, pełne ironii zdanie sprawiło, że na powrót zalała ją fala już prawie zapomnianej nienawiści do tego zarozumiałca, odgrywającego bohatera z plakatów Marlboro.

- Nie wszystko, tylko kowboje - wycodziła sucho.

Ponownie przerwał pisanie, wlepiając w nią oczy.

- Słucham?

- Ty i twój braciszek. I cała reszta waszej bandy. Poprzebiera ni za kowbojów chłepciasie w idiotycznych kapeluszach, w idiotycznych butach, na idiotycznych koniach...

- Posłuchaj, damulko, ocaliłem twoją skórę - przerwał jej Jess ostro.

Gniewny ton jego głosu oraz przypomnienie, jak wielki dług wdzięczności zaciągnęły obie, dołały oliwy do ognia. Lynn nie chciała nikomu nic zawdzięczać, a już w żadnym razie nie temu farbowanemu przystojniakowi.

- Lepiej znajdź sposób, żeby moja córka szybko znalazła się u lekarza, bo inaczej ja dobiorę się do twojej skóry, przystojniaku! Zaskarżę cię i daję

słowo, że nie wywiniesz się z tego tak łatwo! - wybuchnęła.

11

No to mam, czego chciałem, podsumował ponuro w myślach Jess, podczas gdy Lynn miotła swoje groźby. Zawsze pociągały go silne osobowości. W musicalu „Grease” przemawiał doń Rizzo, a nieprzesłodzona Sandy. Przepadał za Madonną i uwielbiał Sharon Stone. Od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzał Lynn w grupie turystek na lotnisku, zaliczył ją do tego samego gatunku ludzi.

Miała styl. I z miejsca zawróciła mu w głowie, gdyż jak mawiał Owen: Jess lubił kobiety z ikrą.

Piękne kobiety z ikrą, dla ścisłości. Kiedy tylko wzrok Jessa spoczął na wychodzącej z samolotu Lynn, wszystko w nim jęknęło z zachwytu: uuuch, co za laska!

Rozpoczął ostrożne oględziny od drobnych stóp w pantoflach na niebotycznych szpilkach, potem omiółł wniebowziętym spojrzeniem zapierające dech w piersiach długie, smukłe nogi, następnie z uznaniem odnotował kończącą się w połowie ud gustowną czarną spódniczkę, by wreszcie, patrząc na doskonale skrojony żakiet i jedwabną bluzkę, z radością odgadywać ukryte pod nimi rozkoszne kształty.

W uszach bogini dyskretnie połyskiwały złote kolczyki, zarys słodkich ust podkreślała bladorożowa szminka, błękitne oczy strzelały ogniem spod długich, gęstych rzęs. Wizerunku dopełniała nienaganna fryzura połyskująca złotem jak łan pszenicy.

I owo zimne spojrzenie, którym odpowiedziała na pierwszy uśmiech kowboja.

Wypisz, wymaluj, ideał Jessa, jak stwierdził z przekąsem Owen, kiedy zabierali bagaże.

Czyli skończona jędza.

Niestety, starszy brat jak zwykle miał rację.

I teraz właśnie ta jędza pokazuje, co potrafi, wbija mu swoje zatrute żądło. W nagrodę za uratowanie jej życia. I życia córki.

To się nazywa wdzięczność!

Doprawdy, nie miał siły walczyć z nią właśnie teraz: czuł się całkiem wyczerpany i przemarznięty do szpiku kości; dłonie, otarte przez linę, paliły go żywym ogniem, kark ścisnął mu bolesny skurcz, a co gorsza, czekało go jeszcze wiele trudu, żeby tę wiedźmę wraz z jej córką wrócić całe i żywe cywilizacji.

A ona śmie się jeszcze odgrażać sądem? Trzeba ją było zostawić na tym drzewie.

Niestety, stało się już.

- Chyba na taką właśnie okoliczność ubezpieczyliśmy się od odpowiedzialności cywilnej - wyjaśnił spokojnie, po czym wstał, składając liścik do Owena.

Choć Lynn nie odezwała się już ani słowem, Jess, odwróciwszy się twarzą do klifu, czuł za sobą narastającą cichą furię Lynn. Instynktownie skulił plecy, spodziewając się, że za chwilę oberwie czymś ciężkim.

Kobietki z ikrą lubią ciskać, czym popadnie, w obiekty swojej niechęci.

Tym razem jemu przypadnie w udziale ten zaszczyt. Trudno.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Obserwując oddalający się na linie kawałek płótna z wiadomością dla brata, pozwolił, więc sobie rzucić kpiąco przez ramię:

- Zawsze do usług. Gwizdnij tylko, a wyrwę cię z każdego tarapatów, laleczko.

12

Marzyła o papierosie. Przedzierając się w ślad za Jessem przez dziewiczy, górski las ledwo widoczną ścieżką między porośniętymi warstwą grubego mchu przepastnymi wykrotami zdolnymi ukryć niedźwiedzicę z gromadą małych, potykając się co chwila o głązy i wystające z ziemi korzenie, tracąc równowagę na oślizgłych nierównościach, których pochodzenia wołała nawet nie odgadywać, Lynn nie przestawała myśleć o jednym: że oddałaby wszystko za jedno porządne zaciągnięcie się dymem.

Zagubiona wśród tego piekielnego odludzia, skazana na wyłączne towarzystwo uszczypliwego pseudokowboja i rannej nastolatki przejawiającej dużą słabość do wyżej wzmiankowanego bohatera, przygnieciona przesłanym im przez Owena prawie piętnastokilogramowym ładunkiem, który wydawał się dwa razy cięższy niż w rzeczywistości, nie mogła sobie nawet powetować tych wszystkich nieszczęść małym papieroskiem!

Ulotki Adventure Inc. obiecywały: „Dzięki tej wyprawie lepiej poznasz samego siebie”.

Nie kłamały: odkryła właśnie, ile naprawdę dla niej znaczy ta drobna na pozór przyjemność. Zanim dotrą do cywilizacji, będzie miała za sobą pełne dwa dni bez palenia!

W najlepszym razie dwa. Jeśli dalsze wydarzenia nastąpią równie planowo jak cała dotychczasowa wyprawa, Lynn mogła liczyć na szybkie zakończenie tej drogi przez mękę z równym powodzeniem jak na to, że za najbliższym zakrętem znajdzie porządny szpital.

Wypatrywanie porzuconych niedopałków na dróżce odwiedzonej jedynie przez kozice zakrawało na szaleństwo, nie mogła jednak oprzeć się złudnej nadziei, że może któreś z przechodzących wcześniej tą ścieżką zwierząt też było ofiarą nałogu. Oczywiście, takie fantazje prowadziły donikąd, tak samo jak naiwna wiara w to, że niespodziewanie znajdzie zabłąkanego papierosa we własnej kieszeni lub przy którymś z towarzyszy niedoli. Zdążyła już przecież kilkakrotnie przenieć na wszystkie strony całe swoje ubranie, a także rzeczy Rory. Przywiodła ją do tego czysta desperacja, gdyż dobrze знаła swą córkę jako zawziętą przeciwniczkę palenia.

Jess też nie nosił w kieszeniach papierosów. Nie miała, co do tego najmniejszej wątpliwości, gdyż zdecydowała się nawet przerwać swe gniewne milczenie, by go zapytać. W odpowiedzi spłynął na nią pełen wyższości uśmiech kowboja i wyjaśnienie, że on przecież nie pali.

Uff, jakże nie znosiła takich świętoszkowatych wrogów nikotyny.

W żadnym z pakunków przysłanych im przez Owena również nie było śladu papierosów. Przetrzęsła wszystkie na wylot bez rezultatu.

Jej własna paczka papierosów leżała spokojnie w jukach przytroczonych do siodła

owego nieszczęsnego kuca, który został na górze. No cóż, tym razem Lynn nie okazała się dostatecznie przewidująca. Trudno jednak oczekiwać, aby skrupulatnie zaplanowała wszystko na wypadek osunięcia się skały.

Nie wytrzyma bez papierosa.

Próbując oderwać się, choć na chwilę od obsesyjnych myśli, zajęła się własnymi piętami. Bolały z każdym krokiem coraz bardziej. Ani chybi za wspólną sprawą nowych butów i mokrych skarpet miała dwa piękne pęcherze.

Potężne pęcherze.

Gdyby okazała więcej rozsądku i nie słuchała zaleceń firmy Adventure Inc., nosiłaby teraz wygodne traperki, a nie błyszczące buty do konnej jazdy, w których nie sposób było maszerować. Co prawda, wszyscy pozostali uczestnicy wycieczki zaopatrzyli się w buty kowbojskie, z Rory włącznie, która na pierwszej przejażdżce powitała matkę ironicznym: „A nie mówiłam?”

No tak, ale Adventure Inc. też nie pozostaje bez winy: ich ulotka nie sprecyzowała szczegółów, przez co Lynn została narażona na drwiny i bąble na piętach. Gdyby wyjaśnili rzecz jak należy, wysokie, skórzane buty nie obcierałyby jej teraz boleśnie stóp.

Zamyśliła się nad tym nowym utrapieniem, a po chwili przeszła już do następnych: przeciążonych kolan, obolałych pleców i piekących po obtarciu liną dłoni. Potem użaliła się nad doskwierającym jej, porządnie nadwreżonym podczas ewakuacji z drzewa ramieniem.

W końcu zaś wróciła myślami do Rory. Jej stan wywołał natychmiast taki strach i troskę, Lynn, że ze zdwojoną siłą zatęskniła do papierosa.

Och, choćby tylko raz się zaciągnąć dymem!

Tymczasem z wolna zaczęło szarzeć dookoła. Kiedy wyobraziła sobie, ile przeróżnych dziwnych stworzeń czai się w mroku, niektórych ruchliwych, innych oślizgłych czy też wydających niesamowite dźwięki, jej antypatia do Jessa nieco przybladła. Przyśpieszyła, na próżno starając się dotrzymać mu kroku.

Nawet z ciężarem na plecach, wcale nie lżejszym niż jej pakunek, i z Rory w ramionach na dodatek, pędził tak szybko, że nie mogła za nim nadążyć.

Padła z nóg ze zmęczenia. Kiedy wreszcie odpocznie? Kiedy zapali?

Prośba: „zaczekaj!”, sama wielokrotnie cisnęła jej się na usta, kiedy odległość między nimi rosła niepokojąco, ale Lynn, zagryzwszy wargi, nie uległa pokusie.

Niedoczekanie, nie będzie o nic prosić tego pyszałka.

- Uuuu...uuuu!

Niespodziewany łopot skrzydeł i towarzyszące mu głośnie po hukiwanie tuż nad jej głową omal nie przyprawiły Lynn o atak serca. To sowa, tłumaczyła sobie, zobaczywszy parę okrągłych, błyszczących oczu, które na chwilę wychynęły z ciemności i natychmiast rozplynęły się w niej na powrót. To tylko sowa.

Zaniepokojony hałasem Jess wreszcie się zatrzymał i nadśluchiwał przez chwilę.

Ucieszona Lynn pomknęła w jego stronę, przeskakując głazy, korzenie i różne inne przeszkody znajdujące się na dróżce.

- Możesz wyjąć latarkę? - zapytał, wskazując głową na swój plecak, kiedy stanęła

obok zadyszana.

Miała ochotę wysłać go do wszystkich diabłów, ale musiała przyznać, że z dziewczynką w ramionach sam sobie by nie poradził.

- Co z Rory? - rzuciła więc ugodowo, rozpinając suwak plecaka. Wsunęła do środka rękę i próbowała odszukać latarkę.

- Chyba wszystko w porządku. Mruczała coś do siebie po drodze. Na pewno nie cierpi niewygody.

Wystarczyło spojrzeć na dziewczynkę, by przekonać się, że w słowach Jessa nie ma przesady. Spoczywała oparta swobodnie na piersi kowboja, z głową złożoną na jego ramieniu. Zapięta po szyję w puchowej kurtce, którą wraz z dwiema innymi podano im z góry, i opatulona izotermicznym kocem wyglądała jak przyrumieniona bułeczka gotowa do schrupania. Ten widok znów na moment obudził czujność Lynn.

Wystarczył jednak jeden rzut oka na kowboja, by wyzbyć się wszelkich podejrzeń. Nie wyglądał na kogoś, kogo zżerają niestosowne pragnienia. Prawdę mówiąc, wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

Tak samo jak Lynn. Miała ochotę zostać tam, gdzie stała, i zapaść w stuletni sen. Ach, żeby i ją ktoś tak zechciał ponieść dalej...

Jess niewątpliwie miał więcej powodów, by odczuwać zmęczenie. Rory nie ważyła więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, lecz nawet mimo to niesienie jej taki szmat drogi wymagało ogromnego poświęcenia. Ponadto Jess trzymał ją nieprzytomną w ramionach, jak małe dziecko, zamiast przerzucić przez ramię lub ułatwić sobie dźwiganie jej w inny sposób.

Gdyby Lynn nie była tak zgnębiona, zapewne odczułaby w tym momencie przyływ wdzięczności za tak troskliwą opiekę nad córką.

Ale była. Zgnębiona - to zresztą zbyt łagodne określenie. Czuła się całkiem załamana i bez sił.

Nagle jej palce penetrujące wewnątrz plecaka natrafiły na plastikową zapalniczkę. O mało nie zawyla z rozpaczy. Co komu po zapalniczce, jeśli brak papierosów?

- Czemu ktoś pakuje zapalniczkę bez papierosów? - rzuciła w przestrzeń.

Nie po raz pierwszy tego dnia, gdyż i przedtem kilkakrotnie postawiła to pytanie na głos i po cichu, natknąwszy się na tę samą zapalniczkę podczas pierwszego przeglądania przysłanych rzeczy w poszukiwaniu papierosów. Niespodziewane odkrycie rozbudziło w niej tylko płonne nadzieje i naraziło na wielkie rozczarowanie, gdy w ślad za zapalniczką nie znalazła wymarzonej używki, choć się jej spodziewała.

- Może po to, abyśmy mogli rozpalić ogień i się ogrzać. - Teraz Jess zdecydował się odpowiedzieć na to w zamierzeniu retoryczne pytanie.

Sarkazm w głosie kowboja wzburzył w niej krew.

- Och, przestań - ucięła zgryźliwie.

- Mamo? - Słaby głosik Rory zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka. Nawet wiadomość o przypadkowo znalezionym papierosie nie ucieszyłaby Lynn bardziej.

- Obudziłaś się, skarbie? Jak się czujesz?

Zostawiła plecak i pośpiesznie przyjrzała się córce. Czoło dziewczynki

błyszczało od maści znalezionej w apteczce pierwszej pomocy, którą otrzymali wśród innych rzeczy w pakunkach spuszczonej na linie. Lynn żywiła cichą nadzieję, że to właśnie ten połysk sprawił, iż połowa czoła córki wyglądała na czarną. W przeciwnym razie rozlewający się ciemny cień oznaczałby, że stan małej się pogarsza. Potem przypomniała sobie, że potłuczenia zwykle nabierają bardziej wyrazistych barw, zanim zaczną się goić, i owa myśl napełniła ją otuchą.

Modliła się w duchu, by oprócz tego jednego sińca nic więcej nie dolegało Rory.

- Boli mnie głowa - jęknęła dziewczynka, po czym zamilkła, jakby zbierając myśli. - Co się stało?

- Obsunęliśmy się ze skalnej ściany - wyjaśniła Lynn, ścierając nadmiar maści z grzywki Rory. Potem, uśmiechnąwszy się do córki, pieszczotliwie musnęła palcami jej policzek.

- Tak mi się zdawało. Jess nas uratował, prawda? Przynajmniej mnie. Pamiętam jak przez sen, że znosił mnie na dół.

- To nie był sen - przyznała kwaśno jej matka.

- W takim razie ocalił mi życie. To prawdziwy bohater! Och, Jess, dziękuję!

Rory objęła wybawcę ciaśniej za szyję i ucałowała go żywiotowo w policzek. To nad wyraz swawolne zachowanie córki przejęło Lynn zgrozą. Nie mogąc się jednak zdobyć na żadną bardziej stanowczą reakcję, ograniczyła się do obdarzenia Jessa srogim spojrzeniem.

Pochwycił je w lot.

Co wyczytała w jego oczach? Przyznanie się do winy? A może jeszcze coś gorszego?

- Proszę bardzo - odrzekł, uciekając wzrokiem od Lynn. - Cała przyjemność po mojej stronie - uśmiechnął się rozbrajająco do nastolatki.

Ponownie przeniósł spojrzenie na Lynn. Tym razem nie miała najmniejszej wątpliwości, co było wypisane na jego twarzy.

- Jak tam, mamusiu, czy jest szansa na odnalezienie tej latarki?

- Staram się, jak mogę - odparła Lynn, przetykając z trudem to „mamusiu”.

Dobrze wiedziała, że użył owego słowa specjalnie po to, by ją rozzłościć.

Zgrzytnąwszy zębami, wróciła do poszukiwań. Po chwili namacała dłońią charakterystyczny kształt i wyciągnęła go z plecaka. Latarka mieściła się w dłoni, lecz choć mała i lekka, świeciła bardzo jasno. Mocny snop światła skierowany na ścieżkę siłą kontrastu czynił otoczenie jeszcze bardziej mrocznym, przerażającym i tajemniczym. Na widok tańczących wokół czarnych cieni Lynn poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

- Możesz iść o własnych siłach? - zwrócił się Jess do Rory i zanim zdążyła odpowiedzieć, postawił ją na ziemi.

Dziewczynka zachwiała się jednak i przyłożyła dłoń do czoła.

- Kręci mi się w głowie - powiedziała.

Podtrzymywana przez Jessa, osunęła się na trawę i usiadła z nogami skrzyżowanymi po turecku.

- Odpocznijmy chwilę - zaproponował kowboj.

- Tutaj? - zdziwiła się Lynn, patrząc niepewnie dokoła.

Po zapadnięciu nocy las ożył. Latarka na niewiele się teraz zdała, jej mizerne światło na próżno toczyło bój z nieprzeniknioną ciemnością. Maleńki, jasny punkcik nic w tych nierównych zmaganiach nie znaczył, po prostu niknął wobec ich ogromu. Jodły i sosny napełniały żywicznym zapachem rześkie, wieczorne powietrze. W blasku żaróweczki z mroku wychynał czujny jelen. Zamarł na moment, wlepiwszy oczy w intruzów, po czym z powrotem czmychnął w las. Odgłosy jego ucieczki zaniepokoiły inne nocne stworzenia. Co najmniej sześć par ciekawskich oczu natychmiast zabłysło ze wszystkich stron w mroku. Szczękając zębami, Lynn pocieszała się jednak myślą, że są zbyt niepozorne, by mogły należeć do niedźwiedzi.

- Nie, obok w Hiltonie - odparował Jess. Potem zdjął z pleców pakunek i przykucnąwszy przy nim, zwrócił się do Lynn: - Czy mogę prosić o latarkę? Spełniwszy jego prośbę, ściągnęła również swój plecak i cisnęła go na trawę obok córki, starając się przy tym nie myśleć o czyhających wokół stworach, gotowych w każdej chwili wypełznąć z mroków w morderczych zamiarach. Poszperawszy w swoim bagażu, Jess wyciągnął dwie plastikowe butelki ze źródlaną wodą i sprasowane w folii plastry suszonej wołowiny.

- Trudno mi wciąż dać wiarę, że Adventure Inc. nie dysponuje awaryjnym planem na wypadek takich sytuacji jak ta - Lynn nagle powróciła do wcześniejszych narzekań, co nie przeszkodziło jej przyjąć z rąk Jessa skromnego posiłku. Przebyte przeżycia i zmęczenie, nie wspominając o braku nikotyny, ponownie wprawiły ją w ponury nastrój. Jess rzucił jej chmurne spojrzenie.

- Następnym razem z pewnością coś przygotujemy. W końcu, jak mówi pewne znane powiedzonko, głupoty amerykańskich turystów nigdy nie należy lekceważyć - rzekł ponuro, nie przestając przeszukiwać plecaka.

- Nigdy nie słyszałam o takim przysłowiu - odparła wyniośle Lynn.

Zdjąwszy nakrętkę z butelki, podała wodę Rory, po czym wbiła zęby w spowijającą wołowinę folię, próbując ją przegryźć. Jednocześnie podniosła oczy na Jessa. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Nie? Szkoda. Powinno istnieć.

- Idź do diabła! - warknęła, lecz napotkawszy wzrok Rory, natychmiast pożałowała swoich słów. Podając córce jedzenie, zmusiła się do uśmiechu. Nie powinna teraz denerwować małej.

- Nie masz papierosów, prawda, mamó? - nie tyle zapytała, ile zauważyła Rory z rezygnacją w głosie.

- Skąd wiesz? - wyrwał się Jess, zanim Lynn zdążyła otworzyć usta, by odpowiedzieć.

- Ponieważ zawsze wtedy staje się przykra dla otoczenia. W żadnych innych okolicznościach nie przeklina - odrzekła prostodusznie dziewczynka, popijając z butelki.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie zawsze jest przykra? - zakpił kowboj, z udawanym zdziwieniem zerkając na Lynn i polykając jednocześnie potężny kęs wołowiny.

- Prawdę mówiąc, może i trochę jest. Babcia uważa, że to z powodu przejściowego wieku. W każdym razie jednak zwykle nie przeklina - oderwawszy niewielki plaster wołowiny, Rory włożyła go do ust i zaczęła żuć.

- Dość tego!

Lynn, zdradzona tak perfidnie przez własną matkę, zdecydowała się wreszcie przerwać im ową miłą pogawędkę. Problemy wieku przejściowego, dobre sobie! Może podobne do związanych z wiekiem dojrzewania u Rory? Kiedy tylko wrócą do domu, już ona powie matce, co o tym sądzi.

- Napady gorąca też jej się przytrafiają? - drażył Jess, najwyraźniej ubawiony paplaniną dziewczynki.

Bezczelnie z niej się naśmiewał! Rzuciwszy mu spojrzenie bazyliuszka, Lynn odgryzła kawałek wołowiny. Ostro przyprawione mięso nie przypadło jej do gustu, gdyż piekło w język i drażniło podniebienie. Pomimo to zmusiła się, by przełknąć kęs.

- Nie mam pojęcia - odrzekła Rory jak najbardziej poważnym tonem i spojrzała na matkę. - Miewasz je, mamo?

- Nie! - wykrzyknęła Lynn, by po chwili podjąć już spokojniejszym tonem: - Mam dopiero trzydzieści pięć lat, Rory. To za mało na objawy, o których mówisz. Kłopoty wieku przejściowego na razie mi nie grożą, naprawdę. Babcia nie ma racji.

- Babcia twierdzi, że za bardzo przejmujesz się pracą.

- Cóż, opowiada, niestworzone historie.

Tę uszczypliwą uwagę osłodziła uśmiechem, ponieważ Rory przepadała za babcią, podobnie zresztą jak ona sama przy innych okazjach. Uśmiech nie przyszedł jej łatwo. Rzeczywiście czuła się zmęczona i zła. Okropnie wściekła.

- Czy zamierzamy spędzić tę noc w lesie? - zwróciła się do mężczyzny, sprytnie zmieniając temat. - Czy też będziemy maszerować dalej, dopóki całkiem nie opadniemy z sił?

Wygłosiwszy obie kwestie mimo woli ironicznym tonem, zbyt późno ugryzła się w język. Powinna zachowywać się bardziej powściągliwie. Drażnienie Jessa w tych warunkach naprawdę dowodzi braku zdrowego rozsądku. Lepiej nie zrażać do siebie osoby, na której łaskę i niełaskę jest się zdanym wśród tych bezdroży.

Aby zatrzeć złe wrażenie, uśmiechnęła się promiennie do Rory. Biedaczka, krzywiąc się z niesmakiem, pochłaniała właśnie suszoną wołowinę. Okrywający ramiona dziewczynki srebrzysty koc przeciwstrząsowy szeleścił przy każdym jej ruchu. Zapewne świetnie odstraszałby drapieżniki, pomyślała Lynn, gdyż owinięta w srebrne tworzywo dziewczynka przypominała przybysza z kosmosu.

- O kilka kilometrów stąd znajduje się stara osada górnicza - wyjaśnił Jess. -

Jest tam parę rozsypujących się chatki, ale lepsze to niż nocleg pod gołym niebem. Zatrzymamy się tam, a rano wyruszymy w dalszą drogę. Jeśli wstaniemy wcześniej, mamy szansę dotrzeć do umówionego z Timem miejsca spotkania już wczesnym popołudniem.

- Tak szybko? - wyrwało się Lynn zgryźliwie.

Nie miała wcale zamiaru dokuczać Jessowi, czuła się jednak tak zmęczona i przybita, że nie panowała nad językiem. A poza tym wiedła bez papierosa!

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie - odparł z kamienną twarzą. Jego niewzruszony spokój wprowadził ją w jeszcze gorszy nastrój.

Pociągawszy łyk wody z butelki, kowboj zakręcił ją, po czym podniósł się z ziemi ze słowami:

- Idziemy!

Posłusznie zaczęły się powoli podnosić. Zebrawszy butelki po wodzie i pozostałe śmieci, Jess upchnął je do swojego plecaka.

Mozoląc się z własnym pakunkiem, Lynn patrzyła z zawiścią, jak zręcznie i bez wysiłku zarzuca sobie ładunek na plecy.

Pochwyciwszy jej spojrzenie, nachylił się tak, by Rory nie mogła dojrzeć ich twarzy i przemówił konspiracyjnym szeptem:

- No i co, mamusiu? Pozwolimy naszej rannej przejść się troszkę po lesie, czy też duży, zły wilk ma ją wziąć na rękę?

Lynn ponad jego ramieniem badawczo przyjrzała się córce, która wciąż jeszcze siedziała na ziemi.

- Ponieś ją - poprosiła cicho.

- Na pewno?

-Tak.

- Co wy tam tak szepczecie między sobą? - naburmuszyła się dziewczynka.

Odwrócili się ku niej oboje jak na komendę. Widząc podejrzliwe spojrzenie córki, Lynn uśmiechnęła się do niej przepaszająco. Oho, buntowniczy duch znowu wstępuje powoli w słodkie maleństwo, pomyślała, tym razem nieomal ucieszona.

- Takie sobie pogaduszki między dorosłymi - wyjaśniła, pochylając się nad dziewczynką, by pomóc jej wstać. Stanawszy na nogach, Rory zachwiała się, przykładając rękę do czoła iście teatralnym gestem.

Lynn spiesznie podtrzymała swoją jedynaczkę, jednocześnie rozpaczliwie rozglądając się za Jessem.

- Nie przemawiaj do mnie jak do dzidziusia - wyszeptała z wyrzutem Rory w stronę matki, a zarzucając ramiona na szyję kowbojowi, który wziął ją na rękę, dodała głośniej: - Mam już prawie piętnaście lat.

- A więc jeszcze troszkę ci brakuje do pełnej dorosłości - stwierdził.

Zajętą opatulaniem córki Lynn wielce ta uwaga zadziwiła. Sądziła dotąd, że Jess zawsze trzyma stronę Rory.

- Piętnaście lat skończysz za sześć miesięcy - uznała za stosowne dodać wyłącznie dla ścisłości, a nie, dlatego, że w jej opinii czternaście w czymkolwiek ustępowało piętnastu.

W szczególności, jeśli chodzi o mizdrzenie się do typów pokroju tego faceta, nie miało to najmniejszego znaczenia. Swoją drogą, czy smarkata nie mogłaby przynajmniej, jeśli już w ogóle musi interesować się płcią przeciwną, zwrócić uwagi na chłopców w swoim wieku? Tych ledwo dostrzegała, podczas gdy wszyscy mężczyźni, dla których traciła głowę, poczynając od nauczyciela fizyki, a na

dentyście kończąc, pochodzili z pokolenia jej rodziców. Tamci jednak mieli tę przewagę, że wzdychała do nich z ukrycia, z Jessem natomiast najwyraźniej miała ochotę zaprzyjaźnić się bliżej, a on nie czynił nic, by odwieść małą od tych zamiarów.

Ktoś, kto wymyślił termin „radość macierzyństwa”, z całą pewnością nigdy nie miał córki w wieku dojrzewania.

- Za cztery i pół miesiąca - sprostowała Rory oschłym tonem. - Dziewiętnastego listopada, nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam - odrzekła Lynn, nie zwracając uwagi na zaczepny ton córki. - Tak się składa, że przy tym byłam.

Nie miała już siły spierać się z córką. Na nic nie miała siły. Marzyła tylko o tym, by wreszcie wydostać się z tego lasu. I zapalić.

- Weź ją - odezwał się Jess, ruchem głowy wskazując na porzuconą w trawie latarkę. W strużce jej przytłumionego światła kłębiły się oślepienie blaskiem ćmy.

Prask! Schylając się po latarkę, Lynn z całej siły trzepnęła się dłonią po gołej szyi wystawionej na żer nocnych owadów. Coś ją ugryzło! Jakiś niezidentyfikowany stwór. Może komar? O tej godzinie różne spragnione krwi paskudztwa wyruszały na łów, jakby znękanym wędrowcom nie dość było innych utrapień.

Świetnie, znakomicie, coraz lepiej.

Kuląc ramiona, by osłonić się przed niewidzialnym wrogiem, Lynn podniosła latarkę. Jess kiwnął głową, dając do zrozumienia, że ma iść przed nim.

- Będziesz oświetlała tylko ścieżkę, dobrze? - upomniał ją, widząc, że omiata strumieniem światła drzewa wokół.

- Naprawdę chcesz, abym szła pierwsza? - zdziwiła się Lynn, zupełnie nieprzyjęta jego uwagą.

- Ty niesiesz latarkę.

Przeklęty drań! Znalazł sposób, by odplacić jej za wszystkie wcześniejsze impertynencje. Z rozmysłem wysłał ją naprzód, choć dobrze wiedział, że trzęsła się ze strachu przed czyhającymi w ciemności stworzeniami. Ale niedoczekanie tego szczura: raczej umrze, niż okaże swój lęk. Życie nauczyło Lynn robić dobrą minę do złej gry.

Zacisnęła zęby i ruszyła przed siebie. Starła się posłusznie oświetlać latarką drogę, choć od czasu do czasu, wiedziona silniejszą od nakazu woli pokusą, podrywała dłoń do góry, rozjaśniając las nad ich głowami. Coś usunęło się spod nóg Lynn bezgłośnie w mrok, zbyt szybko, by zdążyła rozpoznać, z którym z mieszkańców lasu ma do czynienia. Domyśliła się, więc tylko, że to wąż.

Kilkakrotnie zachręściły jej pod nogami wielkie jak kciuk żuki, które rozgniotła, nastąpiwszy na nie przez nieuwagę. Odziane w czarne, błyszczące pancerze wędrowały ścieżką, nie świadome czyhających tam niebezpieczeństw. Płowy zając śmignął jej sprzed oczu w las, czmychając przed światłem latarki.

Wokół głów wędrowców kręciły się chmary brzęczących im wprost do ucha owadów. W oddali koncertowały żaby. Pod osłoną ciemności wśród leśnego poszycia przemykały

z szelestem gryzoni, co chwila wydając przeraźliwe piski. Gdzieś nieopodal zaskrzeczało nagle drapieżne ptaszysko.

Rozstrojona tą kakofonią dźwięków Lynn aż podskoczyła, kiedy tuż za jej plecami nagle rozległ się głośny trzask, a po nim głośne okrzyki Jessa:

- Cholera! Niech to szlag!

Obróciwszy się na pięcie, Lynn ujrzała kowboja, który zatoczył się do tyłu, przyciskając dłoń do czoła.

- Jess! Och, Jess! - piszczała przestraszona Rory, uczepiona jego szyi.

Gdyby nie ten kurczowy uścisk, z pewnością upadłaby na ziemię, ale tylko machała zwisającymi nogami w rytm chwiejnych kroków swego bohatera.

- Co się dzieje? - Lynn zaświeciła latarką prosto w twarz kowboja. Ten osłonił ręką oczy przed blaskiem i znowu zaklął przez zaciśnięte zęby.

- Próbujesz mnie oślepić czy co?

- Przepraszam. - Opuściła rękę.

- Dlaczego mnie nie ostrzegłaś? - warknął gniewnie. Potrząsnął kilka razy głową, jakby dochodząc do siebie, po czym na powrót otoczył Rory obiema rękami.

- Biedaku! - rozczuliła się dziewczynka, usiłując pogłaskać go po czole. Lynn nie mogła nie docenić faktu, że mężczyzna uchylił się przed ręką jej córki.

- Przed czym? - Nic nie rozumiała.

- Przed gałęzią! - Wyrażna pretensja w jego głosie wskazywała, iż uważa tę odpowiedź za oczywistą. Lynn tymczasem dalej nie rozumiała, o co mu chodzi. -

Właśnie tą! - dodał z naciskiem, pochylając głowę, by z Rory w objęciach przejść pod rzeczoną przeszkodą.

Spojrząwszy w tę stronę, Lynn w jednej chwili pojęła wszystko i zaczęła głośno się śmiać.

- Mamo! - Rory, wzięwszy stronę ich wybawcy, nie kryła oburzenia. Kowboj zaś tylko popatrzył ponuro na Lynn.

Wysoko w poprzek drogi zwieszał się gruby konar gigantycznej sosny. Niższa Lynn swobodnie pod nim przeszła, ale rosy kowboj uderzył w gałąź z całej siły.

- Przykro mi, ale wcale go nie zauważyłam - tłumaczyła się Lynn. Tłumiąc wesołość, czyniła wielkie wysiłki, by w jej głosie zabrzmiał ton skruchy.

Krótkie chrząknięcie Jessa, stanowiące jego jedyną odpowiedź, wyrażało najwyższe powątpiewanie w szczerłość jej słów.

- Mamo, to wcale nie jest śmieszne! - zdenerwowała się Rory.

- A ja uważam, że wyjątkowo zabawne - ucięła jej matka głosem słodkim jak lukrecja.

Potem zaś odwróciła się na pięcie i ruszyła w dalszą drogę, przyświecając sobie latarką. Dzięki przygodzie kowboja odzyskała dobry nastrój, a jej usta ułożyły się nawet w coś na kształt uśmiechu.

Jeśli nie liczyć kilku cichych szeptów Rory do Jessa, wędrówka pełną nierówności ścieżką upłynęła im w milczeniu.

Kiedy wreszcie wyszli z lasu na rozległą polanę, Lynn zatrzymała się niepewnie.

W mdłym świetle księżyca ujrzeni trzy pochylone chatynki w otoczeniu starych, na

wpół zrujnowanych maszyn.

- Osada górnicza - z radością oznajmił Jess. - Zostaniemy tu na noc.

13

21 czerwca 1996, godz. 20.30

Skulona na twardym klepisku ciasnego składziku Theresa, z pobladłą ze strachu twarzą, z całej mocy powstrzymywała się, by nie zacząć krzyczeć. Eliasz kwilił cichutko w jej ramionach. W jednej ręce ścisnęła butelkę z mleczno-winną miksturą, drugą zaś uspokajająco poklepywała niemowlę po plecach, kołysząc się przy tym zapamiętale razem z nim w przód i w tył. Dziecko nie miało już ochoty ssać: wypluwało smoczek za każdym razem, kiedy usiłowała wepchnąć go chłopczykowi do buzi.

Serce dziewczyny przepełniała trwoga, że w każdej chwili owo niewinne popiskiwanie może przerodzić się w głośny lament.

- Bądź dobrym chłopcem, Eliaszku, nie płacz. Moje słodkie maleństwo, proszę cię

- szeptała z rozpaczą do braciszka.

Eliasz rzeczywiście zawsze był wyjątkowo spokojnym niemowlakiem - nigdy nie krzyczał, a przez te ostatnie dwa koszmarnie dni zaledwie parę razy zakwilił.

Nie, mały nie zdradzi ich kryjówek. Na pewno. Zresztą Theresa nie pozwoli mu na to.

Ta ostatnia myśl przeszła ją dreszczem.

- Luli, luli, maleńki...

Krzyki na górze umilkły już dawno i dziewczyna nie umiała ocenić, kiedy to było.

Siedząc nie wiadomo jak długo w ciemnej piwniczce, do której nigdy nie dochodził najdrobniejszy promyczek światła dziennego, całkiem zatraciła poczucie czasu.

Cisza mogła zapaść równie dobrze dwie godziny, jak i dwa dni temu.

Od czasu do czasu spokój zakłócały odgłosy kroków na górze i hałas towarzyszący przeciąganiu czegoś ciężkiego po podłodze. Potem znów nastawała cisza.

Chwile, gdy dom tonął w złowrogim milczeniu, wcale nie zachęcały Theresy do opuszczenia kryjówek. Obawiała się nawet wystawić nos na zewnątrz, gdyż intuicja podpowiadała jej, iż owa cisza zwiastuje nieszczęście.

Tak samo jak wcześniej przewidziała czające się przed domem niebezpieczeństwo, teraz też niemal namacalnie wyczuwała obecność zła na górze. Ostrzegały ją przed nim skręcone ze strachu wnętrzności, a co więcej, znała jego imię: Śmierć, która przyszła zebrać tu swe żniwo i upomina się o nich dwoje, skazanych na katusze trwogi w tej piwniczce jawiącej się jako ich własne piekło.

„Nadeszła Śmierć, a po niej nastąpiło piekło” - ojciec niejednokrotnie przytaczał im ten wers z Księgi Apokalipsy.

Theresa zadrżała, nie tyle z lęku tym razem, ile z zimna. W tym jej prywatnym, podziemnym piekle panował chłód, a zapachy ziemi, zgniłych jarzyn i wstydliwych śladów pobytu Theresy w jednym z kątów mieszały się z wonią niemowlęcych wymiocin, mokrych pieluch - i paraliżującego strachu.

Eliasz zaczął się kręcić i chcąc podkurczyć swe małe tłuste nóżki, wbił jej twarde jak orzeszki kolanka w piersi.

Wiedziała dobrze, co się święci: zaraz zacznie wrzeszczeć.

- Aaa, kotki dwa... - zanuciła.

Pewnie bolał go brzusek, gdyż prężył się i co chwila oddawał gazy. Mieszanka mleka i wina nie posłużyła układowi trawiennemu sześciomiesięcznego malca. i co chwila oddawał

- Cśśś, maleńki. Tylko nie płacz. - Theresa przerwała śpiew, kołysząc się jak w transie i w rozpaczce szeptem błagała braciszka o spokój. - Nie płacz, proszę.

Tuż nad ich głowami zaskrzypiała podłoga. Śmierć zbliżała się, ciągnąc coś za sobą po podłodze.

Wtuliwszy mokrą twarzyczkę w szyję siostry, Elias zapłakał.

Odgłos kroków na górze zamilkł.

14

21 czerwca 1996, godz. 20.30

Zmierzając w stronę zabudowań, Jess poruszał się cicho i ostrożnie niczym kot.

Rory w jego objęciach również się nie odzywała, tylko spowijający ją srebrny koc szeleścił przy każdym kroku. Połyskująca w świetle księżyca aluminiowa folia jak neon z daleka przyciągała wzrok, a wydawane przez nią suche trzaski

rozbrzmiewały w panującej wokół ciszy niczym brzęczące werble. Szepnąwszy coś do ucha dziewczynce, kowboj zerwał jej okrycie z ramion i odrzucił na ziemię.

Jak to się stało, że skradali się w milczeniu zamiast radośnie huknąć w stronę chatki, że nadchodzą?

To dawno zapomniany instykt nagle odżył i nakazał Jessowi mieć się na baczności.

Głucha cisza rozlewająca się po mrocznej polanie obudziła w nim niepokój.

Kilka kroków przed nim Lynn, okutana w wielką, bezkształtną kurtkę, brnęła przez zieloną łąkę, omiatając latarką sięgające jej do kolan kwiaty. Dzięki światłu uniknęli nastąpienia na porzucony w trawie, dawno nieużywany kilof. Ostrze pokrywała rdza, a drewniana rękojeść sprawiała wrażenie przegniłej.

Napięcie Jessa rosło z każdym krokiem, choć nic, oprócz przecucia, nie uzasadniało tej obawy.

Ale kowboj dawno temu już nauczył się nie lekceważyć owego mrowienia w karku, dzięki któremu zdołał ująć cało z niejednej opresji.

Sama osada wyglądała, zgodnie z oczekiwaniami, na opuszczoną. Panowała w niej głucha cisza: nic się nie poruszyło, nie stęknęło, nie skrzypnęło nawet. Trójka wędrowców słyszała jedynie szum wiatru, brzęczenie owadów i szelest przemykających wśród trawy drobnych stworzeń.

Blade światło księżyca wydobywało z mroku z lekka niesamowitą scenerię starego osiedla jakby żywcem wyjętego z ubiegłego wieku. W każdym razie pochylone ku ziemi domy i zardzewiałe górnicze urządzenia z pewnością liczyły sobie więcej zim niż sto.

Jess wielokrotnie odwiedzał to miejsce, ale zawsze za dnia.

Może w tym właśnie tkwiła tajemnica. Może to księżycowa poświata rozsunęła nad łąką aurę grozy. Stada gęstych, połyskujących srebrzyście chmur płynęły po

czarnym niebie, zalegające nad ukwieconą łąką opary białej mgły wzbijały się tu i ówdzie w powietrze, przybierając kształty tak niesamowite, że Jess ujrzał w nich wędrujące do nieba duchy. O tak, miejsce to z całą pewnością było nawiedzane przez duchy. Zupełnie jak cmentarz.

To porównanie nasunęło się kowbojowi samo. Choć na pozór niedorzeczne, nie mógł się od niego uwolnić.

Dość mam kłopotów z duchami przeszłości, by przywoływać jeszcze nowe, skarcił się w myśli.

W tej samej chwili Lynn potknęła się i upuściła latarkę; schyliła się, by ją podnieść - i nagle powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk.

15

O mój Boże! O Boże!

Nie mając sił dźwignąć się na nogi, półprzytomna Lynn cofała się na czworakach, porażona strasznym widokiem. Przed nią na ziemi leżały na wznak zwłoki z rękami złożonymi na piersiach jak do modlitwy; szeroko otwarte martwe oczy były wbite w przestrzeń.

Nigdy nie oglądała czegoś równie przerażającego.

Nieznajoma była kobietą, śmierć zabrała ją nagle - bosą, odzianą tylko w różową flanelową koszulę nocną. Długie, jasne włosy miała splecione w warkocz, związany na końcu kawałkiem różowej przędzy. Zsunięty na jedną stronę sznur płowych włosów niczym wąż wił się w trawie.

Coś przypominającego rubinowy naszyjnik zdobiło szyję nieszczęsnej. Szeroki naszyjnik rozciągający się od ucha do ucha jak rozchylone w półśmiechu usta.

Krwawy naszyjnik.

Nagle Lynn pojęła upiorną prawdę: zmarła miała poderżnięte gardło. Lynn poczuła, że zaraz zemdleje.

- Co się stało, mamó?

- Co się z tobą, u diabła, dzieje?

Chór dwóch pełnych niepokoju głosów poderwał wreszcie ją na nogi. Podnosząc się gwałtownie, wpadła na kowboja dźwigającego Rory.

Dzięki Ci, Panie, za obecność Jessa. Nieokrzesany, bo nie okrzesany, ale potężnie zbudowany i silny.

Ambicja stawienia czoła niebezpieczeństwu zmagala się w Lynn z chęcią ucieczki, na korzyść tej ostatniej. W razie konieczności Jess z pewnością stanąłby do walki, ona i Rory zaś wzięłyby raczej nogi za pas.

- Spójrzcie - wyjąkała, szarpiąc mężczyznę za rękaw kurtki i wskazując głową makabryczne odkrycie.

Latarka wciąż leżała w pobliżu zwłok, w miejscu, gdzie Lynn ją upuściła. Młde światło padało na złożone ręce ofiary, krwawą szramę na jej gardle i szeroko otwarte, szklane oczy, podkreślając grozę tej śmierci.

Zimny dreszcz przebiegł Lynn po krzyżu.

- O mój Boże! - Rory powtórzyła okrzyk matki, zachowując nawet taką samą intonację. Moja nieodrodna córka, pomyślała Lynn ponuro.

- Jezu Chryste! - Jess też posłużył się inwokacją o religijnej treści, choć w jego ustach zabrzmiała ona nieomal bluźnierczo.

Postawiwszy Rory na ziemi, ruszył, by podnieść latarkę. Lynn z Rory bezwolne jak kukły podały za swym wybawcą, obserwując pilnie jego poczynania. Przyłgnęły do siebie, ciasno objęte ramionami, czerpiąc złudne pocieszenie z ciepła ciała drugiej, drżącej, lecz cudownie żywej i oddychającej istoty ludzkiej.

Jess oświetlił martwą kobietę, wolno przenosząc strumień światła z jej stóp do głowy i z powrotem. Pochyliwszy się nad leżącą, dotknął jej dłoni, szukając pulsu. Przez chwilę badał go z uwagą, po czym wstał.

- Nie żyje - oznajmił, odwracając się do swych przerażonych towarzyszek.

Pięknie - Lynn ograniczyła się do jednego, niezbyt mądrego podsumowania. To wszystko, co zdołało jej przyjść do głowy. W następnej chwili jej sparaliżowany trwogą umysł zaczął na po wrót funkcjonować.

- Została zamordowana. - Trzęsąc się jak w febrze, wypowiedziała na głos przeczuwaną przez całą trójkę straszną prawdę.

Nie zdążyła dokończyć tego zdania, gdy nagle poraziła ją kolejna myśl, jeżąc wszystkie włosy na głowie: To oznacza, że morderca czai się w pobliżu. Jest tutaj!

- Mamo! - załkała Rory, drżąc w jej objęciach jak osika. Lynn przytuliła mocniej córkę. Oderwawszy wzrok od ciała, rzuciła spłoszone spojrzenie w ciemność spowijającą osadę.

- Jezu Chryste - wyszeptał ponownie Jess, dokonawszy kolejnego odkrycia. W niewielkiej odległości od martwej kobiety leżały zwłoki kilkunastoletniego chłopca, ubranego w dzinsy i bawełniany podkoszulek. Obute stopy znajdowały się w pobliżu głowy poprzedniej ofiary. Podobnie jak nieznajoma, chłopiec został starannie ułożony w pozycji na wznak, ze złożonymi na piersiach rękoma, w odróżnieniu jednak od niej czyjaś litościwa dłoń zamknęła mu oczy. On także miał podcięte gardło.

- O Boże! - wyszeptała Lynn zdławionym głosem.

Jess postąpił naprzód, aby się upewnić, że chłopiec nie żyje. Ledwie zdążył postawić krok, gdy światło latarki wydobyło z cienia kolejny but, ukryty wśród traw nieopodal głowy nastolatka. Wędrując w tamtą stronę snopem światła, kowboj natknął się najpierw na wystającą z buta tydkę, a dalej wzdłuż opiętej dzinsami nogi dotarł aż do tułowia w zakrwawionej koszuli. Szczupłe, opalone dłonie ofiary spoczywały złożone na piersi w mokrej plamie krwi.

Lynn domyśliła się, że to następny kilkunastoletni chłopiec, lecz nie odważyła się sprawdzić, czy odgadła. Drżąc konwulsyjnie, zacisnęła z całej siły powieki, zanim światło latarki padło na twarz zamordowanego.

To chyba jakiś koszmarny sen. Niemożliwe przecież, że stoją tu z Rory na zagubionej na końcu świata łące pełnej ludzi pozbawionych życia w wyjątkowo odrażający sposób.

Nie, nie. Trzeba się obudzić. Pewnie zasnęła. Tak, śpi jak suseł. Cały ten potworny dzień to tylko senna mara. To tylko...

Nie zdążyła dokończyć tej myśli, gdyż usłyszawszy, że Rory i Jess gwałtownie wciągają powietrze do płuc, czym prędzej otworzyła oczy.

Widok, który ujrzała, ściał jej krew w żyłach: w odległości kilkunastu metrów od ciał wznosił się drewniany, naprędcie zбитy krzyż, niewiele wyższy od dorosłego człowieka. Ukryty w cieniu wysokich leśnych drzew, aż dotąd pozostawał niezauważony. Teraz, w świetle latarki, wędrowcy ujrzeli go w całej okazałości. Wisiał na nim nagi mężczyzna - czyżby został ukrzyżowany?

Czerwona, błyszcząca struga krwi spłynęła mu wzdłuż ciała, znacząc wielkimi plamami nagi tors, genitalia i nogi. Nie ulegało wątpliwości, że u stóp krzyża zebrała się spora kałuża.

Lynn zamruwała raz, drugi, trzeci. Potworność tej sceny przerosła wszelkie wyobrażenia, lecz jednocześnie jej realność zdruzgotała wszystkie dotychczasowe nadzieje. Nie, to nie sen, lecz ponura jawa.

- Mamo, spójrz! - szarpnęła ją Rory, wskazując na pobliskie zabudowania. Z chatek wynurzyły się jak zjawy trzy, nie, cztery postaci. Lynn zamarła, widząc, że kierują się w ich stronę.

Nadciągały z oddali, jak gdyby płynąc nad ziemią. Może te widziadła nie miały nóg?

Och to najkoszmarniejszy z koszmarnych snów

Wydawało się jej, że przez tragiczną pomyłkę wylądowała w samym środku jednego z owych nieprawdopodobnie kiczowatych horrorów dla dzieci noszących absurdalne tytuły w rodzaju „Noc żywych trupów”, czy „Strachy w Żelkowie”, z których tak serdecznie naśmiewała się Rory wraz z przyjaciółkami.

Włosy zjeżyły jej się na głowie a usta same złożyły do okrzyku.

- Uciekajmy!

16

Kłapa w podłodze zaprotestowała przeraźliwym skrzypnięciem, kiedy czyjeś niewidzialne ręce wyrwały ją ze spoczynku, unosząc niespodziewanie kilka centymetrów w górę.

Wciśnięta w najodleglejszy kąt piwniczki Theresa, przywarłszy z całej siły plecami do ściany, zacisnęła dłoń na ustach Eliasza.

- Nie, proszę, nie. Ocal nas, Panie, błagam - powtarzała gorączkowo w myślach.

W pomarańczowym świetle sączącym się z powstałego po uchyleniu kłapy prostokątnego otworu majaczył niewyraźny cień.

To widmo śmierci zaglądało do kryjówki Theresy.

Palce dziewczyny wpiły się w puchowate policzki niemowlęcia z taką siłą, że mogła wyczuć wszystkie jego najdrobniejsze kosteczki.

Małe usteczka uwięzione we wnętrzu jej dłoni zadrgały niespokojnie, na próżno próbując zaczerpnąć tchu. Przestraszone dziecko wilo się jak piskorz, próbując wyrwać się z żelaznych objęć siostry.

Theresa miała wrażenie, że wciąż słyszy stłumione kwilenie niemowlęcia.

Zacisnęła palce jeszcze mocniej, czując jak braciszek pręży się cały, rozpaczliwie walcząc o haust powietrza.

Śmierć nachyliła się głębiej; w każdej chwili jej bezwzględne oko mogło dostrzec Theresę.

Dziewczyna poczuła, że ciepły strumień spływa w dół po jej udach. W nozdrza uderzył ją ostry zapach uryny.

„Ojczy nasz, któryś jest w niebie...” - modliła się żarliwie jedynymi słowami, jakie przyszy jej do głowy.

Ciałko Eliasza zwiotczało w jej ramionach.

Śmierć odstała. Serce Theresy biło nieprzytomnie, zupełnie jakby oszalały ptak tłukł się w klatce jej piersi. Przerażona z trudem łapała powietrze.

Nagle zdała sobie sprawę, że Śmierć może usłyszeć jej spazmatyczny, urywany oddech, i zamarła bez tchu.

Czarny cień zniknął. Przez chwilę Theresa wpatrywała się bezmyślnie w niczym niezmacony, regularny prostokąt pomarańczowego światła, jakby pragnąc się upewnić, że groźne widmo już nie powróci.

Niemowlę spoczywało w jej ramionach ciche i nieruchome. Odjąwszy dłoń od usteczek brata, Theresa pochyliła nad nim twarz.

Dziecko leżało spokojnie, z zamkniętymi oczami.

- Eliaszu! Och, Eliaszu! - jęknęła w duchu, potrząsając malutkim, by przywrócić go do życia. Daremnie. Niemowlę ani drgnęło.

Boże, wybacz mi, łkała, tuląc do siebie bezwładne, wciąż jeszcze ciepłe ciało - namacalny dowód strasznego czynu.

Piekące łzy popłynęły strumieniem z jej oczu.

17

Biegnijmy! - zawtórował Jess, porywając Rory z ziemi w obawie, że rannej nastolatce zabraknie sił na samodzielną ucieczkę. Nie zwlekając, rzucił się pędem w stronę lasu, z podskakującą mu na plecach, wrzeszczącą wniebogłosy dziewczynką. Za nimi podążyła Lynn.

Niech licho porwie wszystkie rozhisteryzowane małolaty, pomyślał ze złością kowboj. Choć Rory umilkła w końcu, odgłos jej przenikliwego krzyku długo jeszcze rozbrzmiewał w uszach kowboja.

I od innych okropności także ustrzeż nas, Panie, dodał szybko kolejne życzenie. Tu zadrżał na wspomnienie ostatniego odkrycia, które wstrząsnęło nim do głębi: widoku kilkunastu kolejnych ciał ułożonych na trawie w rodzaj tajemniczego wzoru.

Nie miał pojęcia, co ów wzór symbolizuje.

W każdym razie zauważył, że krzyż z rozpiętym na nim mężczyzną zajmował centralną pozycję wśród otaczających go zewsząd rozciągniętych na ziemi zwłok.

W co, na litość boską, wpakowali się we trójkę? Ani chybi odkryli zbiorowe morderstwo, co do tego Jess nie miał cienia wątpliwości. Tylko, jakiego rodzaju - czyżby zabójstwo rytualne?

Co gorsza, sprawcy tej odrażającej zbrodni właśnie ich ścigają. To także jest jasne.

Nie ma to jak znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie, podsumował z

przekąsem. Ale zdążył już się przyzwyczaić do niepomysłnych splotów okoliczności w swoim życiu.

Obecny fatalny przypadek mógł jednak kosztować go wyjątkowo drogo. Groziła mu śmierć. Jemu, Rory i Lynn także.

Dziewczynka uspokoiła się i siedziała na jego plecach cicho jak mysz pod miotłą. Tylko dłonie wczepione w kurtkę kowboja z taką mocą, że zdawało się, iż zamek błyskawiczny lada chwila trzaśnie, świadczyły o wielkim napięciu Rory. Szybki rzut oka za siebie upewnił Jessa, że Lynn podąża jego śladem tak chyżo, jak by gonila ją cała sfora diabłów.

Co zresztą zdawało się wcale nie odbiegać od prawdy. Jess zdrętwiał, przyjrzawszy się w mdłym świetle księżycy ścigającym ich mordercom.

Nie mieli w sobie nic z ludzi: żadnych charakterystycznych twarzy ani dających się zapamiętać znaków szczególnych. Po pro stu przez polanę płynęło kilka białych, bezkształtnych sylwetek.

Jess uznałby je może za wcielenie złych mocy, gdyby nie pewien znamieny szczegół: postaci uzbrojone były w karabiny maszynowe. Seria strzałów gruchnęła właśnie za uciekinierami, którzy zdołali tymczasem szczęśliwie dotrzeć na skraj lasu.

Duchy z bronią? Wykluczone.

18

Emanująca na górze martwa cisza napawała Theresę większą trwogą niż wcześniejsze krzyki. Przerazenie sparaliżowało ją do tego stopnia, że nie była w stanie ani drgnąć. A może?

...

Spróbowała. Strach tym razem okazał się sprzymierzeńcem: pod jego wpływem dziewczynie udało się zmusić zdrętwiałe mięśnie do wysiłku. Niczym krab popełzła po brudnej posadzce piwnicy w stronę obiecującego wyzwolenie pomarańczowego światła. Posuwała się na trzech tylko kończynach, ponieważ jedną ręką wciąż przyciskała do piersi Eliasza. Nie zdecydowałaaby się go porzucić, choćby nie wiadomo, co miało się jeszcze wydarzyć.

Nie dopuszczała do siebie myśli, że dziecko nie żyje. Że je uduśliła.

Nie, Boże, proszę Cię, modliła się gorąco. Nie pozwól, by tak się stało.

Nie chciała zabić małego, przeciwnie - pragnęła go ocalić.

I siebie także. Nie chciała ginąć, miała przecież dopiero szesnaście lat. Dobry Boże! - tak bardzo chciała żyć!

Bała się umierać.

Śmierć tymczasem odeszła. Porzuciła chatkę, zabierając swoje demony. Theresa wyraźnie nie czuła już ich obecności.

Miała nadzieję, że tamci zniknęli na zawsze. Modliła się o to.

Dotarłszy do otworu wyjściowego, zawahała się chwilę. Gardło dławił jej strach, z trudem łapała powietrze, perliste łzy spływały ciurkiem po twarzy. Przerazenie na moment odebrało jej zdolność dalszego działania. Przycupnęła w bezruchu pod klapą, nasłuchując pilnie.

A jeśli Śmierć czyha jednak na nią na górze?

Mimo wszystko musi zaryzykować. W przeciwnym razie i tak wyzionie ducha w tej zimnej i wilgotnej norze z głodu i pragnienia, a nawet, jeśli przetrwa jeszcze kilka strasznych chwil, Śmierć może po nią wrócić.

Tak, z całą pewnością prędzej czy później zajrzy tu ponownie, by upomnieć się o swoje ofiary.

Znowu przeszuka piwniczkę, tym razem dokładniej.

Przygarnawszy mocniej Eliasza, Theresa zmobilizowała całą swoją odwagę.

- Boże, miej nas w swojej opiece - wyszeptała drżącym głosem.

Powierzywszy swój los opatrności, wspięła się na stojącą wprost pod klapą skrzynię i skulona, ostrożnie zerknęła w górę. Mdła pomarańczowa poświata z dogasającego pieca oblewała całe pomieszczenie. Na deskowanym suficie nad głową dziewczyny tańczyły giętkie cienie. Półki uginające się pod słojami pełnymi przetworów na zimę wyglądały zatrważająco zwyczajnie. W prawym górnym rogu otworu prowadzącego na górę do kuchni kołysała się pajęczyna.

A więc to tak wygląda piekło.

Dziewczyna stała przez chwilę bez ruchu, wyciągając szyję i nasłuchując, czujna i napięta do ostatnich granic jak węszący pies myśliwski. Wreszcie powzięła decyzję. Wyprostowała się i niepewnie wysunęła głowę przez otwór w suficie.

Uderzył ją panujący na górze spokój. Powietrze przesycił swojski aromat płonącego drewna, cynamonu i żywicy sosnowej. Ten znajomy zapach sprawił, że Theresę przeszył ostry ból na myśl o bliskich.

Co się z nimi stało? Z całą rodziną. Z mamą i tatą, i z dziewczynkami. A bracia, co z nimi?

Niemożliwe przecież, aby wszyscy zginęli.

Nie, nie powinna teraz łamać sobie tym głowy. Ani Eliaszem.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że zrobiła mu coś złego, choć serce jej ścisnął niepokój.

Dzwoniącą w uszach ciszę zakłócał jedynie przyjemny trzask suchych gałązek w palenisku.

Wziąwszy głęboki wdech, dziewczyna precyzyjnie się przez otwór. Potem, gramoląc się niezdarne, stanęła chwiejnie na nogach. Nie miała jednak czasu, by płakać nad swą słabością. Trze ba uciekać, nie zwlekając ani chwili, biec byle dalej stąd, nawet, jeśli szansę przeżycia są niewielkie.

Rozejrzawszy się bojaźliwie wokół, stwierdziła, że frontowy pokój świeci pustką.

Drzwi na zewnątrz stały otworem, jakby zapraszając do wyjścia w ciemność.

Czy nie tkwiła w tym pułapka?

Theresa, nie zważając na to, jednym susem przesadziła próg i popędziła prosto w noc, zostawiając za sobą chatkę z jej upiornymi widmami; wybiegła na powietrze, zachłystując się jego zimnym oddechem, ponieważ poczuła się wolna, wolna...

Lecz Śmierć ze swymi towarzyszami wciąż grasowali w mroku. Theresa zobaczyła, że pędzą watahą w stronę ciemnego lasu, oddalając się od niej. Gdyby któremuś z nich strzeliło teraz do głowy, by się odwrócić, z pewnością zauważyłby

dziewczynę. A wtedy byłoby po niej. Nie zdołałaby uciec przed nimi, dopadli by jej jak stado wygłodzonych wilków i rozszarpali na strzępy.

Padłszy na ziemię, Theresa jak komandos pod ogniem nieprzyjaciela zaczęła się czołgać wśród wysokich traw, wlokąc ze sobą bezwładne niemowlę. Kamienie, ciemność i osty darły jej nocną koszulę, szarpiąc skórę do krwi, lecz dziewczyna nie czuła bólu. W zapamiętaniu brnęła w stronę wybawienia - opuszczonej kopalni srebra wydrążonej w skale w ubiegłym stuleciu.

Tylko tam będzie bezpieczna, o ile w ogóle można czuć się bezpiecznym w świecie, po którym chadza Śmierć.

Pozostało już niewiele ponad sto metrów do wejścia, gdy nagle jej palce natrafiły na ciało - zimne i nieruchome. Powiódłszy spojrzeniem za dłońią, Theresa zamarła z przerażenia. O krok od niej spoczywał martwy Zach - jej kuzyn. Dotykała ręką policzka nieżywego chłopca.

Szeroko otwarte oczy Zacha, piwne jak jej własne, wpatrywały się niewidzącym spojrzeniem w przestrzeń. Twarz chłopca przybrała kredowobiały odcień, wokół oczu utworzyły się sine obwódki.

Z kącika otwartych ust biegła strużka zastygłej krwi.

Miał na sobie skózaną kurtkę i buty do konnej jazdy, które wyzebrał przed kilkoma dniami od najstarszego brata Theresy.

Ktoś poderżnął mu gardło.

Wokół ciała nieszczęśnika utworzyła się kałuża wymieszanej z błotem krwi, którą zdjęta zgrozą Theresa musiała przebyć.

Nie oddaliła się zbyt daleko, gdy poczuła, że zbiera jej się na torsje. Wymiotowała długo, czując bolesne skurcze żołądka, aż całkiem opadła z sił. Potem, niepompna na nic wobec ostatniego odkrycia, dźwignęła się chwiejnie na nogi. Ścisnęła mocniej pod pachą Eliasza i słaniając się, ruszyła w stronę zbawczego wejścia do kopalni.

To, że dotarła tam niezauważona, zakrawało na cud. Pochłonęła ją czarna czeluść; stukot szybkich kroków dziewczyny odbijał się echem od ścian kamiennych korytarzy. Theresa biegła, do póki nie zabrakło jej tchu.

Wówczas, zadyszana i drżąca, osunęła się ciężko na ziemię. Przytuliła Eliasza do piersi i bezwiednie zaczęła go kołysać ni czym szmacianą laleczkę.

19

W poszukiwaniu uciekinierów wysłannicy śmierci przeczesywali las. Mimo łomotu serca Lynn słyszała wyraźnie, jak tyralierą nadciągają w ich kierunku.

Kimkolwiek są, to nie upiory, lecz istoty ludzkie. I do tego uzbrojone.

Serie kuł cięły las, kiedy cała trójka pędziła na oślep przed siebie wśród drzew. Odgłosy strzałów przypominały Lynn plaśnięcia wymierzanych komuś policzków. Pod wpływem strachu gnała do przodu z prędkością, o jaką nigdy by się nie podejrzewała.

Podobnie Jess. Choć przygnieciony ciężarem Rory bezwładnie podrygującej na jego plecach, pędził jak rakieta, sadząc dla zmylenia pogoni wielkimi susami na boki i zmuszając tym samym biedną Lynn do rozpaczliwego kluczenia jego śladem.

Kule nie przestawały świstać im koło uszu, lecz odległość dzieląca uciekinierów od depczących im po piętach opryszków zdawała się powiększać, tak iż w końcu Lynn zaczęła nabierać nadziei, iż wymkną się prześladowcom.

- Auuu!

Ujrzała ze zdziwieniem, że Jess runął nagle jak podcięty na ziemię. Padł z jękiem na kolana i chwycił się kurczowo za prawe ramię, a potem osunął w pokrywające ziemię gęste bluszcze.

Rory, nieoczekiwanie pozbawiona środka transportu, przekoziółkowała kilka metrów w powietrzu i wylądowała twarzą w mchu. Ku ogromnej uldze matki pozbierała się natychmiast i usiadła o własnych siłach, z niedowierzaniem mrugając oczami.

Upewniwszy się, że córce nic się nie stało, Lynn pośpieszyła do kowboja.

- Krwawisz - stwierdziła, przykucnąwszy obok niego i tępo wpatrywała się w powiększającą się z minuty na minutę ciemną plamę, która wykwitła na jego ramieniu. Przez małą, czarną dziurkę w srebrnoszarej kurtce mężczyzny tryskała krew, wsiąkając w jasny materiał.

- Jak to odgadłeś, Sherlocku - zakpił, przyciskając dłoń do rany.

Puściła tę drwinę mimo uszu, uznawszy, że tym razem ponure okoliczności usprawiedliwiają jego sarkazm.

Jess leżał na plecach z nogami ugiętymi w kolanach i oddychał ciężko. Stopy oplatały mu bluszcze, głowę wieńczyły pokryte mchem gałązki krzewu, który połamał się pod jego ciężarem.

Rory podpełzła bliżej i uklękła obok Lynn. Wymieniwszy milczące spojrzenia, obie zajęły się rannym.

Nowa seria kul zagwizdała nad ich głowami, szatkując korę pobliskich drzew. Lynn przygarnęła córkę i pochyliwszy ją ku ziemi, nakryła własnym ciałem. Z wysokich, poruszonych przez grad pocisków gałęzi posypał się na nie deszcz kropli z wcześniejszej ulewy.

Strzały umilkły, a uszu Lynn dobiegły podniesione głosy. Wyprostowała się, chcąc złowić choć kilka słów, lecz z tej odległości było to niemożliwe; zdała sobie jednak sprawę, że tropiący ich mordercy znajdują się niebezpiecznie blisko.

Przejmujący strach ścisnął jej gardło, z największym wysiłkiem chwytła oddech.

Siedząca obok po turecku Rory wtuliła się w matkę, jak gdyby szukając ratunku.

Jess uniósł ku nim spopieląłą twarz.

- Uciekajcie obie - rzucił krótko.

Lynn spojrzała na córkę: usta dziewczynki drżały, szeroko otwarte oczy zdradzały przerażenie, czarna, niezwiastująca nic dobrego szrama przecinała czoło. Dla dobra dziewczynki Lynn gotowa była wziąć nogi zapas i zostawić Jessa na pastwę losu w tym ponurym lesie.

Obawiała się jednak, że Rory nie zdoła pobiec dość szybko lub że zbyt wcześnie opuszczają siły, uniemożliwiając dalszą ucieczkę.

- Złapią nas - wyszeptwała niepewnie, oblizując usta.

Kule zaświstały ponownie, tym razem strącając liście z drzew. Lynn i Rory skuliły się, zakrywając głowy rękami.

Dziewczynka pisnęła cichutko. Ten dźwięk zelektryzował Lynn. Poczła nagły przypływ energii: uczyni wszystko, by ocalić córkę.

- Musimy się ukryć - zdecydowała głosem ochryłym z emocji, wodząc dokoła bystrym spojrzeniem.

Napastnicy zbliżali się nieuchronnie; niedługo tu dotrą. Ucieczka nie wchodziła już w rachubę. Ranny Jess nie zdołałby unieść Rory, a co gorsza, mogłoby się okazać, że nawet i bez tego ciężaru nie ma dość sił, by biec. Poza tym wysłannicy piekieł byli już zbyt blisko, by ryzykować. Nawet jeśli nie dostrzegą trzech przemykających się pod osłoną ciemności sylwetek, z pewnością usłyszą odgłosy ich ucieczki.

Poszycie lasu tworzył z lekka fosforyzujący wśród mroku miękki mech, pokrywający podłoże grubą warstwą. Na lewo od Lynn jego mięsiste fałdy otulały puszystym kożuszkiem stos dawno powalonych pni.

Czy napastnicy zdołają odróżnić trzy nowe kłody wśród tylu innych?

- Spójrz tam! - szepnęła do Rory, wskazując głową kierunek. - Idź, połóż się koło tych pni i ani drgnij.

Dziewczynka nie ruszyła się, patrząc na matkę szeroko otwartymi oczami.

- Prędszej! - ponagliła ją Lynn, popychając lekko, po czym nachyliła się, by pomóc wstać Jessowi.

- Idź pierwsza. - Odsunął jej rękę, gramoląc się niezgrabnie o własnych siłach.

- Pójdę za tobą. Nie czekaj.

Choć mówił z trudem, Lynn nie miała czasu martwić się jego stanem i zgiąwszy się wpół, pomknęła za córką. Krótkie spojrzenie w tył upewniło ją jednak, że kowboj, zarzucając na zdrowe ramię plecak, podąża jej śladem.

Dotarłszy na wskazane miejsce, Rory na klęczkach zaczęła wydierać mech garściami z zawziętością psa zakopującego ulubioną kość.

Lynn pomogła jej ułożyć się na ziemi twarzą do dołu, po czym zaczęła nakrywać córkę kępami mchu. Na szczęście nie rozpadały się i mogła przenosić spore płyty w całości.

Kule ponownie zagwizdały w górze. Czas uciekał nieubłaganie.

Zrzuciwszy z ramion plecak, Lynn wyciągnęła się tuż przy Rory. Wierciła się przy tym, usiłując jak najgłębiej zagrzebać się w mchu. Mokry i chłodny od spodu, pachniał ziemią. Pragnąc ukryć też plecak, wcisnęła go w ściółkę obok głowy.

W pewnej chwili poczuła, że kawałki mchu spadają jej na stopy i nogi. Zanim zdążyła się zorientować, że to Jess obsypuje nimi ją i Rory, kowboj już leżał jak długi, zanurkawszy pod puszystą kołderkę. Ułożył się blisko obu kobiet, przygniatając je nieco i zarazem osłaniając swym ciałem. Wciśnięte w ściółkę między nim i najbliższym pniem ledwie zipsały, kowboj tymczasem pilnie układał na sobie kolejne warstwy mchu. Coś błysnęło srebrzyście w jego dłoni i Lynn odgadła, że z braku innych możliwości uzbroił się w to, co miał: nóż.

Oczywiście nie po to, by rzucić się z nim na karabiny. Raczej na wypadek, gdyby przyszło mu się zmierzyć w walce wręcz z jednym z zabłąkanych napastników.

Powiew świeżego powietrza uświadomił Lynn, że warstwa przykrywającego ich mchu

wcale nie jest szczelna. Przez luki w poszyciu zapewne można dojrzeć fragmenty ciał leżącej trójki. Wiedziała, że sama nie dałaby się zwieść pozorom i po dokładniejszym przyjrzeniu się nie wzięłaby ich za zmurszałe pnie.

Cała nadzieja w głębokich ciemnościach. Bogu dzięki za nie.

Kolejne kule zagwizdały nad nimi, sprawiając, że Lynn zadygotała ze strachu.

Mocniej przywarła do Rory, a Jess przesunął się bliżej, zasłaniając je sobą niczym tarcza.

Leżąc, słyszeli coraz głośniejszy szelest liści na ziemi. To nadciągali obcy.

Trwoga zawładnęła nimi bez reszty. Rory drżała w ramionach matki, oddychając szybko i niespokojnie, Jess dosłownie wgniół je obie w wilgotne podłoże z gnijących korzonków i sosnowych igieł. Lynn zabrakło tchu pod jego ciężarem, lecz mimo to przyjęła z wdzięcznością owe pozorną ochronę. Lepsza przecież taka niż żadna.

Wtem czyjeś ciężkie kroki zadudniły zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym leżeli. Rory drgnęła spazmatycznie. W oba wie, że córka gotowa krzyknąć z przestachu, Lynn bez namysłu zatkała jej usta dłonią. Za jej plecami Jess zamarł, szykując się do odparcia ewentualnego ataku. Lynn wyraźnie poczuła, jak napinał rękę, w której trzymał nóż.

Jeśli mają ich złapać, nastąpi to właśnie teraz.

Zamknęła oczy, z całej siły zaciskając powieki, i zaczęła mo dlić się w duchu.

Kroki się oddaliły.

Minęło jeszcze kilka dobrych sekund, zanim zdecydowała się głębiej odetchnąć.

Przez następne minuty, które zdawały się trwać całą wieczność, nadal leżeli bez ruchu, nasłuchując odgłosów dalszych poszukiwań. Od czasu do czasu ciszę rozdzierały serie z karabinów, świadczące o tym, że mordercom przebiegły drogę jelenie lub inne nocne zwierzęta, stając się przypadkowym celem. W pewnej chwili coś lub ktoś przemknął tak blisko Lynn, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby schwytać tę istotę za piętę.

Nie miała pewności, czy minął ją człowiek, czy zwierz. Bardziej skłaniała się jednak ku tej drugiej możliwości. W każdym razie ów uciekinier pędził na złamanie karku, tak jak ona sama pragnęłaby gnać w tej chwili. Byle dalej od tego lasu i nieznanych prześladowców.

Rozum jednak nakazywał pozostać na miejscu i zachować spokój.

Rory wciąż dygotała w jej ramionach, a Lynn zdała sobie sprawę, że sama również trzęsie się jak galareta. Miała nadzieję, że córka nie zwróciła na to uwagi lub że nie domyśli się prawdziwej przyczyny tego stanu rzeczy. Gdyby biedna wiedziała, że matka dygoce ze strachu, ani chybi wpadłaby w histerię.

Przecież matkom nie wolno okazywać lęku.

Jess poruszył się nagle. Wbił nóż po rękojeść w ziemię tuż nad głową Lynn i zostawiwszy go tam, objął ją mocno wolną ręką w talii. Poczuła ciepło jego ciała; krzepki uścisk dodawał otuchy, równy oddech łaskotał szyję.

- Wyjdziemy z tego - zapewnił ją ledwie dosłyszalnym szeptem wprost do ucha.

Lynn zrozumiała, że jej drżenie me uszło w każdym razie uwagi kowboja i

mężczyzna stara się pocieszyć ją, jak umie.

I wbrew wszelkiej logice ów zamiar mu się powiódł. Lynn uspokajała się powoli, aż wreszcie przestała dygotać.

Tymczasem wszelkie hałasy wokół umilkły i las pogrążył się w ciszy.

Nie słychać już było ani bandy morderców, ani ich karabinów.

Odeszli na dobre czy też przyczaili się tylko, by oszukać milczeniem swoje ofiary, kto wie?...

Rory szarpnęła się niecierpliwie w objęciach matki, która odgadła, że dziewczynce jest niewygodnie i zwolniła uścisk, odchylając się nieco do tyłu.

Jess poszedł jej śladem i uwolnił je od siebie, przewracając się na plecy.

Powoli zsunął rękę z talii Lynn i poczuła się nieomal porzucona.

W nowej pozycji kowboj nie wytrzymał długo. Przez ułamek sekundy leżał nieruchomo jak głaz, nasłuchując uważnie, po czym błyskawicznym ruchem wrócił na poprzednie miejsce, ponownie wciskając obie kobiety w miękkie poszycie leśne i jedno cześnie chwytając za nóż.

- Pssst. - szepnął przy tym rozkazująco. Na tę komendę Lynn zastygła bez ruchu jak zając na widok myśliwskiego psa. W pobliżu rozległy się ciche kroki: jeden, drugi, trzeci, dziesiąty..... Ktoś stąpał ostrożnie po ściółce niedaleko kryjówki całej trójki.

Tętno Lynn skoczyło tak gwałtownie, że przez moment nie słyszała nic oprócz dudnienia własnej krwi.

To ostrożne skradanie się mówiło samo za siebie: mordercy nie uważaliby tak, gdyby nie byli pewni, że zdobycz przyczaiła się pod osłoną mroku.

Sekundy mijały, czas włókł się w nieskończoność.

Wreszcie Jess bez słowa odsunął się od Lynn, zostawiając ją odkrytą, zziębniętą i - przestraszoną.

Popatrzyła wokół, by sprawdzić, co się stało. Kowboj, wciąż ściskając w lewej dłoni nóż, gramolił się niezdarne na kolana. Liczne strzępki mchu przyczepione do jego pleców i włosów do złudzenia przypominały kosmate pająki.

Odwrócił głowę i napotkał spojrzenie Lynn.

- Już dobrze - uspokoił ją, przemawiając swym zwykłym głosem. - Poszli sobie.

- Skąd wiesz? - zapytała na wszelki wypadek szeptem. Nie żeby mu nie ufała, ale...

- Popatrz tam! - Ruchem głowy wskazał w ciemność. Idąc za jego wzrokiem, Lynn dostrzegła nieopodal trzy jelenie niczym cienie błędzące bezszelestnie wśród drzew. - Widzisz?

Pojęła w lot, że te czujne zwierzęta nie spacerowałyby tak spokojnie po lesie, gdyby w pobliżu znajdowali się ludzie ze strzelbami. Uciekałyby w popłochu przed niebezpieczeństwem.

- Mamo - odezwała się Rory. - Czy jesteśmy bezpieczni?

- Tak, kochanie. - Lynn uściśnęła córkę i podniosła się ostrożnie. - Nic nam już nie grozi.

Na razie, dodała w myślach.

Jess przesłał jej pełne powątpiewania spojrzenie, lecz nic nie mówiąc, złożył nóż i schował go do zewnętrznej kieszeni plecaka.

- Chcę do domu - poskarżyła się Rory płaczącym głosem, siadając i strząsając obiema rękami mech z włosów.

- Ja także - poparła ją Lynn żarliwie.

- To czyni nas jednomyślnymi - podsumował Jess krótko.

Wsunął zdrową rękę pod kurtkę i krzywiąc się z bólu, delikatnie obmacywał zranione miejsce. Kiedy skończył, na jego palcach połyskiwała ciemna ciecz.

Krew.

- Czy to coś poważnego? - zaniepokoiła się Lynn.

Plama na rękawie miała teraz średnicę talerza.

- Przeżyję.

- Kim są ci ludzie? - W głosie Rory strach mieszał się z rozpaczą.

- Nie mam pojęcia i prawdę mówiąc, chyba nie warto łamać sobie tym teraz głowy - uciął Jess. - Powiedzmy, że to źli chłopcy i tyle. Będziemy się zastanawiać nad ich tożsamością, kiedy zo staną daleko za nami.

- Zamordowali tych biedaków na łące. - W głosie dziewczynki zabrzmiała nuta hysterii.

- Nas nie zabiją - odparła Lynn z przekonaniem, strząsając mech z pleców córki.

- Poszli sobie.

- Na nas też czas - uznał Jess. - Najwyższa pora się ruszyć. Chodźmy.

Wstał energicznie i zdrową ręką porwawszy z ziemi swój pakunek, zarzucił go na plecy.

- Ale twoje ramię... - powstrzymała go Lynn.

Może trzeba by zabandażować tę ranę albo opatrzyć ją w jaki kolwiek inny sposób? Stojąc tak niezdecydowanie, poczuła, że nogi uginają się pod nią i niewiele brakuje, by z powrotem wylądowała na mchu. Jednak jeden rzut oka na towarzyszy niedoli sprawił, że wyprostowała się dziarsko, zapominając o słabości.

W końcu w tej kompanii jest jedyną osobą, której nic nie dolega.

- To drobiazg - zbył ją Jess niecierpliwie. - Rory, czy możesz iść o własnych siłach?

- Chyyyba tak.

- Dobrze. No to w drogę.

Lynn poprawiła sobie plecak i objęła ramieniem córkę, a potem ruszyli.

Maszerowali w milczeniu, posuwając się w kierunku prostopadłym do ścieżki, która przywiodła ich na polanę. Lynn zdawała sobie sprawę, że wędrowka udeptanym szlakiem oznaczałaby samobójstwo, ale przedzieranie się na przełaj przez las wymagało wielkiego wysiłku. Musieli nieustannie zмагаć się z gęstymi zaroślami, które miejscami sięgały im do piersi. Jess prowadził, torując drogę, za nim wlokły się Lynn i Rory, która słabła z każdą chwilą, a po godzinie wędrowki całkiem opadła z sił.

W nocy w lesie wszystko wydaje się inne niż za dnia. Nawet cisza brzmi inaczej.

Gruby kobierzec z mchu, pokrywający wszystko dokoła łącznie z pniami drzew i ich

najniższymi konarami, tłumiał odgłos kroków i głużył wszelkie inne dźwięki. Ciężki zapach sosnowej żywicy przenikał powietrze. Niewidzialne insekty atakowały idących całymi stadami jak szarańcza, tnąc ich niemiłosiernie. Znoszone cierpliwie udręki i zmęczenie pozwoliły im przynajmniej zapomnieć o strachu.

- Nie moglibyśmy się zatrzymać? - nie wytrzymała w końcu Rory. Biedaczka od dawna już opierała się mocno o matkę, zdradzając kompletne wyczerpanie.

- Jess! - zawołała Lynn, zaledwie o ton głośniejsze od szeptu dziewczynki. Kowboj usłyszał ją jednak.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - odrzekł, nie odwracając głowy. - Jeszcze tylko kawałek.

I kontynuował marsz, nie pozwalając im odsapnąć, choć przez chwilę. Kiedy oddalił się tak, że jego grafitowa kurtka zlała się z tłem, znikając im z oczu, Rory i Lynn wymieniły bezradne spojrzenia. Nie pozostało im nic innego jak iść dalej, podpierając się nawzajem.

- Boli mnie głowa - poskarżyła się dziewczynka, zwisając ciężko na ramieniu matki.

- Wiem, kochanie. Jeszcze tylko parę kroków i zaraz odpoczniemy.

Rory nie odezwała się więcej, Lynn czuła jednak, że z każdą minutą córkę upuszczają siły.

Ach, czemu nie posłuchała intuicji? Dlaczego zrezygnowała ze wspaniałych wakacji na Karaibach? Pędziłaby teraz pociągiem w stronę wybrzeża albo opalała się na jachcie wśród wysp, podczas gdy Rory siedziałaby bezpiecznie w domu pod opieką babci, spędzając czas przy grach telewizyjnych lub oglądając tasiemcowe seriale. Albo paplałaby przez telefon z Jenny.

Spóźnione żale...

W końcu Jess się zatrzymał. O kilkanaście kroków przed nimi zza splątanych konarów wyłaniało się okryte czapką mgły strome zbocze, a właściwie skalna ściana, podobna do tej, która sprowadziła na nich te tarapaty.

Wychylając się zza opasłego pnia potężnej sosny, kowboj bez słowa wskazał głową w tamtym kierunku. Lynn ledwo żyła ze zmęczenia, gdyż cały czas podtrzymywała Rory, obawiając się, że jeśli dziewczynka upadnie, nie będzie mogła już się podnieść. Mimo skrajnego wyczerpania posłusznie rzuciła spojrzenie na klif i u jego podstawy ujrzała owalną szczelinę na tyle szeroką, że z powodzeniem mógł przez nią wpełznąć do środka człowiek.

- Tam odpoczniemy - wyjaśnił Jess, jakby czytając w jej myślach.

Nic więcej nie było jej trzeba. Uskrzydłona ową nęcącą perspektywą pociągnęła za sobą Rory ku pieczarze, zapominając zupełnie o niedźwiedziach, nietoperzach czy innych stworzeniach mogących czaić się w środku.

Lynn wślizgnęła się tam pierwsza, idąc na czworakach. Po gąbczastym i wilgotnym mchu twarde i zimne skaliste podłoże pokryte warstwą kurzu i kamieni stanowiło zaskakującą odmianę. Lynn poruszała się ostrożnie, daremnie usiłując dojrzeć cokolwiek wśród nieprzeniknionych ciemności. W niewielkiej komorze pachniało

stęchlizną. Pragnąc się wyprostować, uderzyła głową w skałę; podziemna grota miała nie więcej niż półtora metra wysokości.

Następnie do pieczary wpełzła Rory. Lynn cofnęła się parę kroków, by pomóc córce. Objawszy się, razem obserwowały Jessa, który pojawił się na tle skalnego otworu, wpychając najpierw swój plecak.

Księżyc oświetlił roślą sylwetkę kowboja. Z powodu zbyt rozłożystych barów musiał pokonać szczelinę bokiem. Udało mu się wejść do środka, lecz obie kobiety uderzyła dziwna niezdarność jego ruchów.

Sunął niepewnie na trzech kończynach, aż wreszcie zatoczył się niebezpiecznie, głowa opadła mu na piersi i wyginając plecy w kabłąk, zwymiotował głośno, po czym zachwiał się i osunął nieprzytomny.

20

Jess - denerwowała się Lynn, szarpiąc leżącego twarzą do ziemi kowboja za zdrowe ramię. - Jess!

Żadnej odpowiedzi.

- Czy on nie żyje? - zapytała Rory ze strachem.

- Sądzę, że zemdlął - odrzekła jej matka.

Przesunęła dłonią po plecach mężczyzny. Materiał kurtki na wysokości prawej łopatki przesiąknął czymś ciepłym, wilgotnym i lepkiem: krwią.

- Zwymiotował - zauważyła Rory z odrazą. To obrzydliwe.

Lynn parsknęła tyleż z irytacji, co rozbawienia.

- Obawiam się, że gdyby to ciebie postrzelono, twój żołądek też by zaprotestował.

Odnalazłszy w ciemności ucho Jessa, Lynn przyłożyła poniżej dłoń, by sprawdzić puls. Skóra kowboja była ciepła, jedno dniowy zarost kłuł w palec. Serce uderzało miarowo, więc Lynn odetchnęła z ulgą. Pracując jednak tak gorliwie, ta niespożyta pompa przyczyniała się do utraty znacznej ilości krwi przez rannego. Za wszelką cenę trzeba powstrzymać dalszy jej upływ, trzeba zabandażować ranę. Apteczka pierwszej pomocy z gazą, opatrunkami i innymi niezbędnymi rzeczami znajdowała się w plecaku Lynn, ale wewnątrz ich kryjówek tonęło w takich ciemnościach, że nie widziała nawet siedzącej tuż obok córki.

Jak tu opatrzyć ranę w takich warunkach? Latarka przepadła bez śladu dawno temu, prawdopodobnie zgubili ją podczas panicznej ucieczki z górniczej osady.

Ale po kolei.

- Zabierzmy go najpierw z tego miejsca - zakomenderowała.

- Niedobrze mi - marudziła Rory, pomogła jednak matce przeciągnąć Jessa w głąb pieczary, z dala od nieczystości. Okazało się to wyjątkowo trudnym zadaniem, które przyprawiło je obie o solidną zadyszkę.

- On waży chyba z tonę - narzekała dziewczynka, chyba odrobinę mniej zachwycona swym bożyszczem niż zwykle.

- Posiedź tu przy nim chwilę, dobrze?

Nabrawszy pełne garści piasku i kamieni z podłoża, zasypała najlepiej jak mogła pozostawioną przez Jessa pamiątkę, po czym sięgnęła po porzucone u wejścia do

groty toboły. Otworzyła plecak kowboja, po omacku szukając w nim zapalniczki. Następnie odnalazła apteczkę. Z apteczką na kolanie nachyliła się nad Jessem i już miała przyświecić sobie zapalniczką, gdy zawahała się nagle.

A jeśli błysk światła zdradzi ich kryjówkę?

Oczywiście nie wiedziała, czy nikły płomień w ogóle mógłby rozświetlić wejście do pieczary, tak jak nie umiała przewidzieć, czy słaby błysk zdołałby przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę ani czy akurat nie kręci się w pobliżu ktoś, kogo zainteresowałyby oznaki życia w ciemnej pieczarze.

Nie miała pewności, lecz wolała nie ryzykować.

Wcisnąwszy zapalniczkę do kieszeni spodni, postanowiła przeprowadzić swój zamysł po ciemku, ograniczając się tylko do niezbędnych czynności. Bardziej skomplikowane zabiegi trzeba odłożyć do brzasku.

- Pomóż mi odwrócić go na plecy - poprosiła córkę.

- A nie mogłabyś poświecić trochę? - W głosie Rory zabrzmiały lęki z dzieciństwa. Dziewczynka od małego bała się ciemności.

- Nie - ucięła Lynn bez podawania powodów, Rory jednak nie oponowała.

We dwie odwróciły kowboja, układając go na plecach między sobą. Namacawszy zamek jego kurtki, Lynn rozpięła ją ostrożnie.

Jess drgnął i jęknął.

- Wszystko w porządku. Chcę obandażować ci ranę - powiedziała do niego Lynn, na wypadek gdyby słyszał.

- Po ciemku? - Głos miał słaby i zachrypnięty, lecz najważniejsze, że odzyskał przytomność.

- Zwymiotowałeś - odezwała się nastolatka oskarżycielskim tonem.

- Przepraszam.

Czy to możliwe, że w jego głosie zabrzmiało rozbawienie, czy też tylko tak mi się wydawało, przemknęło Lynn przez głowę.

- Boję się, że światło mogłoby nas zdradzić - odpowiedziała na pytanie kowboja.

- Bardzo rozsądnie.

Pochwalona, ucieszyła się, że nie użyła zapalniczki. Widocznie Jess podejrzewał, że polowanie na nich wciąż trwa, skoro uznał opatrywanie rany w ciemnościach za rozsądne posunięcie.

A ona? Zmarszczyła czoło. Chyba także nie wierzy, że prześladowcy mogli tak po prostu zrezygnować i odejść.

To zbyt piękne, ale oby tak się właśnie stało.

Kiedy pociągnęła za rękaw puchowej kurtki, kowbojowi udało się wysunąć ramię. Potem spróbował usiąść.

- Nie ruszaj się - ofuknęła go, popychając na powrót ku ziemi. Pod jej ręką podkoszulek na piersi kowboja był mokry i lepki od krwi. Jess opadł na plecy bez protestu. - Nie powinienes się wiercić, dopóki nie założę ci bandażu. Straciłeś wiele krwi.

- Znowu możesz zwymiotować - wtrąciła Rory.

- Postaram się powstrzymać. - Nie, tym razem o pomyłce nie mogło być mowy: w

głosie Jessa, choć słabym, brzmiało rozbawienie. Z pewnością nie uszło jego uwagi rozczarowanie nastolatki, gdy odkryła, że jej dziecinne i śmieszne wyobrażenia o nigdy nieulegających ludzkim słabościom wspaniałych mężczyznach rozmiijają się z prawdą.

- Na tym będzie ci wygodniej. - Zwinęła kurtkę Jessa zakrwawioną częścią do środka i wsunęła ją delikatnie kowbojowi pod głowę.

- Dzięki.

Jego głos wyraźnie osłabł. Trzeba się pośpieszyć z tym opatrunkiem, zaniepokoiła się nie na żarty Lynn. Jeśli z powodu nadmiernego upływu krwi lub jakiegokolwiek innej przyczyny Jess nie będzie mógł samodzielnie się poruszać, cóż poczną wtedy ona i Rory? Nie uniosą go nawet we dwie ani nie poradzą sobie same bez niego.

- Rory, czy możesz mu podać trochę wody?

- Jasne, mam. - Dziewczynka zanurkowała do bagaży.

- Skąd wiedziałaś, że chce mi się pić? - Jego głos przeszedł w szept.

- Telepatia.

Szukając w ciemności strzaskanego kula ramienia mężczyzny, dłoń Lynn natrafiła najpierw na policzek kowboja, podobnie jak szyja ciepły i podobnie kłujący, potem ześlizgnęła się na brodę, stamtąd dotarła do gardła, aż wreszcie dotknęła skraju miękkiej bawełnianej tkaniny.

- Musisz to zdjąć - zawyrokowała, wędrując ręką wzdłuż jego tułowia, by wyciągnąć podkoszulek ze spodni.

- Ja sam - zaprotestował Jess, odpychając jej dłoń.

- W żadnym razie. Leż spokojnie.

Odsunęła ręce kowboja, napominając go nieoczekiwanie chłodnym tonem, gdyż nagle dotarła do jej świadomości dwuznaczność całej tej sytuacji, budząc dawno uspioną czujność.

W pewnym sensie zawiniła obecność Rory - wyjątkowo niezręcznie jest na oczach nastoletniej córki obnażać obcego mężczyznę, choćby i w całkiem słusznym celu, ale nie bez znaczenia pozostawały i inne względy: rozbieranie Jessa wydało się Lynn czynnością zbyt intymną.

Na taką poufałość kobieta może sobie pozwolić tylko wobec dziecka - lub kochanka.

No proszę i kto tu jest śmieszny? - przywołała się do porządku. Człowiek krwawi i potrzebuje pomocy. Kropka.

Ściągając rannemu T-shirt, usłyszała jego przyspieszony oddech. W innych okolicznościach mogłaby to przypisać własnym wdziękom, teraz jednak nie miała wątpliwości, że Jess oddycha z trudem z powodu dręczącego go silnego bólu.

Mimo wszystko nie mogła nie docenić walorów ciała, którego dotknęła. Zachwycił ją płaski, napięty brzuch, przecięty ścieżką miękkiego, łaskoczącego jej dłoń owłosienia, onieśmielił muskularny tors, również naznaczony wyspą jedwabistych włosków. Jedwabistych raczej w domyśle, gdyż na razie oblepione były krwią.

- Ostrożnie - uprzedził ją kowboj, kiedy zbliżała się do fatalnego miejsca.

Okazało się, że koszulka miejscami przylgnęła do pokrytej przysychającą krwią

rany.

- Oto woda. - Rory przyłożyła chłodną plastikową butelkę do policzka matki.

- Dziękuję. - Lynn wzięła butelkę.

- Gdzie? - zapytał w tym samym momencie Jess. Zdjąwszy nakrętkę, wcisnęła mu naczynie do zdrowej ręki.

- Pomóc ci?

- Nie.

Usłyszała, jak pije dużymi łykami. Powoli, bardzo delikatnie starała się zdjąć Jessowi T-shirt tak, by sprawić mu jak najmniej bólu.

- Auuu! - zawył, kaszłąc, jak gdyby zachłysnął się zbyt obfitym łykiem wody.

- Nie chce puścić!

- Poczekaj, nie na siłę. Może to zadziała - Jess polał ramię odrobiną wody.

Lynn nie wiedziała, czy to rozsądne, w każdym razie okazało się skuteczne, gdyż pod wpływem wilgoci zaschnięta krew zaczęła rozmiękać.

- Auuu! - wrzasnął dziko kowboj, gdy Lynn szarpnęła mocniej, jednym mchem ściągając wreszcie bawełnianą tkaninę z rany.

- Sądziłam, że już się odlepiła - tłumaczyła zmieszana.

- Myliłaś się.

- Chciałabym, żebyś dźwignął się trochę, tak abym mogła to całkiem z ciebie zdjąć. Rory, pomóż mi podnieść Jessa.

- Sam usiądę.

Wprowadził swe słowa w czyn, zanim Lynn zdążyła zaprotestować.

- Czy możesz podnieść ręce?

- Tylko lewą.

Najpierw, więc uwolniła tę rękę z podkoszulka, potem głowę, wreszcie zaczęła się mozolić ze zranionym, ramieniem.

Tymczasem Jess w oczach opadał z sił. Przechyliwszy się niebezpiecznie do przodu, wsparł się o Lynn zdrowym ramieniem, z trudem łapiąc powietrze. Czując, że jest rozpalony i oblany potem, odgadła, iż cierpi znacznie większe katusze, niż chce się do tego przyznać.

W końcu uporała się z koszulką i z uczuciem ulgi cisnęła ją na ziemię.

- Boli mnie głowa - poskarżyła się Rory jęklwym tonem.

- Wiem, kochanie. A może położysz się na chwilę? To powinno ci pomóc - poradziła córce, nie odstępując Jessa.

Skrupulatnie sprawdziła stan jego pleców: owszem, były rozłożyste i twarde jak stal, ale tak jak i piersi, całe zakrwawione.

Usłyszawszy szelest, Lynn domyśliła się, że córka posłuchała jej rady. No cóż, ból głowy chyba nie jest niczym nadzwyczajnym w takich okolicznościach, usprawiedliwiała się sama przed sobą, nie mogąc w tej chwili poświęcić małej więcej uwagi.

To Jess wymagał natychmiastowej pomocy.

- Spróbuj położyć się na boku. Na lewym - zwróciła się do kowboja.

Mruknął tylko coś niezrozumiale na znak zgody i podtrzymywany przez Lynn powoli

ułożył się tak, jak sobie tego życzyła. Kiedy skończył się kręcić, sięgnęła po apteczkę.

Gratulowała sobie po cichu, że zajrzała do niej już wcześniej w poszukiwaniu papierosów. Teraz przynajmniej wiedziała, co znajduje się w środku, i bez trudu znalazła sterylne gaziki w papierowych opakowaniach, zwój gazy, tubkę antyseptycznej maści, nożyczki, bandaż, a nawet tylenol.

- Może powinienes łyknąć kilka tabletek tylenolu? - zaproponowała, potrząsając butelką. Kowboj prychnął pogardliwie.

- Dziecko, nawet, jeśli zjem wszystkie, nic to nie da.

- Tak cię boli? - zainteresowała się Rory.

- Bardzo.

Jeżeli Jess głośno przyznaje się, że cierpi, może to oznaczać tylko jedno: że kona z bólu. Energicznie zabrała się do otwierania butelki z lekarstwem.

- Rory, może ty to odkręcisz - poddała się po krótkich, bez owocnych zmaganiach z nakrętką. Nigdy sobie nie radziła z tego rodzaju zabezpieczeniami leków, córka natomiast, od dnia kiedy ukończyła trzy lata, otwierała je bez trudu. Kiedy dziewczynka zajęła się tylenolem, Lynn wyłowiła z bagaży następną butelkę.

- Proszę, mamó. - Rory zwróciła otwarte opakowanie.

Położywszy wieczko na kolanie, Lynn wysypała sobie na dłoń dwie pastylki.

- Weź dwie na ból głowy. - Podała je córce wraz z wodą do popicia, po czym wydobyla z butelki kolejne dwie tabletki. - Ty też - dotknęła warg Jessa palcem. - Otwórz usta.

Usłuchał bez szemrania, gdy podała mu lekarstwo. Kiedy zamknąwszy fiolkę, pakowała ją na powrót do apteczki, usłyszała, że ranny głośno przełyka wodę.

Rory zamilkła, prawdopodobnie odpoczywała. Lynn wyjęła z opakowania kawałek gazy i rozsmarowała na środku antybiotyk, z werwą sięgnęła do ramienia kowboja, aby zlokalizować ranę.

- Auuu! - Jess podskoczył jak oparzony.

Pokaźny obrzęk pozwolił Lynn błyskawicznie określić położenie otworu po kuli. Na szczęście znajdował się wysoko na ramieniu, co oznaczało, iż pocisk nie uszkodził żadnego ważnego wewnętrznego organu.

Bez wahania tam właśnie przyłożyła nasączoną maścią gazę.

- Aj!

- Cicho! - mitygowała Jessa, którego nagły okrzyk ją przestraszył. - Nie zachowuj się jak dziecko - dodała gniewnie.

- Dziecko! - wymamrotał z niedowierzaniem. - Kobieto, to

- Przytrzymaj przez chwilę. Muszę sprawdzić, czy nie masz też dziury w plecach. -

Uniosła jego lewą dłoń i przycisnęła płat gazy.

- Nie mogłabyś po prostu obandażować wszystkiego?

- Już raz zemdlełeś - przypomniała mu mentorskim tonem zaledwie muskając zakrwawioną łopatkę opuszkami palców. Z upływu krwi, co do tego nie ma dwóch zdań. Jeśli teraz nie założę opatrunku jak należy, możesz wykrwawić się na śmierć.

Jess nie odezwał się więcej.

- Mam! - zawołała triumfalnie, natrafiwszy na otwór o opuchniętych, pokrytych na wpół zakrzepłą krwią krawędziach.

Smarując kolejny kawałek gazy antybiotykiem, uznała za pomyślny zbieg okoliczności fakt, że pocisk przeszedł na wylot. Przynajmniej zostało jej zaoszczędzone grzebanie w ramieniu kowboja w poszukiwaniu kuli - w dodatku po omacku.

Swoją drogą Jess zapewne nie zgodziłby się bez oporów na pwl dobny eksperyment. Wyobrażając sobie jego reakcję, nie mogła opanować uśmiechu.

- Możesz się pośpieszyć? - Głos mężczyzny sprowadził ją z obłoków na ziemię.

- Jasne - zgodziła się układnie, przykładając gazę do rany nieco mocniej, niż wymagała konieczność.

- Auuu!

- Możesz już zabrać rękę - zwróciła się do kowboja, kładąc palce na opatrunku na piersi. Wyprostowanymi dłońmi ścisnęła ranę jednocześnie z obu stron.

- Do licha, to boli - wyszczał Jess, z trudem łapiąc oddech.

- Jeszcze tylko chwilę. Nie ruszaj się.

W jednej chwili krew przesiąkła oba płaty gazy i Lynn poczuła ciepłą wilgoć pod palcami. Nakładała kolejne warstwy opatrunku, znowu przyciskając dłońmi ranę tak długo, aż krwawienie ustało. Wówczas przymocowała opatrunki plastrem, a potem owinęła całe ramię i pierś rannego bandażem.

- No, gotowe - odezwała się, kończąc. - Proszę bardzo.

- Dzięki Bogu - odetchnął Jess.

Dopiero teraz rozluźnił napięte jak struny mięśnie.

- Czy można się tu zdrzemnąć? Choćby troszeczkę? - zapytała Rory sennie.

- Oczywiście. - To solenne zapewnienie kowboja wzbudziło nieufność Lynn, dziewczynka jednak mogła je wziąć za dobrą monetę. - Nic nam już nie grozi, daję słowo. Resztę nocy prześpiemy tu bezpiecznie, a jutro dotrzemy do dżipa i wieczorem o tej porze znajdziemy się cali i zdrowi na ranchu.

Obiecanki cacanki, pomyślała ponuro Lynn, ale nie pisnęła ani słowa.

Po co straszyć i tak dostatecznie zmalretowane dziecko.

- A jeśli nas tu znajdą? - Córka nie dawała za wygraną.

- Nie znajdą - ucieła Lynn, dumna ze spokojnej pewności siebie, która zabrzmiała w jej głosie.

- Twoja mama ma rację - pośpieszył jej w sukurs Jess. - W tej dzikiej okolicy i przy tak dobrze zamaskowanym wejściu do kryjówki nie odnajdzie jej nikt, kto o niej nie wie.

W odpowiedzi uspokojona dziewczynka ziewnęła potężnie, aż serce Lynn skurczyło się z bolesnej tęsknoty za utraconą szarą, lecz jakże drogą codziennością.

- Przygotuję śpiwory - zdecydowała, zaglądając w bagaże.

Wzięli tylko dwa śpiwory, gdyż Lynn uznała dźwiganie trzech za nieporęczne. Nie miało to zresztą większego znaczenia, ponieważ były tak obszerne, że ona z Rory z łatwością mogły zmieścić się w jednym.

Rozwinęła je teraz na ziemi jeden obok drugiego, po czym rozpięła zamek w przeznaczonym dla Jessa i byłaby zawinęła weń kowboja, gdyby nie wymigał się od jej pomocy.

- Poradzę sobie - stwierdził krótko. - Idź spać.

Dopiero w tym momencie poczuła, że pada z nóg. Zdjęła buty i wślizgnęła się do śpiwora obok rozkosznie ciepłej Rory, która zdążyła już tam się rozgościć.

Cmoknąwszy córkę w policzek, zasnęła od razu, słysząc jeszcze szmer zasuwanego zamka w śpiworze Jessa.

21

Nie! Jezu, nie!

Słowa te obudziły Lynn. Słowa, wcale nie okrzyk, wypowiedziane, a raczej wybełkotane dość cicho i nieskładnie. W obecnej sytuacji jednak od razu postawiły ją na nogi.

Przez chwilę leżała bez ruchu, szeroko otwartymi oczami próbując dojrzeć coś w otaczających ją ciemnościach. Na próżno, za to opadły ją, niczym utrapione muchy, niecodzienne dźwięki: pełne udręki pojękiwania, przyspieszone oddechy i głuche odgłosy szamotaniny.

Czyżby ktoś zaatakował Jessa?

Niemożliwe. Kowboj leżał na wyciągnięcie ręki od Lynn i Rory, a jego śpiwór dotykał ich śpiwora. Gdyby ktokolwiek rzucił się na śpiącego, nie mogłoby to ujść uwagi obu kobiet.

Nie, Jessa po prostu dręczyły koszmary senne.

Nic dziwnego - po takim dniu...

Starając się nie obudzić Rory, która spała smacznie, oddychając równo, Lynn obróciła się na bok i odpiąwszy odrobinę zamek w śpiworze, wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny.

Jej palce na sekundę dotknęły brody kowboja, kłującej jak kaktus. W tej samej chwili Jess poruszył głowę, a z jego ust dobiegły się jeszcze głośniejsze pomruki.

Wysunąwszy się ze śpiwora, Lynn pochyliła się nad rannym.

W ciemności nie widziała Jessa, ale słyszała odgłosy jego rozpaczliwej szamotaniny. Postanowiła nim potrząsnąć, wyrwać go z sennych koszmarów. Jej ręka utonęła we włosach kowboja, przyjemnie miękkich i jedwabistych. Nie zareagował.

Przesunęła, więc dłoń do jego twarzy, sprawdzając, czy śpi, czy się obudził, czy też stracił przytomność. Dotknęła ciepłego, zwilżonego potem czoła, odnalazła gęste brwi, ześlizgnęła się po łuku nosa, musnęła policzki i pieszczotliwie miękkie usta, wyczuła zarost na podbródku.

Jakby zaniepokojony tym dotknięciem mężczyzna zaczął jeszcze gwałtowniej miotać głową na boki, jego oddech stał się jeszcze bardziej urywany, a z ust popłynęły chrapliwe, niezrozumiałe słowa.

- Jess! - szepnęła Lynn, delikatnie klepiąc go po policzku. - Jess!

W odpowiedzi zmiażdżył jej nadgarstek w żelaznym uścisku tak niespodziewanie, że przestraszona Lynn aż podskoczyła.

- Jess!

- Ach, to ty. - Nie wydawał się szczególnie poruszony. - O co chodzi?

- Coś ci się śniło.

- Tak? - zapytał sucho.

- Mówiłeś przez sen.

-Tak?

- Tak i dość tego - ucięła ten temat Lynn. - A teraz puść moją rękę.

Posłusznie cofnął dłoń, pytając jednocześnie:

- Czy Rory też się obudziła?

- Nie.

- Spróbuj więc jeszcze się zdrzemnąć. Do pobudki nie zostało nam zbyt wiele czasu.

- Uważasz, że rankiem ci złoczyńcy wznowią poszukiwania?

-Tak.

Lynn zadrżała. Choć sama myślała podobnie, nieprzyjemnie było usłyszeć, że Jess przewiduje równie czarny scenariusz. Zagrożenie, które w ciszy bezpiecznej kryjówki wyblakło jak dawno zapomniany senny majak, znowu wyszczerzyło kły.

- Boli cię?

- A jak sądzisz?

- Chcesz jeszcze jeden tylenol?

-Nie.

Lynn umilkła na chwilę.

- Jess?

- Hmmm?

- Czy masz pomysł, w jaki sposób wyrwać nas z tych opałów?

- A jeśli nie, podasz do sądu Adventure Inc.?

-Tak.

- Pośmiertnie, jak sądzę. Nie umiesz żyć bez planu, co?

- Masz plan czy nie?

- Uhm.

- Jaki?

- Jeśli natkniemy się na tych gangsterów, weźmiemy nogi za pas.

- Pytałam poważnie.

- To jest poważna odpowiedź.

Lynn spiorunowała go spojrzeniem, którego i tak nie mógł dostrzec w mroku. Cóż, trudno. Ona też go nie widziała, choć była tak blisko, że przez miękki materiał śpiwora czuła ciepło jego ciała.

Po ostatniej krótkiej wymianie zdań stało się jasne, że plan dalszych działań powinna opracować sama. Jeśli zda się na tego rosłego, acz niezbyt rozgarniętego kowboja, nie zajędzie daleko.

- Przede wszystkim musimy jak najszybciej przedostać się do miejsca, gdzie będzie czekał na nas z dżipem twój brat - zaczęła rozważać na głos. - Razem z nim popędzimy ile sił do najbliższego go telefonu i zawiadomimy policję.

- Wybornie - podsumował zgryźliwie.

- Proszę bardzo, zaproponuj inne rozwiązanie. Jeśli potrafisz. - Ironia Jessa wydawała się teraz zupełnie nic na miejscu - w końcu jego życie także wisiało na włosku.

- Świetnie ci idzie.

- No dobrze - poddała się Lynn, przechodząc do konkretów: - Ile musimy przejść na piechotę do miejsca, gdzie spotkamy Owena?

- Około dwunastu kilometrów.

- Tak daleko? - zafrasowana Lynn zagryzła dolną wargę. - A tymczasem mordercy będą się starali upolować nas po drodze...

- Kolejna celna uwaga - zakpił znowu Jess.

- Ach, nie ma z ciebie żadnego pożytku, umiesz tylko szydzić - zirytowała się wreszcie.

- Przemyślałem to już, wierz mi. I mam pewien plan. Uspokój się więc i daj mi trochę pospać.

- Masz plan?

- Tak.

- Jaki? - W głosie Lynn brzmiała nieufność.

- Boże, ależ z ciebie nudziara. Założę się, że należysz do ludzi, którzy nie umieją obejść się bez kalendarza i zegarka. Ledwie rano otworzysz oczy, już sporządzasz szczegółową listę niecierpiących zwłoki spraw na najbliższych kilkanaście godzin, a potem w ciągu dnia pedantycznie odhaczasz już załatwione. Jestem pewny, że mimo natłoku zajęć zawsze o stałej porze umiesz wyoszczędzić godzinkę wyłącznie na telefony do znajomych, którzy zostawili ci wiadomość na automatycznej sekretarce. Dam sobie uciąć rękę, że w twojej toalecie każdy najdrobniejszy sprzęt został dobrany w tej samej tonacji kolorystycznej, a książki na półkach w gabinecie stoją w porządku alfabetycznym.

Lynn spiekła raka, gdyż kowboj trafił celnie.

- 1 co w tym złego? - zapytała nieco zbity z pantyłyku.

- Nic, ale zaufaj mi, proszę. Poprowadzę was do dżipa tak, że nikt nas nie zauważy.

- Na pewno?

- Obiecuję.

Lynn zamilkła. Oczywiście, choć bardzo chciała, nie mogła dać wiary jego słowom. Wiedziała przecież, że nikt, nawet Jess, nie może teraz zagwarantować im bezpieczeństwa. Mimo to nie pozostawało jej nic innego, jak poddać się jego woli, gdyż z całej trójki tylko on jeden znał okolicę, tylko on potrafił radzić sobie w tak dzikim otoczeniu i to on wreszcie reprezentował na tym pustkowiu firmę odpowiedzialną za losy Lynn i Rory.

Zastanawiała się jeszcze przez moment, zanim podjęła ostateczną decyzję. Cóż, podporządkuje się jego zamiarom, przynajmniej na razie.

- Jess - odezwała się po chwili.

- Co znowu?

- Ten mężczyzna na krzyżu... - zaczęła, wstrząsając się na samo wspomnienie

upiornego widoku. - Jak sądzisz, co to oznacza?

- Że na tym padole nie brakuje prawdziwych szaleńców.

Posłała mu karcące spojrzenie, którego, rzecz jasna, i tak nie mógł dojrzeć w ciemności.

- To chyba był rytualny mord, nie uważasz?

- Nie wiem. Słuchaj, idź spać, dobrze?

- Nie mogę spać. Wciąż mam przed oczyma tego mężczyznę i tę kobietę. No i chłopca.

- A ja, owszem, mogę.

- Bzdura, przecież miałaś koszmary.

- Lepszy taki sen niż żaden.

Lynn, choć umilkła pokonana, nie wróciła do swojego śpiwora. Odespawszy najcięższe zmęczenie, broniła się przed dalszym odpoczynkiem. Ilekroć bowiem zmrużyła powieki, obrazy krwawej zbrodni w górniczej osadzie napływały jej natrętnie do oczu, przejmując ją drżeniem - przecież ona i Rory mogły znaleźć się na miejscu tamtych ofiar.

Z całej mocy usiłowała pohamować szalejącą wyobraźnię. Świadomość, że cała ich trójka - Jess, Rory i ona - w każdej chwili może podzielić los tamtych nieszczęśników, wiodła prosto do ataku hysterii.

Tymczasem teraz właśnie należało zachować zimną krew. Zwyczajne zdenerwowanie potrafi zniweczyć zdolność twórczego myślenia, cóż dopiero mówić o zgubnych skutkach paraliżującego strachu. Na rozsądek Jessa nie ma co liczyć. Owszem, krzepy za pewne mu wystarczy, by dojść do celu, ale rozumu to mu opatrność poskapiła.

Papieros uspokoiłby jej nerwy, ale, niestety, mogła o nim tylko pomarzyć.

Uciekła się więc do drugiej równie skutecznej metody wewnętrznego wyciszenia: usiadłszy po turecku z zamkniętymi oczami, oparła dłonie na kolanach i zaczęła mamrotać przeciągle:

- Om, om...

- Co tym razem, u licha? - zirytował się Jess.

Lynn uniosła jedną powiekę.

- Medytuję

- Rany boskie.

Otworzyła drugie oko.

- Masz coś przeciwko temu?

W odpowiedzi zanucił cichutko na melodię znanego szlagieru:

- Pomyleni są wśród nas...

- Sugerujesz, że z powodu medytacji należy mnie uznać za pomyloną?

- Nie tylko dlatego.

Lynn zawrzała gniewem.

- Tak? Jeśli o mnie chodzi, uważam, że lepiej oddawać się medytacjom niż trawić życie na nędznej fanfaronadzie, paradując w skórzanych butach i wytartym, kowbojskim kapeluszu jako kiepska imitacja Małego Joe Cartwrighta. Pseudokowboj,

ot co! - prychnęła pogardliwie, rewanżując się za jego aktorski występ cytatem z popularnej ongiś piosenki Glena Campbella.

- Czy dobrze rozumiem, że próbujesz właśnie podważyć wiarygodność informacji podanych w naszej ulotce reklamowej?

- Owszem, dobrze rozumiesz.

- No cóż, ja przynajmniej nie stosuję sztuczek z optycznie powiększającymi wdzięki stanikami.

- Co takiego? - Lynn aż zachłysnęła się z oburzenia. - Masz czelność sugerować, że uciekam się do takich metod?

- Ja nic nie sugeruję; mówię, co widziałem. A tak przy okazji, gratuluje efektu.

Rzeczywiście, górne partie wyglądają dzięki temu imponująco.

- Niczego nie udaję - mam wszystkiego tyle, ile należy.

- Naprawdę? - Rozbawienie w głosie Jessa podziałało na nią jak kubek zimnej wody. Lynn zorientowała się wreszcie, że rozmowa przybiera niepożądany obrót.

- Och, lepiej bądź już cicho i idź spać - ucięła oschle.

- Z rozkoszą. - Jess posłusznie odwrócił się na bok.

Zamknawszy oczy, Lynn na próżno próbowała wrócić do medytacji, bezgłośnie tym razem.

Po głowie tłukły jej się natrętne słowa zabawnej trawestacji: „Pomyleni są wśród nas...”, nie sprzyjając skupieniu.

W końcu dała za wygraną: tej nocy i w tych okolicznościach nic nie mogło rozproszyć dręczącego ją niepokoju. Otworzyła oczy, wpatrując się bez celu w otaczające ją ciemności.

No proszę, siedzi oto sama i przestraszona w zimnym i budzącym grozę otoczeniu; nie ma nawet do kogo ust otworzyć, gdyż towarzysze niedoli pogrążeni są w głębokim śnie.

Czy aby na pewno?

- Jess? - szepnęła nieśmiało.

- Jeszcze tu tkwisz? - usłyszała ku swej radości w odpowiedzi.

- Czy wciąż krwawisz? Powiedz.

- Ja śpię - odparł z naciskiem na ostatnie słowo, a po chwili milczenia dodał nieco przyjaźniej: - Bandaż jest suchy.

- Och, jak dobrze. Bez ciebie nie miałybyśmy szans na wydostanie się stąd. Nie mam przecież pojęcia, w którą stronę iść dalej.

- Co nie przeszkodziłoby ci bez drgnienia powieki mnie porzucić, gdy zostałem postrzelony - zauważył z przekąsem.

- Ach nie, oczywiście, że nie. Ale weź pod uwagę, że przede wszystkim odpowiadam za Rory.

- No tak, miłość macierzyńska ponad wszystkim - podsumował, a uniósłszy się na łokciu, dodał: - Ty kochasz ją, a ona ciebie. Co więc sprawia, że ciągle skaczeć sobie do oczu?

Lynn wzruszyła tylko ramionami, lecz rozumiejąc, że w ciemności nie mógł dojrzeć jej gestu, wyjaśniła:

- Jest nastolatką i tyle.
 - Cóż z tego?
 - Nie masz dzieci, prawda? - W tym bardziej stwierdzeniu niż pytaniu zabrzmiała nuta znużonej wyższości doświadczonej matki nad bezdzietnym mężczyzną.
 - Prawdę mówiąc, mam. Dwie córki: dziesięcio- i ośmioletnią
 - Niemożliwe.
 - Co w tym dziwnego? Stuknęło mi już trzydzieści pięć latek. Większość mężczyzn w tym wieku zdążyła doczekać się dzieci.
 - Masz trzydzieści pięć lat?
 - Tak.
 - Nie wyglądasz na tyle. Ani nie zachowujesz się dość poważnie.
 - Dziękuję. Ty także wyglądasz młodo, choć, sądząc po sposobie zachowania, oceniłbym cię na pięćdziesiąt pięć.
 - Jak to? - najeżyła się Lynn.
 - Powinnaś nabrać więcej dystansu do świata, a zwłaszcza pozwolić Rory odsapnąć trochę. Na Boga, ta biedna mała nie może kichnąć bez twojego przyzwolenia.
 - Nieprawda.
 - Przyjechałaś tu razem z nią, prawda? - stwierdził po prostu, jakby przytaczając niezbitą dowód na potwierdzenie swoich racji; Lynn wiedziała, iż czyni aluzję do jej funkcji opiekunki.
 - To dlatego, że.... - zaczęła żywo, po czym urwała w pół zdania.
 - Że... - ponaglił.
 - Że... eee, nic takiego. Ty nie masz ochoty słuchać, a ja nie chcę o tym mówić.
 - Jeśli już nie śpimy, najlepiej spędzić czas na pogawędce. Poza tym chętnie posłucham. Zradz więc, z jakiego to powodu taka kobieta jak ty dobrowolnie wybrała się na tego rodzaju wycieczkę?
 - Co właściwie rozumiesz przez „taka kobieta jak ty”?
 - Jak to co? Elegantkę, która ma wypielęgnowane paznokcie, maluje usta szminką przed wyruszeniem w drogę i pudruje nosk przed wskoczeniem na siodło! A do tego nie ma pojęcia o konnej jeździe! Założę się, że nigdy przedtem nie spałaś w namiocie.
 - 1 co z tego?
 - Dlaczego więc przyjechałaś?
 - Aby towarzyszyć Rory.
 - Ale dlaczego?
 - Ponieważ jest moją córką i ponieważ ją kocham.
 - 1? - nalegał Jess.
 - Ponieważ ostatnio nie układało się między nami najlepiej - wyrzuciła wreszcie z siebie Lynn, przyciśnięta do muru.
- O dziwo, to szczere wyznanie przyniosło jej ulgę. Przyszło jej ono zresztą nadspodziewanie łatwo, może, dlatego, że twarz Jessa krył mrok.
- Z powodu twojej nadopiekuńczości, jak sądzę - podsumował kowboj bezlitośnie.
 - Może po części tak, ale przyczyna leży raczej gdzie indziej... - zawahała się

lecko. - Bywam gościem w domu. Dużo pracuję... - urwała, czując, że wbrew woli przyjmuje postawę obronną.

- Wszyscy dużo pracujemy - podchwycił Jess ze zrozumieniem. - Uważasz, więc, że Rory nie może ci wybaczyć częstych nieobecności w domu. Zostawiasz ją samą?

- Nie, mieszka z nami moja mama i Rory zostaje pod jej opieką.

- W takim razie o co naprawdę chodzi?

Zadawniony ból odżył i nagle wszystkie tamy puściły.

- Rory nie może wybaczyć mi, że skazałam ją na życie bez ojca. Czasami mam wrażenie, że nienawidzi mnie z tego powodu - wyrwało jej się pod osłoną ciemności. W innym wypadku nigdy nie pozwoliłaby sobie na taką szczerość, a już na pewno nie wobec supersamca Jessa Feldmana.

- Ach, tak.

- Nigdy nie poznała swojego ojca.

- Rozwiodłaś się, gdy była jeszcze w kołysce?

Lynn nadstawiła ucha. Usłyszawszy jednak cichy odgłos równego, głębokiego oddechu córki, uspokoiła się: Rory jak zwykle spała kamiennym snem.

Mimo to ściszyła głos do ledwo dosłyszalnego szeptu, nie chcąc, by choć słowo z ich rozmowy dotarło do dziewczynki:

- Porzucił mnie, gdy usłyszał, że spodziewam się dziecka. I nigdy więcej się nie pojawił.

- A Rory winą za to obarcza ciebie.

Lynn poruszyła się niespokojnie. Och, jak trudno obejść się w takiej chwili bez papierosa. Podciągnawszy nogi, opłótła je ramionami i oparła brodę o kolana.

-Tak.

- Słusznie?

- Nie. Nie wiem. Może trochę - zastanowiła się głośno. - Zналиśmy się zaledwie od sześciu tygodni, kiedy zdecydowaliśmy się pobrać. Doprawdy nie wiem, co mnie do tego skłoniło. Byłam młoda i głupia. Miałam dwadzieścia jeden lat, właśnie kończyłam szkołę, a on zaczynał studia medyczne. Z miejsca mnie oczarował: przystojny i błyskotliwy, a do tego przyszły lekarz - czyż można żądać więcej? Zresztą nasze małżeństwo układało się całkiem szczęśliwie aż do dnia, kiedy się okazało, że spodziewam się dziecka. Wówczas oznajmił mi, że jego plany życiowe nie pozwalają mu nawet myśleć o dzieciach w tej chwili, gdyż cały wysiłek musi skupić na pomyślnym przejściu przez studia, moim zaś zadaniem jest wspierać go finansowo dopóty, dopóki nie skończy nauki i nie stanie mocno na nogach. Krótko mówiąc, życzył sobie, abym usunęła ciężę, a kiedy odmówiłam, po prostu odszedł. Uzyskałam rozwód, urodziłam Rory, a potem wróciłam do pracy. Moja mama, od śmierci ojca samotnie borykająca się z życiem, zamieszkała z nami, aby zająć się wnuczką. Ot, i cała historia.

- Płaci ci alimenty?

Lynn potrząsnęła przecząco głową, ale w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że Jess tego nie widzi.

- Nigdy go o to nie poprosiłam. Oczywiście, w chwili rozwodu wciąż się uczył i

nawet nie miał, z czego płacić, bo to ja utrzymywałam nas oboje. Potem z kolei wolałam unikać kontaktów, nie chciałam też, aby widywał małą, swoją drogą sam nigdy o to nie zabiegał. Nie zastanawiałam się nad skutkami takiej decyzji do póki Rory, ukończywszy dziewięć lat, niespodziewanie zaczęła wypytywać o ojca. Wówczas złamałam się i odnalazłam go; miał już w tym czasie własną praktykę lekarską, nową żonę i dzieci. Nie chciał rozmawiać o córce, wychodząc z założenia, że skoro zdecydowałam się urodzić Rory wbrew jego woli, sama ponoszę odpowiedzialność za jej los. Później jeszcze kilka razy próbowałam do niego dzwonić, pisałam, ale z jego strony nie było żadnej reakcji.

- Jak więc Rory może winić cię za to?

Lynn przymknęła powieki.

- Nie miałam odwagi powiedzieć jej, wprost, że tata nie chce jej widzieć i nie pali się, by bodaj zamienić z nią kilka słów przez telefon, że wzdraga się przed wysłaniem jej kartki z życzeniami urodzinowymi. To mogłoby ją załamać. Wobec tego wychowałam ją w przekonaniu, że ojciec ją kocha i jedynie niechęć do mnie po wstrzymuje go od nawiązania z nią kontaktu.

- Jednym słowem wzięłaś na siebie rolę kozła ofiarnego.

Lynn skrzywiła się w ciemności.

- Tak, to ja w jej wyobrażeniu odsuwam ją od idealnego taty.

- Dlatego zapewne próbuje widzieć ojca w każdym napotkanym mężczyźnie w odpowiednim wieku.

Zadziwiona celnością jego spostrzeżenia, już otwierała usta, by zapytać, jak do tego doszedł, gdy nagle uświadomiła sobie, że to wcale nie takie trudne.

Psychologiczne podłoże zachowań Rory było tak oczywiste, że nawet Jess, w końcu nie tak całkiem w ciemny bity, rozszyfrował je z łatwością, tym bardziej że zostawszy obiektem westchnień dziewczynki, miał okazję obserwować z bliska jej poczynania. Lynn natomiast dopiero w tej właśnie chwili pojęła przyczynę adoracji, którą jej córka otoczyła kowboja.

- Chyba tak - przyznała zgnębiona.

- 1 żeby ukarać ciebie.

- W pewnym stopniu też.

- Musisz powiedzieć jej prawdę.

- Za nic! - zaprotestowała gwałtownie.

- Jak chcesz, ale pamiętaj, że przez te wszystkie lata Rory nagromadziła w sobie wielki ładunek złości, który nie rozplynie się niepostrzeżenie pewnego pięknego dnia jak gdyby nigdy nic. Powinnaś dać jej szansę zmierzenia się z rzeczywistością. W końcu dorastanie na tym właśnie polega, że uczymy się akceptować świat takim, jaki jest, zamiast uganiać się za marzeniami.

- Dziękuję, doktorze Feldman - zakpiła. - Cóż to, zabawiamy się w psychiatrię?

- Prawdę mówiąc, liznałem trochę psychologii, choć rzadko się tym chwalebę.

- Studiowałaś psychologię? Na uczelni? - Lynn z ochotą oderwała się od dyskusji na temat Rory.

- Co w tym takiego dziwnego?

- Nie sądziłam, że któraś z wyższych uczelni zajmuje się kształceniem podrabianych kowbojów.

- Cha, cha, niezwykle zabawne.

- A poważnie, gdzie się uczyłeś?

- W Brigham Young.

- Żartujesz.

- Ani trochę. Dlaczego?

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić...ale mniejsza z tym. Uczęszczałeś na uniwersytet Brigham Young i otarłeś się tam o psychologię. Co w takim razie stanowiło główny przedmiot twoich studiów?

- Prawo karne.

- Prawo karne? - powtórzyła Lynn z niedowierzaniem. - I uzyskałeś dyplom?

- Oczywiście.

- Po czym zostałeś przewodnikiem wycieczek po krainie podrabianych kowbojów? - pytała z rosnącym niedowierzaniem.

- Nie od razu. Najpierw pracowałem dla rządu.

- W jakim charakterze?

Nie odpowiedział od razu, zdradzając w ten sposób pewną niechęć do rozwijania tego tematu.

- Jako agent.

- Czego?

- Federalnego Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni.

- Jak długo tam byłeś?

- Przez dziewięć lat.

- A potem tak po prostu zrezygnowałeś z pracy agenta federalnego, żeby przedzierzgnąć się w podrabianego kowboja?

- Czy mogłabyś już przestać wycierać sobie usta tym określeniem? To uczciwe zajęcie, Owen i ja żyjemy z niego. Porzuciłem poprzednią posadę, ponieważ... ponieważ przestało mi odpowiadać to, co robiłem.

- Dlaczego?

- Czy nie możemy zmienić tematu? Nie mam ochoty o tym mówić.

- Chwileczkę, ja opowiedziałam ci historię swojego życia, te raz twoja kolej. Dlaczego nagle straciłeś serce do swojej pracy?

Jess zaczerpnął tchu, a potem dosłownie zasypał Lynn gradem gorzkich słów:

- Ponieważ byłem w Waco, rozumiesz? Zginęło tam mnóstwo ludzi - naszych agentów i tamtych nieszczęśników, mężczyzn, kobiet i dzieci, a ja tkwiłem w tym po same uszy. Czy stało się tak z naszej winy? Popelniliśmy błąd, wybierając niewłaściwy moment na interwencję, czy też ten niespełna rozumu nawiedzony świr świadomie wysłał na tamten świat rzeszę współwyznawców? Nikt nigdy tego nie rozstrzygnie. Ja w każdym razie straciłem przy tej okazji ochotę do zadawania się z pomyłkami. Rzuciłem tę pracę, wróciłem w swoje strony i wszedłem w spółkę z Owenem, zakładając małe, rodzinne przedsiębiorstwo.

Rozumiem.

Wypowiedziawszy te słowa, Lynn gorączkowo zaczęła szperać w pamięci, próbując odgrzebać wszystkie szczegóły, które kiedykolwiek słyszała na temat tragedii w Waco. Przypomniała sobie, że w kwietniu 1993 roku krajem wstrząsnęła wieść, iż w Waco w stanie Teksas w apokaliptycznym pożarze, który wybuchł po starciu z agentami federalnymi, zginęła liczna grupa członków fanatycznej sekty wraz ze swoim przywódcą Dayidem Koreshem. Wszystkie stacje telewizyjne z przejęciem relacjonowały przebieg wydarzeń oraz ich makabryczne zakończenie. Lynn również uczestniczyła w przygotowywaniu niektórych materiałów dla WMAO. Opinie na temat przyczyn dramatu, który rozegrał się w Waco, były podzielone: jedni oskarżali agentów federalnych o nadużycie przysługujących im uprawnień, nazywając całe zajście masowym mordem na zlecenie rządu, inni zaś obarczali winą Koresha i jego popleczników, sugerując, że członkowie sekty sami podłożyli ogień, który ich unicestwił. Niezależnie od tego, po czyjej stronie leżała racja, o wadze tamtego wydarzenia najlepiej świadczył fakt, że Lynn wciąż pamiętała je doskonale pomimo upływu trzech lat i wielu kolejnych tragedii, które w tym czasie wstrząsnęły światem.

- To właśnie mi się śniło. Często nawiedza mnie tamten koszmar, zawsze taki sam: widzę płonące budynki, słyszę krzyk ludzi, płacz dzieci - na pozór obojętny ton Jessa podpowiedział Lynn, że dawna rana jeszcze nie całkiem się zagoiła. - Nigdy nie przestanę się zastanawiać, co wtedy czuli - czy wiedzieli, że umierają? Bali się? Cierpieli?

- Tak, pamiętam tamten dzień. Miałam dyżur na antenie, w WMAO, kiedy wybuchł pożar. Bez przerwy nadawaliśmy komunikaty na temat piekła, które tam się rozpętało.

- Do diabła, i pomyśleć, że strawiliśmy wiele miesięcy, planując szczegóły tej akcji. - W głosie Jessa brzmiał sarkazm. - Nosila kryptonim Operacja "Koł Trojański". Mieliśmy wpaść tam bez uprzedzenia, zebrać w jednym miejscu kobiety z dziećmi a w drugim mężczyzn i odnaleźć wśród nich Koresha. Wyciągniemy z tłumu stukniętego prowodyrę i po krzyku, koniec obławy, żadnych ofiar... Tak przynajmniej wyobrażaliśmy sobie całą sprawę, przekonani, że zadziałamy z zaskoczenia.

- Tymczasem coś nie wyszło. - Lynn ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Coś? Nic nie wyszło. Cały ów misterny plan rozpadł się jak domek z kart. Zajechaliliśmy przed ich siedzibę trzema krytymi brezentem ciężarówkami, takimi, jakich zwykle używa się do przewozu bydła. Po drodze omal dusz z nas nie wytrzęsło, ale w końcu, wzbijając obłoki pyłu, zatrzymaliśmy się z piskiem opon przed wejściem do zajmowanego przez sektę kompleksu budynków, stale strzeżonego z wysokiej wieży wartowniczej. Dotąd pozostaje dla mnie zagadką, jaki właściwie był cel tej maskarady. Czy spodziewano się, że Koresh uzna, iż nieznamy zwolennik jego nauk w dowód sympatii obdarowuje sektę stadkiem rzeźnych krów? Prawdopodobnie. Leddwo jednak zdążyliśmy zaparkować, gdy raptem z nieba sfrunęły trzy nakrapiane helikoptery marki Blackhawk, wiozące na pokładach grube

ryby z rządu. Zawisły niczym sępy nad budynkami, aby ci gogusie mogli obserwować przebieg akcji! Widziałaś kiedykolwiek blackhawka? Nie sposób nie zauważyć tej ciężkiej maszyny ani tym bardziej pomylić jej z komarem. Jeśli więc nawet mieszkańcy ośrodka do tamtej chwili nie domyślali się niczego, zajęci, powiedzmy, przygotowaniem zagrody dla domniemanego bydła, ów manewr śmigłowców

nas wydał. Nie pozostało nam nic innego, jak wyskoczyć z aut i zacząć ciskać wokół granaty-straszaki, robiące wyłącznie dużo huk, podczas gdy jeden z chłopaków pognął do drzwi wejściowych, aby przekonać zgromadzonych, że gwarantujemy im całkowite bezpieczeństwo. W odpowiedzi poczęstowali nas ołowiem i cały plan diabli wzięli. Okazało się przy tym, że są znacznie lepiej uzbrojeni, niż myśleliśmy - użyli między innymi karabinu maszynowego o pociskach zdolnych przebić wóz pancerny. W ciągu pięciu minut straciliśmy czterech ludzi, a wszystko to za sprawą jednego fałszywego kroku.

- Przeszedłeś piekło.

- Czy wiesz, jak później żartowano z tej akcji? Powiedzonko: „Rozgromiliśmy świrów w Waco”, stało się synonimem spartaczony roboty. Całkiem dowcipne, co?

- Nie było w tym twojej winy - zauważyła Lynn cicho, ze współczuciem dotykając jego zdrowego ramienia.

Niespodziewanie Jess nakrył jej dłoń swoją. Ich palce splotły się same, Lynn w każdym razie nawet tego nie zauważyła.

- Czyżby? Tak jak i cała reszta, nie grzeszyłem pokorą. Byliśmy bandą pyszałków, przekonanych o własnej racji. Wyobrażaliśmy sobie, że dla dobra demokracji czy innego wzniesłego hasła mamy prawo i obowiązek oczyścić świat z chwastów. - Ponownie zaśmiał się gorzko. - Czuliśmy się jak rycerze ratujący maluczkich od zarazy niebezpiecznych fanatyków. Tylko, że to maluczcy zapłacili życiem za naszą gorliwość. Kto wie, może gdybyśmy nie wtykali nosa w ich sprawy, wciąż żyliby wśród nas na tym padole?

- Nie powinieneś się obwiniać - nie mogliście przecież przewidzieć, że wydarzenia przybiorą taki właśnie obrót. Nie wszystko zawsze układa się po naszej myśli - tłumaczyła mu łagodnie jak dziecku.

Ciepło dużej, krzepkiej dłoni Jessa tulącej jej kruchą rączkę przeniknęło nagle Lynn, oblewając ją falą gorąca i przyprawiając o przyśpieszone bicie serca.

- Tak właśnie próbowaliśmy pocieszać się wzajemnie:, jeśli wyrusza się walczyć ze smokiem, trzeba pamiętać, że to on może zwyciężyć. I Koresh właśnie wygrał tę bitwę.

- Przestań się zadreć. To nie ma najmniejszego sensu. - Zrobiłeś, co do ciebie należało i tyle.

Choć mówiła sensownie, myśli miała zajęte swoją niepojętą reakcją na uścisk dłoni kowboja. Może nie tylko słuch wyostrzył jej się z powodu ciemności, może chwilowy brak kontaktu wzrokowego pobudził działanie pozostałych zmysłów, w tym dotyku?

Czuła wszystkie zgrubienia i wypukłości we wnętrzu jego dłoni, a także

zadrażnienia i otarcia od liny.

- Wiem, ale kiedy dziś zobaczyłem tę potworną scenę, tamten koszmar wrócił.

- Uważasz, że tutaj też mamy do czynienia z sektą religijną? - Upiorne wspomnienie sprawiło, że w jednej sekundzie wszystkie inne sprawy pierzchły z głowy Lynn.

- Bardzo prawdopodobne. Wiele za tym przemawia, chociaż równie dobrze mogła to być zbrodnia mafii narkotykowej albo, kto wie, może grupa niezadowolonych pracowników postanowiła odwdziaczyć się szefowi w wyjątkowo makabryczny sposób. Jedno jest pewne - że mamy znowu do czynienia z wariatem lub nawet całą grupą szaleńców.

- Którzy nas szukają - dodała z drzeniem.

Jess mocniej ujął dłoń Lynn, a jego kciuk kojąco musnął skórę. Ta delikatna pieszczota kompletnie rozproszyła tok myślenia Lynn.

Nieważne, czy krew burzyła się w niej za sprawą wyostrzonych zmysłów, czy z innego powodu, w każdym razie uznała własną reakcję za śmieszna. Na Boga, ganiła się w myślach, przecież on tylko dotyka mojej ręki!

- To jedno, niestety, nie ulega wątpliwości. Chociaż, jeśli dojdą do wniosku, że w ciemności nie byliśmy w stanie dostrzec ani zapamiętać ich twarzy, może zechcą odstąpić od dalszego polowania, by bez zwłoki rozplątać się w oddali.

Kciuk kowboja przestał błędzić po nadgarstku Lynn, ku jej wielkiej uldze.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe? - W jej głosie zabrzmiała nuta nadziei.

- Czy możliwe? Oczywiście - przytaknął skwapliwie, nie dopowiadając głośno: z tymi oszołomami wszystko jest możliwe.

- Ale mało prawdopodobne - Lynn zasępiła się znowu.

- Nie wiadomo. Na wszelki wypadek jednak powinniśmy dać stąd nogę jak najprędzej.

- No dobrze, lecz jeśli się nie wycofali i wciąż węższą w okolicy, znajdą nas bez trudu. Kiedy tylko się przejaśni, wytropią nasze ślady na mchu i po nich jak po nitce do kłębka dotrą wprost do pieczary - roztoczyła ponurą wizję Lynn.

- Niekoniecznie.

- Jak to?

- Widzę, że postanowiłaś dopiąć swego i wydusić ze mnie ten plan - zażartował z przekąsem. - Dobrze więc, posłuchaj: niedaleko stąd płynie rzeka, nad którą czasem się wyprawiam, aby łowić ryby, i dlatego trzymam tam kajak, schowany w krzakach przy brzegu. Musimy się do niego przedostać i spłynąć w dół rzeki do miejsca, skąd pomaszerujemy dalej, i już.

- Ale mordercy będą przeczesywać las.

- No właśnie, a my tymczasem umkniemy im sprzed nosa kajakiem.

- Świetny plan! - Lynn z radości uściśnęła mocno jego dłoń.

Postrzegany dotąd jako rosy, nierozgarnięty kowboj Jess zaczął z wolna jawić się w nowym świetle: pracował w przeszłości jako agent federalny, miał solidne wykształcenie, no a przede wszystkim wymyślił plan ucieczki - i to taki, który naprawdę mógł się udać! Owa upajająca wizja sprawiła, że Lynn po raz pierwszy od

arielu godzin zaczęła głębiej oddychać, przekonując się przy tym, w jak wielkim napięciu dotąd była.

- Przecież ci mówiłem, że go mam.

Kciuk mężczyzny znów podjął swój taniec, który przeszył ją dreszczem aż po pięty. Zakłopotana Lynn spuściła wzrok. Co, na litość boską, się z nią dzieje?

- Sądziłam, że mówisz tak dla świętego spokoju - wybąkała, straciwszy cały rezon.

Nie ma się co oszukiwać: dotyk tego mężczyzny robił na niej wrażenie.

- Jak mogłaś oceniać mnie tak nisko? - Założyłaby się, że Jess miał uśmiech na twarzy, wypowiadając te słowa. - O wy, ludzie małej wiary!

W odpowiedzi uraczyła go krzywym spojrzeniem, zapominając, że i tak jej nie widzi w ciemnościach, po czym wróciła do rozpamiętywania rozkosznych prądów płynących z ich połączonych dłoni. Teraz wreszcie przyznała się sama przed sobą, że od pierwszej chwili była pod urokiem Jessa Feldmana. No cóż, większość kobiet ulega wdziękowi tego rodzaju przystojniaczków, a ona także do tych biedaczek należała.

- Och - odezwała się, by pokryć zmieszanie. - Niełatwo jest tak po prostu zaufać podróbce kowboja.

Od tak dawna nie zaznała miłosnych wzruszeń, że poddała im się chętnie, z radością napawając się urokiem tej chwili.

- Podróbce, dobre sobie! Ja i Owen dorastaliśmy tutaj i odziedziczyliśmy tu ranczo. Jesteśmy synami tej ziemi, najprawdziwszymi z prawdziwych. Zarabiamy na tym, owszem, ale ta praca daje nam też możliwość oddawania się wielu przyjemnościom: wspinamy się, łowimy ryby i...

- ...nocujecie pod gołym niebem - dokończyła słodko Lynn, czując oblewające ją fale gorąca. Jess nie przestawał głaskać jej dłoni. A gdyby tak nachylić się i pocałować go w usta?

- Właśnie.

- Twoi rodzice żyją jeszcze?

Albo wślizgnąć się do jego śpiwora?...

- Tylko mama. Mieszka na Florydzie.

- Często ją widzisz?

Czy, mając ranę postrzałową w ramieniu, dałby sobie radę?...

- Latem przyjeżdża do nas na kilka tygodni, a zimą obaj z chęcią uciekamy do niej na Florydę.

- Zabierasz z sobą córki? Żonę też?

Może i tak, chociaż ramię na pewno pioruńsko go boli. Może, więc lepiej nie. Nie umiając rozstrzygnąć tej kwestii, Lynn zapłonęła nagłym pragnieniem, by wylądować nago w śpiworze Jessa i przekonać się o tym.

- Dziewczynki jeżdżą tam ze mną czasami, ich matka nie, gdyż rozwiodła się ze mną przed kilku laty.

Nie, dość tego. Czas z tym skończyć, posunęła się za daleko. Wyrwała dłoń z jego ręki. Nie stawał oporu.

- Z jakiego powodu? - zapytała rzeczowo, ponownie opasując rękami kolana. Nastrój sprzed chwili ostatecznie przysł jak bańka mydlana.

- Nie miała ze mnie wielkiego pożytku: dużo wtedy pracowałem i ciągle zostawała sama w domu. W końcu, zdesperowana, kazała mi wybierać: ona albo kariera. A ja w tamtych czasach wysoko cenilem swoją posadę agenta federalnego. - Kowboj za śmiał się gorzko. - Oto przykład prawdziwej ironii losu.

- Tak mi przykro.

Uroczy chłopak. No, ale to przecież nie powód, żeby tak zaraz wskoczyć mu do łóżka.

- Już się z tego otrząsałem. Ona także - wyszła ponownie za męża, mieszka teraz w Houston. Dziewczynki co roku spędzają ze mną sześć tygodni ze swoich letnich wakacji, zwykle też wpadają w czasie pozostałych ferii i wtedy, gdy mam wolne i uda mi się namówić Sandrę, moją byłą żonę, aby dała im przepustkę.

- Tęsknisz; do nich?

Poza tym, cóż jej po tego rodzaju przygodach. Wakacyjne romanse jej nie interesują.

- Bardzo. Przy rozstaniach zawsze najboleśniej jest kwestia dzieci. Córki dorastają z dala ode mnie. W czasie wakacji czy ferii spotykamy się jako całkiem obcy ludzie, a zanim zdążymy się zbliżyć - znowu trzeba się żegnać.

- Jak się nazywają?

Że też podobne pomysły w ogóle przyszły jej do głowy! Przecież Rory śpi tuż obok, me wspominając o innych mało sprzyjających okolicznościach - stosach trupów na wcale nie tak odległej polanie czy grasujących po okolicy mordercach...

- Liz i Kate. Elizabeth i Katherine.

- Są do ciebie podobne?

Myśl o Rory ostudziła do reszty zapały Lynn. Swoją drogą, niezły gagatek z tego przystojniaka: małej także wpadł w oko.

- Nie, obie przypominają matkę; szczególnie starsza, Liz, stanowi jej wierną kopię pod każdym względem, także usposobienia. Kiedy odwiedziła mnie ostatnio, nie interesowało jej nic oprócz wielogodzinnych rozmów telefonicznych z przyjaciółmi i biegania po sklepach.- Przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu, po czym podjął już spokojniejszym tonem: - To dobre dziewczynki, choć mam z nimi czasem urwanie głowy. Spędziliśmy trzy dni, szukając bawełnianej koszulki w kolorze pasującym do nowych szortów. Nie miałem pojęcia, że istnieje tyle różnych odcieni błękitu...- westchnął ciężko.

- Tak, czasem potrzeba wiele cierpliwości, by sprostać oczekiwaniom dzieci. Lynn mimowolnie uśmiechnęła się w myślach, wzruszona prostodusznością kowboja. Chyba zacznie go nawet lubić, co może okazać się jeszcze bardziej zgubne niż zwykle pożądanie.

Sympatia nadaje przecież każdej znajomości znacznie bardziej osobisty charakter.

- Cierpliwości i paru innych cnót.

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że się uśmiechnął, choć oczywiście mogła się

mylić.

- O tak, bez wątpienia innych też - zgodziła się skwapliwie, uradowana tym uśmiechem. Boże, co się z nią dzieje?

- Powinniśmy obejrzeć twoją ranę - zaproponowała, chcąc oderwać się bodaj na moment od natrętnych myśli.

Nieźle się wpakowała. Niewątpliwie Jessowi udało się zawrócić jej w głowie, skoro taką wagę przywiązywała do jego życzliwej reakcji na własne słowa. Dokąd to ją prowadzi?

Prosto w jego ramiona, ot co. Zresztą, im więcej o tym myślała, tym mniej niemiła wydawała jej się taka perspektywa.

- Proszę, zajmij się tym sama - zaproponował.

Wyciągnąwszy rękę, bez trudu odnalazła jego ramię. Kiedy dotknęła gładkiej, cieplej skóry, pod którą kryły się twarde jak stal mięśnie, ponownie uderzyły na nią fale gorąca. Zganiwszy się za to w myślach, dotknęła rany. Nie, więcej już sobie nie pozwoli na podobne fantazje i kropka.

- Krwawienie ustało - oznajmiła z zadowoleniem, sprawdzając bandaż.

- Auuu! To boli! - zawył Jess.

- Weź tylenol.

- Nie ma sensu go marnować. Zostawmy tabletki dla Rory.

- Pomógłby ci.

- Wątpię. - Poruszył się z szelestem na posłaniu. - Lynn?

Sposób, w jaki wymówił głębokim, nieco łamiącym się głosem jej imię, wprawił Lynn w drżenie. Przeklinając swą słabość, tłumaczyła sobie po raz nie wiadomo który, że nie miejsce ani czas po temu, by wodzić rozanielonym wzrokiem za kimkolwiek, o Jessie Feldmanie nawet nie wspominając.

Już ona zna ten typ czarujących podrywaczy i nie da się nabrać. Musiała jednak przyznać, że żadnego z nich jednak nigdy tak nie polubiła. No cóż, to zakłóca nieco jej wywody. Ale tylko odrobinę.

- Tak? - zawiesiła głos wyczekująco.

Jeśli ośmieli się zaprosić ją do swego śpiwora, to wtedy ona... ona...odmówi oczywiście. Tak, chłodno, a nawet ozięble, dając mu do zrozumienia, iż ten żart wykracza poza granice dobrego smaku.

Przemówi doń tak, jak uczyniłaby jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu.

No proszę, jeden dzień to czasem jak cały wiek, stwierdziła nie bez zdziwienia.

Ach, odmówiłaby z rozkoszą, polegając na całej swojej wiedzy na temat pełnych uroku przystojniaczków.

- Obudź Rory. - Głos Jessa wyrwał ją z zamyślenia. - Czas ruszyć w drogę.

23

Dziecko zakaszlało i poruszyło się niespokojnie.

Theresa zamarła.

- Eliaz? - przemówiła czule, nie wierząc własnym oczom.

- Eliazku!

Wierzgnął ponownie, jakby pragnąc ją upewnić. Złapała braciszka pod paszki i

uniosła go w górę, potrząsając nim gorączkowo.

- Eliaszku!

Mały zaniósł się płaczem.

Do miejsca, w którym się zatrzymali, wiódł od wejścia korytarz prosty jak strzełił. Przez majaczący w oddali utwór nieśmiało sączyło się do środka starej kopalni srebrne światło księżyca. Jeden z zabłąkanych promieni padł na strudzonych uciekinierów, pozwalając Theresie zająrzeć w twarz braciszka. Oczy miał zaciśnięte w szparki, wyduł policzki z oburzenia i otworzywszy na całą szerokość usteczka, darł się wniebogłosy.

A więc żyje!

- Dzięki Ci, Boże - zaszlochała dziewczyna, tuląc niemowlę i kołysząc się razem z nim, jakby chciała uspokoić i małego, i siebie zarazem.

Ożył! To prawdziwy cud! To dar od samego Boga! Boga, który zabrał do siebie tak wielu, ale miłosiernie zwrócił jej na pocieszenie Eliasza.

Na jak długo? - przemknęła jej przez głowę nagła myśl.

Na razie są tu bezpieczni, ale przecież Śmierć wciąż węszy dokoła.

Zerknąwszy z niepokojem w stronę wejścia do kopalni, wsunęła palec do buzi niemowlęcia, aby je uciszyć, i bezszelestnie się podniosła.

Złe moce czają się w pobliżu; nie pozwolą jej ujść z życiem, jeśli tylko ją znajdą.

Nie ma wyboru - musi wziąć niemowlę i uciekać, gdzie oczy poniosą.

24

23 czerwca 1996, godz. 6.00

Kręci mi się w głowie, muszę odpocząć. - Z tymi słowami Rory, tak jak stała, usiadła na poprzetykanej skręconymi korzeniami drzew ścieżce.

Podążająca śladem córki Lynn także się zatrzymała, z troską spoglądając na dziewczynkę. Chcąc jak najszybciej wydostać się z lasu i dotrzeć nad rzekę, maszerowali bardzo szybko. Rory początkowo dziarsko dotrzymywała kroku im obojgu, lecz od dobrego kwadransa wyraźnie zaczęła tracić siły.

Kiedy po raz pierwszy tego dnia w bladym świetle poranka Lynn przyjrzała się córce, jej serce ścisnęła trwoga. Czoło dziewczynki przedstawiało widok zaiste żaloszny: ogniście zaczerwienione od prawej brwi po lewą skroń, z rozległym stłuczeniem o niemal granatowych brzegach i wzdętą opuchlizną wielkości brzoskwini nad lewym okiem. Co gorsza, pozostała część twarzy Rory była trupio blada i zroszona kroplami potu.

- Zgoda, robimy krótki postój - odezwał się Jess, wracając ku obu towarzyszkom niedoli.

Kiedy znalazł się przy nich, jego wzrok powędrował ku Lynn; ponad głową dziewczynki wymienili zafrasowane spojrzenia. Ostatnia noc przełamała lody między nimi, czyniąc z obojga parę sprzymierzeńców, przyjaciół nieomal, ba! więcej jeszcze nawet, gdyż tliła się między nimi iskra wzajemnego oczarowania. A może, kiedy wyrwą się z tej matni - o ile, oczywiście, w ogóle będzie im to dane - warto by poddać się owej magii, która tak nieoczekiwanie nimi zawiadnęła,

myślała Lynn.

Może taki szalony romans stanowiłby przyjemną odmianę, rodzaj nagrody za kilka ostatnich ascetycznych lat poświęconych wyłącznie pracy i opiece nad dzieckiem.

Taki cukierek po długiej, intensywnej diecie.

- Napij się wody - wyjęła z plecaka butelkę i podała ją Rory.

Dziewczynka wypila bezgłośnie kilka łyków, Lynn poszła w jej ślady, po czym przekazała butelkę Jessowi.

Odchyliwszy głowę do tyłu, pił wielkimi haustami, przelękając głośno. Kiedy skończył, otarł usta wierzchem dłoni i stał nieruchomo, oddychając z wysiłkiem.

Lynn przyjrzała mu się uważnie: wyglądał jak cień dawnego zadzierzystego kowboja, roześmianego chłopca ze złocistą czupryną. Mimo opalenizny jego twarz zrobiła się szara, błękitne oczy straciły blask, a pod nimi widniały głębokie sińce. W zlepionych kurzem włosach przeświecały srebrzyste nitki zamiast złotych, dwudniowy zarost zniekształcił nienaganną linię podbródka. Również zszargana, poplamiona krwią puchowa kurtka straciła swą świetność, a stanowiące do niedawna ozdobę stroju kowboja džinsy przybladły...

O dziwo, Lynn uznała, że ta odmiana służy Jessowi: prezentował się o wiele bardziej interesująco. No cóż, mała prawdopodobnie nie podziela tej opinii.

Tak, kowboj w nowym wcieleniu to cukierek dla kobiet dojrzałych, a nie kilkunastoletnich smarkul.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił, oddając Lynn butelkę. - Słyszycie szum wody?

- Niczego nie słyszę, boli mnie głowa - odrzekła przygaszonym głosem Rory, w jednej sekundzie sprowadzając Lynn na ziemię.

- Przez ostatnią godzinę zjadłaś cztery tabletki tylenolu. Nie wolno ci brać więcej.

Ukucnęła przy dziewczynce, obejmując ją ramieniem. Obie, podobnie jak Jess, miały na sobie puchowe kurtki - Lynn szarą, Rory granatową, a pod nimi golfy - matka białe, córka żółte. Rano, przed wyruszeniem w drogę, na powrót zamieniły się džinsami - nastolatka włożyła swoje, o modnym, nieco workowatym kroju, Lynn wróciła do obcisłych lewisów. Czerwoną flanelową koszulę dziewczynka oddała rano właścicielowi; nie potrzebowała jej już, a Jess mógł okryć się nią w zastępstwie zniszczonej bawełnianej koszulki. Teraz czerwień flaneli stanowiła samotną żywszą plamę wśród bieli i szarości określających jego postać.

Lynn po raz kolejny uświadomiła sobie z niepokojem, że w tym towarzystwie jest jedyną w pełni sprawną osobą, której dolegają najwyżej pęcherze na piętach i lekki ból w ramieniu.

Jak sobie poradzi, jeśli któreś z pozostałej dwójki okaże się niezdolne do dalszego marszu?

Gdyby zasłabł Jess, nie miałyby innego wyjścia, tylko biec przed siebie w poszukiwaniu pomocy, ale jeśli to Rory straci siły - Lynn raczej umrze, niż zgodzi się porzucić własne dziecko samo w tej upiornej okolicy.

- Tylenol i tak mi nie pomaga - stwierdziła nastolatka, Nadstawwszy uszu, Lynn

złowiła wreszcie cichy plusk rzeki, ledwo słyszalny na tle hałaśliwych odgłosów otaczającego ich lasu. Wokół rozbrzmiewały, spotęgowane echem, najróżniejsze ptasie popisy - od wdzięcznych treli drozda po ponure krakanie kruków - szumiały drzewa, brzęczały owady, szeleściły przemykające w trawie gryzonie. Duszne, wilgotne powietrze przesycała żywiczna woń sosen. Mgła podniosła się wysoko, tworząc na wysokości wierzchołków drzew mleczne sklepienie, przez które gdzieś tam przeświecały promienie budzącego się słońca. Pojedyncze wyspy zielonego mchu pstrzyły się tu i ówdzie pod nogami, sąsiadując z całkowicie ogołoconymi z owoców i liści krzakami czarnej borówki amerykańskiej.

Przedzierając się przez nie, Lynn o mało nie weszła w cuchnącą, bordową papkę.

- Grizzly - wyjaśnił krótko Jess, nie zwalniając kroku.

Lynn zrozumiała; w to misie rozprawiły się z krzewami borówek. Miała nadzieję, że los oszczędzi im spotkania oko w oko z rodziną grizzly.

Wolałyby jednak natknąć się na dziesięć niedźwiedzi niż na bandę morderców z górniczej osady.

- Jeszcze tylko pięć minut marszu i będziesz mogła porządnie odpocząć na brzegu

- odezwał się kowboj do Rory. - My z mamą tymczasem wyprawimy się po kajak.

- Zostawcie mnie samą? - zdziwiła się dziewczynka, rzucając mu pełne obawy spojrzenie. Lynn objęła ją mocniej, patrząc na Jessa z wyrzutem.

- Ja nie - zaprotestowała.

- Uwiniemy się w pół godziny.

- Może poszłabym tam z wami. Czy to daleko? - dopytywała się Rory.

- Od rzeki jeszcze ze dwadzieścia minut ostrego marszu po dość trudnym terenie.

Rory spuściła głowę.

- Nie dam rady - westchnęła z rezygnacją. Lynn spojrzała na kowboja.

- Zostanę z nią - poprosiła cicho.

- Będziesz mi potrzebna przy kajaku - odrzekł Jess, przyznając w ten sposób pośrednio, że jego siły także są na wyczerpaniu.

Zdradzała to również jego postawa: stał sztywno, jakby każdy ruch tułowia sprawiał mu ból, z prawą ręką zwieszoną bezwładnie wzdłuż boku.

Lynn zerknęła na córkę, zagryzając usta.

- Ukryjemy ją dobrze - przekonywał Jess. - Nic jej się nie stanie. Wierz mi, nie proponowałbym takiego rozwiązania, gdybym nie był pewny swego. Wokoło nie ma żywej duszy, od rana nie spotkaliśmy śladu człowieka.

Nie mogła temu zaprzeczyć.

Ostatecznie sprawę przesądziła sama Rory, mówiąc:

- Czuję się tak podle, że jednak wolę poczekać tu na was. Słowo daję, mamie, nie wytrzymam dodatkowych dwudziestu minut wędrówki.

Lynn nie pozostało, więc nic innego, tylko się poddać. Nie ulegało wątpliwości, że mała nie zajdzie daleko o własnych siłach, na gotowość Jessa do dźwignia dziewczynki nie można było liczyć z powodu tej paskudnej rany, a samej Lynn, od czasu, gdy córka ukończyła cztery lata, nie wystarczało krzepy, by podnieść ją wyżej niż o parę centymetrów. W tej sytuacji przyholowanie kajaka do Rory

wydawało się rzeczywiście najrozsądniejszym wyjściem.

Kiedy dotarli do wartko toczącej brązowawej wody, niezbyt szerokiej rzeki, bez trudu znaleźli wspaniałą kryjówkę dla dziewczynki w gęstwinie pierzastych paproci. Wymościли jej przytulne gniazdko w ich cieniu i zostawili również plecaki (Jess perswadował, że nie ma sensu ich dźwigać, skoro i tak tu wkrótce wróca). Zielony gąszcz szczelnie otulił Rory, osłaniając ją przed niepowołanym wzrokiem tak skutecznie, że nawet bystremu oku Lynn nie udało się wypatrzeć córki przez kotarę postrzępionych liści.

-Tu będzie bezpieczna - zapewnił ją Jess, przekrzykując szum wody, a zwracając się do Rory, dodał: - Wrócimy najpóźniej za pół godziny.

- Nigdzie się stąd nie ruszaj, kotku - upomniała córkę Lynn, starając się nie okazać przy tym niepokoju, który ją trawił, mimo że Rory, zaopatrzona w plastry suszonej wołowiny, butelkę wody oraz wyjęty z jednego z tobołków pieprzowy specyfik w spreju do odstraszenia grizzly (Jess przysięgał, że skuteczny) miała wszelkie szansę po temu, by wygodnie i bezpiecznie przetrwać najbliższych kilkadziesiąt minut.

Podążając za kowbojem w górę rzeki, Lynn nie mogła się powstrzymać, by nie odwracać raz po raz głowy ku stopniowo niknącej w oddali kępie bujnych paproci. Stromych brzegów strzegła nieprzebyta gęstwiną powykręcanych wierzb i bujne olchowe zarośla. Bezustannie wczepiając się włosami i ubraniem w splątane gałęzie, Lynn z trudem przedzierała się naprzód. Potargana i złana potem, a na dodatek jeszcze wściekła z powodu piętujących się po drodze przeszkód, w duchu dziękowała Bogu, że zgodziła się nie ciągnąć z nimi Rory, która w obecnym stanie zapewne prędzej wdrapałaby się na Mount Everest, niż pokonała tę trasę.

- Pływałaś kiedyś kajakiem? - rzucił Jess przez ramię, gdy Lynn walczyła z ostatnią przeszkodą w postaci rozrośniętej olszyny.

-Nie.

- Ach, te kobiety...

Zagłębili się właśnie w gaj sięgających do pasa jeżyn. Podążając krok za kowbojem, Lynn brnęła przez kłujący chruśniak, sapiąc z wysiłku i marząc znów o papierosie. W tej sytuacji nie mogła pozostawić bez odpowiedzi przesyconej męską pychą uwagi Jessa - supersamca.

- Czy spędziłaś kiedyś dziesięć godzin w pracy, mając na nogach pantofle na dziesięciocentymetrowych obcasach? - zapytała cierpkim tonem.

- Nie. - Odwrócił głowę, spoglądając na nią z zaskoczeniem.

- A napisałaś błyskawicznie komunikat telewizyjny o ściśle określonej liczbie słów?

- Nie.

- Urodziłaś dziecko? - dobiła go na koniec.

- Nie - chichotał pokonany.

- Ach, ci mężczyźni... - wycedziła z zimną pogardą.

Jess śmiał się w głos.

- Zgoda, każde z nas ma swoje słabe i mocne strony. Przepraszam, jeśli cię

obrazilem.

- Obraziłeś, ale przyjmuję przeprosiny.

- Rzecz w tym, że poruszanie się kajakiem po rwącej rzece wymaga pewnej zręczności, a ponieważ ja mam tylko jedną rękę sprawną, ty będziesz musiała się zająć wiosłowaniem.

- Czy trudno się wiosłuje w tej łajbie?

- Kajaku - sprostował Jess, zatrzymując się pod rozłożystą sosną. - No cóż, jak powiedziałem, nie jest to wcale takie proste.

- Dam sobie radę - oświadczyła zuchowato, nie mając pojęcia, czy sprosta wyzwaniu. Nie zamierzała jednak przyznać się do tego.

- Wkrótce się przekonamy. Oto zwinna „Antylopa”. - Wskazał na podłużny niczym cygaro kształt, mającący w pobliskich krzakach.

Odwrócony dnem do góry kajak ledwo można było dostrzec w powodzi panoszących się dokoła jeżyn i wszelkiej innej, nieprzebranej roślinności.

- Przypomina indiańskie czółno, tylko zakryte z wierzchu - stwierdziła Lynn, przyjrawszy się krytycznie kajakowi, gdy Jess wyciągnął go z ukrycia i odwrócił.

Ten nowy, wąski i sprawiający wrażenie wywrotnego środka transportu nie wzbudził jej zachwyty. Plastikowy żółty kadłub miał na wierzchu dwa okrągłe, uszczelnione niebieskim materiałem otwory, pod którymi kryty się siedzenia; po bokach kajaka przytroczono parę wiosel.

- Może trochę. Złap z drugiej strony, przeniesiemy go na wodę - komenderował zaaferowany Jess.

Usłuchała bez słowa. Ku jej zaskoczeniu kajak okazał się tak lekki, że w innych okolicznościach kowboj bez trudu poradziłby sobie z manewrowaniem nim w pojedynkę. Zajęta podtrzymywaniem spiczastego dzioba czółna, Lynn poślizgnęła się nagle i zjechała z impetem po stromym zboczu, lądując po kostki w bagnistym mule.

Uznała, że i tak zasługuje na miano szczęściary, skoro udało jej się nie wywrócić przy tej okazji.

- Gratulacje - wyszczerzył zęby w uśmiechu Jess, mocując się z tańczącym na fali niesfornym kajakiem.

Stał głębiej w rzece, w miejscu, gdzie woda sięgała kolan. Nie zważał na moknące spodnie, ale zgiął nagle jedną nogę jak bocian i ściągnął but.

Nie uszło uwagi Lynn, że kowboj nosi grube, białe, bawełniane skarpety, takie, jakie zakadają sportowcy.

- Co robisz? - zapytała, widząc, że wylewa wodę z buta.

- Nie widzisz? Zdejmuję buty - odparł krótko, celując przedmiotem konwersacji do tylnego otworu w kajaku, po czym powtórzył całą operację, tym razem z drugą nogą. Skarpet nie ruszył, bez drgnienia powieki skazując je na zamoczenie.

- Ale po co?

- Ponieważ pełno w nich wody, która zbytnio mnie obciąża. Proponuję, żebyś zrobiła to samo.

- Moje wcale nie przemokły.

- Na razie - uśmiechnął się diabolicznie. - Zobacysz.

Oceniwszy na podstawie dzielącej ją od kowboja odległości, że dno rzeki gwałtownie opada, wobec czego wystarczą dwa kroki w głąb, aby słowa Jessa się sprawdziły, Lynn poszła w jego ślad

Oślizgły szlam natychmiast wypełnił jej cienkie, nylonowe skarpetki, lodowata woda zmroziła stopy, a leżące na dnie kamienie uraziły boleśnie w podeszwy. Lynn położyła swoje wysokie buty tuż obok kowbojskich botków Jessa.

- Wepchnij je tak głęboko do środka, jak tylko zdołasz - poradził jej kowboj.

Zajęła się tym posłusznie, przy okazji odkrywając, że uformowane w kształcie dziurki od klucza siedzenia mają tak lilipucie rozmiary, że niewątpliwie nie zapowiadają przyjemnej podróży.

Uderzony nagłą myślą Jess oderwał się na chwilę od wioseł, które uwalniał z przytrzymujących je zacisków i zmierzył baczny spojrzeniem Lynn, upewniając się:

- Umiesz pływać, prawda?

- Oczywiście.

Odchrząknął, ilustrując w ten sposób swoje zdanie na temat jej buńczucznych zapewnień, ale ponieważ rozsądek nakazał mu powstrzymać się od głośnego wyrażenia wątpliwości, Lynn także zachowała milczenie.

- To dobrze. Cały sekret właściwego obchodzenia się z kajakiem na wodzie polega na utrzymaniu równowagi, zupełnie jak w przypadku roweru. Umiesz jeździć na rowerze?

- Oczywiście.

Tym razem Jess nie odchrząknął. Zresztą nie musiał - wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

- Jeśli tak cię to interesuje, wiedz, że opanowałam również grę w dwa ognie, tenis ziemny, ping-pong oraz piłkę ręczną. Z po wrodzeniem szusuję na nartach zimą, a latem chętnie przypinam narty wodne. Poza tym nieźle sobie radzę w wielu innych dziedzinach. Tak się jednak pechowo składa, że nigdy nie jeździłam konno, nie wspinałam się po skalnych ścianach ani nie prowadziłam kajaka.

- Pływałam - poprawił ją Jess.

- Słucham? - Spojrzała na niego z roztargnieniem, dla zachowania równowagi przytrzymując się kadłuba i przestępując z nogi na nogę, gdyż muł nieustannie osuwał jej się spod stóp.

- Prowadzi się samochód. Kajakiem natomiast się pływa - wyjaśnił Jess tonem na wpół skruszonym, na wpół rozbawionym.

- Wszystko jedno.

- Tak czy siak, taka wytrawna sportswomenka jak ty poradzi sobie na pewno. Wskakuj

- pociągnął kajak ku sobie, zachęcająco poklepując przednie siedzenie.

-Jak to: wskakuj? - zmierzyła żółty kształt podejrzliwym spojrzeniem. A właściwie, czemu nie? Proszę bardzo.

Brodząc po grząskim dnie, przemierzyła kilka kroków do miejsca, gdzie woda

sięgała jej po uda. Znalazłszy się na wprost wyznaczonego jej siedzenia, zatrzymała się niepewnie. Jeśli wsiądzie do tej płaskiej łupiny, od pasa w dół znajdzie się poniżej linii wody. Zerknęła na Jessa, który stał parę kroków dalej, podtrzymując dziób kajaka. Na ustach kowboja błąkał się ironiczny uśmiešek. Muliście, brunatne wody rzeki pędziły z prądem w dal.

- A co z kapokami?

- Wybacz, słonko, ale ruszając wam na pomoc, gdy spadłyście ze skały, nie przewidywałem, że wybierzemy się razem na miłą wycieczkę po wodzie. Z powodu tak karygodnej krótkowzroczności nie zabrałem ze sobą ani kapoków, ani hełmów ochronnych, wobec czego jesteśmy zmuszeni obyć się bez nich. A teraz nie marudź już dłużej, tylko wskakuj wreszcie!

Jego protekcyjny ton rozżłościł Lynn. Zmrużyła oczy w szparki i wycedziła lodowatym tonem:

- Spadłyśmy z tej skalnej półki, ponieważ zarwała się pod nami. Nie postawiłybyśmy na niej stopy, gdybyś raczył uprzedzić nas o niebezpieczeństwie. Jednym słowem, nasze obecne położenie zawdzięczamy wyłącznie brakowi odpowiedzialności firmy Adventure Inc. A poza tym nie nazywaj mnie słonkiem.

- Rzeczywiście, chmura gradowa wydaje się odpowiedniejszym określeniem. Wsiadasz? Proszę!

Poszło nadspodziewanie łatwo. Wcisnęła się w siedzenie i wyprostowawszy nogi, obrzuciła Jessa triumfującym wzrokiem. Wyścielane wewnątrz kajaka okazało się wyjątkowo wygodne; ciasno obejmowało jej kształty, a plastikowy kołnierz opinał jej korpus powyżej pasa. Unieruchomiona w ten sposób, czuła się trochę tak, jakby właśnie przymocowała sobie syreni ogon.

- Proszę, to twoje wiosło - odezwał się kowboj.

- Dziękuję - odrzekła, wychylając się po nie.

Kiedy tylko się poruszyła, kajak fiknął kozła.

Nic nie zaskoczyłoby Lynn bardziej niż ten nagły zwrot: w jednej sekundzie przekomarzała się spokojnie z Jessem, a w następnej ni stąd, ni zowąd znalazła się pod wodą! W dodatku pod lodowatą wodą.

Zanurzyła się cała do góry nogami uwięziona w syrenim ogonie.

Z wrażenia na początek wypięła chyba pół rzeki.

Potem dławiąc się zaczęła w panice machać rękami i nogami, za wszelką cenę pragnąc wyswobodzić się z krępującego jej ruchy materiału i wypłynąć na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza.

25

Zanim zdążyła coś zrobić, kajak, zupełnie bez jej udziału, odwrócił się tak samo niespodziewanie, jak przedtem zanurkował pod wodę.

Krztusząc się i wydając nieartykułowane dźwięki, otrząsnęła wodę z twarzy i otworzyła oczy. Przed nią stał Jess, zaśmiewając się do rozpuku.

- Ty... ty... - Z wściekłości zabrakło jej słów. - Zrobiłeś to na umyślnie! -

dokończyła, przyskając mu przy okazji w twarz kropelkami mętnej wody,

- Zapomniałem ci powiedzieć, że... kajaki... lubią się wywracać - wykrztusił,

dławiąc się z uciechy.

- Lubią się wywracać! - wrzasnęła w pasji. Dostrzegłszy kątem oka, że jej wiosło pływa obok na wodzie, wyłowiła je delikatnie i już miała grzmotnąć nim kowboja, gdy wtem przekłęty kajak fiknął kolejnego kozła.

Tym razem nauczona doświadczeniem, wstrzymała oddech aż do szczęśliwego powrotu na górę, co nastąpiło w niecałe pięć sekund później.

- Siedź spokojnie - upomniał ją Jess, nachylając się, by przytrzymać kajak.

Śmiał się przy tym tak, że z trudem utrzymywał równowagę. - Uspokój się, bo znowu fikniesz. Słyszysz, co mówię? Nie ruszaj się!

- Sam siedź spokojnie! - huknęła, zamierzając się, by trzasnąć go w nos, lecz nic z tego nie wyszło. Kajak zanurkował po raz kolejny.

Tym razem kiedy Lynn się wynurzyła, siedziała nieruchoma niczym posąg, choć złość kipiała w niej jak w tyglu. Strumienie brunatnej wody zalewały jej oczy, strąki przemoczonych włosów oblepiły głowę, wspinała ongiś puchowa kurtka, wchłonawszy więcej wody niż gąbka, przypominała brudny łach. Uczucie przejmującego zimna dopełniało reszty.

Odważyła się jedynie na ostrożne odgarnięcie pasma włosów.

- O Chryste - jęknął boleśnie Jess, któremu najwyraźniej żywiołowy, długotrwały śmiech nie zrobił najlepiej. Lynn błysnęła tylko białkami, zerkając tęsknie na twarz kowboja. Była tak kusząco blisko... Wizja następnej lodowatej kąpieli powstrzymała ją jednak. On nie jest tego wart.

- Zamknij się - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- W życiu nie widziałem nic równie zabawnego.

- Zdaje się, że nie zaznałeś zbyt wielu rozrywek - podsumowała zgryźliwie.

- Nie ruszaj się, dopóki nie wsiądę. - Stojąc tuż przy niej, popchnął kajak w stronę brzegu, nie przestając przy tym chichotać.

Dłonie Lynn same zacisnęły się w pięści. Gdyby tak mieć choć skrawek stałego ładu pod stopami, już ona pokazałaby temu półgłówkowi, gdzie raki zimują...

- Czy mówił ci już ktoś, że wyglądasz bosko, kiedy się złościsz?

- Nie, i tobie także radzę, żebyś nie popełnił tego błędu, jeśli chcesz zachować życie - odparowała, żalując, że nie można zabić spojrzeniem.

- Dobrze, już dobrze. Uspokój się.

- Pocałuj mnie w nos.

Jess parsknął, Lynn siedziała nadęta. Jak to możliwe, że jeszcze nie tak dawno myślała, że go lubi? Chyba brak jej piątej klepki. Nie cierpi tego typu bardziej niż kogokolwiek na świecie.

I nikt nie elektryzuje jej bardziej niż on...

Kajak uderzył o brzeg. Zatrzymali się w miejscu, kołysani lekko na fali. Lynn zastygła bez ruchu, bojąc się nawet oddychać.

- Jeśli chcesz szybko zrzucić kurtkę, przytrzymam kajak - zaproponował.

Nasiąknięta wodą puchowa kurtka ważyła chyba z tonę i ziębiła zamiast grzać.

Szczękając zębami, Lynn zawahała się jednak. Duma podpowiadała jej, by oprzeć się pokusie, troska zaś o zdrowie i wygodę, nakazywała zachowanie zdrowego

rozsądku.

- Chcesz mnie znowu podtopić.

- Nie obróci się tym razem, daję słowo.

- Akurat ci wierzę.

- Lynn, proszę cię. - Jess uśmiechnął się do niej przepaszająco; w zewnętrznych kącikach oczu zarysowały się ukośne zmarszczki. Stał tak blisko, że mogła odróżnić każdy pojedynczy włos z zarostu na jego policzkach, mogła policzyć każdą najdrobniejszą bruzdę na twarzy. Z przemęczenia oczy nabiegły mu krwią, miał też potargane włosy i zapewne nie najświeższy oddech. Mimo to, obszarpany i brudny, wciąż zapierał dech w piersiach swą niezwykłą urodą.

- Nie bądź niemądra - przemówił łagodnie jak do dziecka. - Nie zrobiłem tego celowo. Przechyliłaś się tak niespodziewanie, że nie zdążyłem zareagować. W końcu, jak wiesz, mam tylko jedną zdrową rękę.

Rzuciła mu niedowierzające spojrzenie, ale bez dalszych protestów zdjęła kurtkę.

- Co, twoim zdaniem, powinnam z nią zrobić? - zapytała, wciąż jeszcze trochę nadąsana, trzymając za kołnierz ociekające wodą okrycie niczym topielca za włosy. Dygotała przy tym jak w febrze, przemoczona do suchej nitki.

- Wyrzuć ją. Na pewno nie zdąży wyschnąć w ciągu kilku najbliższych godzin, a wówczas nie będzie nam już potrzebna.

- Przez twoje chore poczucie humoru zamarznię na śmierć.

Cisnęła kurtkę na brzeg, ale nie trafiła. Jeden rękaw wylądował na lądzie, drugi w mulistej wodzie. Prąd porwał okrycie natychmiast, wciągając je do rzeki tak szybko, że zanim się obejrzeni, zniknęło bez śladu w odmętach.

- Nie, to ja zamarznię. Należy mi się, nie powinienem być dopuścić do takiej katastrofy.

Spojrząwszy nań podejrzliwie, ujrzała, że szarpie się z własną kurtką, usiłując ją zdjąć. Aby to uczynić, musiał na chwilę puścić kajak. Lynn wstrzymała oddech, zaciskając kurczowo dłonie na bokach.

Kajak ani drgnął.

Po chwili kurtka Jessa wylądowała przed jej nosem, dłoń kowboja zaś wróciła na swoje miejsce na burcie. Lynn odetchnęła.

- To naprawdę był wypadek - odezwał się Jess pojednawczym tonem, ale towarzyszący tym słowom szelmowski uśmiešek zepsuł dobre wrażenie.

- Tere-fere - mruknęła, decydując się zdjąć także przemoczony na wskroś golf. Pozostawienie go pod suchą kurtką przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Ziębnięta i wciąż wściekła, przewyciężyła wrodzoną skromność, ściągnęła po prostu sweter przez głowę, by upchnąć go w kajaku na wypadek, gdyby jeszcze był potrzebny.

- Pięćkny staniczek - zakpił Jess, choć zdążyła już schować się cała w jego rozkosznie wygrzanej kurtce.

Rzuciwszy mu pełne pogardy spojrzenie, otuliła się nią jeszcze ciaśniej. Dopiero teraz poczuła, że skostniała z zimna.

- Posłuchaj, Mały Joe, mam dość twoich dowcipów. Na twoim miejscu trzymałabym buźkę na kłódkę. - Zaciągnęła zamek aż pod szyję.

- W przeciwnym razie...- zaczął prowokująco, przesuając się wolno w tył. Lynn nie widziała jego twarzy - a bała się odwrócić - ale poszłaby o zakład, że kowboj uśmiecha się pod nosem. Przez chwilę siedziała cicho, namyślając się, aż wreszcie wypaliła:- W przeciwnym razie, jak tylko wydostanę się z tej pływającej wanny, kopnę cię tak, że wylądujesz na Księżycu.

Zarechotał, po czym zdecydowanym ruchem odepchnął kajak od brzegu i wskoczył zwinnie do środka. Żółta wanna zakołysała się niebezpiecznie, lecz Lynn, wciąż trzęsąc się ze złości, nie zwróciła na to większej uwagi.

Wpłynąwszy w główny nurt rzeki, kajak runął z prądem w dół, tańcząc i podskakując na wzburzonej wodzie. Deszcz lodowatych kropeł uderzył wędrowców w twarz. Dochodzące zza pleców Lynn dźwięki świadczyły o tym, że Jess, manipulując wiosłem usiłuje utrzymać równowagę.

Opasy kolczak wystawił nos z zarośli, przez chwilę przyglądał im się ciekawie, zanim leniwie wspiał się na drzewo. Gromada wróbli przemknęła nagle z furkotem tuż nad głowami podróżników i rozpląnęła się w oddali za nimi. Na brzegu Lynn wypatrzyła wielki, ciemny cień - czyżby grizzly? - który zaszył się w kępie krzaków.

- Trzymaj - Jess trącił ją łokciem i ponad głową podał jej wiosło. - Zanurzaj wiosło na przemian to z prawej, to z lewej strony. Raz w górę, raz w dół, zupełnie jak na huśtawce, góra, dół. Zagarniaj wodę i ciągnij.

Lynn posłuchała niechętnie. Nie paliła się wcale, by spełniać życzenia kowboja, a poza tym, gdy oderwie ręce od tej chybotliwej wanny, aby ująć wiosło, pozbawi się oparcia. Pocieszyła ją nieco myśl, że tym razem oboje z Jessem jadą na tym samym wózku - jeśli kajak fiknie kozła, zanurkują obydwój.

Kto wie, może i warto by się poświęcić, żeby to zobaczyć...

Ale kajak nie przekoziółkował. No oczywiście, Jess nigdy by do tego nie dopuścił, skoro już sam siedział w tym paskudztwie.

Góra, dół, góra, dół. Zagarnąć wodę i ciągnąć. Najpierw z prawej, potem z lewej, prawa, lewa. Lynn szybko złapała rytm i choć z tyłu nie padło ani jedno słowo pochwały, pęczniała z dumy, patrząc, jak suną szybko środkiem rzeki.

- Mamy szczęście, że właśnie spływają wiosenne wody. Unoszą nas same, tak że twój brak umiejętności jest właściwie bez znaczenia - sprowadził ją na ziemię Jess, przekrzykując szum wody.

Lynn zacisnęła usta. Miała ochotę odwrócić się i przyłożyć mu wiosłem, ale powściągnęła emocje, nie chcąc zbyt rozkołysać kajaka. Trudno, policzy się z tym draniem dopiero na lądzie.

Nie mogła się zorientować, czy Jess też wiosłuje, czy nie. W każdym razie dzięki jego ciężarowi pływająca łupina utrzymywała się na wodzie dużo stabilniej niż przedtem. Uświadomiwszy to sobie, Lynn rozpromieniła się cała.

- Przynajmniej na coś się przydajesz! - krzyknęła przez ramię.

- Na co?

- Jako balast - uśmiechnęła się z zadowoleniem, odpłaciwszy mu pięknym za nadobne.

Pozostawił tę zaczepkę bez odpowiedzi. Lynn tymczasem, zobaczywszy znajome zarośla pełne splątanych olch i wierzb, rzuciła się z energią do wiosłowania. Jak szybko! Poruszanie się kaja kiem zdecydowanie bije na głowę piesze wędrówki! Gdybyż jeszcze te paskudztwa nie były takie wywrotne...

W towarzystwie dryfującej rosochatej gałęzi oraz trzech kaczek pokonali zakręt. - Musimy skierować kajak do brzegu. Odwróć się całym ciałem w tę stronę! Dobrze, a teraz zanurz wiosło głęboko i tak trzymaj! Mocno! - komenderował Jess.

Lynn zaparła się z całej siły z uczuciem, że czyni to wyjątkowo nieudolnie. A jednak kajak posłusznie skręcił w stronę brzegu. Udało się!

Odwróć się całym ciałem, mamrotała do siebie. Zanurz wiosło i trzymaj je mocno. Kajak uderzył w brzeg z takim impetem, że Lynn o mało nie wypuściła wiosła z rąk. Plastikowy kadłub z chrzęstem zarył w kamieniste dno rzeki.

Tonący w chaszczach zakątek, w którym wylądowali, nie wyróżniał się niczym szczególnym.

- Skąd wiesz, że to właśnie tu? - zapytała Lynn porażona straszną wizją: a jeśli nie odnajdą Rory, co wtedy?

Jak okiem sięgnąć, wszędzie wokół nich prężyły się dumnie takie same wyniosłe drzewa, pochylały równie artretycznie po skręcane krzewy, wiły identyczne powoje.

- Widzisz ten potężny głaz tam w górze?

Lynn pokiwała głową.

- Zapamiętałem go jako znak szczególny, spodziewając się, że będziemy mogli dostrzec go z rzeki. Kryjówka Rory znajduje się zaraz za nim.

- Pójdę po nią - A może wolisz zostać w kajaku?

Zesztywniała na myśl o pozostaniu w tym żółtym diabelstwie bez Jessa.

- Nie, dziękuję.

Wolałaby uniknąć kolejnej kąpieli.

- Mogą ci się przydać. - Podał jej buty ponad ramieniem. Pomimo straszliwej ciasnoty Lynn wciągnęła je bez kłopotu na nogi.

Wywrotny kajak bardzo utrudniał wszelkie manewry, lecz udało się jej wygramolić i wejść do wody.

Pozbawiony jej ciężaru zachwiał się zdradliwie, budząc w sercu Lynn nadzieję, że a nuż splata kowbojowi nieprzyjemnego figla.

Nic z tego.

Jakby czytając w jej myślach, Jess wyszczerzył zęby w triumfującym uśmiechu. Siedział rozparty w swoim siedzeniu, przed nim w poprzek żółtego plastikowego kadłuba leżało wiosło, przyczyniając się w ten sposób do utrzymania równowagi łupiny. Lynn domyśliła się, że kowboj, znalazłszy punkt podparcia dla wiosła, przytrzymał je niesprawną ręką, prawą wiosłując z zapalem.

No proszę, bohater z krainy Marlboro tym razem w roli kajakarza.

- Radzę się pośpieszyć - ostrzegł, napotkawszy jej wzrok. - Bo możesz mnie tu już nie zastać po powrocie.

Niepotrzebnie ją straszyl. Wiedziała, że nie zostawiłby ich tu taj samych.

Pomimo swoich licznych wad zdołał udowodnić, że - tu Lynn przypomniała sobie słowa z ulotki reklamowej - można na nim polegać w każdej sytuacji.

Wspinając się na stromy brzeg, a potem przedzierając się przez wierzbowe zarośla, zastanawiała się nad tym wszystkim.

Rzeczywiście, od początku owej niefortunnej przygody kowboj bez przerwy służył jej i Rory pomocą. Kiedy spadły ze skalnej półki, kto, narażając własne życie, je ocalił? Jess. Kto taszczył małą od podnóża klifu aż do porzuconej kopalni, cierpliwie znosząc zaloty smarkuli i podejrzliwość jej matki? Jess. A w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, kto nadal z poświęceniem dźwigał Rory, zamiast zadbać o własną skórę i po prostu wziąć nogi za pas? Jess. Kto, nie zważając na krwawiące ramię, zaprowadził je do pieczary, gdzie mogły bezpiecznie spędzić noc? Jess. Kto wreszcie wymyślił doskonały plan ucieczki rzeką i mimo odniesionej rany konsekwentnie go realizuje? Jess.

A mógł przecież pozwolić im zostać na skalnej ścianie, mógł pod osłoną nocy wymknąć się wczoraj z pieczary, zostawiając je własnemu losowi. Nie mając ich dwóch na karku, o wiele szybciej umknął by z tej koszmarnej okolicy, ale taka myśl nawet nie powstała mu w głowie. Co do tego Lynn nie miała nawet cienia wątpliwości.

W głębi duszy była, bowiem całkowicie przekonana, że ten niepoprawny kowboj uczyni wszystko, żeby wyciągnąć je obie z tarapatów.

No proszę, model z krainy Marlboro jako bohater. Mimo niechęci do uznania swej pomyłki w ocenie młodszego Feldmana, Lynn nie mogła jednak nie zauważyć, że zachowywał się wyjątkowo szlachetnie.

Zgodnie z tym, co powiedział Jess, tuż za wielkim omszałym głazem, wśród strzegących tego miejsca majestatycznych sosen, rozciągał się gąszcz paproci. Ich pierzaste liście spływały zieloną kaskadą aż do samej ziemi. Zabłąkany promień słońca podświe tłał wirujące w powietrzu pyłki.

- Rory! - zawołała Lynn stłumionym głosem, nie mogąc się oprzeć niesamowitemu wrażeniu, że drzewa mają uszy. - Już wróciliśmy! Musimy iść!

Dziewczynka nie odezwała się jednak. Może śpi? - zastana wiała się Lynn.

Podeszła bliżej i rozgarnęła kępy paproci.

Kryjówka była pusta.

Kiedy wpatrywała się tępych wzrokiem w gniazdko opuszczone z nieznanego powodu przez córkę, nagle uzmysłowiła sobie przyczynę trawiącego ją podświadomie niepokoju - w lesie wokół panowała nienaturalna cisza.

Oprócz własnego oddechu i cichego szeptu wiatru w gałęziach Lynn nie słyszała nic: ani świergotu ptaków, ani brzęczenia owadów, ani żadnych innych odgłosów zwierząt. Po prostu nic.

Nagle, instynktownie wyczuwając czyjaś obecność na lewo, szybko odwróciła się w tamtą stronę, napotykając ni mniej, ni więcej tylko przeraźliwie błękitne spojrzenie córki, oddalonej zaledwie o trzy kroki. Klęczała wśród sięgających jej do ramion paproci, na wpół schowana za pniem grubej sosny. Z tyłu za Rory klęczał krępy, czarnowłosy, łysiejący mężczyzna, który przygarniając ku sobie

ramieniem dziewczynkę, zasłaniał jej usta toporną łapą.
W drugiej dłoni ścisnął pistolet, wycelowany prosto w Lynn.

26

Od dawna zadajecie się z Judaszem? - zapytał zbir.

Miał na sobie czarne spodnie i poplamioną krwią białą bluzę od dresu, rozpiętą pod szyją. Przemawiał spokojnym, ścisłym głosem, z lekka zatracając południowym akcentem. Raczej ze zdziwieniem niż złością obejrzał dokładnie Lynn, marszcząc przy tym brwi.

Nie całkiem rozumiejąc pytanie, na wszelki wypadek postanowiła się uśmiechnąć. Zazwyczaj promienna uroda w jednej chwili zjednywała jej przychylność mężczyzn. Ale nie dziś: okryta puchową kurtką sięgającą kolan, z umorusaną twarzą i zlepionymi w strąki włosami zbyt odbiegała nr) ideału piękna, by wyrzeć na kimkolwiek piorunujące wrażenie. Mężczyzna nie odwzajemnił uśmiechu.

- Nie należysz do klanu Michaela - stwierdził krótko. - Nie znam cię.

Wyglądał i mówił zaskakująco zwyczajnie. Handlarz używanymi samochodami jako maniackalny morderca!

Ciarki przebiegły jej po krzyżu.

- Nie, nie należę - odrzekła, starając się opanować drżenie głosu.

Pojąwszy wreszcie całą grozę sytuacji, Lynn zaczęła się bać. Nogi miała jak z waty, zaschło jej w gardle. Zerknęła na córkę: w rozszerzonych źrenicach Rory także czaił się strach.

Nie miała wątpliwości, że stojący przed nią człowiek to jeden z bandy ścigających ich morderców, bo ilu uzbrojonych szaleńców może biegać po powierzchni kilku kilometrów kwadratowych lasu? Wpadły więc w końcu w ręce tych samych zbirów, którzy w tak okrutny sposób pozbawili życia tamtą nieszczęsną kobietę, chłopców, nagiego mężczyznę albo jeszcze kogoś! Ale ich może nie zabijają, skoro żadna nie należała do klanu Michaela, cokolwiek to oznaczało. Ponadto handlarz samochodami zapewne nie jest pewny, czy ma do czynienia z tropionymi przez bandę uciekinierkami. Co więcej, nie wie również tego, że widziały zmasakrowane zwłoki w osadzie górniczej. W tym tkwi ich jedyna szansa. Lynn powinna przekonać tego zbira, że właśnie los zetknął go z dwiema przypadkowymi turystkami, które niczego nie słyszały ani nie widziały. Oprócz rewolweru zaciśniętego w ręce mężczyzny, który pochwycił i trzymał przed sobą Rory. Zaiste zadanie godne diabła.

Zdawała sobie sprawę z nikłych szans powodzenia, musiała jednak spróbować, choć dławiły ją ze strachu mdłości.

- Polował pan tu w okolicy? - zapytała z przyklejonym uśmiechem, godnym, w jej przekonaniu przynajmniej, jowialnej Pat Greer. - Przeszkodziłyśmy? Najmocniej przepraszamy! Jeżeli tylko puści pan moją córkę, to natychmiast stąd znikniemy i będzie pan mógł w spokoju wrócić do swego zajęcia.

- Czy Theresa jest z wami? - zapytał, kompletnie ignorując jej paplaninę.

- Theresa? - powtórzyła wolno Lynn, gotowa albo przytaknąć, albo zaprzeczyć; niestety, nie umiała odgadnąć, która z tych odpowiedzi przypadnie tamtemu do

gustu.

- Theresa, córka Michaela.

- Ach...- Kiedy w pośpiechu próbowała rozważyć korzyści z wyznania prawdy, obcy potrząsnął głową, jakby odpowiedź na to pytanie ni stąd, ni zowąd przestała go interesować.

- A gdzie mężczyzna? - zapytał dla odmiany, bacznie jej się przyglądając. Kątem oka Lynn zauważyła, że Rory drży; dłonie dziewczynki dygotały konwulsyjnie.

- Mężczyzna? - Wzięła głęboki wdech, zastanawiając się, czy nie wrzasnąć, ile tchu w piersi. Jej krzyk zapewne sprowadziłby tu w mig owego „mężczyznę”, ale równie dobrze mógłby pchnąć handlarza samochodów do zamordowania jej i Rory. A także przybywającego na odsiecz Jessa.

- Mężczyzna, który towarzyszył wam wczoraj w nocy. - Zbir wykrzywił usta w triumfalnym uśmiechu. - To Jahwe kazał mi was szukać nad rzeką. Przed Nim nikt się nie ukryje.

- Jahwe? - Przekonawszy się ostatecznie, że rozmawia z nawiedzonym, Lynn straciła rozeznanie, jak dalej postępować.

- Niektórzy nazywają go Bogiem. To On przemawia do nas przez Baranka, On nas prowadzi... Ale wy, poplecznicy Michaela, uczyniliście Judasza swoim Bogiem i chcecie, by wszyscy poszli w wasze ślady. - Pokręcił ponuro głową. - Bardzo się jednak mylicie. Judasz to tylko fałszywy prorok. Pokutuje teraz za swoje grzechy.

- Moja córka mogłaby przyprowadzić tego mężczyznę, Theresę też. My tu sobie tymczasem porozmawiamy, a ona obróci dosłownie na jednej nodze, prawda, kochanie?

W desperacji gotowa była chwycić się każdego sposobu, był tylko wyrwać Rory z łap tego fanatyka o niesamowitym, obłąkanym spojrzeniu, które demaskowało jego niepoczytalność dobitniej niż słowa. Powaga, z jaką recytował swoje niedorzeczne wy wody, przejęła Lynn zgrozą.

Taki człowiek nie zawaha się zabić z zimną krwią, przekonany o swojej racji.

Rory nieśmiało pokiwała głową.

- Jeśli kręci się w pobliżu, odgłos strzałów sprowadzi go tu w jednej chwili.

Chociaż w przypadku Theresy skutek może być odwrotny... - Obcy uśmiechnął się pod nosem. - Twoja propozycja przypomniła mi takie powiedzonko o wróblu w garści. Znasz je? No właśnie. Nie martw się, więc o pozostałych. Wpadną mi w ręce prędzej czy później. Co do was, czas zakończyć te pogaduszki. Wiem, że się boicie i chcecie mieć to już za sobą. Wszyscy się boją. choć nie ma czego Śmierć to tylko przeniesienie się do lepszego świata.

- Proszę... - zaczęła Lynn, widząc, że zbir zamierza się podnieść; zdjął dłoń z twarzy Rory i przeniósł ją na talię dziewczynki.

- Mamo... - szepnęła mała drżącymi wargami. Ze strachu trzęsła się jak galareta; kredowobiała twarz i oczy wielkie niczym spodki dopełniały reszty obrazu.

Lynn zrozumiała, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, jej córka zginie; zginą obie.

- Nie ma się czym tak przejmować, młoda damo. Daję słowo, że nic nie poczujesz.
- Przemawiając tonem dobrego wujaszka, intruz popchnął Rory do przodu, po czym zaczął niezgrabnie dźwigać się na nogi.

Ręka trzymająca pistolet zadrżała...

Wiedziona odruchem Lynn skoczyła do przodu jak pantera, wymierzając potężne kopnięcie prosto w uzbrojoną dłoń.

Pistolet wystrzelił, po czym szerokim łukiem przekoziółkował w powietrzu, lądując w pobliskich krzakach.

- Uciekaj! - Schwyciła Rory za ramię i wyszarpnęła ją z objęć prześladowcy. Korzystając z jego zaskoczenia i widocznej ociężałości ruchów, pociągnęła za sobą córkę, pomykając ręczo niczym umykająca myśliwym łania w stronę wielkiego głazu, zza którego niespodziewanie wyłonił się właśnie biegnący im na pomoc Jess. Wpadłszy na niego jak bomba, Lynn straciła równowagę i runęłaby jak długa, gdyby jej nie podtrzymał. Kowboj też się zachwiał, lecz błyskawicznie odzyskał równowagę i nie tracąc ani sekundy, rzucił jednym tchem: - Chodźcie! - porywając je za sobą. Dopiero kiedy okrążyli ogromny kamień i znaleźli się na wiodącej w dół ścieżce, Lynn zauważyła, że Jess biegnie w samych skarpetach.

Rzuciwszy okiem za siebie, ujrzała wystające z zarośli obfite kształty ich prześladowcy, opięte połyskującymi spodniami z czarnego poliestru. Kręcąc się w kółko na czworakach i rozgarniając poszycie, handlarz używanych samochodów jak oszalały przetrząsał zarośla w poszukiwaniu pistoletu.

- Szybciej! - ponagliła oboje bez tchu, przywierając mocniej do ręki Jessa, kiedy w dzikim pędzie wielkimi susami ześlizgiwali się ze stromego brzegu ku rzece, ciągnąc za sobą Rory.

Z oddali dobiegły ich podniesione męskie głosy oraz trzask łamanych gałęzi. Zwabieni odgłosem strzału, zjawili się pozostali członkowie bandy.

- Wsiadajcie!

Pchnąwszy Lynn do wody, Jess zajął się kajakiem. Po kolana w rzece, mimo ciężących niemiłosiernie butów, pośpieszyła w stronę przedniego siedzenia, oglądając się na Rory.

- Wskakuj! - krzyknęła do córki.

Rory wdrapała się na kajak, zalewając siedzenie strumienia mi wody.

- Wsiadaj z nią! Szybko!

Wysunawszy nogi z uwięzionych w mule butów, Lynn wgramoliła się na to samo siedzenie, zajmując miejsce za plecami dziewczynki. Nie miała czasu, by myśleć teraz o butach; w pośpiechu chwyciła za wiosło. Przełożywszy je ponad głową Rory, dotknęła jej ramionami i poczuła, że córka nadal cała się trzęsie. O nią jednak też nie mogła teraz się troszczyć; zaczęła wiosłować ze wszystkich sił. Zagarnąć wodę, pociągnąć.

Od rzeki nadciągnął świeży, pachnący sosną powiew wiatru, zdmuchując włosy z twarzy zmaltretowanej Lynn. Siedziała w kałuży, stopy skostniały jej doszczętnie, miary nieszczęść dopełniała wielka kurtka Jessa, krępująca jej ruchy.

Lecz przede wszystkim Lynn umierała ze strachu.

Zagarnąć wodę, pociągnąć.

- Trzymaj równowagę!

Rufa plasnęła o wodę. Kajak ruszył wreszcie powoli z prądem, gdy wtem z pluskiem i łoskotem zachybotał się gwałtownie, schodząc z wyznaczonego kursu. To Jess wskoczył do środka.

Lynn odruchowo przechyliła się w przeciwną stronę. Już wcześniej odkryła, że sterowanie kajakiem przypomina trochę jazdę na deskorolce - wystarczy pochyłać się w tę stronę, w którą chcesz skręcić.

- Do wiosła! - zakomenderował kowboj, wprowadzając niezwłocznie słowa w czyn.

Lynn energicznie poszła w jego ślady. Przyciśnięta do niej plecami Rory nie przestawała drżeć.

- Nie martw się - szepnęła jej Lynn do ucha. - Poradzimy sobie.

Wokół kajaka wirowały niesione z prądem liście, powykęcane gałęzie, odłamane konary. Wzdłuż rzeki pięły się urwiste skalne ściany; wysoko na ich szczycie trzymały wartę smukłe sosny. W skalnych szczelinach tysiące wróbli uwiło sobie gniazda. Drapieżny rybołów, sfrunawszy z gałęzi wielkiej sosny, szybował nad rzeką, wypatrując zdobyczy. Dostrzegłszy ofiarę w cieniu zwisających nad lewym brzegiem korzeni, zniżył lot i zatopiwszy szpony w wodzie, wyłowił pstrąga tak wielkiego, że z trudem dźwignął go w powietrze.

- Mamo, spójrz! - Rory trąciła ją, wskazując coś palcem i jednocześnie cała się skuliła.

Lynn zmartwiała, spojrzawszy w tamtym kierunku: nieomal na wprost kajaka w olchowych zaroślach stał mężczyzna, mierząc do nich z karabinu.

Jess cisnął przekleństwo tak ordynarne, że w innych okolicznościach matka zatkałaby swojej jedynaczce uszy.

- Nie przestawaj wiosłować - warknął do Lynn, zresztą zupełnie zbędnie, gdyż nie trzeba jej było tego powtarzać. Zapamiętała machała wiosłom, a kajak przesunął się z prądem środkiem rzeki.

Nagle usłyszeli odgłos wystrzału, a zaraz po nim trzy następne.

- Pochylcie głowy! - krzyknął Jess.

Rory natychmiast zsunęła się tak nisko, jak tylko mogła. Kuląc ramiona, Lynn osłoniła jej głowę własnym ciałem, zastanawiając się, jak to jest, kiedy dostajesz kulkę. Czy od razu się umiera, czy przeszywa cię rozdzierający ból, a może z powodu szoku w ogóle nic nie czujesz? Przeszły ją ciarki, gdyż pocisk mógł dotrzeć do nich w każdej chwili.

- Mamo - jęknęła Rory.

- Wszystko w porządku, kochanie. - Pocieszając dziewczynkę, uspokoiła się sama.

Panika mogła im tylko zaszkodzić.

Trach! Trach! Trach! Trach!

Lynn pomyślała, że strzelców musi być kilku. Obejrawszy się przez ramię, przekonała się, że ma rację. Do samotnego mężczyzny przyłączyło się dwóch innych, w tym ów znajomy dobry wujaszek. Tamci dwaj mieli karabiny, nawiedzony

zaś widocznie nie odnalazł swej broni, gdyż stał z pustymi rękami. Powietrze rozdarła kolejna seria strzałów, zmuszając Lynn do schowania głowy w ramiona. Deszcz pocisków sygnalizował wokół kajaka, znacząc małymi fontannami miejsca, w których kule wpadały do wody. Jedna z nich uderzyła z suchym trzaskiem w kadłub mknącej żółtej łupiny i Lynn znów ogarnęła panika. Dzięki Bogu, że kajak to nie ponton, pomyślała, może nie zatonie tak szybko.

- Nic ci się nie stało? - zawołała do Jessa.

- Schyl się i siedź cicho - Dobiegły ją z tyłu pełne otuchy słowa. Wiadomo przynajmniej, że kowboj żyje. Dobre i to.

Znów gruchnęły strzały, lecz brak kółek na wodzie świadczył o tym, iż chybiły celu. Pochylona nisko Lynn wiosłowała ile sił, modląc się w duchu, by bystry nurt uniósł ich co prędzej poza zasięg broni napastników.

Kiedy jak burza weszli w ostry zakręt rzeki, kajak położył się na burcie, grożąc im zimną kąpielą.

- Przechylcie się w lewo! - zawołał Jess; usłuchały go bez słowa.

- Możecie się wyprostować, niebezpieczeństwo minęło - odezwał się w kilka sekund później, dysząc ciężko z wysiłku.

Lynn ostrożnie uniosła głowę, oglądając się za siebie. Ujrzała jedynie ciche leśne ostępy i gromady rozczwierkanych wróbli, buszujących na obu brzegach rzeki; kolorowy motyl poderwał się z kępy przypominających stokrotki kwiatów, by zniknąć wśród zieleni. Para dzikich kaczek, połyskując zielonym upierzeniem na łebkach, przepłynęła z godnością obok kajaka, prześlizgując się wśród dryfujących gałęzi.

Wujaszek i jego towarzysze zniknęli z horyzontu. Lynn ode tchnęła z ulgą. Przy okazji nie omieszkała też obrzucić bacznym spojrzeniem Jessa, który odłożywszy wiosło, pozwalał prądowi rzeki unosić kajak w bezpieczniejsze strony. Sapał niczym miech kowalski, a grymas cierpienia wykrzywił mu usta. Zapewne nadwerężone długim wiosłowaniem ramię dało o sobie znać. Lynn doszła do wniosku, że najprawdopodobniej rana zaczęła znowu krwawić.

Podobnie jak Lynn, Jess przedstawiał sobą dość żaloszny widok: kosmyki splecionych, mokrych włosów sterczały mu w nieładzie na wszystkie strony, strużki mulistej wody z rzeki pozostawiły brunatne ścieżki na jego policzkach, a poblądła, zmęczona twarz błagała o mydło i golarkę.

I tylko oczy śmiały mu się jak dawniej, połyskując błękitem.

Napotkawszy jej spojrzenie, rozpromienił się nagle. Wyglądał, jakby otrzymał zastrzyk pobudzający. Gdyby Lynn nie zdążyła go już trochę poznać, pomyślałaby, że to igranie z niebezpieczeństwem rozgrzało mu krew w żyłach.

Tymczasem powód zadowolenia musiał być inny, taką przy najmniej żywiła nadzieję. Któż bowiem o zdrowych zmysłach mógłby przepadać za zabawianiem się w kotka i myszkę z mordercami?

- Na razie jesteśmy bezpieczni - oświadczył Jess. - Uciekając kajakiem w dół rzeki, zyskamy nad nimi sporą przewagę - nie dogonią nas tak szybko.

- Dzięki Bogu - westchnęła Lynn. - Rory, dziecińko, dobrze się czujesz?

- Pojawił się tuż przed twoim przyjściem - poskarżyła się Rory płacząc. - Musiałam pójść na stronę, więc wypelzłam spod paproci i wpadłam prosto w jego łapy! Nie miałam pojęcia, że tam się zaczął! Najpierw nazywał mnie Theresa, potem zaczął wypytywać, gdzie się podziewa ta cała Theresa, a na koniec oświadczył, że mnie zabije. Gdybyś nie nadeszła, naprawdę by mnie zastrzelił!

- Już dobrze, już po wszystkim - uspokajała ją Lynn, głaszcząc po włosach. - Przez pewien czas nic nam nie grozi.

- Boże, myślałam, że ciebie też zabije.

- Ale uciekliśmy i zostawiliśmy ich daleko w tyle.

- Tak się bałam.

- Wiem, kochanie, ja też się bałam. - Lynn uściśnęła córkę dość niezgrabnie, gdyż przeszkadzało jej wiosło.

- Jesteś naprawdę niesamowita, mamo. Zachowałeś się całkiem jak na filmie. - Mała nie kryła podziwu. Odwróciwszy się do Jessa, spytała: - Wiesz, co zrobiła? Kopnięciem wytrąciła te mu typowi broń z ręki!

- Zupełnie jak Chuck Norris - przyznał kowboj. - Naprawdę niesamowite. Trenujesz karate czy co?

- Aerobik.

- Aerobik?

- Pomaga mi zachować linię. Trzy razy w tygodniu męczę się, do znudzenia ćwicząc te same figury.

- 1 dzięki temu ocalałaś nam życie - oświadczyła Rory.

Jess nie powiedział nic, tylko zaczął mrużyć coś pod nosem. Dopiero po dobrej minucie lub dwu Lynn udało się rozróżnić słowa piosenki: „Wiotka panienka, a mocny cios, spojrzysz jej w oczy, dostaniesz w nos...”.

- Och, przestań - ofuknęła go, czując, że wraca jej dobry humor.

27

„Śmierć nadchodzi”. Słowa te kołatały w głowie Theresy tak natrętnie, jakby ktoś bezustannie szeptał jej dziewczynie do ucha.

Opanowały ją bez reszty, doprowadzając do stanu bliskiego hysterii. Właśnie miała przeczołgać się przez niewielką skalną szczelinę stanowiącą tylne wyjście z kopalni, gdy nagle utraciła całą odwagę. Cofnęła się trwożliwie w głąb korytarza i tylko zerknęła ostrożnie na zewnątrz.

Oślepiło ją jasne światło dnia. Po wielu godzinach spędzonych w ciemności nie widziała nic, czuła jedynie dojmujący ból oczu. W pierwszej chwili musiała więc zdać się na inne zmysły, przede wszystkim zaś zaufać intuicji, a ta ostrzegła ją przed niebezpieczeństwem czyhającym w pobliżu.

Theresa dobrze знаła to miejsce. Wiedziała, że w odległości zaledwie kilku metrów od skalnej szczeliny biegnie bita droga łącząca to odludzie ze światem. Gdzieś nieopodal czaiła się Śmierć.

Theresa przycupnęła w ciemnym korytarzu, czekając, aż jej wzrok przywyknie do sączącego się przez szczelinę blasku na tyle, by za zasłoną gałęzi móc dostrzec zarys drogi. Wejścia do kopalni strzegły bujne krzewy forsycji, dawno już

przekwitłe, lecz wciąż cieszące oko pastelową zielenią delikatnych listków. Niewielki strumień, strużka wody zaledwie, wijący się wokół stóp Theresy, spływał w głąb czarnych czeluści, ani chybi zasilając podziemną rzekę płynącą najniższym pokładem kopalni. Na szczęście dziewczyna, dostrzegłszy w porę niebezpieczeństwo, wybrała na drogę ucieczki wyżej położone, suche korytarze, omijając podziemną rzekę, która zwykle sięgała kostek, a teraz, zasilona wodą z ostatnich obfitych deszczów, zamieniła się w prawdziwy żywioł. Eliasz, wyczerpany łkaniem, spał słodko przy piersi Theresy w zaimprovizowanym nosidełku z kawałka płótna oderwanego od jej nocnej koszuli. Od chwili gdy opuścili piwniczkę w rodzinnym domu, biedactwo nie dostało nic do jedzenia. Dziewczyna próbowała oszukać głód malca, dając mu do ssania zwinięty gałganek, lecz nie na wiele się to zdało. Głodne niemowlę dopominało się krzykiem o swoje prawa przez kilka godzin, aż wreszcie sen zmusił je do kapitulacji. Dopiero, kiedy dziecko się uspokoiło, Theresa mogła pomyśleć o opuszczeniu kopalni.

W podziemnym labiryncie splecionych korytarzy byli bezpieczni, Śmierć szukała ich gdzie indziej: na zewnątrz, w jasnym świetle dnia. Dziewczyna czuła jej obecność tak samo wyraźnie, jak zdarzyło jej się to wcześniej w chacie. Może powinna, więc przyczaić się w ciemnościach? Nie, jeśli proroctwa nie kłamią, miejsce pobytu nie ma najmniejszego znaczenia w spełnieniu się jej losu.

Nagle drgnęła, ujrawszy trzy postaci przedzierające się przez wysokie poszycie w stronę drogi, która na koniec także ukazała się jej oczom. Dwie jasnowłose kobiety, podtrzymujące się nawzajem, podążały śladem wysokiego mężczyzny, którego prawa ręka zwisała sztywno jak sztuczna.

Theresa miała pewność, że nigdy wcześniej nie zetknęła się z tymi ludźmi.

Od wielu godzin, od momentu, kiedy Śmierć zebrała żniwo w jej rodzinie, dziewczyna modliła się bez przerwy, modliła żarliwie o cud, który pomógłby jej umknąć przeznaczeniu.

Czyżby ta oto trójka została zesłana przez Najwyższego, aby wyrwać ją z paszczy straszliwej kostuchy?

A może ma przed sobą wysłanników białej damy, którzy przybyli tu po to tylko, aby oszukać Theresę i podstępem wywabić ją z kryjówki?

28

Po upływie czterech godzin od ucieczki spod kul morderców Jess, Lynn i Rory szczęśliwie dotarli do celu. Przed nimi wiała się wyboista, szutrowa droga, która opasując górskie szczyty, przecinała niezliczone strumienie i omijając bagienne moczary w tej części gór Uinta, biegła do stanowej szosy numer sto pięćdziesiąt wiodącej do miasteczka Kamas.

Kiedy tylko tam dotrą, natychmiast zawiadomią policję. Lynn pomyślała, że naprawdę bezpiecznie poczuje się dopiero, ujrawszy, jak szwadron rośłych stróżów prawa wyrusza na sy renach w pościg za mordercami.

Niemniej już teraz widok czekającego na nich w oddali czerwonego samochodu w jednej chwili dodał jej skrzydeł.

- Widzę dżipa! - zawołała radośnie, ściskając dłoń Rory i przez roztargnienie obdarzając promiennym uśmiechem Jessa.

Nareszcie koniec kłopotów!

- Chodźmy. - Kowboj zachował kamienną twarz. Zapewne mocno doskwierał mu ból w ramieniu. Maszerowali od dwóch godzin i teraz zdawał się podążać naprzód wyłącznie za sprawą siły woli. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał co prawda na tak wyczerpanego jak Rory, którą Lynn musiała podtrzymywać przy każdym kroku, przez całą drogę jednak nie odezwał się ani słowem, choć poranek urzekał świeżością i blaskiem słońca.

To milczenie kowboja było nad wyraz wymowne.

Jess i Rory potrzebowali opieki medycznej. Już wkrótce ją otrzymają, wystarczy jeszcze tylko przejść kilka ostatnich kroków do dżipa, a potem ten cudowny wynalazek techniki pomknie szosą, unosząc ich ku wymarzonej cywilizacji.

Po pokonaniu tak znacznej odległości na piechotę perspektywa jazdy samochodem napełniała serce Lynn nieopisaną rozkoszą, ponieważ na domiar wszelkich nieszczęść okropnie bolały ją nogi. Jak gdyby nie dosyć było starych otarć i pęcherzy, teraz jeszcze na dodatek przy każdym kroku uwierały ją w najdziwniejszych miejscach za duże buty Jessa. Kiedy wyszli z kajaka, uparł się, by założyła kowbojki, twierdząc, że jego stopy są dużo wytrzymalsze. Ścięli się krótko na ten temat, lecz Jess wygrał pojedynek. Teraz więc w nagrodę wędrował przez leśne bezdroża w samych skarpetach.

Lynn zaś, pragnąc uciszyć nękające ją wyrzuty sumienia, pocieszała się myślą, że są wyjątkowo grube, jak na sportowe skarpety przystało.

A raczej były takie, gdyż po baczniejszym przyjrzeniu się im można byłoby dostrzec z łatwością, że nie tylko zmieniły barwę na brudnoszarą, ale i świecą dziurami.

Lecz to już bez znaczenia. Za chwilę ona, Rory i Jess odsapną wreszcie w samochodzie, pozwalając się wieść do Kamas.

Chwała Bogu.

Uczucie ogromnej ulgi dopiero teraz pozwoliło jej napawać się urokiem rozkwitającego dnia, cudownego, słonecznego, wspaniałego dnia zwiastującego powrót do życia.

W tak pięknej chwili aż trudno było uwierzyć, że koszmar ostatnich wielu godzin nie jest tylko upiornym snem. Lynn czuła się nieomal jak Alicja, która zabłądziwszy do króliczej nory, znalazła się niespodziewanie w Krainie Czarów. Wszystko, co przydarzyło się jej i Rory, od chwili gdy spadły ze skały, wydawało się tak dziwaczne, straszne i nierzeczywiste jak Zwariowany Kapelusznik czy Królowa Kier.

A może ten cały galimatias to naprawdę tylko gra wyobraźni? Może, spadając z klifu, uderzyła się w głowę i właśnie mający pograżona w malignie, leżąc na szpitalnym łóżku? Może tak przerażająco realistyczne koszmary senne to typowy stan ofiar śpiączki?

Choć myśli te wydawały się nieprawdopodobne, ostatnie doświadczenia całej ich

trójki wcale nie sprawiały wrażenia bardziej realnych.

Może, więc wsiądzie do dżipa i znalazłszy się w bezpiecznym miejscu, obudzi się z tego piekielnego snu?

Może tak właśnie zachowują się ludzie pogrążeni w śpiączce - wróciwszy szczęśliwie z szalonej wyprawy, w którą zabiera ich podświadomość, budzą się po prostu lub też, pokonani przez demony zrodzone w wyobraźni, odpływają w niebyt na zawsze...

Tak czy siak, wszystko wskazuje na to, że w każdym razie ona, Rory i Jess wrócą wkrótce do normalnego życia.

Zbliżywszy się nieco do stojącego tyłem do nich pojazdu, uwiecznionego po koła w przydrożnych chaszczach, z daleka ujrzeli mężczyznę siedzącego za kierownicą. Oparłszy o fotel głowę w nieodłącznym kowbojskim kapeluszu, drzemał lub może słuchał muzyki. Nie był to Owen: nieco drobniejsza sylwetka kierowcy świadczyła, że na spotkanie wędrowcom przysłano Boba, Ermsta lub Tima.

Upewniwszy się po raz kolejny, że w zasięgu wzroku nie ma śladu prześladowców, cała trójka podeszła do samochodu.

- Cześć, Tim! - huknął Jess, uderzając pięścią w dach pojazdu, aż mężczyzna na przednim siedzeniu podskoczył i uniósłszy głowę, rozejrzał się wokół.

- Jess, a więc udało się, stary! - Wyskoczywszy rażno z samochodu, Tim uśmiechnął się szeroko do przybyłych, nie podejrzewając nawet, jakie przygody stały się ich udziałem.

- Lynn, Rory, cieszę się, że was znowu widzę! Ojej, dziewczyno, masz porządnego guza na czole! Owen nie wątpił, że sobie po radzisz, stary. Podobno od dziecka trenowałaś wspinaczkę. - Usta mu się nie zamykały z radości.

- Musimy jak najszybciej stąd odjechać - uciął Jess poważnym tonem, otwierając lewe tylne drzwi i ruchem głowy zachęcając Lynn i Rory do zajęcia miejsc.

Ulokowawszy córkę i zapiąwszy jej pas bezpieczeństwa, Lynn pobiegła, naokoło, aby wsiąść z drugiej strony. Jess tymczasem ruszył ku przodowi samochodu, na miejsce obok kierowcy, nie przerywając rozmowy z Timem, który wyglądał na zaniepokojonego.

- Co? Dlaczego? - dopytywał się zdezorientowany, aż wreszcie, zauważywszy, że tamten sięga lewą ręką do klamki, pojął, iż stało się coś niedobrego. -

Skaleczyłeś się w ramię czy co?

- Opowiem ci po drodze. A teraz wsiadaj i ani słowa. Spływamy stąd, i to migiem!

- Tak jest, szefie. - Chłopak wskoczył do środka, trzaskając drzwiami.

Zapaliwszy silnik, wyjechał z chaszczy, wykręcając w stronę, z której nadeszli.

- Zawracaj - powstrzymał go Jess.

Tim rzucił mu szybkie spojrzenie i usłuchał bez słowa. W końcu samochód, podskakując na wybojach, ruszył w stronę upragnionej wolności.

Lynn odetchnęła.

Wolałaby, co prawda, aby jechali prędzej. Podobnego zdania musiał być także Jess, gdyż bacznie obserwował migające za szybą krajobrazy i nie przestawał bębnić niecierpliwie palcami w deskę rozdzielczą.

Wzrok Lynn ześlizgnął się z dłoni kowboja i spoczął na niedbale porzuconej paczce papierosów. Pali Malle o niskiej zawartości nikotyny, nie w jej guście, ale...

- Możesz mnie poczęstować papierosem? - nie wytrzymała, opanowana nagłym pragnieniem zaciągnięcia się dymem.

Jess pobiegł oczami za wygłodniałym spojrzeniem Lynn, po czym z wyrazem dezaprobaty na twarzy podał jej całą paczkę.

- Powinnaś z tym skończyć - oświadczył.

- Dopiero wtedy, gdy zacznę wieść życie bez napięć i denerwujących niespodzianek, przestanę mi zależeć na zgrabnej figurze lub też lekarze wykryją u mnie raka płuc. Nie wcześniej - odparła zaczepnie, z nabożeństwem obracając pudełko w dłoni, pieszcząc dotykiem celofan i delektując się subtelną wonią tytoniu.

W paczce tkwiły zaledwie dwa papierosy, ale po ostatniej, nad wyraz wstrzemięźliwej dobie i jeden wydawałby się szczytem luksusu.

Ach, co za rozkosz.

Wyjęła papierosa z paczki oraz zapalniczkę, wciśniętą pod celofan.

- Chyba nie masz zamiaru palić tutaj? - skrzywiła się z odrazą Rory. - Mamy wdychać to paskudztwo?

Lynn zawahała się i spojrzawszy niepewnie na córkę, przeniosła wzrok na trzymanego w dłoni papierosa. Niczego bardziej w życiu nie pragnęła niż go zapalić...

- No to powiedz wreszcie... - zaczął Tim, nie bacząc na scenę rozgrywającą się na tylnym siedzeniu, lecz nie dokończywszy kwestii, podjął zmienionym tonem: - A to kto, u diaska?

Lynn zeszywniała, obrzucając czujnym spojrzeniem drogę.

Z lasu wynurzyła się młoda kobieta i biegła w stronę dżipa, machając rozpaczliwie dłonią. Wysoka i chuda jak tyczka, z burzą kasztanowych loków na głowie, miała na sobie przedziwny strój - mocno zszarganą flanelową nocną koszulę z resztkami koronek przy dekolcie i mankietach.

Drugą ręką tuliła do siebie niemowlę, spoczywające w czymś w rodzaju brudnego temblaka, zawiązanego u jej szyi.

- Co robi tutaj kobieta z dzieckiem? - zapytał całkiem zdezorientowany Tim.

- Nie zatrzymuj się! - zawołała Rory. - To może być podstęp!

Wcisnąwszy z rezygnacją papierosy i zapalniczkę do kieszeni Lynn ujęła mocno dłoń córki, nie przestając myśleć intensywnie. Obdarta nieznajoma ma zapewne coś wspólnego z masakrą na polanie - tylko, co? Może umknęła prześladowcom?

Albo stanowi przynętę. Z dzieckiem na ręku? Niemożliwe.

Choć wewnętrzny głos ostrzegał ją przed opóźnieniem ucieczki, Lynn milczała, nie mając dość odwagi, by zdecydowanie odmówić tej dziewczynie pomocy.

- Do diabła, Tim, stój! - poleciał Jess, widząc, że obdartuska pędzi jak oszałała, próbując dotrzymać tempa ich pojazdowi. Za hamowali z piskiem opon. Uciekiniarka podbiegła do samochodu z prawej strony.

- Zabierzcie mnie! - błagała, czepiając się wolną dłonią dżipa, jakby w obawie, że odjedzie bez niej. - Proszę, weźcie mnie!

- Uważasz, mamó, że powinniśmy? - dopytywała się trwożliwie Rory, choć Lynn, otworzywszy drzwi, przesuwała się już właśnie na środek siedzenia, robiąc miejsce dla nieznajomej.

- Nie możemy jej tu zostawić - orzekła. - Przecież ma dziecko.

- Och dziękuję, dziękuję bardzo - powtarzała nieznajoma, kiedy, dysząc ciężko, gramoliła się na tylne siedzenie. Dopiero te raz Lynn rozpoznała w niej nastolatkę, niewiele starszą od Rory. - Jedźmy już, proszę! Szybko! Ona nadciąga!

- Kto nadciąga? - zapytał Tim przez ramię, naciskając pedał gazu. Sądząc po ostrym zgrzycie żwiru sypiącego się spod kół, uczynił to zbyt gwałtownie, poruszony nagłym przybyciem nowej pasażerki, której twoga, potęgując wrażenie wywołane tajemniczym zachowaniem pozostałej trójki, przekonała go ostatecznie, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo.

- Śmierć - odparta dziewczyna dramatycznie, tuląc w ramionach śpiące niemowlę. - Pośpiesz się, proszę! Prędkiej!

Widok tej brudnej, roztrzęsionej i na wpół oszalałej istoty sprowadził na Lynn olśnienie.

- Theresa? - zapytała, zwracając się do nieznajomej.

Poraziło ją zdumione spojrzenie wielkich, bursztynowozłotych oczu.

- Skąd pani zna moje imię?

- Tam do licha! Spójrzcie tylko! - przerwał im Tim podniesionym głosem, wskazując coś za szybą. Pobieglszy wzrokiem za jego dłonią, Theresa zaskowyczała tak przeraźliwie, że Lynn ciarki przeszły.

- O Boże, to oni! - zawołała, rozpoznając trzech spośród czterech mężczyzn, którzy wyłonili się zza drzew.

- Gazu, Tim! Prędkiej!

Nie wiedząc dokładnie, w czym rzecz, chłopak w lot zwęszył zagrożenie i zwiększył szybkość. Koła z hurkotem ślizgały się po szutrowej nawierzchni, kiedy samochód rwał naprzód, ścigając się z usiłującymi dogonić go mężczyznami. Udało się! Prześladowcy zostali w tyle, dżip zwyciężył.

Trach! Trach! Trach!

Strzelają do nich! Lynn zaczęła krzyżeć, Rory i Theresa poszły w jej ślady. Niemowlę obudziło się i zapłakało. Mężczyźni pochylili głowy, sypiąc przekleństw. Samochód podskoczył, jakby potknął się na niewidzialnej przeszkodzie.

Rozległa się kolejna seria strzałów, które tym razem nie chybiły celu. Tylna szyba pojazdu roztrzaskała się w drobny mak, obsypując pasażerów gradem szkła. Kobiety zapiszczały znowu, Tim wykrzyknął coś niezrozumiale, a Jess zaklął szpetnie.

Dżip szarpnął mocno i wypadł z drogi, a później przefrunawszy kilka metrów w powietrzu, z łoskotem uderzył w pień potężnej sosny, lądując pośród zieleni.

Lynn walnęła głową w tył przedniego siedzenia z taką siłą, że na moment straciła poczucie rzeczywistości. Rory, uwolniwszy się z pasów, które oszczędziły jej podobnego wstrząsu, zaczęła potrząsać jej ramieniem, powtarzając:

- Mamo! Mamo! Musimy uciekać! Mamo!

- Już idę. - Wciąż zamoczona, na dźwięk głosu córki pozbierała się w okamgnieniu.

- Szybciej! Szybciej! - poganiał je Jess, przypadając do drzwi. W pośpiechu pomógł Rory wysiąść; za córką wytoczyła się Lynn. Tymczasem Theresa, wygramoliwszy się z drugiej strony auta, z płaczącym dzieckiem na ręku ruszyła pędem w stronę lasu.

Spod maski dzipa buchały kłęby pary, wokół unosiła się ostra woń płynu z chłodnicy.

Tim leżał bez ruchu z głową na kierownicy.

- Za mną! - krzyknęła Theresa przez ramię, nie zwalniając biegu.

Rzut oka za siebie upewnił Lynn, że prześladowcy nie próżnują. Zbliźali się błyskawicznie, a ich kule świsnęły tylko w powietrzu.

- Za nią! - ryknął Jess, ciągnąc obie w stronę niknącej w od dali dziewczyny. Z powodu za dużych butów Lynn potknęła się już przy pierwszym kroku, omal nie padając na ziemię. Zirytowana, zrzuciła je bez zastanowienia. Jess bezlitośnie szarpał jej rękę.

- Rory, pośpiesz się!

- Mamo, zaczekaj!

Nie mogąc oswobodzić się z żelaznego uścisku kowboja, Lynn wyciągnęła do córki drugą rękę, w chwili, gdy we troje wpadli między drzewa. Rory złapała ją w mig.

- Co z Timem? - niepokoila się Lynn, spoglądając za siebie. Przód dzipa zamienił się w dymiący stos lekko sprasowanego złomu przyklejonego do pnia olbrzymiej sosny, a kierowca nadal leżał nieruchomo. Czyżby stracił przytomność w wypadku? Prawdopodobnie i tak nie daliby rady go nieść, lecz mimo wszystko porzucenie chłopaka w takim stanie na pastwę morderców wydawało się nieludzkie. Czterej ścigający ich mężczyźni znajdowali się zaledwie o kilka kroków od samochodu.

- Nie żyje. Dostał postrzał w głowę - odrzekł Jess beznamiętnym tonem, nie odwracając nawet głowy w tamtą stronę.

Przeszył ją dreszcz. Wstrząśnięta do głębi, z trudem łapała powietrze, lecz nie zwolniła kroku. Biegła jak szalona, nie zważając na wystające kamienie, kolczaste jeżyny ani ostre patyki, które raniły jej stopy.

Padające wokół jak grad pociski cięły korę drzew i szatkowały poszycie, a oni zapamiętali mknęli za umykającą wciąż Theresą, przeskakując powalone pnie i omijając głębokie wykroty.

Mimowolnie Lynn znowu przypomniała sobie pogoń Alicji za Białym Królikiem.

Pędząc za migającą wśród zieleni jasną plamą nocnej koszuli dziewczyny, okrążyli niewielki pagórek, który zasłonił ich przed wzrokiem morderców.

Tymczasem zwodnicza jasna plama rozplynęła się niczym senne widziadło.

- Którędy ona pobiegła? - głowił się zdezorientowany Jess. Przystanął, rozglądając się bezradnie dookoła. Lynn i Rory również wyteżyły wzrok, daremnie wypatrując jakiegokolwiek śladu.

- Tutaj! - rozległo się głośnie syknięcie tuż obok zdezorientowanej trójki uciekinierów.

Lynn obejrzała się, szukając miejsca, z którego mogło pochodzić. Zaraz na lewo od nich wznosiło się łagodne zbocze przykryte grubym kobiercem igliwia, u jego podnóża zaś przycupnęła pokaźna kępa pokrytych gęstym listowiem krzewów. Na wprost i z prawej strony jak okiem sięgnąć rozstaczał się las.

Gdzieś jakby spod ziemi dobiegło kwilenie niemowlęcia; usłyszawszy je, Lynn odruchowo spojrzała w dół.

- Tutaj! - powtórzył niecierpliwie głos.

Z gęstwiny liści wysunęła się ręka i złapała Lynn za spodnie. Odgłos płaczu dziecka stał się jeszcze wyraźniejszy.

- Tam! Lynn wskazała kierunek dalszej ucieczki.

Jess i Rory ani drgnęli, wciąż patrząc z niedowierzaniem pod nogi, skąd zdawał się dobiegać głosik Eliasza. Biała ręka tymczasem znikła równie niespodziewanie, jak się pojawiła. Lynn przez moment stała jak wrośnięta w ziemię, nie mając pewności, czy przypadkiem nie uległa złudzeniu.

Wreszcie za zasłoną zielonej gęstwiny wypatrzyła wąską szczelinę skalną, przez którą z trudem mógł się przecisnąć człowiek.

Głos niemowlęcia stawał się coraz cichszy, jak gdyby dziecko oddalało się coraz bardziej.

- Wchodźcie! - ponaglił je Jess, dostrzegłszy w końcu otwór u stop wzgórze.

Żadnej z nich nie trzeba było powtarzać dwa razy. Jeszcze nie skończył mówić, gdy Lynn już pełzła na kolanach przez zarośla, by skapawszy się w spływającej z boczem płytkiej strudze, zniknąć w czarnej czeluści. Wnętrze szczeliny, wąskie i wilgotne, przypominało raczej korytarz niż pieczarę. Za Lynn do środka wcisnęła się Rory, na końcu zaś Jess.

Po Theresie i niemowlęciu nie pozostał nawet ślad, jedynie z oddali niosło się stopniowo zamierające kwilenie; najwidoczniej dziewczyna, nie tracąc czasu, oddalała się pośpiesznie.

Ledwie Jess zdążył zaszyć się w podziemnym korytarzu, gdy u podnóża wzniesienia pojawili się mordercy.

Płacz dziecka był już ledwo słyszalny.

Czy jednak okaże się wystarczająco cichy, aby nie zwrócić uwagi depczących im po piętach zbirów?

29

Lynn wcale nie miała ochoty czekać, aż pozna odpowiedź na te pytanie. Poruszając się na czworakach, pośpieszyła w kierunku, z którego dochodziły słabe odgłosy niemowlęcego zawodzenia. Rory i Jess poszli w jej ślady. Ciasny korytarz wiódł w dół; ślizgając się na mokrej i gładkiej kamiennej powierzchni, posuwali się naprzód, starannie omijając rączy strumień, który płynął środkiem wyżłobioną

przez wodę rynną.

Przed oczami Lynn wciąż majaczyły jasne włosy Tima rozsypane na kierownicy dżipa. Czy miał świadomość tego, że trafia go kula? Czy poczuł rozsadzający głowę ból? Czy też nie dane mu było odgadnąć jego przyczyny ani zrozumieć, że został trafiony? Może umarł w sekundę, nie zdążywszy nawet pomyśleć?

Zadrżała i czym prędzej odgoniła od siebie te straszne myśli. Nie pomogą już Timowi, a jej mogą tylko zaszkodzić, w obecnej sytuacji bowiem należało raczej podsycać w sobie zapał do życia oraz chęć przetrwania niż oddawać się rozpamiętywaniu niedawnych okropności.

Panujący w tunelu zapach stęchlizny stawał się z każdym krokiem intensywniejszy.

W nieprzeniknionych ciemnościach Lynn, choć wytrzeszczała oczy, nie mogła dojrzeć nic - ani otaczających ją ścian, ani nawet swoich rąk. Słyszała tylko za sobą dwa zdyszane oddechy, świadczące o tym, że Rory i Jess wciąż wiernie podążają za nią, oraz cichy płacz niemowlęcia, nie odmiennie przyzywający ich z oddali. Raptem tuż nad jej głową odezwały się przeraźliwe piski. Czyżby nietoperze? - pomyślała ze wstrętem, instynktownie kuląc plecy.

Korytarz zaprowadził ich do obszerniejszej komory. Tu Lynn, pozbawiona naturalnego przewodnika w postaci wyznaczających jej drogę ścian, zatrzymała się, nie wiedząc, w którą stronę teraz się skierować. Niczego nieprzeczuwająca Rory najpierw na nią wpadła, a otrząsnąwszy się z zaskoczenia, podczołgała się bliżej. W chwilę później dołączył do nich Jess.

- Nie idą tu za nami, prawda? - szepnęła Rory.

- Nie sądzę, usłyszelibyśmy jakieś odgłosy - uspokoiła ją matka.

- Na przykład strzały - wtrącił beznamiętnie Jess.

- Słyszę dziecko - powiedziała Lynn. - Czy naprawdę powinniśmy podążać śladem tej dziewczyny?

- Oczywiście, przecież ona zna drogę, a my nie. - Jess nie miał wątpliwości. -

Chyba że zwiódą nas ciemności i zabłądzimy.

- Skąd wiedziałaś, mamó, że ona ma na imię Theresa? - zainteresowała się Rory.

- Intuicja - odparła lakonicznie Lynn, nie mając ochoty roztrząsać kwestii tak oczywistej. No, bo ileż dziewcząt może błąkać się samotnie akurat w tej dziękij części Uinta? Skoro pomyłony dobry wujaszek rozpytywał o Theresę, kim innym mogła być nieznaną, jak nie tą właśnie dziewczyną?

- W samochodzie zamierzałaś zapalić, ale zrezygnowałaś w ostatniej chwili. Co się stało z papierosem i zapalniczką? - wy rwał ją z zamyślenia Jess.

- Prawda, zapalniczka! - ucieszyła się Lynn, wsuwając rękę do kieszeni kurtki Jessa, którą wciąż miała na sobie.

Poczuła pod palcami znajomy kształt. Papierosy też tam leżały, dotknęła ich tęsknie, lecz zaraz cofnęła dłoń. Nie pora teraz na dogadanie sobie, są pilniejsze sprawy.

- Mam ją! - zawołała z triumfem, wyciągając zapalniczkę z kieszeni. Już ją chciała zapalić, gdy wtem, tknięta nagłą oba wą, znieruchomiała. - Myślisz, że można? - zapytała Jessa.

- Nie ma innego wyjścia, jeżeli chcemy się stąd wydostać - odrzekł.
Nacisnęła zaworek. Słaby, płomyczek zabłysnął w ciemności. Odwykła od światła Lynn mrugała przez chwilę, dopóki jej wzrok nie przywykł do małego, pełgającego ogieńka.

- To kopalnia! - ogłosiła zaskoczona Rory, wyjmując tę uwagę z ust matki.
Rzeczywiście, nisza, w której się znajdowali, była niewątpliwie dziełem ludzkich rąk. Strop podtrzymywały sfatygowane drewniane dźwigary, równie stare stemple podpierały ściany. Naprzeciwko trójki wędrowców otwierał się kolejny korytarz, nieco szerszy od tego, którym tu dotarli.

- Theresa zapewne poszła tędy - uznała Lynn, wskazując czarny otwór dłonią, w której trzymała zapalniczkę. Niesamowite, groźne cienie zatańczyły na powale.

- Chodźmy, więc i my - polecił Jess, wymieniając z Lynn krótkie spojrzenia.
Mogli ruszyć tym tunelem albo zawrócić, ale ostatecznie wyjście nie wchodziło w grę. Ustalili to bez słów.

Dostatecznie wysokie sklepienie pozwalało im wszystkim wyprostować. Uczynili to chętnie, a Jess gestem dłoni nakazał Lynn objąć prowadzenie.

Znowu, tak jak w drodze do górniczej osady, otwierała pochód oświetlając drogę. Analogia ta sprawiła, że Lynn poczuła się nieswojo. Może powinna przekazać zapalniczkę Jessowi, zastanowiła się, wszak pozbawiony władzy w jednym ramieniu wymaga specjalnych względów...

Wszedłszy do korytarza, ponownie usłyszała ciche kwilenie niemowlęcia. A więc dobrze wybrali, Theresa znajdowała się przed nimi. Theresa, która, dałby to Bóg, znała drogę do wyjścia z tego labiryntu.

Maszerowali w skupieniu, obie kobiety swobodnie, a kowboj od czasu do czasu pochylając głowę. Stawiali kroki ostrożnie, gdyż śliski korytarz opadał ostro w dół. Lynn nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tunel wiedzie ich gdzieś wprost do wnętrza góry.

Nagle poraziło ją straszne podejrzenie, że plątanina przejść doprowadzi ich w ostateczności do dobrze im znanej leśnej polany, pełnej zastygłych trupów i scen okrucieństwa, polany, na której zaczął się koszmar ostatniej nocy.

Na myśl o przejściu przez usianą rozkładającymi się ciałami łąkę Lynn poczuła, jak oblewa ją zimny pot.

Pocieszające jest jedynie to, że w opustoszałej osadzie nie ma przynajmniej morderców, gdyż przeczesują teraz wzgórze w poszukiwaniu uciekinierów.

Przestępując nad leżącą w poprzek korytarza belką, Lynn ukradkiem zerknęła na córkę i Jessa. Nie miała wątpliwości, że kowboj także odgadł, dokąd zmierzają.

Rory tylko pozostawała w nieświadomości, i oby tak trwało jak najdłużej.

Chyba, że korytarz wiedzie do jakiegoś innego otworu. W końcu, jeśli są dwa wejścia do kopalni, dlaczego nie miałoby być trzeciego albo i jeszcze więcej?
Może Theresa wybrała właśnie któreś z tych pozostałych?

Nagle Lynn zdała sobie sprawę, że nie słyszy płaczu Eliasza.

Poślizgnęła się, odruchowo wyciągnęła rękę, aby podeprzeć się o ścianę, i upuściła zapalniczkę, która ze stukiem upadła na kamienie. Ogieniek zgasł.

Ogarnęła ich ciemność tak gęsta, że jej smoliste objęcia zdawały się tamować oddech.

- Mamo! - zawołała Rory z wyrzutem.

- Upadła mi zapalniczka - wyjaśniła Lynn, opadając na kolana i przesuwając dłonią po wilgotnych kamieniach w poszukiwaniu zguby. Całe szczęście, że korytarz w tym miejscu miał mniej niż metr szerokości.

Natknąwszy się na dużą, ciepłą dłoń wędrującą po kamiennych płytach, odgadła, że Jess i Rory także usiłują znaleźć cenny przedmiot.

- Obawiam się, że odbiła się od kamieni i potoczyła gdzieś dalej - stwierdziła Lynn, nie znalazłszy zguby.

- Przesuń się trochę do przodu i sprawdź jeszcze tam - objął komendę Jess. - A ty, Rory, nie ruszaj się ze swojego miejsca, abyśmy nie stracili rozeznania, gdzie upadła zapalniczka.

- Powinna być tutaj... Mam! - zawołała triumfalnym tonem Lynn, wyczuwając pod palcami znajomy kształt. Podniósłszy zapalniczkę, ścisnęła ją mocno w dłoni.

Właśnie miała ją zapalić, gdy niespodziewanie powstrzymał ją ochryPLY szept Jessa:

- Nie! Zaczekaj!

- Dlaczego? - zapytała zaskoczona.

- Obejrzyj się.

Odwróciła się i zmartwiła.

Przyćmiony, złotawy blask oblewał korytarz w oddali.

Światło. Ktoś szedł tunelem, przyświecając sobie po drodze i doprawdy nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by odgadnąć, kto to.

A więc mordercy znowu depczą im po piętach.

- O Boże! - wyszeptała Rory drżącym głosem. - Zaraz nas dogonią!

- Idziemy! - zarządził Jess. - Szybko!

Nie musiał ich zachęcać. Lynn wcisnęła zapalniczkę do kieszeni i poderwała się na nogi. Przesuwając po omacku dłonią wzdłuż wilgotnej i zimnej ściany, ruszyła tak prędko, jak tylko w tych warunkach było to możliwe. Dokąd? Bóg jeden raczy wiedzieć, w każdym razie przed siebie.

- Złapią nas - jęknęła Rory bliska hysterii.

- Pssst! - zgromiła córkę Lynn. - Nie złapią, nawet nie mają pewności, czy w ogóle tu jesteśmy.

Gdzieś daleko przed nimi ponownie dał się słyszeć płacz niemowlęcia. Biedactwo, pomyślała ze ściśniętym sercem Lynn, że też zostało wplątane w taką makabryczną historię. Z całą pewnością ono jednak przeżyje, nawet, jeśli Theresa padłaby ofiarą zbirów. Któż bowiem zamordowałby z zimną krwią niewinne dziecko?

Czy tropiący ich szaleńcy byliby do tego zdolni?

Zadygotała, s

- Wiedzą, że Theresa pobiegła tędy. - Rory nie ustępowała. - Zapewne to ją teraz ścigają, ale przy okazji złapią i nas. I zabiją!

- Idźcie szybciej i przestańcie gadać - zbeształ je szeptem Jess. - Gotowi nas

usłyszeć!

Przyzywana daleką skargą niemowlęcia Lynn, w ciemności nie widząc dalej niż po czubek własnego nosa, szła przed siebie, polegając wyłącznie na dotyku.

Ostrożnie przesuwiała stopy po kamiennej powierzchni, dłońmi wspierając się o ściany. Po pewnym czasie korytarz skręcił w prawo, a podążanie nim okazało się wyjątkowo zdradliwe, gdyż toczący swe wody środkiem tunelu strumień wezbrał tu znacznie.

Spojrząwszy za siebie; widziała majaczącą nieodmiennie w oddali żółtawą poświatę. Choć odległa i słaba, nie zniknęła, niestety.

Gładkie skalne ściany bez żadnych występów, nisz, bocznych korytarzy czy rozwidleń uniemożliwiały im przyczajenie się gdzieś i zmylenie pogoni. Nie mieli wyjścia - musieli podążać naprzód.

Lynn zrobiła głęboki wdech, aby odgonić falę ogarniającej ją paniki. Za wszelką cenę muszą zdążyć do wyjścia przed ścigającymi ich bandytami, a potem uciekać ile sił w nogach.

- Szybciej! - niecierpliwiał się Jess tuż za jej plecami. Obydwoje z Rory dosłownie deptali Lynn po piętach.

- Wolisz prowadzić? Proszę. To wcale nie takie zabawne - fuknęła. - Nic nie widzę. Może właśnie stoję na krawędzi Wielkiego Kanionu i nie wiem o tym?

- Nie, lepiej, żebym zamykał pochód - zdecydował.

- A to, dlaczego?

- A co, twoim zdaniem, zrobią, zorientowawszy się, że maszerujemy tu przed nimi?

- Zaczną strzelać! - wykrztusiła Rory. - Och, mam uciekać!

- Żadna z nas nie może pobiec, nic nie widząc. Wobec tego po prostu oddalimy się stąd szybkim krokiem i już - ucięła Lynn, przyśpieszając, na ile było to możliwe. Choć zdrętwiała ze strachu, uświadomiwszy sobie znaczenie słów Jessa, poczuła nagle ciepło w okolicy serca. Szedł ostatni, by w razie potrzeby posłużyć jako żywa tarcza.

Nieczęsto się zdarza kobiecie spotkać mężczyznę, który gotów jest osłonić ją własnym ciałem przed kulami.

Jeśli tylko uda im się ująć z życiem z tej śmiertelnej pułapki, szlachetny gest Jessa niewątpliwie zasługuje na dogłębne przeanalizowanie.

Najpierw jednak muszą ocalić skórę.

Szurając nogami, biegła truchtem, co prawda z duszą na ramieniu, pamiętając opowieści o niezgłębionych przepaściach, które można znaleźć w każdej jaskini (i jak sądziła, w kopalni też). Z drugiej strony wołałaby już obsunąć się do takiej dziury bez dna niż stanąć oko w oko ze ścigającymi ich potworami.

Wtem korytarz urwał się nagle. Nie zdążywszy nawet odwołać pochopnych deklaracji sprzed chwili, Lynn straciła równowagę i z sercem w gardle runęła w dół.

Niezbyt daleko wprawdzie, gdyż okazało się, iż skalny uskoki miał wysokość zaledwie jednego schodka. Przekonała się o tym boleśnie, kiedy, lądując na kłęczkach, pokaleczyła sobie dłonie i kolana o twarde kamienie.

Rory z cichym okrzykiem potknęła się następna, szczęśliwym dla niej trafem

spadając na matkę.

Uprowadzony w porę okrzykiem dziewczynki, Jess zatrzymał się, nawołując z niepokojem:

- Lynn? Rory?

- Uważaj na schodek - ostrzegła go Lynn kwaśno, moknąc w lodowatym strumieniu płynącym środkiem korytarza.

- Nic ci się nie stało, mammo? - dopytywała się Rory, stając powoli na nogi.

- Nie. - Lynn poczuła czyjś dotyk na ramieniu: Jess. Ciepłe, suche palce kowboja mocno ujęły jej dłoń, pomagając Lynn dźwignąć się z kolan.

Głos niemowlęcia wciąż brzmiał z oddali. Obejrzawszy się, Lynn stwierdziła z ulgą, że korytarz, który przywiódł ich w to miejsce, tonie w ciemnościach.

Zapewne kilka ostatnich zakrętów w prawo zastłoniło przed nimi odbłask posuwającego się ich tropem światła. Oznaczało to, że banda morderców pozostała dość daleko w tyle.

- Musimy zaryzykować i zapalić zapalniczkę - zdecydował Jess.

Strach ścisnął gardło Lynn. Choć niewykluczone, że skoro ona nie widzi światła niesionego przez złoczyńców, tamci również nie zobaczą płomyka zapalniczki, chyba, że są tuż-tuż i zgasiwszy latarkę, posuwają się po ciemku, aby zaskoczyć uciekinierów.

Bzdury wyssane z palca, odrzuciła na koniec swoje podejrzenia. Wyjęła z kieszeni zapalniczkę i zapaliła ją zdecydowanym ruchem.

Znajdowali się w następnej komorze, znacznie obszerniejszej od poprzedniej.

Wysokie na prawie sześć metrów sklepienie podtrzymywał zaledwie jeden drewniany stempel, pozostałe dwa natomiast, oderwawszy się od powały po jednej stronie, sterczały ukośnie, jednym końcem podpierając sufit, drugim spoczywając na podłodze. Wokoło zalegały, sięgając miejscami aż pod sufit, potężne hałdy odłamków skalnych. Nie wiadomo, czy stanowiły one efekt naturalnego wietrzenia skały czy też były skutkiem działalności pracujących tu ongiś górników.

Po lekko nachylonym podłożu spływały zewsząd strugi wody, znikając pod stosem gruzu w jednym z kątów. Krople wody niczym łzy opadały również z sufitu, wydając stłumiony dźwięk:

kap, kap, kap.

Ale wszystkie te szczegóły błędy wobec niespodziewanej okoliczności: podziemna komora była ślepa.

Skonstatowawszy to, Lynn zamarła z łomocącym sercem i szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, rozglądając się dookoła. Na koniec, zerkając na Jessa i Rory, wyczytała jasno z ich twarzy, że właśnie doszli do tego samego wniosku, co ona.

- Znaleźliśmy się w potrzasku! - wyszeptała dziewczynka bez tchu. Lynn poczuła trwogę, ale otrząsnąwszy się, oświadczyła z determinacją:

- Niemożliwe, gdzieś tu musi być wyjście. Nie słyszycie płaczu niemowlęcia?

Skoro Theresa wydostała się stąd jakimś cudem, więc nam też się uda.

- Twoja mama ma rację - podsumował Jess, wyjmując z ręki Lynn zapalniczkę.

Podniósł ją wysoko, oświetlając po kolei żłobione w skale ściany, zasypane

skalnym gruzem podłóże i przeciekający sufit.

Lynn objęła córkę. Dziewczynka przyłgnęła do niej mocno, składając głowę na ramieniu matki. Moje słonko, pomyślała Lynn czule, przysięgając w duszy, że wbrew wszystkim przeciwnościom nie pozwoli małej umrzeć.

- Jest! - odezwał się z triumfem Jess.

Pobiegłszy wzrokiem za jego wyciągniętą ręką, zauważyła na jednej ze ścian, tuż pod sklepieniem, otwór wielkości koła samochodu. Piętrząca się poniżej piramida kamiennych odłamków stanowiła rodzaj naturalnie ukształtowanych schodów wiodących wprost do niego.

Jeszcze jeden rzut oka na pozostałe ściany upewnił ich, że to jedyne wyjście z tego pomieszczenia.

Jeśli kiedykolwiek istniało jakieś inne, zasypał je gruz.

- Wchodźcie na górę! Szybko!

Kowboj oświetlił im drogę do improwizowanych stopni, a potem zgasił zapalniczkę.

W ciemnościach Lynn i Rory zaczęły wspinać się po kamieniach.

Głęboką ciszę zakłócały jedynie odgłosy sapania, potęgowany echem stukot osuwających się na ziemię głazów oraz daleki szum wody. Łkanie niemowlęcia dawno umilkło.

Prerażająca wizja zjeżyła nagle Lynn włosy na głowie: a może tylko jeden lub dwóch złoczyńców skrada się za nimi czarnym tunelem, podczas gdy pozostali wysforowali się naprzód, i pochwyciwszy Theresę, czekają teraz na nich po drugiej stronie wąskiego przejścia?

Dlaczego to dziecko się nie odzywa?

Serce podeszło jej do gardła, kiedy zaczęła rozważać milion możliwych odpowiedzi. Oczywiście, zatrzymała je dla siebie, nie chcąc przstraszyć Rory. I tak nie miały innego wyjścia, jak precyzyjnie przycisnąć się przez wiszący nad nimi mroczny otwór. Wszystko, co je tam czekało, to tylko mgliste spekulacje, podczas gdy uniemożliwiająca im odwrót pogoń to ponura rzeczywistość.

Dotarłszy do przypominającego półkę skalnego gzymsu, Lynn wdrapała się tam, a po chwili dołączyła do niej Rory i w końcu Jess.

Nikły błysk płomienia zapalniczki pozwolił im stwierdzić, że znajdują się na kamiennej grzędzie podwieszanej wysoko pod sklepieniem w samym rogu podziemnej komory. U szczytu owego występu, mającego około dwóch metrów długości i ponad metr szerokości, majaczył czarny otwór tunelu.

- Idziemy! - odezwał się Jess, gasząc zapalniczkę.

Rzecz jasna, żadne z nich nie potrzebowało specjalnego zaproszenia, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że za kilka minut pod skalną półkę dotrą ich prześladowcy.

Pierwsza zanurkowała w ciemną czeluść Rory.

- Strasznie tam ciasno - oznajmiła, cofnąwszy się, by zdjąć kurtkę. Potem ponownie wślizgnęła się w wąską gardziel, pozostawiając okrycie matce.

- Muszę przeczołgać się na brzuchu - oświadczyła głośnym szeptem już z głębi kamiennego korytarza.

- Ostrożnie, córeczko! - Kiedy Rory zniknęła, Lynn po raz pierwszy od momentu ucieczki z samochodu zaczęła się modlić. - Panie, spraw, aby ten tunel prowadził do wyjścia z kopalni - błagała z rozpaczą. - Pomóż nam. Ocal nas: Rory, mnie i Jessa.

Zadziwiające, że modlitwa o zdrowie kowboja wydawała jej się teraz czymś najbardziej naturalnym w świecie.

Niespodziewanie z oddali znowu dobiegł ich płacz niemowlęcia. Słuchając przez chwilę uważnie, Lynn rozpoznała, iż głos dziecka dochodził z otwartej przestrzeni i aż osłabła z radości.

Poczytując to za znak łaski i jednocześnie odpowiedź na swoje żarliwe prośby, uwierzyła, że opatrność, choć działa niespiesznie, mimo wszystko czuwa nad nimi.

Tylko interwencja niebios mogła ich uwolnić z obecnego położenia.

Tymczasem w głębi korytarza, który przyprowadził całą trójkę do zasypanej skalnym gruzem komory, ponownie zamruła słońca, pomarańczowawa poświata. Mordercy nie próżnowali.

- Nadchodzą - szepnął Jess. - Idź! Nie mamy czasu do stracenia.

Przestraszona Lynn czym prędzej wsunęła się do tunelu. Biorąc pod uwagę jego średnicę, bardziej przypominał krecią norę niż przejście dla ludzi, tak był ciasny. Podobnie jak Rory, musiała się cofnąć, aby zdjąć puchową kurtkę. To z pewnością ułatwi jej wydostanie się na zewnątrz.

W odróżnieniu jednak od córki, która po zdjęciu kurtki pozostała w bluzce, Lynn, zostawiwszy przemoczony golf w kajaku, zmuszona była kontynuować wyprawę jedynie w staniku.

- Co robisz? - zdziwił się Jess, widząc, że jego towarzyszka wraca rakiem na skalną platformę, jakby niepomna żółtawego światełka migocącego uparcie w oddali.

- Rozbieram się - odrzekła lakonicznie, uznając, że nie pora na tłumaczenia.

Zostawiwszy mu kurtkę, ponownie wcisnęła się do wąskiego korytarzyka.

Położyła się płasko na brzuchu i odpychała łokciami od podłoża, pełznąca powoli po zimnej i chropawej skale. Ciasna gardziel uniemożliwiała swobodne uniesienie głowy, a jej twarde ściany ocierały do krwi brzuch i plecy poruszającej się niczym robak Lynn.

Po minucie podobnych zmaganiach do innych niedogodności doszły piekielne katusze klaustrofobii, nieomal paraliżując biedaczkę.

Przed odwrotem powstrzymało ją tylko kwilenie niemowlęcia, kuszące wizją godziwej nagrody za nadludzkie wysiłki.

Jak na złość, tunel z każdym ruchem wydawał się węższy. Brnęła mozolnie do przodu, starając się zapanować nad uczuciem paniki i nadać oddechowi miarowy rytm.

Nigdy nie znosiła małych, zamkniętych pomieszczeń.

Pokonawszy około trzech metrów, natrafiła na wybrzuszenie, znacznie zmniejszające światło otworu. Aby się tędy przedostać, Lynn ściągnęła ramiona i

odpychając się czubkami palców u stóp i zapierając stanowiącymi ongiś jej chlube paznokciami, przedzierała się przez kamienną obręcz centymetr za centymetrem. Tak długo, dopóki nie ugrzęzła biodrami.

W rozpaczy próbowała wszystkiego: wierciła się, kręciła, podrygiwała, pchała, zaciskając zęby, ciągnęła, napinając ramiona. Daremnie!

Utknęła na amen.

30

- Dalej! Nie ustawaj! - ponaglał ją niecierpliwie Jess, przyświecając sobie zapalniczką, by sprawdzić, jakie czyni postępy jego podopieczna.

Lynn zdawała sobie sprawę, że kowboj wciąż siedzi na skalnym gzymsie, czekając, aż ona usunie się z korytarza, lecz nie mogła nic na to poradzić. O poruszeniu się do przodu nie było mowy - biodra zaklinowały się na dobre w skalnym przewężeniu.

Tylko odessanie tłuszczu mogłoby tu zaradzić, lecz z wiadomej przyczyny ów zabieg nie wchodził w grę.

Rory i Thesie udało się sforsować to przewężenie, ponieważ obie w stosownych miejscach miały na oko rozmiar o dwa numery mniejszy.

Pięknie! Poniesie śmierć z powodu swych kobiecych kształtów!

- Nie mogę! - jęknęła zdruzgotana.

- Jak to? Dlaczego? - zdenerwował się Jess. Jego głos brzmiał głucho, co wskazywało na to, że kowboj wsunął głowę do tunelu.

-Mamo! Mamo! Prędejj! Tuż obok jest wyjście na zewnątrz! Theresa je odnalazła!

Czeka na was, ale boi się dłużej zwlekać! Pośpieszcie się! - Głosik Rory, dochodzący z końca tunelu, z jednej strony, przyniósł Lynn wielką ulgę - a więc mordercy nie czają się u wylotu gardzieli, by ich pochwycić i zamordować - a z drugiej, przeszył jej serce bolesnym skurczem.

Utraciwszy wszelką nadzieję na wyślizgnięcie się z podziemnego potrzasku, Lynn zdała sobie sprawę, że w dalszą drogę córka będzie musiała iść sama.

No cóż, przynajmniej najistotniejsza część jej modlitwy została wysłuchana.

Jeśli tylko jedna z nich ma szansę przeżyć, niech Rory dostąpi tej łaski. Lynn oszalałaby, gdyby uratowawszy własne życie, musiała na zawsze pożegnać się z córką. Woli śmierć niż taki ból.

- Rory, córeczko, posłuchaj - przemówiła z determinacją, wywołaną poczuciem upływającego czasu.- Nie przedostanę się tędy, Jess i ja nie zmieścimy się w tym przejściu. Musimy znaleźć inne, ale ty nie czekaj. Idź z Theresa! Słyszysz! Uciekajcie!

- Mamo, pośpiesz się! - Dziewczynka albo nie usłyszała słów matki, albo nie pojęła ich sensu.

- Rory, dalej musisz radzić sobie beze mnie! Utknęłam w tym tunelu! Jest dla mnie za wąski! Idź z Theresa!

- Mamo... - Strach w głosie Rory zdradzał, że dotarła wreszcie do niej treść słów matki. - Jak to: utknęłaś? To niemożliwe, ty musisz przejść!

- Nie dam rady, kochanie.

- Do diabła, Lynn, rusz się wreszcie! - huknął rozwścieczony Jess, lecz kompletnie go zignorowała. Im obojgu nic już nie pomoże, podczas gdy Rory powinna przynajmniej spróbować ocalić życie.

- Mamo, Theresa już poszła! Proszę cię, nie zwlekaj dłużej! - błagała dziewczynka.

- Rory Elizabeth, masz natychmiast pobiec za nią! Słyszysz, co mówię? Idziesz z Theresa i ani słowa więcej! - rozkazała Lynn.

- Nigdzie bez ciebie się nie ruszę! - Nastolatka obstawała przy swoim.

- Owszem, pójdziesz! - oświadczyła groźnie Lynn, po czym pojąwszy, że Rory nie zostawi matki i że jedynie dające nadzieję na ocalenie kłamstwo może skłonić małą do opuszczenia tego miejsca, zrobiła głęboki oddech i dodała ze swadą: - Rozejrzemy się z Jessem i na pewno znajdziemy jakieś inne wyjście. Poradzi mi sobie, nie martw się. A ty biegnij za Theresa - musicie jak najszybciej sprowadzić pomoc!

- Mamo, Theresy już nie widać!

- Biegnij, Rory! Pędź za nią! Najlepiej mi pomożesz, sprowadzając pomoc!

- Nie zostawię cię tu!

- Idź! Wiem, co mówię! Śpiesz się! - Lynn nadała swemu głosowi ton rozkazujący i szorstki zarazem, choć kosztowało ją to wiele wysiłku, gdyż miała prawo przypuszczać, iż przemawia do swego dziecka po raz ostatni... Mimo pozorów opanowania, wszystko w środku niej łkało. Rory.,.

- Mamo...Usłyszawszy, że córka płacze, Lynn natychmiast także poczuła piekące łzy pod powiekami, a jej gardło ścisnął bezgłośny szloch. Rory...Przed oczami przemknęło jej kilka obrazów z dawnych lat: Rory jako rozkosznie roześmiany bobas, pyzaty brzdąc, sześćioletnia dziewczynka z kitkami... Och, Rory...

- Idź z Theresą! - powtórzyła z naciskiem.

- Dobrze, idę. Postaramy się sprowadzić pomoc - uległa na koniec córka, pociągając nosem, a Lynn ze wszystkich sił zaciskała zęby, by nie zaszlochać do wtóru. - Trzymaj się, mamo!

- Trzymaj się, córeczko! - wykrztusiła zgnębiona.- Nie trać czasu! Biegnij!

- Już pędzę, mamo! Do zobaczenia! - zawołała, wciąż pochlipując, po czym najwidoczniej bez zwłoki wprowadziła słowa w czyn, gdyż po chwili do Lynn dobiegł cichnący w oddali głos małej: - Thereso, zaczekaj!

- Och, Rory - westchnęła Lynn, zamykając oczy. Serce pękało jej z bólu. Czy zobaczy jeszcze kiedyś swoje dziecko?

Och, Boże, tak Cię proszę.

- Co ty wyrabiasz, u diabła? Przecież za chwilę będziemy mieć na karku całą tę zgraję! - irytował się Jess, doprowadzony do białej gorączki ociąganiem się Lynn.

Szturchnął ją w kostkę, usiłując zachęcić do dalszego wysiłku. Wywnioskowała z tego, że zniecierpliwiony kowboj wpełzł również do tunelu.

Po raz ostatni poleciwszy córkę boskiej opatrności, Lynn otarła łzy i oddała się bez reszty następnej w kolejności niecierpiącej zwłoki sprawie: próbie

ratowania własnego życia.

- Zejdź z drogi! - odezwała się tonem nieznoszącym sprzeciwu, a swoje słowa poparła solidnym kuksańcem, na wypadek, gdyby Jess nie zrozumiał.

- Co takiego?

- Z drogi! - wierzgnęła ponownie.

Tym razem osiągnęła zamierzony skutek: dopływ świeżego powietrza przekonał ją, że Jess posłusznie wycofał się na skalną półkę. Nie pozostało jej nic innego, jak pójść w jego ślady.

Przyszło jej to bez większego trudu. Z całej siły odpychając się dłońmi i kolanami, pełzła w tył znacznie szybciej niż poprzednio do przodu.

- Czyś ty rozum postradała - naskoczył na nią kowboj, kiedy w końcu wynurzyła się z czarnej gardzieli. - Nie możemy tu zostać!

- Nie udało mi się precyzyjnie. Jestem za gruba - wyjaśniła, poruszając się ostrożnie w obawie przed ześlizgnięciem się w dół.

Wciąż kręcąc się na czworakach, zerknęła ku Jessowi, usiłując zebrać myśli.

Skoro los Rory pozostaje w innych, potężniejszych rękach, powinni teraz zadbać o swoje ocalenie.

- Za gruba? - powtórzył z niedowierzaniem w głosie. Światło w tunelu migotało niebezpiecznie blisko, rzucając do wnętrza podziemnej komory jasne refleksy. W ich blasku Jess ze zdumieniem otaksował zgrabne kształty Lynn.

- Ty także tam się nie zmieścisz - pozbawiła go resztek złudzeń, ześlizgnąwszy się w rewanżu spojrzeniem po jego sylwetce. Biodra, choć wąskie jak u tak rosnącego mężczyzny, nie ustępowały jej własnym, a o barach lepiej było nie wspominać. - Przejście jest zbyt ciasne. Musimy ukryć się tutaj.

- Tu nie ma gdzie się ukryć - odparł rozdrażniony. - A Rory?

- Prześlizgnęła się. Podobno za tunelem widać już wyjście z kopalni. Theresą czekała tam na nią, dalej poszły razem - starała się, by zabrzmiało to beznamyślnie, lecz widoczny w jej oczach ból dopowiedział Jessowi resztę.

- W takim razie na pewno sobie poradzą. - Była mu wdzięczna za słowa pełne otuchy, a wolne od taniego współczucia. - Zwłaszcza, że z całą pewnością mordercy również nie zdołają się precyzyjnie przez to przejście. Chociaż tyle dobrego, że możemy spać spokojnie, wiedząc, iż nie ruszą w pościg za dziewczętami.

Po tym, gdy już wysłał nas na tamten świat, dodał po cichu. Choć tę ostatnią uwagę zachował tylko dla siebie, niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu. Spojrzeli na siebie oboje.

Niech będzie, co ma być. - Lynn zaczęła oswajać się z tą myślą. Jej życie za ratunek dla Rory. Uznała taką transakcję za uczciwą.

W wejściu do korytarza zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Rzuciwszy okiem w dół, Lynn zauważyła, że tamten trzyma w dłoni zapaloną latarkę.

Na przekór próbom pogodzenia się z losem poczuła suchość w gardle: a więc wybiła ich godzina.

Gdybyż tylko mogła mieć pewność, że nie będzie bolało...

W ślad za pierwszym w korytarzu pojawili się jeszcze trzej zabójcy.
Lynn rozpoznała wśród nich szalonego dobrego wujaszka.
Cała czwórka uzbrojona była w karabiny. Skoro wszyscy jak jeden mąż zapuścili się aż tutaj, Rory ani chybi zdoła umknąć, pocieszyła się w strapieniu.
Kiedy tylko zbiry wynurzą się z tunelu, oświetlą latarką wszystkie zakamarki.
Nie ma najmniejszej szansy, by przeoczyli ją i Jessa.
Swoją drogą, siedząc na tej kamiennej grzędzie wystawiają się na cel - wystarczy, że te łotry uniosą głowy, a ujrzą ich jak na, dłoni. A przecież z całą pewnością prędzej czy później to uczynią.
Przez ułamek sekundy miała ochotę wpełznąć na powrót do przyciasnej gardzieli, ale równie szybko odstąpiła od tego zamiaru.
Znajdą ich i tak, szukając drugiego wyjścia z tej komory.
Ciarki przebiegły ją na myśl, że mogłaby zostać w tej przypominającej trumnę skalnej pułapce. Wołała raczej spotkać się ze swoim przeznaczeniem na otwartej przestrzeni, gdzie choćby pozornie istnieje szansa obrony.
- Kładź się! - nakazał jej szeptem leżący plackiem Jess. Posłusznie wyciągnęła się obok niego. Bijące odeń ciepło, na przekór tragizmowi ich sytuacji, podziałało kojąco.
Łotr z latarką wkroczył do wypełnionej skalnym gruzem pieczary, oświetlając po kolei wszystkie najdalsze kąty, najdalsze kąty, najdrobniejsze szczeliny i zagłębienia. Pozostali dołączyli doń po chwili.
- Stąd nie ma wyjścia - odezwał się któryś z morderców ze zdziwieniem w głosie.
- Na pewno jest - zaprotestował dobry wujaszek ze zmarszczonym czołem popatrując dookoła. - Ślady prowadziły do tej komory. Skoro tu dotarli, nie mogli przecież rozplynać się w powietrzu. A więc musi istnieć drugie wyjście.
- Co nam po tym, czy ich złapiemy czy nie? Nie są w stanie nam zaszkodzić!
Zostało już tak niewiele czasu, a my go tracimy uganiając się za nimi - przemówił szczupły, łysiejący mężczyzna o przygarbionych plecach i w okularach na nosie.
W opinii Lynn wyglądał, wypisz wymaluj, niczym we starego Dżepetta z bajki o Pinokiu.
- Czyżbyś miał jakieś wątpliwości, Louis? - zapytał groźnie dobry wujaszek.
Wzrok wszystkich zebranych, nie wyłączając Lynn i Jessa, spoczął na chudzielcu.
- Usiłujesz podważyć słowa Baranka?
- Nie! Nie! - W głosie tamtego zabrzmiał strach. - Nic podobnego! Ja tylko... ja nie spodziewałem się, że będziemy zabijać ludzi...
- Wszystkie nasze poczynania służą chwale Pana. Nawet takie. Przyczyniają się do krzewienia dobra. Wypełniamy tu na ziemi misję, którą powierzył nam Jahwe. To On kieruje naszymi krokami. Działamy nie w imieniu nienawiści, lecz miłości.
- Miłość uzdrawia! - wyrecytowali jednym głosem pozostali dwaj, nieco operetkowym gestem pozdrawiając się przy tym nawzajem skinieniem głów.
- Nie wiemy, co wyjawiał tym trojgu Judasz - wtrącił mężczyzna z latarką. - Może zwerbował ich na swoich agentów, którzy będą aprobowali zniweczyć nasze plany.

- Wiem, wiem, ale nawet, jeśli Michael powiedział im zbyt wiele, nie zdarzą nam już przeszkodzić. Nie wystarczy im czasu, ja....

- Mięczak z ciebie, Louis, jak zawsze - uciał niecierpliwie łotr z latarką. - Weźmy się lepiej do poszukiwań. Wolałbym czuwać przy baranku, gdy nadejdzie czas.

- Jak my wszyscy - dodał dobry wujaszek, ostatecznie rozprawiając się w ten sposób z niewczesnymi wyrzutami sumienia Luisa.

Nadzieja, którą na chwilę obudziły w Lynn skrupuły niby-Dzeppetta, zgasła. Oczywiście, któż przy zdrowych zmysłach mógł się spodziewać, że mordercy, dotarłszy aż tutaj, odstąpią od swych zamiarów i grzecznie wrócą do domu?

- Przetrząśniemy to pomieszczenie krok po kroku - tu musi kryć się jakieś wyjście! - zagrział dobry wujaszek z determinacją w głosie.

Przyświecając sobie latarką, cała czwórka zaczęła węszyć po wszystkich najbardziej nawet niewinnych zakątkach. Rozpocząwszy oględziny od wejścia, powoli posuwali się w kierunku najodleglejszej ściany...

Lynn pojęła, że oto zaledwie sekundy pozostały do momentu, gdy oko oprawców spocznie na dwójce uciekinierów, Zawładnęło ją przemożne pragnienie stopienia się z tłem i stania się niewidzialną. Przyłgnęła ze wszystkich sił do skalnej półki nie spuszczać jednak wzroku z czterech złoczyńców. Kiedy tak leżała czekając na wyrok opatrności, wstrząsały ją najrozmaitsze uczucia: od bezradności i przerażenia przez wściekłość po rozpacz.

Rory! Na koniec myśli Lynn pobiegły ku córce. Boże ocal przynajmniej ją! Przyczajony obok Jess drżał z napięcia jak trącona nieostrożnym ruchem struna gitary.

Nie chcę umierać! - protestowało w niej wszystko, a po chwili już tylko myślała: Byle nie bolało.

- Tam są! - wrzasnął typ z latarką, dostrzegłszy dwoje zbiegów. Trzech pozostałych odwróciło się jak na komendę.

Przez mgnienie oka, leżąc na brzuchu z uniesioną jak niemowlę głową, Lynn spoglądała śmierci prosto w twarz, czując zimny dreszcz w krzyżu.

Dobry wujaszek wybuchnął jeżącym włosy na głowie, upiornym rechotem i podniósłszy karabin na wysokość ramienia, mierzył do swoich ofiar.

Zabije ich tu z zimną krwią.

Instynkt popychał Lynn do walki lub ucieczki, ale jak tu walczyć, dokąd uciekać?

Poczuła, że kowboj napina mięśnie, chcąc - no właśnie, cóż właściwie zamierzał uczynić? Postanowiła nie czekać na odpowiedź,

Bez głębszego namysłu złapała potężny kamień - jedyną broń w zasięgu ręki - i wzięwszy szeroki rozmach, cisnęła nim z całej siły w głowę nawiedzonego dobrego wujaszka.

Nie chybiła! Duży głąz z głuchym trzaskiem huknął w czaszkę złoczyńcy.

Szalenie wrzasnął i runął na wznak, bezwiednie naciskając spust. Seria strzałów wstrząsnęła podziemną komorą, przeszywając ciemność dziesiątkami świetlnych błyskawic. Kule odbiły się rykoszetem od powały i świsnęły w powietrzu, rażąc,

gdzie popadnie. Pozostała trójka przestępców również padła na ziemię; ktoś jęknął w agonii. Latarka upadła i tocząc się po kamieniach, rozjaśniła ponure wnętrze migającymi dziko smugami światła.

Lynn przywarła kurczowo do gzymsu, zakrywając głowę rękami. Jess przesunął się jeszcze bliżej, osłaniając ją własnym ciałem i nieomal pozbawiając oddechu.

W tej samej chwili z potwornym hukiem zawalił się sufit.

Wielka kamienna płyta spadła z góry z ogłuszającym łoskotem i zmiażdżyła wysłanników szatana, roztrzaskała latarkę i napelniła całe pomieszczenie kłębam gryzącego pyłu.

Ułamek sekundy później zaś rozległ się kolejny, jeszcze bardziej przerażający huk, niczym potężny grzmot, a po nim nastąpił głośny plusk.

Ziemia zadrżała, targana konwulsjami. Przyciśnięta przez kowboja do skały Lynn ze wszystkich sił wczepiła się w kamienną półkę.

Wstrząsy nie trwały długo.

Znacznie dłużej pobrzmiwały powtarzające ich dudnienie echa. Kiedy wreszcie wszystko umilkło, podziemna pieczara tonęła w nieprzeniknionych ciemnościach, w powietrzu unosił się gęsty kurz, a gdzieś w pobliżu chlupotała przelewająca się woda.

Martwą ciszę przerywały jedynie przyspieszone oddechy Lynn i Jessa oraz zamierające z wolna, złowieszcze bulgotanie.

31

Zyjesz? - szepnął Jess wprost do jej ucha.

Milczała, nie mogąc złapać tchu.

- Lynn? - W jego głosie zabrzmiał niepokój. Odgarnął delikatnie kosmyki włosów z szyi Lynn i próbował zbadać jej puls.

Całkiem niezła z niego tarcza, pomyślała. Choć można pod nią wyzionać ducha z braku tlenu.

- Czy mógłbyś...się odsunąć? - poprosiła zduszonym głosem.

- Och, przepraszam. - Cofnął rękę i odwrócił się na bok. Lynn nie drgnęła, rozkoszując się wciąganiem do sprasowanych ciężarem Jessa płuc powietrza. Nie przeszkadzał jej nawet dławiący pył.

- Dobrze się czujesz? Nic ci się nie stało? - upewniał się kowboj.

Leżał na swoim poprzednim miejscu, opierając się plecami o skalną ścianę.

Kompletnie wyczerpana ostatnimi przeżyciami Lynn zaczęła się wiercić niezgrabnie, chcąc odwrócić się twarzą w jego stronę. Prawdę mówiąc, miała ochotę wyciągnąć się tu na dłużej i napawać zwycięstwem nad śmiercią. Spojrzała jej w oczy, a jednak-umknęła spod kosy.

Kiedy wreszcie się ułożyła, pozwoliła sobie oprzeć policzek o zgięte w łokciu zdrowe ramię Jessa. Kowboj odpoczywał, podsunąwszy dłoń pod głowę. Fakt, że jest tu obok - zdrowy i silny - rozniecił w niej niespodziewanie promień dawno zapomnianej radości życia.

- Nie. Czuję się świetnie - odrzekła. Dygotała z zimna, a on był tak kusząco ciepły. Przysunęła się bliżej, nie zważając na nierówności twardej skały. Piers

cowboja, do której przyłgnęła, również była twarda, lecz w inny sposób: twarda i sprężysta jednocześnie. I ciepła, tak cudownie ciepła... - A ty?

- Ja też.

Wysunawszy dłoń spod głowy, otoczył ją ciasno ramieniem, przyciągając jeszcze bliżej do siebie. Jego gorąca dłoń paliła jej nagie ciało. Kiedy mówił, muskał oddechem twarz Lynn. Niebezpieczna bliskość jego ust sprawiła, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach.

- Byłam przekonana, że nie wyjdziemy z tego - wyznała, próbując zagłuszyć głośne bicie swego serca.

Prawdę mówiąc ja też w końcu straciłam nadzieję.

Wciąż trzymając głowę na ramieniu Jessa, czuła grę stalowych mięśni przy najbliższym poruszeniu jego ręki. Oszołomiła ją siła bijąca od wspaniałego umięśnionego ciała mężczyzny, zaskoczyło nieoczekiwane odkrycie, że jego ramiona tworzą wymarzoną przystań.

Może nie w obecnych okolicznościach, ale bez wątpliwości byłaby gotowa pozostać tak obok niego aż do skończenia świata.

Zdrowy rozsądek położył kres tym nazbyt swobodnym marzeniom. Weź się w garść skarciła się w myślach. Ani miejsce ani czas po temu by oddawać się miłosnym igraszkom

Nawet, jeśli być może obiekt zainteresowania na to zasługuje

Wyswobodziwszy się nie bez żalu z objęć cowboja Lynn usiadła gwałtownie

- Ostrożnie - podtrzymał ją, poufałym gestem posiadacza obejmując w talii.

Bardziej rozbawiona niż zakłopotana, przyznała w duchu, że pomysł należenia do niego nie jest jej całkiem niemiły.

- Pył opada - zauważyła

- To dobrze

Dźwignął się dość ociężale, by także usiąść. Zapewne ramię znowu krwawiło sforsowane zbyt podczas ostatnich przejść. I do tego bolało.

Uderzyło ją, że pomimo tylu przeciwności cowboj zachował niezwykłą odporność fizyczną.

- Jak tam ramię, krwawi? - zapytała.

Przez dłuższą chwilę milczał, jak gdyby sprawdzał w tym czasie bandaż, po czym odrzekł.

- Nie, ale boli jak piorun.

- To dobrze.

- Cieszę się, że tak to widzisz

Jego cierpki ton ją rozśmieszył.

- Zapewne. Lepsze to niż gdybyś miał wykrwawić się na śmierć.

- Czy słyszysz cokolwiek tam w dole? - Uniosła głowę, nasłuchując

- Nic niepokojącego.

- Myślisz, że ci czterech zginęli?

Przesunęła się bliżej ściany, opierając plecy o zimny i śliski kamień.

Przeniknął ją dreszcz; znowu zaczęła drżeć z zimna i strachu zarazem.

Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ciasno ramionami.

Przytulanie się do Jessa nawet w tak niewinnym celu jak ogrzanie się nie prowadzi do niczego dobrego. Teraz powinni myśleć wyłącznie o ratowaniu własnej skóry.

- Nawet, jeśli nie, utracili broń i w niczym nie mogą już nam zagrozić -

podsumował rzeško, dodając rozbawionym tonem: - Celowałaś w tego typu?

- Oczywiście - odparła wyniośle, rzucając mu spojrzenie pełne urażonej godności, którym, niestety, z powodu ciemności nie zdołała porazić adresata.

- Zapamiętaj raz na zawsze, proszę, że doskonały ze mnie miotacz ciężkich przedmiotów. Nie od parady cieszyłam się sławą złotego strzelca w szkolnej drużynie piłki ręcznej. Nigdy nie chybiam.

- „Wiotka panienka, a mocny cios...” - zanucił Jess, sadowiąc się przy niej pod ścianą. - Chyba ocaliłaś nam życie.

- Przypadek tak zrządził. Rzuciłam kamieniem odruchowo, nie licząc nawet, że pomoże nam to w czymkolwiek. Sądziłam raczej, że po prostu nabiję tej kreaturze porządnego guza, żeby przynajmniej nas popamiętał na jakiś czas.

- Ciebie nie sposób zapomnieć, kochanie - odrzekł miękko, z nutką rozbawienia w głosie.

- A jeśli przeżył? - Zachmurzyła się na tę myśl, puszczając mimo uszu owo zaczepne „kochanie”, które zresztą polaskotało ją całkiem przyjemnie. Oblała ją fala niepokoju, wywołana wizją dobrego wujaszka w roli niezniszczalnego Terminatora, wylaniającego się z ciemności w towarzystwie trzech kompanów.

- Czy mógłbyś na minutkę poświecić zapalniczką? Mam dość tego siedzenia po ciemku. Co to za dziwny dźwięk?

Towarzyszące im od chwili runięcia sufitu tajemnicze odgłosy bulgotania znacznie się nasiliły.

W chwilę później Jess odnalazł zapalniczkę i w ciemności rozbłył słaby płomyczek.

Widok, który ujrzeni w jego świetle, sprawił, że zabrakło im tchu w piersiach.

Wprawdzie przestępcy rzeczywiście zniknęli, ale wraz z nimi zapadła się cała komora.

Z pomieszczenia pozostała jedynie półka, zajmowana przez dwójkę uciekinierów, resztę zaś pochłonęła wzburzona topiel, której wody wzbierały gwałtownie, pnąc nieuchronnie w stronę skalnego gzymsu.

Ich schronienia.

- O mój Boże - wyszeptała Lynn bez tchu. - Co się stało?

- Sądzę, że pod kopalnią przepływa podziemna rzeka, a jej wody o tej porze roku podnoszą się znacznie, zasilane przez obfite deszcze i wiosenne roztopy. Rwący strumień podmył zapewne podłoże, a kiedy walnęłaś kamieniem tego typu w czaszkę i seria z jego karabinu maszynowego podziurawiła wszystko wokół, oszczędzając dziwnym trafem tylko nas, osłabiony strop nie wytrzymał i gruchnął w dół, grzebiąc pod sobą morderców i poważnie nadwerężając i tak nadwątloną przez wodę podłogę. W efekcie skała się zawałiła, spadając wraz z ciałami szaleńców wprost

w wezbrany nurt rzeki. Ot i wszystko.

- No dobrze, ale dlaczego woda podchodzi teraz do góry? - Lynn nie dawała za wygraną, z przerażeniem wpatrując się w rozkołysane, smoliste odmęty, połyskujące w nikłym świetle

- Należałoby raczej użyć słowa: podnosi się - sprostował beznamiętnie, wyciągając w górę rękę z zapalniczką, aby obejrzeć strop. Choć odpadł stamtąd spory skalny blok, reszta wciąż wyglądała solidnie. - Ze dwie tony skały spadły do wody, tamując nurt. Sądzę, że w tym tkwi cała tajemnica.

- O mój Boże! Jeśli nadal będzie podnosić się w takim tempie, utoniemy!

- Nigdy w życiu.- Jess odwrócił się do niej, a jego błękitne oczy rozblęskły zawadiacko. - Czy nasza ulotka reklamowa przewidywała tego rodzaju atrakcje?

- Nie, ale chyba powinna - odparła Lynn ponuro.

Uśmiechnął się przymilnie.

- Ciągle jeszcze zamierzasz pozwać naszą firmę do sądu?

- Podejmę decyzję, kiedy wypłaczę się z tej afery - odrzekła, topniejąc nieco pod jego spojrzeniem.

Patrząc w roześmiane oczy kowboja, nie mogła się nie rozchmurzyć. Był tak blisko, że widziała tańczące w jego źrenicach diaboliczne ogniki; tak blisko, że czuła zapach jego skóry; tak blisko, że mogła policzyć z osobna każdy włosik zarostu na jego brodzie, każde zadrapanie i każdą smugę brudu na twarzy.

Tak, blisko, że wystarczyłoby tylko się nachylić, by dosięgnąć jego ust.

Korciło ją to; och, jak korciło.

- Kochanie, już możesz czuć się wolna.

- Jak to?

- Nasi prześladowcy z całą pewnością przenieśli się na łono Abrahama.

- Naprawdę? - Zapominając na chwilę o czarnej rzece, Lynn odetchnęła z ulgą. A więc nie musi już obawiać się o życie swoje, Rory czy też ich wybawcy.

Obraz przeszyciego śmiertelną kulą Jessa napelniał ją teraz taką samą zgrozą jak wizja Rory w charakterze niewinnej ofiary bandy szaleńców.

- Chyba domyślałam się, kim byli. Czy przypominasz sobie, że w rozmowie posłużyli się zawołaniem: „Miłość uzdrawia”? To Uzdrowiciele.

- Co za Uzdrowiciele? - zapytała, marszcząc czoło.

- Sekta religijna, zarejestrowana pod nazwą Zgromadzenie Wiernych Uczniów Pana Naszego, lecz powszechnie zwana Uzdrowicielami, ponieważ zawsze witają się i żegnają słowami: „Miłość uzdrawia”.

- 1 działają oficjalnie? Jess się zachnął.

- Wielebny Robert Talmadge, tytułowany przez swoich szalonych wyznawców Barankiem Bożym, praktykował w przeszłości jako prawnik. Ale pewnego dnia doznał objawienia, choć raczej należałoby to nazwać zaćmieniem umysłu, i postanowił odtąd poświęcić się życiu duchowemu, krzewiąc własne pokrętne interpretacje dogmatów religijnych. Założył więc sektę, która w czasach, kiedy pracowałem dla rządu, dysponowała majątkiem bliskim miliarda dolarów i liczyła prawie pięćdziesiąt tysięcy wiernych uczniów na całym świecie, gotowych na skinienie

swego patrona odciąć sobie obie ręce. Wiem o tym, ponieważ z polecenia agencji zbierałem wówczas informacje o przywódcach innych grup religijnych, którzy mogliby nam pomóc nakłonić Koresha z Waco do kapitulacji. Uczniowie i zwolennicy Talmadge zapisywali swemu ojcu duchowemu domy i samochody, od dawali oszczędności, przekazywali emerytury. Dzieje się to wszystko w majestacie prawa, ponieważ nie ma przepisu, który zabraniałby tego rodzaju postępowania, płynącego z własnej niczym, nieprzymuszonej woli, podobnie jak nie ma przepisu zakazującego wstępowania do sekt. Wielebny Bob działa jawnie i w zgodzie z prawem. Władze obserwują jego poczynania, lecz nie mogą go tknąć.

- O ile dobrze się orientuję, morderstwo nie jest czynem legalnym.

- Słusznie - roześmiał się Jess. - W tym właśnie sęk. Nasz Baranek przebrał miarę i stróże prawa wreszcie dobiorą mu się do skóry. Mam wrażenie, że do wczorajszej masakry doszło wskutek niesnasek wewnątrz sekty. Niezależnie jednak od przyczyny tego mordy policja dopadnie Boba jak sfora wygłodzonych psów, kiedy doniesiemy, że jego wyznawcy pozostawili w górach tuzin nieboszczyków.

- Jak ludzie mogą dopuszczać się podobnych zbrodni w imię wiary?

- Świat roi się od wariatów - wzruszył ramionami Jess.

- Myśl o Timie nie daje mi spokoju - kontynuowała Lynn w zadumie. - Nie miał nic wspólnego z tą bandą fanatyków, a stracił życie, ponieważ przez przypadek los postawił go na ich drodze.

- Tak, biedny Tim.

Jess zamknął oczy, rysy mu stężały. Nie dodał ani słowa, a Lynn odgadła, że kowboj próbuje przezwyciężyć żal i poczucie winy spowodowane śmiercią kolegi, wyrzucając z pamięci obraz tego tragicznego wydarzenia i zachowując się tak, jakby nic nie zaszło. Kto wie, może owo dystansowanie się od spraw, na które nie mamy wpływu, pozwalało mu zachować równowagę i siły do dalszej walki z losem? Wyczytawszy jasno z twarzy Jessa, że nie miał ochoty na rozmowę o Timie, Lynn nie nalegała. Rozumiała powściągliwość kowboja. Prawdę mówiąc, sama też marzyła o tym, by jak najszybciej zapomnieć o wszystkich okropnościach ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie ma sensu grzebać w przeszłości, trzeba się zająć teraźniejszymi kłopotami.

- Wciąż jeszcze tkwimy po uszy w tym wszystkim - przypomniała, spoglądając na kłębiącą się w dole mętną topiel.

- Masz na myśli rzekę? - W ślad za nią rzucił okiem w tamtą stronę. - Musiałaby podnieść się jeszcze o ponad trzy metry, że by nas dosięgnąć. Jestem gotów się założyć, że nie podejdzie tak wysoko.

- Doprawdy? A skąd ta pewność? - zakpiła, w duchu jednocześnie błogosławiąc jego opanowanie, które choć zapewne nie uzasadnione, działało na nią uspokajająco.

- Ponieważ woda nie przybiera już w takim tempie jak poprzednio. Oceń zresztą sama. Poza tym wpadło do niej dużo skalnego gruzu i odłamków, a kamienne bloki z sufitu i podłóże też nie są monolityczne, gdyż z całą pewnością popękały przy upadku, co oznacza, że woda prędzej czy później wróci do swego zwykłego koryta, przedzierając się przez szczeliny albo wręcz usuwając przeszkody.

- To świetnie. Mam nadzieję, że zdołamy dotrzeć do momentu, kiedy to nastąpi.
 - Oczywiście. Zacznie opadać już za kilka godzin.
 - Zanim nas zatopi?
 - Bez wątplenia - odrzekł niewzruszonym tonem.
 - Czy ty przypadkiem nie jesteś jasnowidzem?
- Roześmiał się beztrąsko.
- No dobrze, posłuchaj: nie utoniemy, ponieważ nawet gdyby woda dotarła aż tutaj
 - co nie nastąpi, gdyż przyływ ma się właśnie ku końcowi - znalazłaby ujście tak dobrze ci znanym tunelem za naszymi plecami. Wyobraź sobie, że siedzimy w tej podziemnej pieczarze jak w wielkiej wannie, a ów korytarz to jej górny spust, zapobiegający przelaniu się wody. Jeśli rzeka podniesie się aż do tego poziomu, nadmiar wód zostanie odprowadzony skalną gardzielą. W takim wypadku zawsze jeszcze pozostałoby nam około metra powietrza nad głową, a to zapas na długie godziny. Toteż sama widzisz, że w najgorszym razie najwyżej trochę zmokniemy.
 - To nic nowego - odparła Lynn kwaśno po uważnym wysłuchaniu jego przemowy, uznając przytoczoną argumentację za słuszną. - Od dwóch dni nie robię nic innego, tylko moknę. I marznę. A propos, co się stało z naszymi kurtkami?
- Jess przybrał skruszony wyraz twarzy.
- Obawiam się, że w całym tym zamęcie wypadły za burtę.
 - Odpłynęły?
- Pokiwał głową.
- No to znakomicie.
- Zmierzył ją od stóp do głów. Dostrzegłszy owo spojrzenie, spiorunowała go wzrokiem, na wypadek gdyby miał zamiar popisać się kolejną dowcipną uwagą na temat jej skąpego stroju. Tymczasem zaskoczył ją, zauważając niespodziewanie łagodnym tonem:
- Strasznie się pokaleczyłaś.
 - Tunel był nadzwyczaj wąski - odrzekła, oblewając się czerwienią. Dojmujące uczucie zimna zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.
 - Krwawisz. - Przełożył ostrożnie zapalniczkę do prawej ręki i delikatnie dotknął rozległego zadrapania na jej ramieniu. Połyskujące drobne kropelki krwi nie wzbudziły większego zainteresowania Lynn.
 - Drobiazg, to nie boli - stwierdziła lekko, przenosząc wzrok z ręki na twarz mężczyzny.
 - O, i tu też. - Jego palce przesunęły się wzdłuż obojczyka Lynn, przyprawiając ją o dreszcze.
 - Przeżyję, nie ma obaw.
 - A na nosie osiadł ci kurz - dodał figlarnie, niby to ścierając brud kciukiem.
 - Tobie też - próbowała podjąć żartobliwy dialog, choć serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe na widok tego, co wyczytała w oczach mężczyzny.
 - Jesteś piękna - zapewnił ją żarliwie. - Nawet zakurzona.
 - Ty także - wypaliła bez namysłu, ponieważwczasie gryząc się w język. Takie

pochopne wyznanie zapewne drogo ją będzie kosztowało.

- Tak uważasz?

Oczy mu zapłonęły. Odłożył na bok zapalniczkę i objął Lynn w pól, a potem położył się na powrót i pociągnął ją za sobą. Bardzo drogo, dodała w myślach, nie stawiając jednak oporu.

- Powinniśmy opracować plan wydostania się stąd - odezwała się najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było ją stać, wciąż dzielnie przeciwstawiając się ogarniającej ją pokusie, by poddać się urokowi Jessa.

- Nudziara - ofuknął ją czule.

- To potwarz - odeła się, usiłując go odepchnąć, lecz droczyła się raczej, niż naprawdę próbowała wyswobodzić.

- Proszę bardzo, mogę odwołać, tylko po co się oszukiwać? - W odpowiedzi przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie.

Leżeli, wtuleni ciasno jedno w drugie, a Lynn znowu opierała policzek o ramię kowboja, przy każdym poruszeniu dotykając nosem jego kłującego podbródka. Wystarczyłoby unieść głowę, by ich usta się spotkały...

- Owszem, lubię planować - przyznała w końcu. - Możesz mnie w związku z tym nazwać pedantką, ale w żadnym razie nie nudziarą.

- Jeśli tak sobie życzysz - ustąpił, chyba nie całkiem przekonany. Dotknął czołem jej czoła. - Wiesz, co?

- Co?

- Możemy planować lub nie, ale dopóki woda nie opadnie i tak się stąd nie ruszymy. Jesteśmy uwięzieni.

- Uwięzieni - powtórzyła jak echo, myśląc tylko o tym, że oddałyby wszystko, by ostatnie milimetry dzielące ich usta przepadły gdzieś na zawsze.

- Chyba że żartowałaś, twierdząc, iż nie uda nam się prześlizgnąć przez skalną gardziel - dodał lekko schrypniętym głosem.

- Nie żartowałam.

- Byłem tego pewny. - Przypadkiem chyba dotknął nosem czubka jej nosa. Tym niewinnym muśnięciem skrzesał iskrę, która wywołała w Lynn pożar.

- Jess... - zaczęła i umilkła, zapomniawszy, co właściwie zamierzała powiedzieć, opętana jednym tylko pragnieniem: chciała go całować, pragnęła znacznie, znacznie więcej...

- Lynn - odrzekł nieco żartobliwym tonem. - Lynn! - powtórzył, tym razem całkiem poważnie.

- Tak? - wykrztusiła z bijącym sercem.

- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie na lotnisku, kiedy zmierzyłaś mnie złym wzrokiem, dostrzegłszy, że wlepiam oczy w twoje długie nogi?

- Oczywiście. - Jakże mogłaby zapomnieć ogorzałego nieznajomego przystojniaka, wystrojonego w kowbojski kapelusz i wysokie buty, który bezceremonialnie gapił się na nią, zapomniawszy nawet się przywitać. Doprawdy należało mu się zimne spojrzenie, którym go wtedy uraczyła.

Teraz zaś to wspomnienie rozbawiło ją tylko.

- A wiesz, co wtedy sobie pomyślałem?
 - Boję się zapytać.
 - Że jeśli dane mi będzie mieć coś w tej sprawie do powiedzenia, tej damy nie ominie wakacyjna przygoda.
 - Naprawdę?
 - Tak, proszę pani.
- Miała wrażenie, że się uśmiechnął, mówiąc te słowa.
- Byłem nawet gotów dorzucić własne awanse do oferty naszej firmy.
 - Gratis? - Także się uśmiechnęła, cytując słówko przesadnie często używane w broszurze reklamowej.
 - Więcej! Nie zawahałbym się nawet zaproponować specjalne go rabatu.
 - Cóż pozwoliło ci przypuszczać, że w ogóle zainteresuje mnie jakiś tam podrabiany kowboj?
 - Nie zainteresowałam?
 - Wtedy nie sowałam?
 - A teraz?
 - Może.
 - Może?
 - Może.

Nie wiadomo czy to ona uniosła głowę czy to Jess nachylił się nagle, dość, że po ostatnim „może” jego usta odnalazły wreszcie jej wargi.

Jego usta gorące i czułe, po prostu uwodzicielskie.

Nie wahając się dłużej z uczuciem niewysłowionej rozkoszy Lynn objęła go mocno za szyję.

32

Dotknięcie jego ust obudziło Lynn z długiego letargu. Uśpione zmysły ożyły. Od wielu miesięcy, lat właściwie, samotnie borykając się z losem, nie miała czasu ani ochoty poświęcić więcej uwagi tej sferze życia. Od dnia rozwodu pojawiali się, co prawda, od czasu do czasu u jej boku nieliczni mężczyźni, lecz żaden z nich nie wzbudził w niej nigdy takich emocji jak Jess.

Wystarczył jeden pocałunek tego mężczyzny, by ogarnął ją płomień.

Całowała go z oddaniem, żarliwie, tuląc się doń ze wszystkich sił i z radością witając dowody jego entuzjazmu. Wewnętrzny ogień rozpałił ją całą, nieomal pozbawiając zmysłów.

Tak długo tęskniła do gorących, niecierpliwych ust, do mocnych ramion, do męskich kanciastych, twardych kształtów.

Nie przerywając pocałunku, Jess odwrócił się na plecy. Sięgnął dłonią do piersi Lynn i pieścił je przez cienkie koronki tak długo, aż tchu jej zabrakło ze spazmatycznej rozkoszy.

Wówczas znowu położył się na boku i porzucił jej usta, wędrując wargami w dół: przez szyję i dekolt aż do rozkosznej doliny między dwoma apetycznymi wzniesieniami.

Przewidując, ku czemu zmierza, jęknęła, zamknęła oczy i z tłukącym nieprzytomnie

sercem wyczekiwała nieuchronnego.

- Czy wiesz, ile razy wyobrażałem nas sobie w takiej sytuacji? - wyszeptał zdyszany, kiedy uporawszy się z pomocą Lynn z koronkami, gładził jej nagie piersi. - Bez przerwy, od chwili, gdy cię ujrzałem miotającą wzrokiem błyskawice. - Zatonął głowa w jej dekolcie, drażniąc, odsuwając się i wracając, pieszcząc tkliwie, czule, słodko, misternie, mocniej, a w końcu gwałtownie, doprowadzając Lynn na skraj ekstazy. Zanurzywszy dłonie w jego włosach, drżała jak w febrze, bezgłośnie domagając się dalszego ciągu. - Och, Lynn, wiedziałem, że masz w żyłach gorącą krew - westchnął, wyzwalając w niej kolejne gwałtowne dreszcze oczekiwania.

- Jess, Jess - powtarzała w kółko jego imię, nie umiejąc teraz znaleźć innych słów, by wyrazić swe uczucia.

Nie chciała już czekać dłużej i przejęła inicjatywę. Jess zamruczał niewyraźnie raz, drugi, trzeci, aż wreszcie, nie mogąc znieść dłużej jej samowoli, odwrócił się z Lynn tak, że pod plecami czuła zimną skałę, a na sobie ciężar mężczyzny. Nareszcie. Nie wytrzyma ani chwili dłużej, umrze, jeśli to się wreszcie nie stanie. Już. Natychmiast. W tej sekundzie.

- O Boże, Lynn!

Z ochotą przyjął zaproszenie, pozwalając jej w nieskończoność delektować się wytęsknionym połączeniem, po czym drocząc się - przypuszczając atak po to tylko, by zniecała zrejterować - rozniecił pożogę na nowo.

Ich usta znów się odnalazły w szalonym, zachłannym, namiętym pocałunku. Kiedy się ocknęli po dalekiej podróży, nie mając nawet pojęcia, jak długo ona trwała, Lynn, w samych skarpetkach, ze stanikiem żałośnie zwisającym na ramiączkach, spoczywała w objęciach Jesaa, który zdążył odwrócić się tak, by uchronić ją przed kontaktem z zimną skałą.

Garderoba kowboja prezentowała się nieco okazalej: miłosne uniesienia nie zdołały pozbawić go skarpet i koszuli, sfatygowanej teraz i wymiętej.

Poza tymi dwoma fragmentami ubioru pozostawał jednak cudownie nagi - bosko, zmysłowo, uwodzicielsko, rozkosznie nagi.

Lynn poruszyła się prowokująco; jego ciało natychmiast dało odpowiedź na ów sygnał.

- Hej, tam! - rzucił Jess w ciemność.

Uśmiechnęła się do niego, lecz uzmysłowiwszy sobie, że tego nie widzi, podciągnęła się w górę, by pocałować go w usta.

- Witam pana - powiedziała zalotnym tonem i zgrabnie uwolniła się wreszcie z uwierających ją koronek.

- Nie wiem jak ty, ale ja chętnie spróbowałbym jeszcze raz - wyznał pełnym pożądania głosem.

- Nienasyceniec - zawstydziła go czule, ze śmiechem i wyraziła przyzwolenie długim pocałunkiem, który na powrót zbudził niedawno przebrzmiałe dreszcze. Dłoń Jessa podążyła ku piersiom Lynn.

- Powinniśmy najpierw sprawdzić poziom wody - zaprotestowała słabo, ulegając

mimo woli czarowi tych magicznych zabiegów.

- Do diabła z poziomem wody!

- Naprawdę powinniśmy zająć się... - zaczęła mówić, lecz nie skończyła, gubiąc myśl. - Jess! Och, Jess! - jęczała i wzdychała na zmianę, przyzywając go bezwiednie z najśłodszej otchłani.

- Auuu! Uwaga na ramię! - Ból sprowadził Jessa z obłoków, gdy wyczerpana emocjami Lynn osunęła się bezwładnie na jego tors.

- Wybacz, nie chciałam. Uraziłam cię? - Uśmiechnęła się przepaszająco, garnąc się skwapliwie do niego. Otoczył ją zdrowym ramieniem.

- Tylko moje ramię. Cała reszta po prostu rozkwita.

- Naprawdę? - spytała z kokieterią, całując szorstki podbródek kowboja.

- Tak, proszę pani. Czy życzy sobie pani przekonać się o tym po raz trzeci?

- Uważam, że naprawdę powinniśmy sprawdzić poziom wody. I twoje ramię też. - powiedziawszy to, stanowczo, acz z wielką niechęcią oderwała się od Jessa i przesunęła ostrożnie na skraj skalnej półki, przytrzymując się krawędzi w obawie przed wpadnięciem do wody.

- Jess, gdzie podziąłeś zapalniczkę?

- Przyznaj się lepiej, że wcale ci nie zależy na ustaleniu poziomu wody - to tylko pretekst, aby ujrzeć mnie w stroju Adama. - Usiadł i zaczął, podobnie jak Lynn, po omacku przetrząsać wszystkie zakamarki wokół. - Schowałem ją do przedniej kieszeni spodni, które gdzieś tu powinny leżeć... O, mam je!

- Dzięki Bogu - odetchnęła, gdyż oczami wyobraźni zdążyła już ujrzeć džinsy wraz z zapalniczką spoczywające na dnie wód, strącone tam podczas miłosnych zmagañ. Uspokojona, podkuliła nogi i rozsiadła się pod ścianą.

Wtem błysnął płomień zapalniczki, wydobywając z mroku mężczyznę, z którym zaledwie przed chwilą oddawała się wrzącej namiętności.

Wyglądał jak dzikus, ba, czysty neandertalczyk: twarz otaczały mu skołtunione włosy, smugi brudu i zadrapania znaczyły policzki, a głęboki cień dwudniowego zarostu zniekształcał harmonię rysów.

Bezwstydnie nagi, jakby dla żartu przysłonięty jedynie strzępkiem koszuli i opadającymi skarpetami, klęczał na kamieniach, w prawej dłoni unosząc zapalniczkę. W jej mdłym świetle oczy Jessa, napotkawszy wzrok Lynn, rozbłysły najczystszy z błękitów.

Urzekł ją tym spojrzeniem. Ani zaniedbanie, ani mało wykwinna poza nie mogły go pozbawić dumnej postawy herosa.

Półnagi, brudny i wynędzniały nadal zniewalał swą urodą, budząc nieklamany zachwyt Lynn.

- Cześć - powiedział miękko, nachylając się ku niej i cmokając czule.

- Witaj - odrzekła wesołym tonem. Twarz jej pałała, obrzmiała od pocałunków usta piekły, wszystko w środku pulsowało życiem, a oczy błyszczały radością. Czuli się jak siłaczka, gotowa przenosić góry. Uśmiechnęła się radośnie do Jessa.

- Oczywiście, żartowałem z tym powiększającym stanikiem - stwierdził, pełnym uznania spojrzeniem taksując ją od stóp do głów.

Zakryła piersi dłońmi, karcąc go wzrokiem.

- Daj spokój. - Zgasił zapalniczkę i odsunął rękę Lynn, a potem ucałował kuszące okrągłości. - Masz idealną figurę. Chyba nie uważasz mnie za prymitywa, który ceni w kobietach wyłącz nie duży biust?

- Mówiąc szczerze, rzeczywiście podejrzewałam cię o to.

Pochylił się nad nią ze śmiechem. Zapalniczka z cichym brzękiem upadła na kamienie.

- No dobrze, przyznaję, że jako nieopierzony młodzik postępowałem czasami nierozważnie. - Jego dłoń odszukała przedmiot rozmowy i Lynn poczuła, że zalewają ją gorąca. - Teraz mi się to już nie zdarza, teraz zwracam uwagę wyłącznie na zalety umysłu.

- Czego? - zakpiła.

- Umysłu - powtórzył zaczepnym tonem. - No wiesz - tego, tego i tego... - wyjaśnił, przesuwając dłonią wzdłuż ciała Lynn. W odpowiedzi otrzymał cios w zdrowe ramię. Zaprotestował krótkim okrzykiem, po czym ucałował ją na zgodę. Zamknawszy w ten sposób rozdział amatorów, przeszli do równie istotnej kwestii: ustalenia poziomu wody.

W chwili gdy się tym zajęli, Lynn, oprócz naderwanej w miłosnym zapale bielizny, miała na sobie jedynie flanelową koszulę ofiarowaną jej przez Jessa, narzuconą na dzinsy. Strój kowboja zaś ograniczał się do spodni, skarpet i opatrunku na ramieniu.

- Trzeba skończyć z tym trwonieniem ubrań. W końcu zostaniemy całkiem nadzy - obwieściła, zerkając w świetle zapalniczki na mężczyznę.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił ją z radością. Po raz pierwszy miała sposobność podziwiać go bez koszuli.

Szerokie bary i ścieżka ciemnego owłosienia spływająca z klatki piersiowej zyskały jej najwyższy podziw.

- Spójrz, tam pływa moja kurtka! - zawołał Jess, poddawszy uważnym oględzinom czarną taflę. Idąc za jego przykładem, pochyliła się nad krawędzią kamiennej półki. Puchowa kurtka kowboja unosiła się nieopodal tuż pod powierzchnią wody. Na ten widok gwałtowny atak głodu nikotynowego skręcił wnętrzności Lynn.

Nie darmo mówi się, że miłosne zmagania go podsycają.

- W kieszeni były dwa papierosy - westchnęła żałośnie.

- Powinnaś rzucić palenie. - W głosie Jessa nie było cienia współczucia.

- Myślisz, że Rory nic się nie stało? - zmieniła szybko temat, odzyskując trzeźwy rozsądek po burzy zmysłów, i natychmiast przypomniała sobie o córce.

- Sądzę, że nie. Naszych niegrzecznych chłopców mieliśmy cały czas na oku, wiemy, więc, że nie zdołali zrobić jej krzywdy. Jeżeli rzeczywiście wraz z Theresą opuściła kopalnię, maszeruje sobie teraz dziarsko pięknym szlakiem w świetle słońca, ciesząc się o niebo lepszym samopoczuciem niż nasze w tej zapleśniałej norze.

- Na pewno jest w strachu.

- Od tego się nie umiera.

- Jess?

- Hmmm? - mruknął pytająco, klęcząc na brzegu półki i z uwagą badając w mdłym świetle zapalniczki przeciwległą ścianę.

- Czy Rory naprawdę powiedziała ci, że chciałaby mieć z tobą dziecko?

Odwrócił się zaskoczony.

- Powtórzyła ci to?

- A więc to prawda?

- Niestety, tak.

- O mój Boże! A ty co jej odpowiedziałeś?

- Ze wolałbym raczej obdarować w ten sposób jej mamę.

Lynn zatkało na moment.

- Nie wierzę, nie mogłeś tak powiedzieć!

Uśmiechnął się zawadiacko.

- Nie, nie posunąłem się do tego, ale tak pomyślałem.

- Jak wobec tego zareagowałeś?

- Po prostu roześmiałem się i tyle. Nie należy brać poważnie wszystkich szalonych pomysłów naszych dzieci.

- Dziękuję za cenne rady, doktorze.

- Proszę bardzo - zamknął z wdziękiem temat i powrócił do studiowania ściany.

- Jess?

- Hmmm?

- Przepraszam, że potraktowałam cię jak zboczeńca polującego na moją córkę. Obdarzył ją pełnym wyrozumiałości uśmiechem.

- Trochę przesadziłaś.

- Wiem, że się zagalopowałam.

- Owszem i to bardzo. Ale ci wybaczam.

- Co za ulga, masz moją dozgonną wdzięczność.

- Wybaczam, ponieważ nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo się mylisz. To niepojęte: wszyscy inni od razu przejrzyli moje zamysły, tylko nie ty.

- Jakie zamysły?

- Chęć usidlenia cię owładnęła mną od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzałem was obie na lotnisku. Żeby zaskarbić sobie twoje łaski, zacząłem się zajmować Rory, a gdy ten plan zawiódł - tu rzucił jej spojrzenie pełne wyrzutu - kręciłem się wokół małej już tylko po to, aby cię rozdrażnić. Gdy się złościła, wyglądasz oszalamiająco pięknie.

- A ty - wycodziła, zwężając oczy w szparki - znów szukasz guza.

- O, naprawdę prześlicznie! - parsknął rozbawiony.

- Oberwałeś kiedyś kamieniem w łeb?

- Parę razy, ale nigdy podczas przeprosin.

- Już cię przecież przeprosiłam.

- Naprawdę? Chyba nie dość gorąco, będziesz musiała mi to wynagrodzić.

- Czemu nie - odrzekła filuternie, obmyślając sposoby i środki wyrażenia skruchy.

- A więc? - nalegał Jess.

- Chętnie. - Z promiennym uśmiechem nachyliła się, by go pocałować.

Zdrętwiała jednak, sparaliżowana nieoczekiwanym widokiem: dwa metry poniżej grzędy wystawała z wody pociągła blada twarz. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w oboje z napięciem.

33

Oczekującego pocałunku Jessa wyrwał nagle z błogostanu niespodziewany okrzyk. Otworzył oczy, z wrażenia omal nie wpadając do wody.

- Co się stało? O co chodzi?

Odzyskawszy równowagę, powiódł wzrokiem za dłońią Lynn. Widok białej, ociekającej wodą twarzy z wybałuszonymi oczami przyprawił go o mdłości. Podobno strach nie przystoi prawdziwym mężczyznom. Jeśli tak jest w istocie, kowboj zasługiwał w pełni na miano tchórza, gdyż sinawe oblicze kołyszące się na powierzchni czarnej wody przeraziło go śmiertelnie.

I, co więcej, trwoga ogarnęła go nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Spotkania z przedstawicielami owych pokrętnych stowarzyszeń religijnych głoszących miłość, a szerzących śmierć nie odmiennie napełniały Jessa panicznym lękiem. Nie chciał mieć z nimi nigdy więcej do czynienia, aż nadto wystarczały mu wspomnienia z Waco.

Od czasu gdy ujrzał stopy pomordowanych ciał w osadzie górniczej, duchy przeszłości zawładnęły nim ponownie, z powodzeniem konkurując z realnym zagrożeniem. Chwilami nachodziły go wątpliwości, czy rzeczywiście ścigają ich mordercy z krwi i kości, czy też całe to zamieszanie nie jest tylko wytworem jego wyobraźni albo złym snem, z którego za moment się ocknie.

W takich chwilach drętwiał z obawy, czując, że podobne rozmyślenia prowadzą wprost do rozchwiania psychiki.

W końcu rozsądek wziął górę nad myślami dryfującymi w niepożądanym kierunku i oswoił paraliżujący strach. Głowa w wodzie należy przecież do jakiegoś ciała, a owo ciało to niewątpliwie jeden z mężczyzn, którzy usiłowali pozbawić życia Jessa i Lynn, a przez przypadek utracili własne. Ot, i wszystko. Odkrycie może i makabryczne, na pewno jednak niewarte ściskania w żołądku, już nie.

Oczy upiornych, lecz niegroźnych już zwłok wlepione były w, Jessa, który mimowolnie odwrócił wzrok.

- Po-pomocy! - Sine wargi topielca poruszyły się nagle.

Spłoszona Lynn głośno wciągnęła oddech, Jess zastygł w oczekiwaniu.

Ujrzawszy, że rzekomy nieboszczyk zagarnia rękami wodę, aby utrzymać się w pionowej pozycji, kowboj zrozumiał, że człowiek ów w żadnym razie nie zginął, lecz ku ich utrapieniu cudem wyszedł z opresji cało.

Mimo szczyrych chęci Jess nie umiał zdecydować, czy bardziej przeraża go martwy czy też żywy morderca.

- Po-pomocy! - powtórzył niedoszły nieboszczyk. Jess pochylił się, próbując objąć tamtego mdłym światłem zapalniczki.

W smolistej topieli kołysał się niewierny Tomasz, czyli Louis.

- O mój Boże! On żyje! - przemówiła Lynn, rozglądając się z ożywieniem, jakby w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Na szczęście dla zbira oprócz łachmanów na grzbietach i zapalniczki dwójka więźniów kamiennej półki nie miała nic więcej.

- Proszę - wykrztusił Louis, sprawiając wrażenie, jakby z każdą chwilą tracił siły.

Zważywszy na temperaturę wody, Jess uznał, że nie musieliby kiwnąć palcem, aby pozbyć się tego lotra w ciągu dosłownie kilkunastu minut. Wystarczy, że zostawią go w topieli, a problem rozwiąże się sam. Tamten nie miał, dokąd uciec: schronienie mógłby znaleźć jedynie na ich półce, od której dzieliła go pionowa, śliska skalna ściana.

- Mam go utopić? - Lynn trąciła kowboja łokciem.

Spojrząwszy na nią, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Siedziała uzbrojona w dwie pełne garście kamieni, z których największy dorównywał rozmiarami piłce golfowej, i najspokojniej w świecie proponowała, by użyć tych skalnych odłamków w charakterze narzędzia zbrodni.

Spoglądając z czułością na tę niepozorną, niebieskooką, słodką istotę, w normalnych warunkach niezdolną zabić komara, zachwyił się jej determinacją i odwagą. Cudowna kobieta, pomyślał z uznaniem.

- Nie trzeba, sam, bez naszej pomocy, pójdzie na dno za dziesięć, piętnaście minut z powodu wyziębienia organizmu.

- Ratunku! Ratunku! - żałośnie bełkotał Louis, na zmianę wynurzając się i znikając pod wodą. Desperacko walczył, by utrzymać się w dotychczasowej pozycji, lecz z każdą chwilą jego ruchy były coraz mniej skoordynowane. Jess przyglądał mu się badawczo, tknięty nagłą wątpliwością: gdzie podziewał się ten człowiek przez ostatnią godzinę? Przecież nie pod wodą, chyba, że ma skrzela. Podejrzliwym spojrzeniem zlustrował powierzchnię wody i ściany podziemnej komory.

Jeśli ten typ przeżył katastrofę, może i jego kompani zdołali się uratować? Na tę myśl kowbojowi ścierpła skóra.

- Gdzie się ukrywałeś? Chyba nie pod wodą? - zawołał do intruza.

- Kiedy runęła skała, prąd wody zaniósł mnie do podziemnego tunelu. Ocalała mnie tam resztką powietrza, ale kiedy się wyczerpało, musiałem uciekać. Zanurkowałem i tak oto znalazłem się tutaj.

- A co z pozostałymi?

- Pomóżcie mi, błagam.

- Co z tamtymi? - nalegał Jess.

- Zginęli. Wszyscy.

- Skąd wiesz?

- Jak mogliby przeżyć?

- Tobie się udało.

- Cudem - wymamrotał Louis, słabnąc. - Naprawdę cudem. Pomóżcie, proszę...

- Nie wierzę, aby Bóg marnował swą łaskę dla takich jak ty - oświadczył Jess, po czym nachylając się ku Lynn, zapytał: - Co z nim zrobimy?

- Mimo wszystko nie mogę tak poprostu siedzieć i przyglądać się, jak on tonie - odrzekła ściszym głosem.

- On nie miałby takich skrupułów, widząc, jak padamy od kuł - zżymał się kowboj.

- A nawet może sam by wykonał wyrok, mając taki rozkaz. Kto wie, czy to nie on postrzelił mnie albo trafił Tima. Cała ich czwórka miała dziś sporo okazji, by pofolgować swoim krwawym instynktom. O wczorajszej nocy nawet nie wspomnę.

- A jednak... - Lynn zawiesiła głos, spoglądając w dół na bielejące w wodzie smętne oblicze zbira.

Na ten żalony widok nawet Jess poczuł coś w rodzaju współczucia. Ale tylko przelotnie.

- Błagam panią. - Nieszczęsny topielec uczeplił się Lynn, stawiając na jej miękkie serce. - Nie zostawiajcie mnie tutaj!

Lynn zerknęła na kowboja.

- Może przynajmniej zgasisz zapalniczkę, abyśmy nie musieli na to patrzeć.

- Nie ma mowy - zaprotestował żywo, nie mając odwagi się przyznać, że zgrozą przejmują go myśli o beczynnym czekaniu w ciemności na śmierć tego człowieka lub też pojawieniu się pod osłoną mroku jego trzech kompanów, obojętnie, w postaci upiorów czy też żywych i żądnych krwi istot ludzkich.

Nie wyznałby jednak tego za nic, ponieważ mocni mężczyźni nie wiedzą, co to lęk, a jeśli nawet zdarzy im się poznać jego smak, nigdy mu się nie poddają.

- Zamierzasz się mu przyglądać? - Lynn wyglądała na wstrząśniętą.

- Chcę tylko zyskać pewność, że teraz już na dobre rozstanie się z życiem - odrzekł Jess, kurczowo ściskając migocącą słabym płomyczkiem zapalniczkę.

- Musicie mi pomóc! Mam ważną misję do spełnienia! Powiem... - Reszta gorączkowych wywodów przerodziła się w nie zrozumiałe bulgotanie, gdyż mężczyzna zniknął pod wodą, wypijając przy tej okazji pół rzeki.

Jess popatrzył na Lynn; sprawiała wrażenie przygnębionej i przestraszonej zarazem.

- ...koniec świata... - kontynuował Louis, wynurzając się znowu.

- Co za bzdury - mruknął kowboj.

- ...nadchodzi! Wybije wasza godzina! - Tamten nabrał nagle wigoru, jakby zdając sobie sprawę, że i jego czas się kończy.

- Jeszcze jedno słowo, a osobiście dopilnuję, abyś nie wyszedł cało z tej kąpieli - zdenerwował się kowboj nie na żarty.

Fanatyzm tego człowieka wyprowadził go z równowagi. Choć sam Jess nie miał nic wspólnego z tysiącami nierozważnych owieczek, które dały się omamić przybierającemu skromne minki sprytnemu wilkowi, i jego zacierzowanie mogło wydawać się przesadne, lecz z zasady wszelkie przejawy ludzkiej bezmyślności nieodmiennie, niezależnie od okoliczności, doprowadzały kowboja do szału. A fanatyzm religijny w szczególności.

Prawdopodobnie działało się tak za sprawą pamięci o niewinnych ofiarach zająć w

Waco.

Czym prędzej odsunął od siebie tamto ponure wspomnienie.

- Nie kłamie! - krzyczał Louis. - Koniec świata się zbliża! Przekonacie się sami w poniedziałek o dziewiątej rano! Przysięgam, że mówię prawdę!

Pod wpływem jego krzyków przed oczami Jessa żywo stanęła scena na lotnisku, kiedy wraz z Owenem odbierali Lynn wraz z resztą turystek: procesja nawiedzonych z transparentami zapowiadającymi totalną zagładę świata o dziewiątej rano w dniu, którego nie mógł sobie przypomnieć.

Stek nedorzeczości.

Zmarszczył brwi ze złości i wydymając gniewnie usta, zerknął na Lynn, by się uspokoić. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Klęcząc z dłońmi wciąż pełnymi kamieni, zawinięta w jego ulubioną flanelową koszulę, z umazaną i podrapaną twarzą, z burzą potarganych jasnych włosów wyglądała tak apetycznie, że znowu opętała go chęć skosztowania jej powabów. Kiedy wy obraził sobie niedawne miłosne zmagania, jego złość wreszcie zniknęła. Uśmiechnął się szeroko do swej uwielbianej bogini.

- On naprawdę w to wierzy - wyszeptła ze zgrozą.

- Jak oni wszyscy - westchnął Jess. - Mylisz się, stary - przemówił głośno do fatalnego proroka. - Wywiedziono cię w pole. Wiele słyszałem o wielbnym Bobie: to człowiek nawiedzony i niedościgniony naciągacz zarazem. Założę się, że przepisałeś na niego wszystkie swoje oszczędności albo podarowałeś mu sumę uzyskaną ze sprzedaży domu? Bez namysłu spełniasz wszystkie jego polecenia, co? Powie ci: skacz! - a ty martwisz się tylko, czy aby stoisz dość wysoko, by skoczyć. Posłuchaj, wystrychnięto cię na dudka! Świat nie zginie w poniedziałek o dziewiątej rano. To bujda. Zaufaj mi. Wielbny się myli.

- Nie, to ty się mylisz! - Louis nie dawał za wygraną. - Mówię prawdę!

Przysięgam na grób mojej matki! Baranek tego dopilnuje!

Ostatnie zdanie wreszcie wzbudziło czujność kowboja.

- Czego dopilnuje? - zapytał ostrożnie.

- Po dwóch latach postów i żarliwych modłów Jahwe objawił się Barankowi, wskazując mu świętą datę: dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku o godzinie dziewiątej rano. Ponadto obwieścił także, iż Baranek zostanie boskim narzędziem sprawiedliwości, które sprowadzi zagładę na cały ten zepsuty świat.

- On jest obłąkany! - wzdrygnęła się Lynn.

Jess przytaknął, lecz upór Louisa go zaintrygował. Ten facet przemawiał z determinacją, zdradzającą najgłębsze przekonanie. Oczywiście, że umysł Louisa błądzi, lecz kto wie, czy owa szczerza wiara nie oznacza, iż faktycznie coś się kryje za tym pozornie nieskładnym bełkotem?

- A w jaki sposób wielbny Bob zamierza zrealizować swe posłannictwo? - zapytał podchwytliwie.

- Wyciągnij mnie, to ci powiem - odparł tamten z przebiegłością straceńca.

Podczas gdy Jess się wahał, Louis znowu pograżył się w czarnej topieli i jeszcze

raz zdołał wypłynąć na wierzch, z trudem łapiąc powietrze. Wokół ust wykwitła mu purpurowa obwódka, purpurowe plamy znaczyły skronie. Resztę twarzy spowijała biel tak przejmująca, że oblicze mężczyzny przypominało woskowy odlew. Widząc jego błądź, Jess obliczył szybko, że brakuje najwyżej pięciu minut, by hipotermia pozbawiła swą ofiarę przytomności i pogrążyła ją w odmętach na zawsze.

Tyle, więc czasu mu zostało, aby zdecydować, czy wielebny Bob rzeczywiście uknuł spisek mający przynieść światu zagładę, czy cała ta historia to tylko czcze urojenia. Prawdę mówiąc, nawet, kiedy powtarzał słowa tamtego w myślach, wszystko to brzmiało niedorzecznie.

Nawet wariaci nie są w stanie przekroczyć pewnych granic absurdu.

- Proszę! - wyrzęził Louis.

Jess nagle podjął decyzję: oddał zapalniczkę Lynn i zaczął ściągać spodnie.

- Zawsze przecież możemy na powrót zepchnąć go do wody - tłumaczył swej towarzyszce. Zdjąwszy dżinsy, położył się płasko na półce, spuszczać ku niedoszłemu topielcowi nogawkę spodni.

- Trzymaj! - zawołał do Louisa. - Jeśli zdołasz się tu wspiać o własnych siłach, twoje szczęście. Jeśli nie - trudno, przegrasz. Sam sobie będziesz winien, bo to ty mnie postrzeliłeś albo któryś z twoich kompanów i dlatego nie mogę cię podciągnąć.

- Dziękuję! O, dziękuję! - jęczał z wdzięcznością zziębnięty nieszczęśnik, kręcąc na wszystkie strony głową, jakby chciał otrząsnąć się z wywołanego zimnem otępienia. Potem, machając rozpaczliwie rękami, cudownym trafem dopłynął do zwisających spodni i uczepił się kurczowo nogawek.

Pierwsza próba wydostania go z topieli nie powiodła się jednak. Louis zdołał wynurzyć się z wody zaledwie do pasa, a potem z głośnym pluskiem wylądował w niej z powrotem.

Za drugim razem natomiast poszło jak z płatka. Niedoszły topielec przypiął się do nogawki spodni jak pijawka do goleni i nie puszczał, pnać się powoli po śliskiej skale i ostrożnie przekładając dłonie. Nienawykły do takiego wysiłku, przy każdym kroku wyraźnie opadał z sił, lecz zdołał dźwignąć się na, tyle, że w końcu dosięgnął ręki kowboja. Drugą rękę podała mu Lynn i tak wspólnymi siłami wciągnęli delikwenta na swoją półkę. Całe szczęście, że straszne z niego było chuchro.

- A teraz, bracie - odezwał się Jess, poklepując uratowanego, który padł na kamienie i dyszał ciężko - opowiedz mi swoją bajeczkę. W jaki to sposób wielebny Bob zamierza unicestwić ten świat, co?

- Używając bomb atomowych - wyjaśnił tamten bez namysłu.

Jess przykucnął, obserwując bacznie swego informatora. Oszółom czy manipulator? Ubrany w taki sam strój, jak pozostali członkowie sekty: sfatygowaną, ongiś białą bluzę od dresu i ciemne spodnie z poliestru, leżał z zamkniętymi oczami, zwinięty w kłębek, ociekając wodą i trzęsąc się jak w febrze. Zęby szcękęły mu tak głośno, że kowboj zwątpił, czy dobrze go usłyszał.

- Bomb atomowych? - powtórzył z niedowierzaniem, wciągając dżinsy. - A skąd, u diaska. Bob Talmadge wytrzasnął bomby atomowe?

- Sami je skonstruowaliśmy - oświadczył chudzielec z dumą, otwierając jedno oko.

- Zgodnie z wolą Jahwe Baranek wyzbył się całego naszego majątku, a za uzyskane ze sprzedaży tego wszystkiego pieniądze kupił wzbogacony uran od rosyjskiej mafii. Przeszmuglowanie jednej walizki z pięćdziesięcioma kilogramami tej substancji do Ameryki okazało się już tylko dziecięcą igraszką. Dobrze wiesz, że taka ilość w zupełności wystarczy, by zrównać z ziemią całkiem sporą powierzchnię kraju.

Jess poczuł ciarki w okolicach krzyża, gdyż historia ta z każdą chwilą zyskiwała na wiarygodności. A jednak „całkiem spora po wierzchnia kraju” to jeszcze nie cały świat.

Nie spuszczać wzroku z Louisa, zapiął spodnie. Tamten wykrzywił usta, jakby zamierzając rozciągnąć je w triumfalnym uśmiechu, ale najprawdopodobniej z powodu zimna jego wysiłki spełzły na niczym. Jego szczęście, skonstatował ponuro kowboj. Nic bowiem nie powstrzymałoby go od wymierzenia tęgiego ciosu w szczękę zadowolonemu z siebie szaleńcowi.

- Dysponujemy sześcioma bombami. Sześć walizek z ładunkiem znajduje się już w rękach jego wiernych uczniów. Wczesnym rankiem w poniedziałek każdy z nich przespaceruje się niczym niewinny turysta ze swoim bagażem do centrum jednego z sześciu miast: Waszyngtonu, Nowego Jorku, Chicago, Los Angeles, Denver i Seattle, które Jahwe uważa za najbardziej strategiczne miejsca w kraju. O dziewiątej Baranek zdetonuje je wszystkie jednocześnie ze swojej siedziby, posługując się komputerem. Bum! Po głównych dzielnicach sześciu wielkich miast nie zostanie kamień na kamieniu, a setki tysięcy ludzi opuści nagle ten padół! Po jego wyznaniu zapadła cisza; Jess zastanawiał się gorączkowo.

- No dobrze, ale gdzie tu koniec świata? - odezwał się wreszcie surowym tonem. Choć łudził się nadzieją, że owa fantastyczna opowieść to nic więcej, tylko wytwór chorego umysłu niedoszłego topielca, złe przeczucia go nie opuszczały. - Wiele osób przeżyje ten atak.

- Zaplanowaliśmy jednoczesne uderzenie z innej strony. Druga fala zniszczenia obejmie sześć ośrodków w głębi kraju, gdzie położone są potężne magazyny broni chemicznej i biologicznej. Przechowują w nich między innymi sarin - chyba słyszałeś do ieszienia o wybuchu w tokijskim metrze? A mówi ci coś nazwa ricin? Niewielki woreczek tego specyfiku wystarczy, by wysłać na tamten świat trzy tysiące ludzi. No i jeszcze parę innych. Te zapasy czekają na zniszczenie, lecz armia amerykańska wciąż zwleka, nie mogąc się zdecydować, jak przeprowadzić taką operację, aby przy okazji nie wytruć połowy kraju. Baranek w owym wahaniu rządu dostrzegł palec boży i uznał, że zadaniem tej broni będzie wsparcie planów Jahwe. Kilka zwykłych bomb roztrzaska składy i choć część środków ulegnie zniszczeniu przy tej okazji, reszta śmiertelnych substancji wystarczy, aby wykończyć ocalałych po ataku atomowym.

Głęboko wstrząśnięty Jess siedział w milczeniu, zdając sobie sprawę, że

Uzdrowiciele stać byliby na podobne przedsięwzięcie. Ich fanatyczne oddanie wielebnemu Bobowi nie miało sobie równych. Na jego skinienie z uśmiechem poświęciliby życie własnych dzieci i swoje, podpalili rodzinne domy, wysadzili w powietrze dowolny obiekt.

Wciąż jednak bez odpowiedzi pozostawało pytanie, czy cała ta nieprawdopodobna historia została wyssana z palca, czy też stanowi rzetelną relację z łańcucha misternie zaplanowanych wydarzeń, które zaczęły już faktycznie rozgrywać się za ich plecami.

- Nawet jeśli zamysł waszego przywódcy się powiedzie, nie doprowadzi do skończenia świata, a co najwyżej do zniszczenia naszego kraju. - Jess analizował to, co usłyszał, zakładając prawdomówność Louisa.

- Widać, że nigdy me studiowałeś Pisma. - Wyznawca wojowniczego kultu odwrócił się i wlepił weń oczy zmrużone w szparki. - Wiedziałbyś bowiem, że wraz ze zniszczeniem potęgi Ameryki czerwone hordy ze wschodu zaleją świat, sprowadzając dzień Sądu Ostatecznego, a wraz z nim drugie zesłanie i radosne połączenie wiernych z ich Panem, który odtąd aż po wieczność zapanuje w pokoju i harmonii nad światem.

- Z wielebnym Bobem u boku - dodał Jess zjadliwie.

- Właśnie - przytaknął Louis i zamknął oczy.

34

Lynn w milczeniu spoglądała to na szaleńca, leżącego w kałuży wody jak wyrzucona na brzeg ryba, to na Jessa, który ulokował się między nią a nawiedzonym, chroniąc ją w ten sposób od bezpośredniego kontaktu z Louisem.

Mile polectała ją owa subtelność; zacznie chyba wyżej cenić opiekuńczość mężczyzn.

Kowboj wpatrywał się w tamtego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, w którym Lynn zdołała jednak dostrzec czujność i podenerwowanie. Nie zwiastowało to niczego dobrego.

- Chyba nie sądzisz, że androny, jakie wygaduje ten człowiek, zawierają bodaj cień prawdy? - zapytała z niedowierzaniem. Jess jednak zbył ją krótkim:

- Nie wiem.

- Oczywiście, że mówię prawdę - oburzył się Louis, otwierając oczy i siadając. Trząsł się jak galareta, gdyż woda wciąż spływała zeń strumieniami i Jess odsunął się, aby się nie zamoczyć. - Kiedy tkwiłem pod wodą, straciwszy wszelką nadzieję na ocalenie, zacząłem się modlić do Jahwe, a on uratował mnie, prowadząc do tej powietrznej poduszki. Wówczas przemówił do mnie w te słowa: „Louisie, musisz powstrzymać tę maszynę. Baranek się myli. Udaj się do niego i wyjaśnij mu, że wybrał niewłaściwy moment”.

- Jahwe tak ci powiedział? - spytał Jess z powagą i Lynn po czuła, że serce podchodzi jej do gardła. Nie miała już krztyny wątpliwości, że kowboj ufał temu człowiekowi!

- Muszę jak najszybciej dotrzeć do Baranka, żeby przekazać mu słowa Jahwe.

- Która godzina? - pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia Lynn. Louis zerknął na

zegarek.

- Druga czterdzieści siedem.

Czas nagli. Dzisiaj jest niedziela, dwudziesty drugi czerwca. Jeżeli straszliwe pociski rzeczywiście rozmieszczono w różnych miastach kraju i jeżeli rzeczywiście eksplodują w poniedziałek, dwudziestego trzeciego czerwca o dziewiątej rano, to oznacza, że zostało niecałe osiemnaście godzin, zanim połowa kraju wyleci w powietrze, a druga część padnie ofiarą trujących substancji. Osiemnaście godzin do chwili, gdy Stany Zjednoczone przestaną istnieć, a czerwone hordy swobodnie pomaszczą na zachód.

Owa fantastyczna wizja wydawała się tak niedorzeczna, że mimo najszczerzej chęci Lynn nie mogła potraktować jej bez wzruszenia ramionami.

Rzut oka na śmiertelnie poważne oblicza Louisa i Jessa po raz kolejny wszakże wzbudził w niej wątpliwości. Jeżeli Jess wierzy w te fantasmagorie, zapewne tkwi w nich ziarno prawdy.

Choć w pierwszej chwili wydawało się to nieprawdopodobne, sekta religijna rzeczywiście miała możliwości i środki, by doprowadzić do unicestwienia globu.

A przynajmniej jego obecnego kształtu.

Muszę odnaleźć Rory! - pomyślała histerycznie, kiedy groza sytuacji dotarła do jej świadomości.

Ale jak tego dokonać? Jak wymknąć się z tej podziemnej pułapki, w której nie ma oprócz nich nikogo zdrowego na umyśle? Jak zawiadomić kogokolwiek o śmiertelnym niebezpieczeństwie?

Siedzą tu, kręcąc się tylko w kółko i jak bezradne pszczoły brzęcząc w szklanym słoju.

Za osiemnaście godzin ona i Jess stracą życie. Umrze także Rory, matka Lynn, córki Jessa i wszystkie dziewczynki z wycieczki, Owen i Pat Greer. Przytulny dom Lynn zmieni się w garść kosmicznego pyłu wraz z Chicago i połową szalonych i wspaniałych zarazem Stanów.

A ona nie jest w stanie zrobić nic, by do tego nie dopuścić.

Najwyżej może się pomodlić. Od razu wprowadziła tę myśl w czyn.

- A gdzie podziewa się teraz Baranek? - zwrócił się Jess do Louisa.

Lynn podziwiała jego opanowanie. Pomimo oczywistego zdenerwowania mówił rzeczowym tonem, bez cienia paniki w głosie.

- W swojej siedzibie koło Castle Rock w Dakocie Południowej. Specjalnie na tę okoliczność budowla została wzniesiona w samym centrum kraju. Wierni Uczniowie mieli tam do niego dołączyć, aby wspólnie oczekiwać końca świata.

- To miło z ich strony - zadrwił Jess. Nieopuszczająca go zimna krew doprawdy zadziwiała Lynn. Ona sama nie potrafiła zachować spokoju - wszystko w niej kipiało z bezsilności i trzęsła się ze strachu.

- Chcą wraz z Barankiem zasiąść po prawicy Jahwe, przeniosę są się tam z radością, wznosząc hymny pochwalne. Nie zdając sobie jednak sprawy, że planują tę podróż przedwcześnie, Jahwe nie oczekuje nas jeszcze. Obwieścił mi to wyraźnie, muszę więc powstrzymać Baranka. Tylko jak to zrobić? - Ich rozmówca

rozejrzał się wokół strapiony. On także nie umiał znaleźć wyjścia z obecnej sytuacji.

- Dobrze pytanie - przyznał Jess, odwracając się w stronę Lynn, która nie spuszczała wzroku z Louisa. Kto wie, do czego zdolny jest taki maniak? Może wymyślił tę podejrzaną historyjkę, tylko po to, by uspić ich czujność.

Prawdę mówiąc, wołałaby, aby tak było. Ale, niestety, szalenciec zamiast od tyłu zaatakować podstępnie Jessa, zamknął oczy i złożył ręce, pogrążając się w modlitwie.

Jak człowiek, który maczał palce w tak wielkiej masakrze, w ogóle może się modlić- Lynn, posłuchaj. Przeniosła uwagę na kowboja, od czasu do czasu jednak czujnie zerkając na wyznawcę wielebnego Boba. Ufała mu mniej więcej w tym samym stopniu, co drzemiącemu grzechotnikowi. - Przeczucie mówi mi, że ten człowiek nie zmyśla. A skoro tak, nie możemy tu siedzieć z założonymi rękami i biernie czekać na dalszy rozwój wypadków. Musimy zacząć działać.

- Zgadzam się - przytaknęła skwapliwie. Należy zapobiec masowej zagładzie ludzkości, o ile to możliwe, tym bardziej, że sama Lynn, jej dziecko oraz Jess mogą paść ofiarą koszmarnego planu. Kłopot w tym, że nie ma pomysłu, w jaki sposób powstrzymać owo szalone przedsięwzięcie. - Ale weź pod uwagę, że dopóki woda nie opadnie, nie możemy się stąd ruszyć.

- Postanowiłem spróbować się stąd wydostać. - Przeplynę korytarz. Zakładam, że zgodnie z prawami fizyki woda w całej kopalni utrzymuje się na tym samym poziomie, co tutaj, czyli około dwóch i pół metra poniżej naszej grzędy. Jeśli tylko uda mi się odnaleźć tunel, który przyprowadził nas do tej komory, zanurkuję tam i już po paru krokach będę mógł wystawić głowę ponad powierzchnię, a po paru następnych przejdę suchą nogą aż do wyjścia.

Lynn zastanawiała się przez chwilę. - A jeśli się okaże, że przejście zostało zasypane?

Przypomniała sobie niedawne trzęsienie ziemi, wywołane zawaleniem się stropu i podłoża w ich komorze. Możliwe, że wstrząsy te spowodowały także zapadnięcie się przyległego tunelu.

- Wówczas wrócę i pomyślimy o innym rozwiązaniu, na przykład o poszerzeniu tego wąskiego korytarzyka, którym prześlizgnęły się dziewczęta.

- To lita skała - odparła Lynn. - Bez młota pneumatycznego nie można nawet marzyć o jej skruszeniu.

- Dlatego właśnie najpierw zamierzam zanurkować.

- Ale to niebezpieczne - wypowiedziawszy te słowa, odruchowo spojrzała w dół na połyskującą taflę czarnej cieczy i wzdrygnęła się ze strachu.

Niestety, miała rację: skoczywszy raz do wody, Jess nie będzie mógł powrócić do skalnego schronienia. Wyżłobione ludzką ręką mokre, gładkie i śliskie ściany pięły się pionowo aż po sam sufit pieczary. Jess ze strzaskanym ramieniem nie wydostanie się z topieli o własnych siłach, a ona nawet razem z Louisem nie dadzą rady dźwignąć go na półkę.

Jednym słowem skok do wody naraża kowboja na ogromne ryzyko: albo dopłynie do

celu, albo utonie. Powrót nie wchodzi już w rachubę.

Wyjaśniła mu swoje wątpliwości.

- Kochanie, nie ma innego wyjścia. Nie mogę tu siedzieć, kręcąc palcami młynka, podczas gdy wielbny Bob w spokoju przygotowuje nam nadejście Królestwa Niebieskiego.

Kochanie. Użył tego pieścizotliwego zwrotu, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Gdyby jakikolwiek inny mężczyzna pozwolił sobie na podobną poufałość, nie usłoby mu to na sucho. Tymczasem w ustach Jessa określenie to brzmiało wręcz słodko.

Lynn chciała zostać jego ukochaną.

Napotkawszy wzrok kowboja, zarumieniła się ze szczęścia, stwierdzając w myślach, że takie osładzające życie ciastko jak on z chęcią pałaszowałaby, co dzień.

Nagle przyszłość nabrała żywszych barw, obiecując wiele nowych wrażeń.

A wszystko tylko dzięki temu, zauważyła rozmarzona Lynn, że na jej drodze pojawił się Jess.

Pojawił się, owszem, po to, by jutro rozwiać się w jej przemiłym towarzystwie w gwiezdny pył podczas zagłady nuklearnej.

- Nie ma mowy - rzuciła, zaciskając usta.

- Proszę? - Jess zmarszczył czoło, nie rozumiejąc, czemu przypisać tę nagłą zawziętość.

- Musimy się stąd wydostać - oznajmiła z mocą, taksując uważnym spojrzeniem lustro ciemnej wody.

Kto wie, może im się uda. Od śmierci niegrzecznych chłopców aż do chwili obecnej nie mieli powodu, by się spieszyć. Przeciwnie, z przyjemnością przedłużali chwile spędzane sam na sam.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Lynn może utracić wszystko, co jest jej drogim, i to w chwili, gdy życie zaczęło dopiero nabierać smaku.

- My? - Jess uniósł brwi.

- Chyba nie zamierzasz mnie zostawić? Jeśli popłyniesz, ja idę z tobą.

- To niebezpieczne - zaprotestował, posługując się tym samym argumentem, co ona parę minut wcześniej.

- Idę z tobą - powtórzyła twardo, patrząc mu prosto w oczy. Przez chwilę mierzyli się nieustępliwymi spojrzeniami. Wreszcie Jess skapitulował.

- Podobno twierdziłaś, że nie umiesz pływać?

- Nie trać czasu na żarty, Romeo, tylko wskakuj do wody.

- Romeo? - uśmiechnął się zawadiacko, nachylił się i ucałował ją z dubeltówki. - Potraktuję to jako komplement.

- Traktuj sobie jak chcesz, bylebyś już wreszcie ruszył.

Kowboj, teraz już poważny, zwrócił się do Louisa:

- W drogę!

- Ja? - Niedoszły topielec lypnął okiem na czarną topiel i wzdrygnął się z odrazą. - Nie ma mowy! Za żadne skarby nie zanurzę się znowu w tej lodowatej kąpielu.

- Z wcześniejszej rozmowy odniosłem wrażenie, że wybierałaś się z wiadomością do Baranka - zauważył kowboj, dyskretnie przesuwając się na kolanach w stronę chudzielca.

- Tak, ale musi istnieć inny sposób... - Nie skończył swego wywodu, gdyż z krzykiem i pluskiem wylądował w wodzie. Jess popatrzył na Lynn. - To zaoszczędziło nam czasu na zbędne dyskusje - zauważył, uśmiechając się krzywo.

- A nie mogliśmy po prostu go tu zostawić?

- Nie, on może nam się jeszcze przydać, prawdopodobnie zna szczegóły, które będą nam niezbędne w dalszych działaniach. A poza tym nie mam zamiaru zostawiać cię z nim samej na tej półce. - Przysiadł na piętach i spojrzał krytycznie na miotającego się w dole Louisa, po czym przeniósł zafrasowane spojrzenie na Lynn.

- Posłuchaj, ta woda naprawdę jest bardzo zimna. Co więcej, naprawdę może się okazać, że przejście zostało zablokowane. Uważam, więc, że najrozsądniej będzie, jeżeli zaczekasz tu, aż ja sprawdzę to sam i wrócę tu po ciebie. Potrząsnęła przecząco głową.

- A ja tymczasem odchodziłabym od zmysłów, zastanawiając się, czy zdołałaś się prześlizgnąć, czy też utknęłaś na dobre pod wodą, a na koniec i tak skoczyłabym za tobą do wody, gdybyś wkrótce się nie pojawił. Pomyśl też, ile czasu stracimy, jeśli będziesz musiał dwukrotnie przedzierać się tam i z powrotem. A przecież to na czasie zależy nam najbardziej - tłumaczyła cierpliwie.

Jess słuchał, zaciskając usta i marszcząc gniewnie brwi.

- Powinnaś zostać.

- Czyż nie rozmawialiśmy już o tym? - obruszyła się ponownie.

- Lynn, wiesz, że ja... Nie pozwoliła mu dokończyć.

Zgasiała zapalniczkę i wsunawszy ją szybko za stanik, spuściła nogi z półki, a potem zatykając nos, z całej siły odepchnęła się od skały.

- Lynn! - Echo okrzyku Jessa zadudniło jej w uszach, gdy jak bomba wpadła do wody.

Lodowaty uścisk był niczym najwymyślniejsza tortura. Piekielny chłód przeniknął Lynn do głębi, poraziły gęste jak smoła, nieprzeniknione ciemności. Nic nie widziała, nie słyszała, nie czuła, nie oddychała, straciła nawet orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół. Machała rozpaczliwie nogami i rękami, próbując wydostać się na powierzchnię.

W końcu woda sama ją wyniosła. Lynn wypłynęła, dysząc jak miech kowalski. Nigdy dotąd nie doświadczyła równie zimnej kąpieli. Słowo „hipotermia” nagle nabrało treści.

Przynajmniej nie będziemy zbyt długo się męczyć, jeśli przejście zostało zasypane, pomyślała w przypływie czarnego humoru.

No proszę, oto właśnie odkryła kolejny, chyba już tysiąc pierwszy sposób przeniesienia się na łono Abrahama podczas tej jedynej w swoim rodzaju wakacyjnej wyprawy.

Świetne wakacje, w życiu się tak nie odprężyła jak tutaj, ale następnym razem - o ile w ogóle będzie następny raz - raczej jednak wybierze nudny urlop na

jachcie.

- Lynn, przesun się trochę w bok. Skaczę! - zawołał Jess.

Posłuchała bez słowa, zastanawiając się jednocześnie, choć bez szczególnej troski, czy Louis uzna za stosowne także się przemieścić. Po chlupotaniu wody poznała, że owszem, uczynił to, a po chwili rozległ się ogłuszający plusk, świadczący o tym, że kowboj spełnił swą zapowiedź.

Czekała, rozgarniając leniwie wodę niczym korek huśtający się na powierzchni czarnego i głębokiego arktycznego morza. Ziab i mokra odzież spowolniły jej ruchy, czyniąc je niezgrabnymi. Z pewnością zrzucenie resztek ubioru ułatwiłoby pływanie, ale wówczas dalszy ciąg wędrówki Lynn musiałaby odbyć w samej bieliźnie.

Nie, wybawianie świata z opresji w niekompletnym stroju nie wchodziło w grę. Jess wynurzył się z parsaniem i przywołał ją do siebie.

- W porządku - stwierdził, kiedy podpłynawszy bliżej, dotknęła jego ramienia. - Teraz popłyniemy do przeciwległej ściany. Trzymaj się mnie.

Co prawda, w ciemności trudno było ocenić, gdzie właściwie znajduje się ta przeciwległa ściana; nie pozostało im nic innego, jak odwróciwszy się plecami do półki skalnej, ruszyć na oślep przed siebie. Po chwili, płynąc ranne w ramię, szczęśliwie natknęli się na chropawą kamienną taflę, wyznaczającą dalszą drogę.

- Louis? - zaniepokoił się Jess.

- Tu jestem - odezwał się cichy głos tuż obok. - Niepotrzebnie wepchnęliście mnie do wody. Jahwe na pewno znalazłby właściwe rozwiązanie.

- To jest właściwe rozwiązanie. Przestań zrzędzić i nie ruszaj się na razie z miejsca - ofuknął go Jess, po czym, łagodniejszym tonem, zwrócił się do Lynn, wsuwając jej do ręki coś przypominającego rozmokłą tasiemkę: - Złap koniec i w żadnym razie nie puszczaj - nakazał. - Ja będę trzymał z drugiej strony, dzięki czemu nie zabłądzę w ciemności. Zanurkuję i wrócę po ciebie, gdy tylko znajdę wejście do korytarza.

- Skąd wytrzasnąłeś tę tasiemkę? - zapytała zaskoczona Lynn.

Nie mieli przy sobie żadnych rzeczy oprócz nędznych resztek garderoby na grzbiecie. Nie przypominała sobie żadnej tasiemki.

- To gaza, którą obwiązałaś mi ramię. Namotałaś jej tam kilka metrów. Trzymaj swój koniec.

Zanim zdążyła otworzyć usta, z chlupotem dał nura, znikając w czarnej toni.

Z bijącym sercem wpatrywała się w ciemność, na próżno usiłując wypatrzeć cokolwiek, i rozpaczliwie ścisnęła w dłoni pasemko gazy.

Nieopodal rozlegało się głośnie sapanie Louisa, lecz pochłonięta czym innym Lynn, nie zwracała nań większej uwagi.

Wszystkie jej myśli biegły ku Jessowi. Panie, błagam, modliła się w duchu, wspomóż go; ocal nas wszystkich.

Choć ręce skostniały jej z zimna, podobnie jak reszta ciała, napięta gaza, poruszając się z lekka, pozwalała jej wyczuwać wszystkie podwodne manewry Jessa. Gdyby przytrafiło mu się coś złego, Lynn odgadłaby to natychmiast.

Nagle taśma zwisała luźno, lecz Lynn nie zdążyła nawet odetchnąć, gdy kowboj, dysząc ciężko, wynurzył się tuż obok niej.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z niepokojem.

Odnalazła po omacku ramię Jessa i przesunęła się bliżej, tak, że czuła ruch wody wokół rąk i nóg mężczyzny, starając się jednocześnie nie oddalić zbyt od ściany, o której szorstką powierzchnię delikatnie ocierała się, co chwila plecami. Bez ściany i Jessa w zasięgu ręki niechybnie straciłaby wszelką orientację, wpadła w panikę i poszła na dno jak kamień.

- Tak - odrzekł. - Ta lodowata woda ma przynajmniej te zaletę, że koi ból. Mogę do woli poruszać zranionym ramieniem.

- To świetnie - ucieszyła się Lynn.

- Oczywiście to stan przejściowy.

- Znalazłeś wejście do tunelu? - Bliskość Jessa w irracjonalny sposób ją rozgrzewała; prawdopodobnie był to efekt wyłącznie psychologiczny, gdyż w żaden inny sposób kowboj nie mógł użyzyć jej własnego ciepła.

- Tak. Jesteś gotowa?

- Uhm.

- Ponieważ muszę mieć wolne obie ręce, przywiążę gazę do szlufki w swoich dżinsach i do twoich także. Dzięki temu nie zgubimy się w ciemności.

- Zgoda.

Jess bez zwłoki wprowadził słowa w czyn. Zanurkował jak perkoz, a po chwili poczuła, że mocuje się z jej spodniami, najwyraźniej przywiązując tasiemkę do szlufki.

-Już.

Wynurzył się niespodziewanie, otrząsając jak pies z wody, co stwierdziła, gdy zimne kropelki deszczem opadły na jej twarz. Napotkawszy przypadkiem w wodzie rękę Jessa, nabrała otuchy.

Jak dobrze mieć go przy sobie, gdy nieprzeniknione ciemności i kapiel po szyję w lodowatej topieli zdawały się ich więzić niczym zimny, wilgotny grób, odbierając resztki nadziei na jakikolwiek ciąg dalszy.

- Louis, chodź!

Cichy plusk wody i przybliżające się odgłosy posapywania świadczyły, że tamten posłuchał rozkazu.

- Trzymaj się tego końca gazy. Jeśli go wypuścisz z rąk, stracisz kontakt z nami. Zrozumiałeś?

- Utoniemy - jęknął żałośnie chudzielec.

- Ty z całą pewnością tak, gdy tylko zgubisz tasiemkę - potwierdził kowboj bezlitośnie. - Prześlizgniemy się przejściem pojedynczo. Ja pierwszy, potem Lynn, a na końcu Louis. - W głosie kowboja zadźwięczała stal, gdy dodał, zwracając się do ucznia Baranka: - Jeżeli spróbujesz jakiegokolwiek podstępu lub będziesz utrudniał nam wydostanie się, to nie licz na opatrzność, utopię cię osobiście, jak mi Bóg miły.

Słowa kowboja nie zdołały jeszcze przebrzmieć, gdy Lynn poczuła jego oddech na

policzku. Odwróciła głowę; pocałował ją mocno i krótko. Usta miał zimne i wilgotne, lecz ich dotyk wywołał przyjemne ciepło w jej sercu.

- Do zobaczenia po tamtej stronie - szepnął jej do ucha, kończąc głośniejsz: - Gotowa?

- Gotowa - potwierdziła Lynn.

- Louis, a ty? - zapytał ostrzejszym tonem.

- Uważam próbę wydostania się stąd za wielkie nieporozumienie. Zamiast narażać życie powinniśmy raczej skupić nasze wysiłki na próbie powrotu do bezpiecznego schronienia na półce, dopóki siły nam na to pozwalają. Ja słabnę z każdą chwilą i...

- Nic nie stoi na przeszkodzie, abyś tu został i wspiał się z powrotem na gzyms

- przerwał mu kowboj ze zniecierpliwieniem. - To ci się z pewnością nie uda, ale możesz próbować. My w każ dym razie znikamy.

- Jeżeli zostaniemy i pomodlimy się, Jahwe z całą pewnością podsunie nam inne wyjście. Już raz okazał mi łaskę, wybawiając z topieli. On nie chce, abym utonął. Narażając się na to, postępuję wbrew jego woli.

- Spróbuj spojrzeć na to inaczej: Bóg - a w tym wypadku Jahwe - podobno pomaga tym, którzy sami sobie pomagają - przekonywał Jess nieco łagodniejszym tonem. - Tak przynajmniej mawiała moja babcia.

- Nawet diabeł w razie potrzeby potrafi podeprzeć się cytatem z Biblii - zareplikował Louis kwaśno.

- Święte słowa - roześmiał się Jess. - Lynn, kiedy powiem: trzy, ruszamy. Jasne?

- Jasne - przytaknęła.

- Idziesz, Louis?

- Powinniśmy zapytać Jahwe, czy...

- Nie mam zamiaru go o nic pytać.... Raz, dwa, trzy....

Chlupot wody i mocne szarpnięcie w pasie powiedziało Lynn, że kowboj rozpoczął przeprawę. Wziąwszy głęboki wdech i krótko powierzywszy swe losy opatrzności, zanurkowała desperacko, pogrążając się w lodowatej czarnej toni z dłonią kurczowo zacisnięą wokół tasmę z gazy, która łączyła ją z Jessem.

35

Eliasz znowu zaniósł się łkaniem. Marsz szutrową drogą dłużył się w nieskończoność i chłopczyk był już głodny. Theresa wepchnęła mu do usteczek swój mały palec - złapał go łapczywie, lecz równie szybko wypluł. Tak często w ciągu ostatnich dwóch dni próbowała nabrać go na tę sztuczkę, że nie pozwolił się oszukać po raz kolejny. Zapłakał jeszcze głośniejsz.

Ze złością zwinęła dłonie w pięści, gdyż krzyk niemowlęcia rozstrajał jej nerwy, lecz spojrzawszy na jasną główkę kołyszącą się w prowizorycznym nosidełku, uspokoiła się w jednej chwili. Jeśli jego kwilenie ściągnie im na kark kłopoty, trudno. Nie zrobi już krzywdy braciszkowi, nawet gdyby miała przyplacić to życiem. Eliasz to wszystko, co zostało jej najdroższego na tym świecie.

Niemniej jego dzikie, przerywane czkawką kwiki trudno było wytrzymać. Nie mając czym go nakarmić, zaczęła potrząsać nim delikatnie, co jedynie zirykowało

rozżalone niemowlę. Chłopczyk poczerwieniał na buzi i ryknął piskliwie niczym syrena alarmowa, wierzgając przy tym i wygrażając drobnymi piąstkami.

- Co mu się stało? - zaniepokoiła się postępująca za nią obca.

- Jest głodny - wyjaśniła Theresa, nie racząc nawet odwrócić ku niej głowy.

Uznała, że wyprowadziwszy tamtą z kopalni, spełniła swoje zadanie wobec tej nieznajomej, która nie przestając pochlipywać, nadal nie odstępowała jej na krok, jakby spodziewała się, że Theresa ją uratuje.

Tymczasem ona nie życzyła już sobie żadnych złaknionych opieki podrzutków.

Wystarczy, że miała Eliasza. To o niego mu siała się troszczyć - i o siebie. Z całej wielkiej rodziny zostało ich tylko dwoje, co do tego nie było wątpliwości.

Cokolwiek się wydarzy, musi chronić małego. Zobowiązała ją do tego Sally, jej matka. Ukazała jej się w kopalni, kiedy Eliasz cudem powrócił do życia. Pojawiła się przed nią jak żywa i wskazując niemowlę, poleciła surowo:

- Zaopiekuj się nim!

To pod tym warunkiem został jej oddany mały braciszek: będzie mogła cieszyć się, że go ma, jeśli się nim zajmie.

Pojąwszy ów warunek, przyrzekła sobie dołożyć wszelkich starań, by dziecku nie spadł włos z głowy.

- Dlaczego się nie zatrzymasz i nie dasz mu jeść? - dopytywała się obca.

- A jak ci się zdaje, co mam mu dać?

Tym razem Theresa popatrzyła za siebie i obrzuciła szybkim spojrzeniem nieznajomą. Tamta, w opadających dzinsach i żółtym golfie, z jasnymi włosami zebranymi w koński ogon, prezentowała się całkiem przeciętnie, na oko niewiele różniąc się od niej samej. To pewna siebie postawa czyniła z niej kogoś z innego świata. Oczywiście ta obca chodziła do szkoły, do kina, do klubów, spotykała się z przyjaciółkami, a może nawet miała chłopaka.

Theresa poczuła ukłucie zazdrości, lecz szybko je odpędziła, uznając za niegodne.

- A nie możesz nakarmić go, hm, piersią, czy coś w tym rodzaju? - Nie poddawała się jej towarzyszka.

- Jestem jego siostrą, a nie matką - wyjaśniła rzeczowo.

- Och. - Tamta umilkła zaskoczona, lecz po chwili odezwała się znowu: - A tego by nie zjadł?

Theresa przystanęła, odwracając się ku nieznajomej, która w wyciągniętej ręce trzymała płaski, prostokątny pakiecik w żółtoczerwonej folii.

- Co to takiego? - zapytała, starając się nie zwracać uwagi na napływającą jej do ust ślinkę. Od ilu to długich godzin sama nic nie jadła? - zastanowiła się szybko. Natychmiast jednak doszła do wniosku, że lepiej nie dociekać.

- Plastry suszonej wołowiny, miałam je w kieszeni.

- Dziękuję.

Theresa wzięła paczuszkę i oderwała zębami kawałek folii. Korzenny, smakowity zapach przyprawił ją o gwałtowne ssanie w żołądku, lecz widok drącego się wniebogłosy, zapłakanego, zsiniałego z niewypowiedzianej męki braciszka ścisnął

jej serce, od pędzając pokusę. Z żalem odjęła foliowe opakowanie od ust i wydobyła ze środka plaster mięsa.

Wepchnięcie go dziecku do rozdziawionych ust nie wymagało żadnej filozofii. Mruczając coś do braciszka i szturchając go delikatnie palcem w okrągły policzek, Theresa wsunęła mu kawałek plastra do buzi, przytrzymując mięso z drugiej strony, aby się nie udławił.

Zagaworzył, krztusząc się i nagle złapał przynętę zupełnie jak rybka. Ze zdziwieniem w załzawionych oczach i marszem na czole mamlał wołowinę o zapewne paskudnym dlań smaku, lecz nie pozwolił Theresie wyrwać sobie mięsa.

Ssał i żuł ile sił w twardych dziąsłkach i mocy w pierwszym, niedawno wyrżniętym zębku, z taką dumą i radością powitanym przez ich matkę. Na jej wspomnienie dziewczyna poczuła w gardle bolesny skurcz.

- Smakuje mu - zauważyła nieznajoma.

Theresa podniosła na nią wzrok.

- Jak ci na imię? - zapytała.

- Rory.

- Jestem Theresa.

- Wiem.

Dziewczyna przeniosła spojrzenie z powrotem na braciszka.

- A to Elias - przedstawiła chłopczyka.

- Cześć, Eliaszu - zagruchała Rory, z uwagą przyglądając się rodzeństwu. - Co tu robicie całkiem sami? Gdzie wasi rodzice?

Na te słowa Theresę opanowała niema rozpacz, ale dzielna dziewczyna otrząsnęła się w jednej chwili. Wszak ojciec nieraz jej powtarzał, że obowiązek ponad wszystko. Na żałobę przyjdzie czas później.

- Nie żyją, tak jak i pozostali krewni. Wszyscy, co do jednego, zostali zamordowani przez tych ludzi, którzy ostrzelali nasz samochód. Kuzynowi podcięto gardło, inni - mama, moje siostry i bracia leżeli martwi w trawie. Widziałam z oddali ich ciała, spoczywały nieruchomo... - odwróciła się na pięcie i powoli ruszyła przed siebie.

- A więc to twoja rodzina mieszkała w osadzie górniczej? - wykrztusiła Rory z mieszaniną zgrozy i współczucia, doganiając ją szybko. - Mama, ja i Jess, nasz przewodnik, przez przypadek trafiliśmy na miejsce tej masakry. Mordercy dostrzegli nas i rzucili się w pościg. Co prawda mieli wówczas na sobie długie, białe szaty, w których wyglądali jak duchy, ale najprawdopodobniej to ci sami ludzie, którzy byli przy samochodzie.

- Członkowie starszyny zawsze przebijają się na białą, kiedy udają się, aby wymierzyć sprawiedliwość. Przy naszym samochodzie pojawili się, wypełniwszy już swe zadanie, dlatego mieli na sobie zwykłe ubrania - wyjaśniła Theresa. -

Proszę, nie rozmawiajmy więcej o tym. - Ból rozsadał jej piersi, kiedy tylko wspominała rodzinę i jej tragiczny los. Nie zniesie tego dłużej.

- Dobrze - zgodziła się potulnie Rory.

Przez chwilę maszerowały, nie odzywając się do siebie. Wreszcie Rory przerwała

milczenie.

- Wiesz, moja mama tam została.

Theresa pamiętała o tym doskonale, gdyż była świadkiem hysterii swej towarzyski podczas rozstania z matką.

- Moja też - westchnęła cicho.

- Ale moja żyje. - Rory nie dawała się zbić z pantałyku. - Obiecałam sprowadzić pomoc. Dokąd prowadzi ta droga?

Mojej mamie nikt i nic nie jest już w stanie pomóc, pomyślała Theresa z goryczą.

Ale może właśnie, dlatego należy wesprzeć tę dziewczynkę i uratować przynajmniej jej matkę? Wszak ta obca podzieliła się z Eliaszem ostatnim kęsem wołowiny.

- Do miasta - wyjaśniła. - Ale to daleko stąd.

- A ile czasu trzeba, żeby tam się dostać? - dociekała Rory.

- Około dwóch godzin.

- Na piechotę? To wcale nie tak źle.

- Samochodem.

- Och - wyszeptwała tylko Rory z rozpaczą, z całej siły starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. - A czy tu w okolicy nie ma kogoś, do kogo mogłybyśmy zwrócić się o pomoc?

Theresa zastanowiła się, po czym pokręciła przecząco głową.

- Wobec tego muszę wracać, żeby pomóc mamie - zdecydowała Rory, przystając.

- Zaczekaj! - powstrzymała ją Theresa, gdy tamta miała już ruszyć z powrotem w stronę kopalni. - Umiesz prowadzić samochód?

36

Bez prowadzącej ją taśmy Lynn byłaby zgubiona. Nic nie widziała i nie słyszała, nie oddychała i nie mogła mówić, wstrząsana wywołanym przez przenikliwie zimno dreszczami popłynęła za Jessem najpierw na samo dno wodnego zbiornika, a potem wprost przed siebie. Jej niezgrabne ruchy mało przypominały klasyczną żabkę, lecz mimo to dzielnie parła do przodu. Wreszcie zaczepiwszy dłońmi o twarde skały, zorientowała się, że są już w zatopionym korytarzu.

Ból rozsadał jej płuca. Ile już czasu spędziła pod wodą? Miała wrażenie, że godzinę, wieczność całą. Tymczasem trwało to ze trzydzieści sekund, minutę może, nie dłużej.

Nagle napięcie taśmy zelżało. Lynn niespodziewanie wpadła na Jessa, który zamiast płynąć, stał w miejscu, jakby mocując się z czymś. Z czym? Czy toczył zacieklą walkę z własną słabością, wstrząsany śmiertelnymi konwulsjami, czy też zmagał się z jakimś cudownie ocalonym kamratem Louisa?

Grożące w każdej chwili wybuchem płuca Lynn domagały się powietrza. Wiedzona desperackim pragnieniem zaczerpnięcia tchu za wszelką cenę, przepchnęła się do przodu, gotowa rozdeptać kowboja, byleby tylko wydostać się na powierzchnię.

Powstrzymała ją skalna przeszkoda, która tarasowała przejście. A więc spełniły się najgorsze przewidywania - korytarz był za blokowany.

To oznacza koniec wyprawy. Muszą zawrócić.

Jess tymczasem nie poddawał się, próbując w pośpiechu usunąć rumowisko. Pojawszy

przyczynę jego gorączkowej krzątaniny, którą omyłkowo wzięła za opętańczą walkę, Lynn przyłączyła się do niego i w panice wyszarpując kamienie różnej wielkości z zagradzającego dalszą drogę muru, odrzucała je na dno. Ile trzeba ich wydobyć, by utworzyć szczelinę, przez którą mogliby się prześlizgnąć? Jak długo to potrwa? Czy w ogóle uda im się te go dokonać? Jeżeli zaraz nie zawrócą, mogą nie zdążyć dopłynąć na czas do podziemnej pieczary. Pozbawieni powietrza stracą przytomność i utoną. Nic ich nie uratuje.

Ich ciała będą poniewierać się smętnie w tunelu-pułapce, do póki woda nie opadnie.

Wówczas napęczniałe zwłoki zostaną odnalezione, odbędzie się pogrzeb, Rory i matka Lynn zaleją się łzami... Hola, hola, nie dojdzie do żadnego pogrzebu. Za osiemnaście godzin wszystko zniknie z powierzchni ziemi.

Targając z poświęceniem skalne odłamki, Lynn walczyła z paraliżującym jej ruchy przerażeniem i dojmującą potrzebą zaczerpnięcia oddechu. Obolałe płuca domagały się wydechu, wdechu, ponownego wydechu, już, natychmiast, bez względu na okoliczności i Lynn musiała użyć całej siły woli, by nie ulec zwodniczemu odruchowi, który musiałby zakończyć się tragicznie.

Była, bowiem przekonana, że gdyby pozwoliła sobie na luksus wyrzucenia z płuc zalegającego tam od dłuższej chwili, zużytego, palącego ją żywym ogniem, zatęchłego powietrza, nie oparłaby się pokusie wciągnięcia haustu nowego zapasu,., wody tym razem.

Kilkakrotnie zdarzyło jej się słyszeć opinie, jakoby śmierć przez utonięcie należała do mniej strasznych. Na takie stwierdzenie mógł poważić się tylko człowiek bez wyobraźni, który nigdy nie doświadczył parcia rozdzierającego płuca, nie skręcał się od duszącego bezdechu, nie uległ obezwładniającej trwodze wywołanej świadomością, że nie wolno nawet spróbować odetchnąć.

Poddana potwornej torturze Lynn cierpiała jak potępieniec. Powietrza! - wyło w niej wszystko.

Mocna dłoń porwała ją energicznie w stronę zapory, lecz Lynn nie zareagowała. Na wpół przytomna i kompletnie bezwładna, pozwoliła się przeciągnąć przez niewielki otwór, nawet tego nie zauważając, zajęta wyłącznie rozpamiętywaniem swojej męki. Powietrza!

Ocknęła się dopiero, gdy jej stopy uderzyły o coś twardego. Czyżby dno? Tak, dno! Tak wysoko? To znaczy, że albo utonęła, albo... Odepchnąwszy się z całej siły od kamiennego podłoża, wystrzeliła do góry.

Trach! Z trzaskiem uderzyła czubkiem głowy o skałę, aż dojrzała wszystkie gwiazdy. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia wobec odkrycia, że nos i usta znajdują się ponad linią wody. Z niewyobrażalną ulgą wypluła zapleśniałe powietrze i ponownie nappełniła płuca świeżym.

Słodkim powietrzem.

Kołysała się na wodzie, przedłużając w nieskończoność tę rozkosz: wdech i wydech, wdech i wydech, wdech i wydech. Wraz ze wznowieniem oddychania zmysły Lynn zaczęły funkcjonować normalnie, toteż już po chwili obok siebie usłyszała

świszczące oddechy Jessa i Louisa, świadczące o tym, że obydwaj oddają się tej samej przyjemności, co ona: oddychają.

- Udało się - wykrztusił kowboj chrapliwie. - Jesteśmy w tunelu, nad powierzchnią wody.

Nie zwlekając, popłynął przed siebie, holując Lynn za ramię. Podłoże podnosiło się tak gwałtownie, że wkrótce poczuła pod nogami kamienną gładź, a po kilku zaledwie krokach mogła swobodnie opaść na kolana.

Drżąc z wyczerpania, przemarznięta do szpiku kości, na wpół płynąc, na wpół pełzając na czworakach wygramoliła się z wody i z zamkniętymi oczami padła jak długa na zimne kamienie.

Jess wyciągnął się obok, dysząc jak zziębnięty pies. Na końcu, ni to charcząc, ni to bulgocząc, wytaszczył się chwiejnie z odmętów Louis.

Leżeli tak w trójkę bez czucia przez wydawałoby się długi czas, lecz gdy w końcu Jess dał sygnał do wymarszu, okazało się, że Lynn nie zdążyła jeszcze dojść do siebie.

Czuła się całkowicie wyczerpana i fizycznie, i psychicznie, zupełnie jak ofiara ciężkiego wypadku. Nie umiała sformułować najprostszej myśli, a najlżejszy ruch przerastał jej możliwości. W tym stanie nie mogła wyruszyć, potrzebowała odpoczynku.

- Wstawaj, Louis. Słowom Jessa towarzyszyły nieartykułowane protesty tamtego. Na podstawie hałasów, które nastąpiły po chwili, Lynn wywnioskowała, że chudzielec został bezceremonialnie postawiony na nogi.

Wówczas kowboj przykląkł i delikatnie wziął ją za ramię.

- Lynn, posłuchaj, musimy już iść. Czas mija nieubłaganie. Tym ostatnim zdaniem wytrącił ją gwałtownie z odrętwienia, przypominając o celu tej naszpikowanej trudami i pełnej niebezpieczeństw wyprawy.

- Już idę - szepnęła, zaciskając zęby.

Zebrawszy wszystkie siły, dźwignęła się niepewnie, a kiedy stanęła wyprostowana na nogach, musiała oprzeć się o ścianę, by odsapnąć.

- Czy masz jeszcze zapalniczkę? - dobiegł ją z ciemności głos kowboja.

- Chwileczkę. - Odnalazła maleńki przedmiot w zakamarkach swego skapego stroju i spróbowała ją zapalić. Bezskutecznie. Zapalniczka zamokła zupełnie, tak, że stała się całkiem bezużyteczna. - Zalała ją woda i nie działa.

- Trudno, chyba i tak wiem, gdzie jesteśmy. Trzymaj się blisko mnie.

Nie musiał tego dodawać, gdyż i tak nie miała innego wyjścia - wciąż byli połączeni paskiem mokrej gazy. Przesuwając ręką dla lepszej orientacji po ścianie, ruszyła za kowbojem, szcękając zębami z zimna i zmęczenia. Lynn zamykała mały pochód, gdyż tym razem Louis przecierał szlak, jako że Jess wolał mieć go na oku, na wypadek gdyby uczeń wielbego Boba próbował jakichś sztuczek.

Taki właśnie szyk bardzo Lynn odpowiadał. Panujące wokół ciemności nie tylko wyostrzyły jej zmysły, lecz także podsyciły strach. Bała się Louisa, nawet chwilowo nawróconego. Zawsze to jednak człowiek niezrównoważony umysłowo, a do

tego morderca.

Kto wie, co mu strzeli do głowy za chwilę. Może nagle zapomni o pomyłce Baranka i rzuci się na nich pod osłoną ciemności. Wcale nie miała ochoty zakończyć życia w tym tunelu, uderzona kamieniem w głowę.

Posuwali się w górę krętym korytarzem wiodącym do pomieszczenia, przez które przeszli zaraz po zejściu do podziemnego labiryntu. Sądząc po rozpoznawanych przez Lynn po omacku charakterystycznych znakach: rozłupanej belce, wyrzuceniu skalnym czy kilku śliskich zagłębieniach wyłobionych w posadzce przez długie lata użytkowania kopalni, pokonali jedną trzecią długości tunelu, gdy wtem Jess się odezwał:

- Ostrożnie!

Głos kowboja zabrzmiał dźwięcznie, jakby dochodząc z wysoko sklepionej komnaty. Lynn, odgadłszy, że tuż przed nią kryje się w mroku próg łączący tunel z obszerną komorą i pamiętając o dzielącej oba pomieszczenia różnicy poziomów, stąpała z wielką ostrożnością, próbując w porę wyczuć stopą krawędź niewidocznej pułapki. Jej wysiłki zostały nagrodzone: odnalazła poszukiwany schodek i zeszła po nim bezpiecznie.

- Lynn?

Jess czekał na nią u wejścia, wyciągając ręce; padła prosto w jego ramiona i znieruchomiła, z rozkoszą pozwalając sobie na chwilę odpoczynku.

Objął ją w pasie, ona zaś oparta się o niego całym ciężarem. Ledwie żywa ze zmęczenia wzbraniałaby się przed dalszą wędrówką, gdyby nie chodziło o sprawę tak wielkiej wagi.

Tylko kwestia życia i śmierci mogła zmobilizować Lynn do postawienia następnego kroku.

Jess, z pewnością także wyczerpany i na dodatek osłabiony z powodu upływu krwi, trzymał się dzielnie, nie okazując zmęczenia.

- Idziemy - zdecydował rażno, stanowczo jednak za szybko. Oswobodziwszy kibić Lynn, ruszył w ciemności, pociągając ją za sobą.

- Dalej, Louis - pogonił ich niedawnego prześladowcę, przypominając Lynn o jego istnieniu.

- Nie mogę, nie mam siły, a poza tym nic nie widzę - dobiegła ich z mroku płaczliwa skarga chudzielca.

- Wejście do tunelu powinno znajdować się gdzieś z lewej strony, raczej nisko, gdyż wypełziliśmy z niego na czworakach do tej komory - przypomniała im Lynn, kiedy natknęli się na przeciwległą ścianę. Dzięki twardemu postanowieniu udało jej się wykrzesać ostatni zapas sił. Skoro trzeba iść dalej, będzie szła i już.

Poszukiwanie po omacku otworu prowadzącego do tunelu zabrało im kilka cennych minut, lecz wreszcie Jess wydał triumfalny okrzyk:

- Tutaj! Louis, ty pójdziesz przodem. Tylko nie zapomnij pochylić głowy.

- Auuu! - Odgłos głuchego uderzenia i towarzyszący mu jęk nawiedzonego potwierdziły zasadność ostatniej uwagi.

- Teraz ja, a ty na końcu - pouczył kowboj Lynn, przyjąwszy bez cienia

współczucia wypadek Louisa. Zagłębił się w tunelu, którego sklepienie znajdowało się na wysokości jej pasa.

- Uważaj na głowę! - rzucił jeszcze za siebie.

- Dobrze - pochyliła się, przymierzając do szczeliny. Szarpnięcie taśmy zasygnalizowało niezbitcie, że Jess oddała się szybko.

Bez zwłoki pośpieszyła jego śladem, poruszając się na czworakach i pochylając nisko głowę, pomna bolesnego doświadczenia Louisa.

Wspinanie się po mokrej i śliskiej posadzce okazało się mniej zdradliwe, lecz za to bardziej wyczerpujące niż pierwszy spacer w dół. o kilku pełnych trudu i wysiłku minutach Lynn, ku swej radości, ujrzała w oddali jasny promyk światła.

Serce podskoczyło w jej piersi, uzmysłowiła sobie, bowiem, że oto nareszcie nadciąga kres ich podziemnych zmaganiań.

- Udało się! - zawołał rozentuzjasmowany Jess, gdy zbliżyli się do wyjścia.

Lynn na mgnienie oka ogarnęła wątpliwość, czy słusznie postępują, pozwalając Louisowi pierwszemu opuścić labirynt. Wszak znajdzie się bez nadzoru w terenie, gdzie pełno kamieni, kijów i wszelakich innych przedmiotów, które łatwo wykorzystać jako broń. Najwyraźniej Jessowi ta sama myśl zaświtała w głowie, gdyż zniemacka złapał swego towarzysza za kostkę, w chwili, gdy tamten miał właśnie wystawić nos na świat.

- Poczekaj no, bracie - powstrzymał chudzielca, po czym we dwójkę precyzyjnie się jednocześnie przez szczelinę wprost w objęcia gęsto ją zarastających krzewów forsycji.

Lynn, podążając z werwą za nimi, w parę sekund później dotarła do wyjścia i wyjrzała na zewnątrz. Cienisty leśny gąszcz nie chronił przywykłych do ciemności oczu przed jaskrawym światłem dnia. Oślepiąca jasność słońca początkowo nie widziała nic. Łagodny, ciepły wietrzyk delikatnie całował jej twarz, balsamiczny aromat sosen i słodkie zapachy letnich kwiatów pieściły powonienie, oczyszczając je ze wspomnień o zgniłych wyziewach wnętrza ziemi. Pomimo uroczego ciepłego popołudnia Lynn drżała przy każdym najlżejszym powiewie, przemoczona i przemarznięta do szpiku kości.

Jess pomógł jej się podnieść. Znowu, tak jak w kopalni, oparła się o niego, a on objął ją w pół gestem tak serdecznym, że rozplynęło się w niej serce. Ciało, niestety, oparło się wzruszeniom i pozostało nieczułe, zmęczone i zmarznięte.

Jess, pozbawiony koszuli i w związku z tym półnagi, z całą pewnością marzył także, znosił to jednak lepiej niż Lynn, gdyż skórę miał od niej znacznie mniej wrażliwą.

- Widzę teraz wyraźnie, iż wolą Jahwe było, abym dołączył do waszych szeregów - stwierdził łaskawie Louis.

Wzrok Lynn powędrował ku niemu: nieszczęśnik leżał na trawie, opierając się plecami o powalony pień. W świetle dnia i w tak zwyczajnej pozie w niczym nie przypominał obłąkanego zabójcy i wyglądał zupełnie przeciętnie, wręcz żałośnie.

Bosy i chudy niczym szkielet, budził litość swą mizerną postacią. Jego przerzedzone ciemne włosy kleiły się do czaszki, pozbawione okularów oczy

wodziły kaprawym, bezbronnym spojrzeniem królika, twarz razila kredową bielą, a podarte ubranie odsłaniało tu i ówdzie trupioblade skrawki ciała.

- To on was zesłał, abyście zaprowadzili mnie do Baranka - dodał, spoglądając na Jessa, który choć także blady i zmęczony przedstawiał zgoła odmienny widok. Bez koszuli, w zmiętych i podartych dżinsach, pokiereszowany i brudny kowboj nadal zachwycał swą modelową urodą. Dzięki szerokim barom, masywnej klatce piersiowej i wąskim biodrom mógł służyć jako przykład wspaniałych proporcji budowy męskiego ciała i okazu zdrowia równocześnie, jeśli, oczywiście, nie brać pod uwagę rany, która szpeciła jego lewe ramię, swym wyglądem przyprawiając Lynn o skurcze serca. Poszarpane kawałki czarnego, spieczonego ciała i ogniście zaczerwieniona opuchlizna otaczały otwór po kuli o średnicy dziesięciocentowej monety, Ta rana wymagała natychmiastowej interwencji lekarskiej gdyż, kto wie, czy aby nie wdała się w nią już infekcja. A w każdym razie na pewno bolała potwornie.

- Hm, cóż, niezbadane są ścieżki, którymi chadza Jahwe - odparł Jess sucho.

- To prawda, to prawda - przyznał Louis z namaszczeniem. Za jego plecami kowboj wzniósł oczy do nieba. W innych okolicznościach Lynn nie omieszkałaby parsknąć śmiechem na ten widok, teraz jednak uczucie przejmującego zimna i dławiący gardło strach paraliżowały jej poczucie humoru.

- Która godzina? - zapytała, próbując stanąć o własnych siłach. Szumiało jej w głowie, męczyły ją mdłości, lecz czuła się w obowiązku iść dalej, wbrew paskudnemu samopoczuciu.

- Trzecia trzydzieści...jeden dla ścisłości - odpowiedział Louis, spoglądając na zegarek.

A więc jeszcze przez siedemnaście i pół godziny mogą cieszyć się życiem.

Lynn i Jess wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Idziemy! - rzucił krótko kowboj, zbierając się do drogi.

- Ale ja muszę najpierw odnaleźć Rory - zaprotestowała Lynn. - A poza tym uważam, że powinniśmy opracować plan dalszych działań - wysnęło jej się mimo woli.

Skonfundowana, zerknęła na Jessa, na wszelki wypadek gromiąc go wzrokiem.

Żadnych uwag! - zdawały się mówić jej oczy.

Ani przez myśl mu nie przeszło, by żartować sobie z niej teraz.

- Chcesz planu? - odezwał się ponuro. - Proszę bardzo, oto on: popędzimy z całych sił do najbliższego telefonu, aby jak najszybciej zawiadomić policję, ATF, FBI, a nawet i Biały Dom, jeśli okaże się to konieczne, że pewien szaleniiec poczynił poważne kroki, mające na celu wysadzenie w powietrze całego kraju jutro o dziewiątej rano. Następnie zdamy się na ich doświadczenie, które nie pozwoli, aby do tego doszło.

Zastanawiała się przez chwilę.

- A jak daleko stąd znajduje się najbliższy aparat telefoniczny?

- Musimy pokonać około siedemdziesięciu pięciu kilometrów - odparł niewzruszonym tonem.

- Ależ nie zdążymy dotrzeć tak daleko w tak krótkim czasie! - przeraziła się Lynn. - Czy nie byłoby rozsądniej spróbować odnaleźć Owena i resztę grupy? Oni przynajmniej mają konie.

- Prędzej czy później Owen sam zacznie nas szukać. Obawiam się jednak, że nastąpi to nie wcześniej niż jutro rano, ponieważ naszą dzisiejszą nieobecność łatwo wytłumaczy sobie tym, że Tim odwiózł nas wprost do lekarza do miasta lub na ranczo. Oczywiście, moglibyśmy iść im na spotkanie, ale przypuszczam, że obozują teraz w odległości około pięćdziesięciu kilometrów stąd i to w górach. Stracilibyśmy całe siedemnaście godzin na żmudne przedzieranie się do nich, a nie wiadomo, czy w ogóle byśmy ich znaleźli - moglibyśmy się na przykład rozminąć.

- A dżip nie był wyposażony w telefon komórkowy lub krótkofalówkę? - zapytała głucho, pamiętając o innych niespodziankach, które na pewno można by znaleźć w aucie.

-Nie.

- Cóż więc proponujesz? - rzuciła ostro, wyprowadzona z równowagi niewybaczalną niefrasobliwością firmy Adventure Inc., która nie zadała sobie trudu, by zatroszczyć się o zapewnienie sobie łączności ze światem w nagłych wypadkach.

- Pójdziemy pieszo - oświadczył Jess. - Oto mój plan. Jedyny, jaki przychodzi mi do głowy. Tylko tyle. Jeśli chcesz, możesz tu zostać i obmyślać inne warianty, ale ja nieodwołalnie ruszam w drogę. Jeżeli szczęście nam dopisze, może ktoś nas kawałek podwiezie.

- Muszę odnaleźć Rory - upierała się Lynn. - Bez niej nie idę.

- Jeżeli nie powstrzymamy Baranka, twoja córka zamieni się wkrótce w siekany kotlecik - zdenerwował się kowboj. - Poza tym, o ile sobie przypominam, kazałaś jej sprowadzić pomoc, to też śmiem przypuszczać, że w tej chwili maszeruje tą właśnie drogą, chyba, że brak jej oleju w głowie i wybrała inne, bardziej ekstrawaganckie rozwiązanie. Pospieszmy się, a dogonimy ją za chwilę. No już, chodź. Louis, wstawaj.

- Niepotrzebnie się żołądkujecie, bo Jahwe wybawi nas z kłopotów - podsumował z przekonaniem chudzielec, gramoląc się niezgrabnie.

Jess ruszył rączy przed siebie, lecz powstrzymała go, niczym postronek, taśma z gazy, o której istnieniu zapomniał. Zatrzymał się, więc, próbując ją rozerwać.

- Poczekaj - wtrąciła się Lyim, widząc, że kowboj nie może poradzić sobie z mokrą i skręconą gazą. Podeszła do niego, zamierzając rozsuptać węzeł u szlufki jego spodni. Ledwie wzięła się do dzieła, Jess stracił cierpliwość.

- Do licha z tym - sapnął i włożywszy palec w szlufkę, urwał ją mocnym szarpnięciem, po czym wręczył wszystko Lynn.

- Moje gratulacje - powiedziała z uznaniem.

Nie chcąc tracić więcej czasu na szamotanie się z gazą, zamiast próbować uwolnić się od niej, opasała się nią jak szarfą, zawiązując końce na supeł.

- Chodźmy - naglił Jess. - Louis, co ty wyrabiasz?

Tamten stał obok bez ruchu ze złożonymi rękami, pochyloną głową i zamkniętymi

oczami. Lynn nie miała wątpliwości, co takiego wyrabia, ale się nie odezwała.

- Modłę się do Jahwe o pomoc, jeśli taka jego wola - wyjaśnił z godnością zagadnięty. - W szczególności zaś c środek transportu.

- Chodźcie, wy tam oboje - uciał Jess ze zniecierpliwieniem. - Jahwe musi poczekać z cudami, aż znajdziemy się na szlaku.

Wyruszywszy wreszcie, wkrótce dotarli do drogi. Zdażyli ujść nią spory kawałek, gdy wtem uszy ich poraził nad wyraz dziwny odgłos, sprawiając, że cała trójka zatrzymała się jak wryta.

37

Co to takiego? - zapytała Lynn niepewnie, wpatrując się z napięciem w twarz Jessa. Z jej wyrazu wywnioskowała, że w każdym razie ów piłujący dźwięk nie został wydany przez niedźwiedzia, gdyż ryk grizzly kowboj rozpoznałby na pewno.

- Nie mam pojęcia - odparł zaskoczony, podejrzliwie przyglądając się spowitej pnączami ścianie lasu, zza której dochodził ów tajemniczy głos.

Przenikliwy, świdrujący w uszach dźwięk rozległ się ponownie, rozdzierając powietrze długim i żalonym zawodzeniem.

Niewidzialny intruz - zwierz albo człek - czał się w cieniu zasłony z liści o dobre dwadzieścia metrów przed nimi.

- Jeleń? - zgadywała Lynn.

- Nie mamy teraz na to czasu - pierwszy ocknął się Jess.

Klepnął w plecy Louisa, dając znak do wznowienia marszu. Ruszyli z wolna, ostrożnie popatrując w stronę, z której niosły się chrapliwe odgłosy i, dziwnym trafem, jak na komendę przeszli na lewą stronę drogi, bardziej odległą od ich źródła. Louis otwierał pochód, tak że wędrujący ramię w ramię Lynn i Jess mogli mieć go na oku.

- Te dźwięki to nic innego jak odpowiedź na twoje krzyki. Wrzeszczałaś tak, że słyhać cię było w samym Salt Lake City - stwierdził ironicznie Jess, zwracając się do Lynn.

- Chcę odnaleźć Rory - najeżyła się znowu. - Dlatego będę krzyczeć głośno tak długo, dopóki mnie nie usłyszysz. Nie opuszczę tej okolicy bez niej.

- Tłumaczyłem ci już przecież, że podążamy...- zaczął Jess tylko po to, by urwać w pół zdania, gdyż przeszkodził mu kolejny, podnoszący włosy na głowie, urywany jak w ataku czkawki dźwięk.

Kurtyna z liści zakołysała się, zwiastując nieuchronnie, że przerażający stwór zamierza właśnie wypełznąć ze swego schronienia i zastąpić drogę trójce wędrowców.

Lynn przywarła do ramienia Jessa i znieruchomiawszy, z zapartym tchem obserwowała zarośla. Kowboj zatrzymał się także; podobnie Louis, który na dodatek posapywał głośno z emocji.

Wtem zza zielonej zasłony wychynął łeb - wielki, brązowy i kudłaty. Duże, ciemne ślepia wpiły się w oniemiałą grupkę, zadrgały długie jak u królika uszy, wielka paszcza rozwarła się, ukazując różowy jęzor i dwa rzędy żółtych zębów.

- I-ooo, i-aaa, i-ooo! - rozległ się donośny ryk.

-To osioł! - zawołała Lynn z ulgą, a dostrzegłszy na łbie zwierzęcia uzdę, dodała radośnie: - Domowy osioł.

- Co za szczęście, że nie dziki - odezwał się Jess z kamienną twarzą. Przeszyła go morderczym spojrzeniem.

- Ciekawe, skąd wziął się tu taki osioł? - zastanowiła się głośno, po czym wpadłszy na pomysł, że być może zwierzę przybyło tu wraz ze swym właścicielem, obieżyświatem dysponującym telefonem komórkowym, zaczęła nawoływać: - Halo, jest tam kto? Halo!

- Byłbym wdzięczny, gdybyś przestała wrzeszczeć mi wprost do ucha. - Uwolniwszy się z uścisku Lynn, kowboj ruszył ku kłapouchemu przybyszowi, a ona bez namysłu podeszła również. Osiołek wyglądał niewinnie, a przy tym był nieduży, toteż nie bała się go wcale. - To oślica zaprzęgnięta do wozu - oznajmił, rozgarnawszy pnącza i spojrzawszy za nie z uwagą. - Utknęła tutaj. Jest sama.

- Biedactwo - Lynn z czułością poklepała szyję zwierzęcia, słysząc w nagrodę ryk wdzięczności tak przeraźliwy, że aż odskoczyła w popłochu.

- Musiała się zgubić podczas przewożenia zapasów. - Jess buszował już w najlepsze za liściastą kotarą. - W wozie jest pełno pyszności. Ktoś życzy sobie jabłuszko?

Zza zasłony wysunęła się ręka dzierzająca dorodny owoc. Lynn poczuła napływającą do ust ślinkę, ale nie zdążyła nawet wyciągnąć dłoni, gdy oślica z głośnym chrupnięciem zatopiła żółte zębiska w smakowitym owocu.

- O, nie - jęknęła Lynn.

Połowa jabłka wysmyknęła się z pyska kłapoucha i upadła na ziemię. Lynn powędrowała głodnym wzrokiem za owocem.

- Auuu! - zawył Jess w tym samym momencie, cofając gwałtownie rękę. Zza zielonej zasłony dobiegły straszliwe przekleństwa. Lynn domyśliła się, że kudłate zwierzę oprócz jabłka nad gryzło też dłoń kowboja.

- Przebrzydłe oślisko - warknęła ze złością, schylając się po resztki owocu. W innych okolicznościach nie spojrzalaby nawet na szczątki, które wypadły z pyska oślicy, teraz jednak nie zamierzała grymasić i podniosła uwalaną ziemią połówkę owocu.

Zamknawszy oczy, z lubością wdychała jego apetyczny aromat, uświadamiając sobie przy tym, że dręczy ją nie tylko ziać, zmęczenie, strach oraz troska o los jedyne dziecko - ale i wściekły głód na dodatek.

- Nie jedz tego! - powstrzymał ją Jess, dostrzegłszy przez liściastą zasłonę, na co się zanoszą.

Odebrawszy ogryzione jabłko Lynn, podsunął je na wyciągniętej dłoni pod nos oślicy, która w mig schrupała całe ze smakiem.

- A ja? - Lynn poczerwieniała z oburzenia.

- Wystarczy i dla ciebie - jest ich tu pełen worek.

Z tymi słowami wręczył jej następne jabłko o lśniacej, czerwonej skórce. Lynn łapczywie zatopiła w nim zęby. Soczysty, kruchy owoc, słodkawo-winny w smaku z pewnością zasługiwał na to, by się nim delektować, uznała ponieważ,

połknąwszy go w jednej chwili.

- Nie brakuje i wody. - Przez zieloną kurtynę wysunęła się plastikowa butelka. - Znalazłem tu także zapasik ziemniaków, mleko w proszku, mąkę i słoninę oraz cukier i kakao.

- Mnie też chce się jeść - upomniał się Louis płacząc.

Jess podał mu jabłko i butelkę wody, co stojąca obok nich oślica skwitowała przeciągłym rykiem.

- Cicho bądź! - ofuknęła Lynn bestię, piorunując ją wzrokiem.

W odpowiedzi zwierzę ryknęło jeszcze głośniejszym głosem, nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości, że w ten sposób dopomina się o następny kąsek.

- No dobrze, mała, dość już tego - przemówił do kłapoucha Jess, wysuwając rękę zza ściany pnączy.

Złapawszy za uzdę, wciągnął na powrót łeb zwierzęcia za zasłonę z liści i po chwili wyprowadził oślicę wraz z wozem na drogę.

Osiółek był niewielki - grzbietem sięgał Lynn zaledwie do pasa. Rzemienne lejce przytroczone do uzdy Jess oplótł sobie wokół dłoni. Toczący się za zwierzęciem sfatygowany trójkołowy wózek został wykonany ręcznie, podobnie jak sosnowe dyszle i skórzana uprząż kłapoucha. Drewnianą skrzynię pojazdu zamykało wieko na zawiasach, obecnie uchylone, które odsłaniało oczom wędrowców upchnięte w środku wiktuały.

- A nie mówiłem, że Jahwe nas zaopatrzy - odezwał się z dumą Louis.

Jess i Lynn posłali mu zdezorientowane spojrzenia.

- W transport - dodał rozradowany uczeń wielebnego Boba, pochwycając ich wzrok.

- Chyba żartujesz - zachnął się Jess. Pociągnąwszy łyk wody, połknął błyskawicznie swoje jabłko i podsunął ogryzek tylko na to czekającej oślicy. -

Po pierwsze, jesteśmy w stanie wędrować znacznie szybciej niż ona, a po drugie, i tak nie zmieścilibyśmy się w trójkę na tym wózku.

- Przecież moglibyśmy zmieniać się co pewien czas - wtrąciła nieśmiało Lynn, wprost oczarowana wizją wędrowki nie o własnych siłach. - Dzięki temu nie musielibyśmy zatrzymywać się na odpoczynek.

- Czemu nie? - zgodził się Jess z rezygnacją. Zanurzony dłoń pod pokrywę wozu, wyciągnął kolejne jabłko. - Lynn?

- Chętnie.

Idąc za przykładem kowboja, Lynn, schrupawszy soczysty owoc, podała ogryzek oślicy. Zwierzę przyjęło go z zadziwiającą delikatnością.

- Pora ruszać w drogę. Lynn, usiądziesz pierwsza?

Zerknęła nieufnie na kłapoucha. Jazda na koniu dostarczyła jej już wystarczająco dużo przykrych wrażeń, a ta mała bestia o pozornie niewinnym wyglądzie wydawała się wyjątkowo przebiegła. Co prawda, nie dosiędzie oślicy, tylko zajmie miejsce na wózku, a lejce będzie trzymać Jess, lecz mimo wszystko...

Wahała się długo, w końcu jednak wycieńczenie wzięło górę nad niechęcią.

- 1 pomyśleć, że leżałabym teraz brzuchem do góry na pięknym jachcie, gdybym tylko w swoim czasie podjęła właściwą decyzję - mruzczała gniewnie pod nosem,

starając się odpędzić nękające ją obawy.

Wcisnęła pustą butelkę po wodzie do skrzyni (nawet w obliczu bliskiej zagłady ziemskiego globu rozrzucanie śmieci nadał uważała za wysoce naganne) i wgramoliła się na wóz. Nic nie mogło jej już teraz powstrzymać - perspektywa odpoczynku była zbyt nęcąca. Choć Lynn zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie może zakrawać na samolubstwo, z powodu kompletnego wyczerpania nie potrafiła odmówić sobie tej małej przyjemności.

O, jak bosko było przycupnąć na siedzisku, choćby twardym i chybotliwym.

Jess uśmiechnął się do niej, ripostując złośliwie:

- Ale pomyśl tylko, ile byś straciła.

W oczach kowboja tańczyły błękitne diabliki. Nie, za żadne skarby świata nie zamieniłaby tych wakacji na inne... Trzeba tylko sprawić, by nie skończyły się gwałtowną zagładą jutro o dziewiątej.

- Uwaga - wyrwał ją z zamyślenia kowboj, szarpiąc lejce. - Jedziemy.

Lynn rozłożyła ręce, przytrzymując się mocno boków wozu. Pojazd drgnął i zakolysał się do tyłu, a potem w przód; pod koła mi zazgrzytał żwir. Ruszyli. Bryczka miała trzy koła: jedno małe z przodu i dwa większe z boków, które wyglądały, jakby pochodziły z dziecięcego rowerka. Na drewnianej skrzynce skapego miejsca wystarczało z trudem dla jednej osoby. Lynn siedziała sztywno ze skrzyżowanymi nogami, podskakując na każdym kamieniu i zawzięcie broniąc się przed upadkiem.

Podróż ta nie miała nic wspólnego z wygodą.

Ponieważ obie ręce miała zajęte, oczywiście natychmiast jak na komendę zleciała się chmara dokuczliwych owadów, które z bzyčeniem krążyły wokół jej głowy. Z narażeniem życia Lynn zamachała dłonią, aby je odgonić, ale dostrzegłszy znikomość swoich wysiłków, dała spokój, pozwalając małym intruzom atakować bez przeszkód. Kiedy w końcu zniknęły sprzed jej oczu, uznała, że najprawdopodobniej porzuciły ją w końcu, napiwszy się przedtem do syta.

Pozostawione na pamiątkę śwędzące bąble postanowiła doliczyć do nękających ją plag.

- Rory! - wykrzyknęła bez zastanowienia, na wypadek, gdyby dziewczynka znajdowała się gdzieś w pobliżu.

Przestraszony osiołek spłoszył się; przed nieopanowaną ucieczką powstrzymała go jednak mocna dłoń Jessa, który w porę ściągnął lejce. Poklepując niespokojnego kłapoucha po szyi, kowboj skarcił Lynn surowym spojrzeniem.

- Co ty wyprawiasz? Osły to płochliwe zwierzęta. Nie wolno ich denerwować w ten sposób. Masz szczęście, że nie poniósł.

- Mówiłam ci przecież, że muszę znaleźć Rory.

- A ja ci tłumaczyłem, że ona prawdopodobnie wędruje tą właśnie drogą, tylko przed nami, ponieważ wyruszyła z dwugodzinnym wyprzedzeniem. Dogonimy ją, a jeśli nawet nam się to nie uda, i tak nie możemy tracić czasu na poszukiwania.

Musimy pędzić, co tchu do najbliższego telefonu, nie oglądając się na Rory.

Jeżeli pozwolimy wielebnemu Bobowi zrealizować swój plan, sprawa odnalezienia

twojej córki przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Wiem.

Pojmowała to dobrze, niemniej myśl o pozostawieniu dziewczynki samej w tej głuszy wydawała się nieznośna.

- Rozumiem twoje rozterki, dlatego obiecuję, że jeśli nie natkniemy się na nią po drodze, to natychmiast po dotarciu do miasta wyślemy ludzi, którzy ją odnajdą i sprowadzą do nas. To najrozsądniejsze, co możemy uczynić w tej sytuacji - Jess przemawiał do Lynn jak do dziecka.

- Wiem. - Nie mogła odmówić mu racji.

Ponieważ oprócz Louisa reszta niegrzecznych chłopców spała na wieki w kopalni, w tych stronach Rory nie groziło żadne niebezpieczeństwo, co najwyżej niespodziewane spotkanie oko w oko z grizzly. Przetrzęsanie zaś okolicznych ostępów to daremny trud - i tak nie zdołaliby przeczesać tak rozległego terenu.

Nie było zresztą takiej potrzeby, wszak wedle wszelkich przesłanek dziewczynka podążała teraz tą samą szutrową drugą parę kilometrów w przedzie.

Instynkt jednak tłumił wyjaśnienie dyktowane przez zdrowy rozsądek, domagając się natychmiastowego odzyskania córki.

Co prawda, gdyby dziewczynka jakimś cudem naprawdę się odnalazła, może nie byłoby to wcale takie najlepsze dla niej rozwiązanie, zakładając, że doszłoby do jutrzejszej katastrofy. Z dwójga złego pustkowie górnictwa Uinta stanowiły lepsze schronienie na wypadek wybuchu bomb niż jakiegokolwiek inne miejsce w całych Stanach Zjednoczonych.

Chociaż może i lepiej zginąć w takiej hekatombie niż przeżyć i być świadkiem jej skutków.

- Która godzina? - zapytała Lynn. Poruszali się w żółwym tempie i wątpiła, czy zdołali pokonać więcej niż pięć kilometrów od miejsca, w którym znaleźli osiołka.

- Czwartą czterdzieści pięć - odrzekł Louis.

Zostało im jeszcze szesnaście godzin. I siedemdziesiąt kilometrów do przejścia.

- Nie zdążymy - stwierdziła żałośnie.

- Zdążymy, jeśli Jahwe tak zechce - oznajmił chudzielec. - Trzeba w to wierzyć.

Jess rzucił Lynn szybkie spojrzenie.

- Trzymaj się mocno - zakomenderował, poganiając osiołka.

Bryczka wystrzeliła do przodu, a biedne zwierzę, zmuszone do truchtu, protestowało, strzygąc uszami i zajadle wymachując ogonem. Kilka razy spadło nawet na twarz Lynn. Zniosła dzielnie zarówno tę chłostę, jak i zdolne wytrząść duszę podrygiwania wózka, aż wreszcie, wyczerpana tą próbą, zawołała na Jessa, aby zatrzymał pojazd.

- O co znowu chodzi? - zniecierpliwził się kowboj, hamując jednak posłusznie.

- Twoja kolej na odpoczynek - wyjaśniła, schodząc z wózka. - Ja będę powozić.

- Nie ma mowy - zaprotestował Jess. - Nie masz pojęcia ani o powożeniu, ani o osłach. Poza tym musiałybyś biec.

- Słuchaj no, zarozumiałcu - przerwała mu gniewnie. - Nie widzę powodu, dla

którego nie miałabym biec - zdążyłam już odpocząć, a poza tym nie jestem ranna. Jeśli zaś chodzi o tego głupiego zwierzaka, poradzę sobie na pewno nie gorzej niż ty - cóż może być trudnego w poganianiu oślicy? Ustaliliśmy ponadto, że dla zachowania dobrego tempa powinniśmy na zmianę prowadzić i odpoczywać, prawda? Teraz twoja kolej na małą przejażdżkę.

- Ja chętnie pojedę - oświadczył Louis z nadzieją w głosie.

- Proszę bardzo, prowadź sobie, skoro tak się upierasz, tylko nie wrzeszcz już więcej.

Spojrzawszy na Lynn spode łba, Jess wręczył jej lejce, po czym usadowił się na wózku. Oboje, za niemyim porozumieniem, zlekceważyli kompletnie propozycję chudzielca, wyznaczyszy mu jednomyślnie rolę postępującego za bryczką marudera. Przewidując taki wyrok, uczeń wielebnego Boba nawet nie próbował upominać się o swoje prawa.

Lynn ścisnęła wodze.

- Trzymaj się mocno - powtórzyła komendę Jessa, oglądając się za siebie.

Mimo powagi sytuacji nie mogła powstrzymać śmiechu na widok półnagiego, potężnie zbudowanego mężczyzny, który siedział po turecku na mizernym wózku. Rozczochrane włosy spływały mu na ramiona, jedną ręką kurczowo przytrzymał się bryczki, druga - ta zraniona - spoczywała bezwładnie na kolanach.

Uśmiech Lynn zamarł nagle.

Fakt, że Jess oszczędza lewą rękę, mógł oznaczać tylko jedno - że znowu go rozboleła. Najwidoczniej ulga, którą przyniosła mu w swoim czasie zimna woda, nie trwała długo. Całe szczęście, że rana nie krwawi.

- Uwaga!

Ślubując w duchu zachować wszelką ostrożność, by nie narazić kowboja na zbytne niewygody, pociągnęła energicznie za lejce. Ruszyli.

Zdarzało jej się czasem w przeszłości uprawiać jogging, ale nigdy nie robiła tego w podartych skarpetach na żwirze. Krzywiąc się boleśnie, przeniosła się na wąski pasek zieleni na poboczu, starając się omijać czające się w trawie kamyki i jednocześnie zachować równy krok.

Zachęcanie do biegu opornego kłapoucha me należało do najłatwiejszych zadań.

Lynn ciągnęła go za lejce z całej siły, czując się jak holownik wlokący za sobą barkę. Po kilku minutach zmagania z nieposłuszną oślicą zadyszała się jak parowóz.

Zamykający pochód Louis, w niczym nieprzypominający biegacza z prawdziwego zdarzenia, sapał i rzęził, złorzeczając pod nosem. Jess tym czasem w skupieniu starał się opierać dzikim wybrykom podskakującego na wybojach pojazdu.

Coraz dłuższe cienie padające na drogę wciąż na nowo uzmysławiały Lynn nieubłagany upływ czasu.

- Szybciej, mała!

Z trudem łapiąc dech, wyteżyła wszystkie siły, starając się przeciwstawić zamiarom osła, który przedkładając spacer nad trucht, najwyraźniej zwalniał. To nie żadna gimnastyka, tylko znój godny skazańca, podsumowała udręczona Lynn.

Ti-tiiit! - zawył zniecka tuż za ich plecami klakson samochodu. Lynn,

podskoczywszy z przestachu, odwróciła się, by ku niewysłowionej radości ujrzeć rozklekotaną ciężarówkę, hamującą z piskiem opon parę kroków od wędrowców. Zmotoryzowany pojazd, rozanieliła się, nareszcie.

Niestety, oślica nie podzieliła jej entuzjazmu dla niespodziewanego pojawienia się hałaśliwej maszyny. Przerażona głośnym rykiem klaksonu, runęła na oślep przed siebie, przewracając zachwyconą Lynn i wrywając jej z rąk lejce. Rozciągnięta jak długa na trawie ujrzała ku swemu przerażeniu, że spłoszone zwierzę mknie jak rakietą w dół drogi, uwożąc bryczkę i siedzącego na niej kowboja.

- Prrr! - daremnie wołał Jess, przywarłszy do spazmatycznie trzęsącego się na wybojach wózka niczym jeździec na rodeo do szalejącego, nieujeżdżonego konia. - Prrr!

- Niech Jahwe ma go w swej opiece - wymamrotał nabożnie Louis.

- Jess

Podniósłszy się na nogi, Lynn pognała za oddalającym się wózkiem. Biegła ile tchu w piersiach aż ujrzała o zgrozo, że rozpędzony pojazd huknąwszy z wielką siłą w przydrożny głąz, wystrzelił jak z procy w powietrze i runął z impetem prosto w przydrożne krzaki.

38

Pośpieszywszy na miejsce wypadku, Lynn odnalazła kowboja rozciągniętego wśród gałęzi okazałego krzewu kaliny i klnącego jak szewc. Wywrócony do góry nogami wózek leżał nieopodal w rowie; jego kółka wciąż kręciły się jak na zwolnionym filmie, porwana uprząż dyndała smętnie. Wokół krzewu poniewierały się rozrzucone wiktuały. Tylko po oślicy nie pozostał żaden ślad.

Prawdę mówiąc, potok soczystych przekleństw poraził uszy Lynn, zanim jeszcze zdążyła dostrzec Jessa w jego liściastym gniazdku, co stanowiło niezbity dowód na to, że kowboj żyje.

- Nic ci się nie stało? - zapytała i podeszła bliżej, starając się zapanować nad mimowolnym drganiem ust.

- To prawdziwy cud, że nie połamałem wszystkich kości - warknął, upewniając ją w ten miły sposób, że jest zdrow i cały. - Mówiłem ci, żebyś mocno trzymała lejce.

- Staralam się, kowboju - odparła z powagą, po czym nie mogąc już dłużej powstrzymać śmiechu, parsknęła głośno.

Sporunował ją wzrokiem i gniewnie pomrukując, zaczął gramolić się niezgrabnie z zielonej kołyski, strącając przy okazji kilka paczek z żywnością, które utknęły wśród gałęzi niczym ozdoby choinkowe. Lynn zachichotała znowu.

- Czy to ciężarówka nas dogoniła? - dopytywał się Jess, z grymasem bólu na twarzy dotykając zranionej ręki.

W całym tym zamieszaniu Lynn zupełnie zapomniała o ciężarówce!

- Tak - potwierdziła z zapalem, oglądając się za siebie.

Pojazdu nie było widać, gdyż zniknął za zakrętem, ale w tej właśnie chwili, gdy Lynn szukała go wzrokiem, w polu jej widzenia pojawił się niespodziewanie Louis i machając gwałtownie rękami, biegł pędem w ich stronę. Krzyczał coś przy tym

wniebogłosy, lecz odległość uniemożliwiła wychwycenie słów.

Za nim podążała truchtem energiczna młoda kobieta w jasnej koszuli nocnej, wygrażając uniesionym nad głową kijem solidnych rozmiarów.

- Theresa! - Zdziwiona Lynn rozpoznała dziewczynę, która zamachnąwszy się właśnie potężną bronią na swą ofiarę, chybiła zaledwie o włos.

Chudzielec skoczył do przodu jak oparzony, wprawiając Lynn w szczerzy podziw swym imponującym przyśpieszeniem.

- Hola! A dokąd to? - zagrzmiął Jess, zastępując drogę kłusującemu ręczo wyznawcy Jahwe. - Zatrzymaj się!

- Puść mnie! - zapiszczał cienko prześladowany, kiedy kowboj go schwycił.

- Morderca! Morderca! - Theresa przypadła do nich w sekundę później i zaczęła okładać Louisa pałką, nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty Jessa.

Chudzielec, kuląc ramiona, próbował chronić się przed razami, osłaniając głowę.

- Pomocy! Ratunku! - Z tym okrzykiem zwolennik wielebnego Boba dał w końcu nura za plecy Jessa, kryjąc się przed swą prześladowczynią.

Kowboj puścił go, gdyż posługując się tylko jedną ręką, nie mógł jednocześnie i przytrzymać uciekiniera, i obezwładnić Theresę.

- Auuu! Do diaska! - Przyjąwszy na siebie cios przeznaczony dla Louisa, wyrwał napastnicze kij szybkim ruchem dłoni.

- On zabił moją rodzinę! To morderca! - Pozbawiona swej broni Theresa, złorzecząc i lamentując, z pasją zaczęła okładać Louisa pięściami, kopać go i targać za włosy. Wyglądała przy tym jak uosobienie furii, wylewając strugi łez i równocześnie ciskając z oczu błyskawice. - Zabił moją rodzinę!

- Dość już, Thereso! Przestań!

Z sercem przepełnionym współczuciem Lynn pociągnęła ją za ramię, próbując powstrzymać zacietrzewioną napastniczkę. Theresa odwróciła się ku niej ze wzniesioną pięścią, spoglądając nie przytomnie. Lynn, zważywszy się w sobie, oczekiwała na cios - dziewczyna, choć wiotka, przewyższała ją o kilkanaście centymetrów wzrostem, a do tego działała w gniewie. Uderzenie jednak nie nastąpiło, wzniesiona pięść powoli opadła.

- To jeden z zabójców mojej rodziny - powtórzyła żałośnie, patrząc prosto w oczy Lynn.

Wyczerpana atakiem złości, osunęła się na kolana i ukrywając twarz w dłoniach, zaniosła się spazmatycznym szlochem.

- Już dobrze - szepnęła łagodnie Lynn, pochyliwszy się nad biedaczką, i objęła ją ramieniem. Poruszona do żywego nieszczęściem dziewczyny, sama także poczuła piekące łzy pod powiekami. Biedne dziecko, ileż ona musiała wycierpieć. - Cicho, cicho, już dobrze.

- Dlaczego? - Theresa, kompletnie ignorując uspokajające słowa Lynn, wybuchnęła gwałtowną skargą. - Dlaczego to zrobiliście? Moja matka nigdy nikogo nie skrzywdziła! Ani moje siostrzyczki i bracia, ani nikt inny z całej rodziny!

Czemu nie zostawiliście nas w spokoju? Dlaczego ich zabiliście?

Przytrzymywany żelaznym uściskiem kowboja, Louis skulił się pod nieprzejednanym

spojrzeniem młodej kobiety.

- Ponieważ Michael Stewart, zajmujący zawsze miejsce po prawicy Baranka, zdradził nas. Pod osłoną nocy uciekł jak szczur, zabierając rodzinę i kilku swoich sprzymierzeńców z zamiarem wydania niewiernym boskich planów Jahwe. Aby pokrzyżować mu szyki, Baranek wysłał nas ze świętą misją, mającą na celu wytropić go i zgładzić - tłumacząc to nieomal błagalnym tonem, Louis wił się jak piskorz.

- Baranek, Baranka! - Theresa prychnęła pogardliwie. - Taki sam z niego Baranek, jak z ciebie. Wiesz, do czego się posunął? Robert Talmadge próbował mnie zgwałcić. Miałam wtedy zaledwie piętnaście lat! To otworzyło oczy mojemu ojcu, dlatego od was odszedł. Nie chciał nikomu zaszkodzić, pragnął jedynie żyć w spokoju. Czemu na nas napadliście? Przeklęty morderca!

Oczy dziewczyny znowu zapłonęły. Zaciskając pięści i zgrzytając zębami, poderwała się na nogi, gdy wtem usłyszeli kwilenie niemowlęcia.

Wszyscy jak jeden mąż obejrzel się w tamtą stronę.

- Zaczął płakać - oznajmiła po prostu Rory, nadchodząc z rozszlochaniem dzieckiem w ramionach. - Nie mogę sobie z nim po radzić.

- Rory! - Kamień spadł Lynn z serca. Z rozrzwinięciem spoglądała na córkę, podczas gdy Theresa zajęła się płaczącym maleństwem.

- Rory!

- Cześć, mamó! - Dziewczynka nie tylko nie wyrywała się z jej objęć, ale nawet odwzajemniła uścisk.

- Jak się czujesz?

- Och, Rory... - Tułąc córkę, Lynn miała kłopot ze znalezieniem odpowiednich słów. - Czuję się świetnie, a ty? - wykrztusiła wreszcie.

- Ja też, chociaż na początku okropnie się bałam, że nie uda wam się uciec tym draniom. Czy to naprawdę jeden z nich? Dziewczynka miała na myśli Louisa.

- Tak - przyznała Lynn.

- Oni zabili całą rodzinę Theresy. Tylko Elias się uratował - tak ma na imię ten niemowlak.

- Wiem, to straszne.

- Moje drogie, wyjaśnicie sobie wszystko w samochodzie. Musimy jechać - przerwał im Jess.

Wciąż ściskając za ramię Louisa i nie spuszczać czujnego spojrzenia z Theresy, piastującej lamentującą niemowlę, zagnał swą małą trzódkę w stronę ciężarówki. Nagle Rory, wyrwawszy się z objęć matki, skoczyła na pobocze i podniosła coś z ziemi.

- Thereso, popatrz! Mleko w proszku! - zawołała, triumfalnie pokazując swej towarzyszce czerwono-białe pudełko. Rzuciwszy wokół okiem, odkryła coś jeszcze i pobięła w tamtą stronę. - O, i woda mineralna w butelce! Nakarmimy Eliasza!

- A skąd to się tutaj wzięło? - zdziwiła się dziewczyna, spoglądając na znalezisko Rory.

Jej głos brzmiał głucho, a oczy wciąż błyszczały od łez, lecz nie płakała już,

siłą woli stłumiwszy rozsadzające ją emocje.

- Znaleźliśmy je w wozie zaprzężonym w osiołka - wyjaśniła Lynn. - Ktoś używał go do przewożenia żywności, ale najwyraźniej samowolny kłapouch uciekł mu z całym transportem.

- Osioł był brązowej maści czy szarej? - zapytała Theresa, z niewiadomych powodów ograniczając wybór do tych dwóch barw.

- Brązowy.

- To Estera - wymówiła pieszczotliwie imię zwierzęcia. - Szara nazywa się Ruth. Oślice zapewne zbiegły ojcu; wiozł właśnie zapasy, kiedy... kiedy... - Głos uwiązł jej w gardle. Pierś Theresy zafalowała, gdy dziewczyna zmagiała się z nowym przyływem bólu.

- Niech Jahwe mi wybaczy, nigdy nie sądziłem, że nasza misja przyniesie tyle cierpienia - wyszeptał Louis, patrząc na nią w rozterce.

Theresa obróciła gwałtownie głowę i przeszyła go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Ani Bóg, nie żaden tam Jahwe ci nie przebaczy, ani ja! Będiesz przez wieczność smażyć się w piekle za swoje przewinienia, przekłety morderco!

- Wsiadajcie! - przerwał jej bezceremonialnie Jess.

Lynn, podniósłszy wzrok, ujrzała, że zbliżyli się do podniszczonej półciężarówki. Był to stary, niebieski ford z wymalowanym na biało napisem: „Superbryka”, pyszniącym się na lewym przednim zderzaku, poniżej nieco mniej dumnie połyskiwały łuszczące się, chromowane litery symbolizujące nazwę pojazdu: F-250.

Otworzywszy drzwi szoferki od strony pasażera, Jess podniósł przednie siedzenie, nakazując Louisowi:

- Ty pojedziesz z tyłu.

Uczeń wielebnego Boba posłusznie wcisnął się w najdalszy kąt. Choć niezmiennie niepozorny, tak samo kościsty i przygarbiony jak przed kwadransem, po zarzutach Theresy przeobraził się w oczach Lynn nie do poznania. Dotąd zaledwie nieszkodliwy wariat, który dybał, acz nieskutecznie, na życie Lynn, Rory i Jessa, teraz przemienił się w potwora, który brał udział w zgładzeniu rodziny Stewartów. Głęboka rozpacz dziewczyny wskrzesiła na moment wyblakłe widma ofiar tragedii na leśnej polanie.

- Wymieszałam wodę z mlekiem dla Eliasza - odezwała się Rory, podając jego siostrze plastikową butelkę. - Nie wiem tylko, czym zastąpić smoczek.

- Dziękuję. - Theresa, przytrzymując dziecko w pozycji pionowej, przyłożyła mu brzeg butelki do policzka. Małeństwo ucichło w jednej sekundzie, chciwie szukając małymi usteczkami obiecaney kolacji. Theresa ostrożnie przechyliła butelkę. - Mama niedawno nauczyła go pić z kubeczka. - Wypowiedziała te słowa z dumą, lecz w jej oczach czaił się ból.

- Wszyscy do środka - uciał Jess, zachęcając w ten sposób całe towarzystwo do zajęcia miejsc w samochodzie. Sam ruszył naokoło wozu, by usiąść za kierownicą.

- Louis, oddaj mi swój zegarek - mam już dość nieustannego wypytywania cię, która godzina.

- Prawie szósta - odpowiedział cicho chudzielec, zdejmując posłusznie zegarek i podając go kowbojowi.

Rory zamierzała właśnie wspiać się do forda, by przycupnąć z tyłu obok spokorniałego wyznawcy Jahwe, gdy wtem powstrzymała ją Lynn, mówiąc:

- Zaczekaj! - zwróciła się do Jessa: - Ja poprowadzę. Ty jesteś przecież ranny, zapomniałeś? Siądź, proszę, z Louisem.

- Ty poprowadzisz? - powtórzył kowboj, przeciągając sylaby w ostatnim słowie.

Zamarł z ręką na klamce szoferki, spoglądając na Lynn spod oka. Zarówno jego ton, jak i spojrzenie były aż nadto wymowne. Lynn ze złością zmrużyła oczy.

- Masz tylko jedną rękę sprawną, a poza tym powinienes pilnować Louisa - wycedziła. - Poradzę sobie doskonale - dodała buńczucznie.

- To ciężarówka - zaprotestował.

Nie dokończył tej myśli, lecz wiedziała dobrze, co chce powiedzieć, że kierowanie ciężarówkami to męska sprawa.

- Wsiadaj - warknęła przez zaciśnięte zęby.

Zawahał się krótko, po czym z rezygnacją wrócił na drugą stronę szoferki, by dotrzymać towarzystwa Louisowi. Trzy kobie ty i niemowlę usadowiły się z przodu. Kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce, Louis zauważył, że właśnie minęła szósta. A więc zostało im zaledwie piętnaście godzin.

Mocno przycisnęła pedał gazu i samochód z piskiem opon skoczył do przodu.

- Jezu! - wyrwało się Jessowi, gdy pojazd pomknął na złamanie karku po wyboistej drodze. W lusterku wstecznym ujrzała szeroko otwarte oczy kowboja wlepione z napięciem w drogę.

- Gdzie znalazłyście ten wóz? - zwróciła się do dziewcząt, lekceważąc przestrach Jessa.

- Należał do mojego taty. Wiedziała, gdzie ojciec go trzyma, ale nie umiem prowadzić - wyjaśniła Theresa, ścierając mleko z podbródka Eliasza.

- Nie umiesz prowadzić? - zdziwiła się Lynn, popatrując na nią z niedowierzaniem. Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. - To kto w takim razie? ... - Nie kończąc zdania, powędrowała zbaraniałym spojrzeniem ku siedzącej obok niej córce. Ta uśmiechnęła się niepewnie.

- Zawsze lubiłam ścigać się gokartami, pamiętasz?

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Lynn, po czym zamilkła, koncentrując się na kierownicy.

No proszę, córka wykazuje talenty i odwagę, których nigdy dotąd u niej nie podejrzewała. Poczowała przypływ macierzyńskiej dumy, a wkrótce potem i dojmującego strachu.

Czy Rory zdąży wyrosnąć na kobietę, którą oczami wyobraźni Lynn ujrzała przed chwilą?

39

Prawie godzinę później ciężarówka, opuściwszy szutrową drogę, wtoczyła się na szosę stanową numer sto pięćdziesiąt i zgodnie z radą Jessa skierowała się na zachód.

Choć nadal znajdowali się wśród dzikich leśnych ostępów, a za szybami samochodu migały jedynie niebotyczne drzewa i jak okiem sięgnąć nie widać było śladu żywej duszy, ta dwupasmowa szosa o twardej nawierzchni pozwoliła im wreszcie przyśpieszyć tempo jazdy. Lynn dodała gazu, patrząc, jak w przeciągu zaledwie dwóch minut wskazówka szybkościomierza osiąga ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Czy nie za bardzo szarżujesz, mamó? - zaniepokoiła się Rory, zmuszona chwycić się obiema rękami za krawędź siedzenia, gdy samochód niczym torpeda przemknął przez zakręt, jak się zdawało, na dwóch kołach jedynie. Lynn nie od dziś знаła niezbyt pochlebną opinię własnego dziecka na temat jej umiejętności prowadzenia pojazdów.

- Śpieszymy się trochę - wyjaśnił Jess, pochylając się do przodu. Zerknąwszy w lusterko, Lynn ujrzała jego wbity w szosę wzrok.

Na mocy milczącego porozumienia ani ona, ani on nie pisnęli dotąd nawet słowa o czekającej ich jutro o dziewiątej rano katastrofie, toteż Rory tkwiła w przekonaniu, że niebezpieczeństwo zostało już zażegnane.

Choć Lynn nie chciała ponownie straszyć córki, uznała jednak za konieczne zapoznać ją z prawdą. Tak więc zwięźle przekazała dziewczętom najnowsze rewelacje.

Na moment zapadła głucha cisza.

- Czy naprawdę są zdolni do takiej podłości? - wyszeptała wreszcie Rory zbielełymi wargami.

- Nie sądziłam, że wyznaczono już datę - skrzywiła się Theresa, zanim Lynn zdążyła się odezwać. Dziewczyna z nieprzeniknionym wyrazem twarzy kołysała w ramionach uśpione niemowlę.

- Słyszałaś o bombach? - zwrócił się do niej Jess.

-Tak.

- To Michael Stewart je skonstruował! - wykrzyknął ze złością Louis. - Tylko najbliżsi uczniowie Baranka wiedzieli o tym - ciągnął ostrym tonem. - Mieli strzec tej tajemnicy niczym żrenicy oka; nikomu nie wolno było napomknąć o tajnym planie, nawet własnej rodzinie. A teraz okazuje się, że ta dziewczyna wszystko wie! Oto dowód, że Michael Stewart naprawdę był zdrajcą, to człowiek, który zawiódł zaufanie Baranka.

- Niczego nie ujawnił, dopóki nie opuścił kongregacji. Nie zdradził, po prostu ocknął się pewnego dnia i zrozumiał swój błąd. - Theresa odwróciła głowę, wbijając dwa sztylety w obrońcę wielebnego Boba. - Ojciec przejrzał matactwa Roberta Talmadgea - kłamcy i wysłannika piekieł.

- Zamknij usta, dziewczyno, zanim Jahwe nie pokarze cię za bluźnierstwa! - W głosie Louisa brzmiała wściekłość.

- Dość tego, milczcie obydwój - wtrącił Jess tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Skoro twój ojciec zaprojektował bomby, może zapoznał cię przy okazji ze szczegółami ich konstrukcji? - zwrócił się do Theresy.

- Nic nie wiem na ten temat - odparła dziewczyna, po czym zaczerpnąwszy

powietrza, dorzuciła z przekonaniem: - Mój ojciec zblądził, ale nie z własnej winy. Oszukano go, tak jak i nas wszystkich. Wierzyliśmy ślepo, że Robert Talmadge jest Barankiem Bożym, że Bóg przemówił do niego, powierzając mu swe boskie prawdy. Kiedy Talmadge oznajmił, że Jahwe wybrał go spośród innych ludzi, aby służył pomocą w spełnieniu biblijnej przepowiedni o końcu świata, ojciec przyjął jego słowa z całą pokorą. Zaufał temu przebiegłemu lisowi. Postąpił nierozważnie, ale nie był niegodziwcem!

- Cóż, wszyscy popełniamy błędy - westchnął filozoficznie Jess, podczas gdy Rory próbowała pocieszyć przyjaciółkę, gładząc ją nieśmiało po ramieniu; Louis zaś nie przestawał gniewnie mrużyć pod nosem.

Napotkawszy w lusterku spojrzenie kowboja, Lynn wyczytała w nim odbicie własnej refleksji: przebywać w jednej szoferce z dwójką zwaśnionych członków sekty - to jakby znaleźć się w jednym worku z parą rozwścieczonych kocurów.

- Skoro twój tata wiedział o planach wysadzenia połowy świata w powietrze, dlaczego nie zgłosił się z tą sprawą na policję? - zapytała rzeczowo Rory.

Celność owej uwagi sprawiła, że Lynn poczuła się dumna z córki.

- Obawiał się, że jeśli to uczyni, Wierni Uczniowie nie przestaną nam deptać po piętach. Uznał, że nigdy nie wybaczą mu publicznego wystąpienia przeciwko ich zamiarom i że zemszczą się okrutnie. - Ściszyła głos. - Odszedł, więc po cichu, licząc, że zostawią go w spokoju. Nie przewidział, że w żadnym razie nie darują mu odstępstwa. Nie przyszło mu do głowy, że chociaż nikogo nie wydał, i tak go wytropią i zgładzą z całą rodziną, niewinnego.

- Co takiego? Nazywasz zdrajcę niewinnym? Zaraz po jego ucieczce Baranek osobiście okrzyknął go Judaszem! - W zacierzeniu Louis nachylił się do przodu, rycząc nieomal wprost do ucha Lynn.

- To potwarz! - rozzłościła się Theresa, w zapamiętaniu rzucając się na zwolennika wielebnego Boba.

- Dość! - huknął Jess z taką mocą, aż Lynn podskoczyła, a rozbudzony nagle Elias zaniósł się głośnym płaczem. Uciszywszy wciąż kipiącą furia dziewczynę, kowboj dodał łagodniejszym już tonem: - Prędzej czy później sprawiedliwości stanie się zadość, Threanu, nie bój się, w tej chwili jednak Louis jest po naszej stronie. Jahwe obwieścił mu mianowicie, że Talmadge źle odczytał ze świętych wersetów datę Apokalipsy, dlatego Louis pragnie pomóc nam odnaleźć Wielebnego, aby oświecić go w tym względzie. Czy tak, Louis?

- Baranek się pomylił - wymamrotał nieszczęśliwym głosem chudzielec.

- Ten cały Baranek to żalosna pomyłka natury - skwitowała Theresa, zajęta kołysaniem niemowlęcia.

- Ty... - zaperzył się znowu wyznawca Jahwe, lecz nie skończył kwestii, gdyż Jess uciszył go gestem dłoni.

- Spokój - zarządził. - Od tej chwili nikt nie ma prawa się odezwać, jasne? Zapadła cisza.

Lynn mogła wreszcie skupić się na prowadzeniu samochodu. Szosa od dłuższego czasu wiodła w dół, najwyraźniej opuszczając wreszcie niegościnnie góry. Niebo

utraciło niedawny blask, cienie wydłużyły się znacznie. Na skraju szosy małe, puchate zwierzątko samotnie sterczało słupka, jakby wypatrując nadchodzącego zmierzchu. Dzień powoli chylił się ku końcowi.

Czyżby miał to być ostatni dzień ich życia?

Zimny dreszcz przeszedł Lynn. Zerknąwszy ukradkiem na zegarek Jessa, dojrzała wyświetlone cyfry 19.32.

Niecałe trzynaście i pół godziny do wybuchu.

Poczuła, że krople potu rosą jej czoło.

Wtem tuż za szybą mignęła stojąca na poboczu zielona tablica informacyjna.

Dopiero kiedy ją minęli, jej treść dotarła do Lynn: „Kamas 20 kilometrów”.

Kwadrans później znaleźli się w nad wyraz skromnym centrum niewielkiego miasteczka. Składały się na nie zaledwie: kościółek, stacja benzynowa, parking, supermarket, kilka zielonych trawników i parę domów na krzyż. Senne uliczki i zabudowania wyglądały na opuszczone. No jasne, o tej porze w niedzielę na prowincji w Utah wszyscy siedzą w kościele, odgadła Lynn. Spoglądając na niewielki, obłożony pomalowanymi na biało deskami kościółek zwieńczony niewysoką wieżyczką, zawahała się lekko. Nawet pomimo wyjątkowych okoliczności niechęcią napełniała ją myśl o wtargnięciu do środka i przerwaniu ceremonii nabożeństwa po to, by ukazać zgromadzonym tam ludziom wizję godną szaleńca.

- Musimy znaleźć telefon - zawyrokował tymczasem Jess. Oczywiście, telefon.

Rozejrzała się wokół, aż wzrok jej padł na supermarket. Tuż u jego wejścia pysznił się na ścianie aparat telefoniczny, obiecując wybawienie.

- Ma ktoś ćwierćdolarówkę? - zapytał Jess.

- Nie potrzeba, połączenie z numerem dziewięć-jeden-jeden jest darmowe - stwierdziła Lynn, wyskakując z szoferki. Za nią wysypali się wszyscy pozostali.

- Tu nie Chicago, kochanie - przypomniał jej kąśliwie kowboj. Obszedłszy maskę wozu, podszedł do Lynn. - W rozległym i pustynnym Utah nie wystarczy podnieść słuchawkę zdezelowanego na ogół automatu i wystukać dziewięć-jeden-jeden, by uzyskać połączenie z pogotowiem policyjnym. Tu bez ćwierćdolarówki i numeru konkretnego komisariatu nic nie zdziałasz.

Nie mając zamiaru polegać wyłącznie na opinii Jessa, Lynn pobiegła do aparatu, by osobiście przekonać się o prawdziwości słów kowboja. Miał rację: bez odpowiedniej monety aparat pozo stawał głuchy.

- A nie mówiłem? - rzucił sucho, kierując się do środka sklepu; Lynn podążyła za nim.

Przy kasie siedziała tęga, siwowłosa kobieta. Na widok Jessa w jej oczach pojawił się strach. Dopiero wówczas Lynn uświadomiła sobie, że wygląd kowboja nie może budzić zaufania. Brudny, długowłosa, półnagi, okryty jedynie podartymi w strzępy dżinsami, ukazywał gołe pięty przez dziurawe, utyłane błotem skarpety. Ponadto szpeciła go pokaźna rana na ramieniu i przypominał raczej łotrzyka spod ciemnej gwiazdy niż godnego szacunku obywatela. Sama na miejscu tej biedaczki zdrętwiałaby ze strachu, ujrzawszy takiego typu.

- Przepraszam panią, czy mógłbym skorzystać z telefonu? - przemówił do damy za

kontuarem, czarując ją jednym ze swych najbardziej ujmujących uśmiechów.

- utomat na monety znajduje się przy wejściu - odparła sprzedawczyni szorstko, marszcząc groźnie czoło.

- Wydarzył się wypadek. - Lynn postanowiła przyjść Jessowi w sukurs, mając nadzieję, że jej obecność nieco przyjaźniej usposobi pulchną sprzedawczynię. - Musimy wezwać policję. Czy moglibyśmy zadzwonić? Proszę.

- Jaki wypadek? - zapytała podejrzliwie zagadnięta, nic a nic nie topniejąc, przeciwnie - jej oblicze stężało, gdy powędrowawszy wzrokiem poza ramię Lynn, dostrzegła resztę towarzystwa:

Rory z czołem we wszystkich barwach tęczy, Theresę w podartej nocnej koszuli tulącą w ramionach płaczące niemowlę oraz truposzowatego Louisa.

- Morderstwo - wyjaśnił Jess i przygwoździwszy sprzedawczynię wrogim spojrzeniem, sięgnął po aparat telefoniczny stojący pod ladą.

Siwowłosa dama jednak, choć twarz jej przybrała barwę popiołu, nie dała za wygraną: cofnęła się o krok i błyskawicznie zanurkowała pod kontuar, by po chwili wynurzyć się z pokaźną strzelbą w dłoni wymierzoną wprost w Jessa.

- A teraz odłóż to na miejsce - wysyczała, po czym nie spuszczać oka z grupy cudacznych przybyszów, sama złapała za słuchawkę.

W kwadrans później w sklepie zaroilo się od policjantów. Jessa i Louisa z dłońmi spiętymi na plecach kajdankami wepchnięto na tył jednego samochodu, Lynn, Rory i Theresę z Eliaszem wtłoczono do drugiego. Lynn i Rory także nałożono kajdanki, tyle że z przodu. Jedynie Theresę pozostawiono wolno, aby mogła zająć się wrzeszczącym wniebogłosy niemowlakiem, z którym dzielni stróże porządku najwidoczniej woleli nie mieć do czynienia.

Z kobietami policjanci obeszli się bez zarzutu, nieco surowiej za to potraktowali, Louisa, a zwłaszcza Jessa, któremu o mały włos nie oberwało się pałką od pewnego zadzierzystego mundurowego. Lynn musiała jednak przyznać w duchu, że kowboj sam był sobie winien: walczył zajadle, kiedy usiłowano nałożyć mu kajdanki, i miotał straszne przekleństwa między kolejnymi nieudanymi próbami przedstawienia to jednemu policjantowi, to drugiemu, wizji wiszącej nad światem katastrofy. Wstawiennictwo Louisa również nie przekonało stróżów prawa.

Lynn czuła, że na ich miejscu sama najprawdopodobniej tak że uznałaby obu mężczyzn za niebezpiecznych dla otoczenia pomyleńców.

Niestety, wiedziała dobrze, że owe na pozór pozbawione sensu groźby są aż nazbyt realne.

Wiedziała także, że ani ona sama, ani Rory, ani Theresa też nic tu nie wskórają.

Policjanci pozostawali głusi na wszelkie perswazje. Usadziwszy bezpiecznie więźniów w wozach patrolowych, rozproszyli się wokół z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Lynn przyglądała im się przez szybę, jak raczą się gorącą kawą z papierowych kubków, gwarząc uprzejmie ze sprzedawczynią. Kiedy wzajemnym grzecznościom nadszedł kres, dzielna siwowłosa jejmość zniknęła na chwilę we wnętrzu swojego królestwa, aby triumfalnie wypłynąć stamtąd z butelką mleka dla Eliasza.

Jeden z policjantów wręczył mleko Theresie, po czym cały oddział wskoczył do samochodów i nie zwracając najmniejszej uwagi na powtarzane przez pasażerów brednie, z piskiem opon ruszył w stronę pobliskiego więzienia.

40

Wybiła dwudziesta trzecia. Lynn, Jess, Rory, Theresa z Eliaszem i Louis siedzieli zamknięci we wspólnej celi stanowego posterunku policji. Jess dawno już przestał kłać i przechadzał się tylko nerwowo z kąta w kąt. Od czasu do czasu przystawał przy kratkach i bezsilnie zaciskał na nich dłonie, mierząc pełnym wyrzutem spojrzenia nieugiętego oficera dyżurnego, który ze sto razy wysłuchał beznamietnie opowieści o końcu świata i z równą obojętnością traktował wciąż ponawiane groźby Jessa, domagającego się respektowania jego obywatelskich praw do rozmowy telefonicznej.

Lynn rozparła się są jednej z dwóch pozbawionych materaców pryczy, plecami dotykając zimnej, betonowej ściany. Obok niej wyciągnęła się Rory, która na wpół drzemała z głową wspartą o kolana matki. Na drugiej pryczy zwinięta w kłębek Theresa tuliła śpiącego braciszka. Louis, objąwszy głowę rękami, przycupnął w kącie.

Za dziesięć godzin eksploduje kilkanaście bomb, unicestwiając miliony istnień i obracając ten piękny kraj w perzynę.

Dokonali z Jessem cudu, wymykając się tropiącej ich bandzie morderców, uchodząc cało z zalanej kopalni, pokonując blisko sto kilometrów. Przeszli samych siebie, by ostrzec w porę ludzi przed nadciągającym niebezpieczeństwem.

I po co? Po to tylko, by nikt teraz nie chciał dać wiary ich słowom. Lynn poczuła się zmęczona i wyżęta z wszelkiej energii.

Może w innej sytuacji taki obrót sprawy wydałby się jej całkiem zabawny, ale w obecnej chwili daleko jej było do śmiechu.

Nagle na biurku oficera dyżurnego zaterkotał telefon. Policjant, choć aparat miał tuż pod ręką, pozwolił mu zadzwonić cztery razy, zanim podniósł wreszcie słuchawkę, jakby pragnąc dać do zrozumienia dobijającemu się natrętowi, iż ma do czynienia z wielce zapracowanym urzędnikiem stanowym.

W miarę rozwoju rozmowy oblicze stróża porządku powoli poseępniało. Surowy wzrok mężczyzny spoczął na Jessie, który znowu prężył się w napięciu jak struna u więziennej kraty.

- Co tam? Co takiego? - dopytywał się gorączkowo kowboj.

Nie racząc zadośćuczynić jego zainteresowaniu, policjant bez słowa odłożył słuchawkę, wstał i ruszył szybko w stronę drzwi oddzielających obszar odosobnienia od reszty komisariatu.

Nie zdążył do nich dojść, gdy rozległo się energiczne pukanie, drzwi uchyliły się i pojawił się w nich kolejny oficer, starszy rangą, sądząc po honorach, które na powitanie oddał mu nadzorca aresztu.

Nowo przybyły wszedł do dyżurki, starannie zamykając za sobą drzwi i skierował się ku celi.

- Proszę posłuchać, to sprawa życia i śmierci... - zaczął desperacko po raz

kolejny Jess.

- Znaleźliśmy ciała - przerwał mu policjant, mierząc go uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

Potem przeniósł wzrok na pozostałych aresztantów ściśniętych za kratkami, przyglądając się im badawczo po kolei z osobna. Czując na sobie świdrujące, nieprzychylne oczy, Lynn miała wielką ochotę trzasnąć tego faceta w zęby.

Ach, te służby stanowe! Nieomal zasługują na wysadzenie w powietrze.

- Przekonaliście się, więc, że sprawa jest poważna i że mówię szczerą prawdę - oświadczył Jess, z nową energią szarpiąc kraty i trzęsąc się z emocji.

- Zanim dodasz coś jeszcze, moim obowiązkiem jest pouczyć cię... - Policjant, unosząc dłoń, powstrzymał kowboja przed niechybnym kontynuowaniem wywodów. Dla odmiany teraz Lynn otaksowała uważnym spojrzeniem stróża prawa: miał około pięćdziesiątki, sylwetkę wciąż smukłą, choć z wyraźnie zaznaczoną krągłością brzucha nad paskiem, krótko ostrzyżoną czupryną przysypaną siwizną oraz pooraną brzdami twarz. W jego oczach wyczytała niechęć do długowłosego, półnagięgo i bosego (Jess postradał szczątki skarpet w trakcie osobistej rewizji) włóczęgi w podartych dżinsach.

- Masz prawo do milczenia. Wszystko, co od tej chwili powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie...

- Co takiego? - wybuchnął kowboj, przerywając przedstawicielowi władzy kwestię w pół słowa. - To nie ja zabiłem tych łu dzi, do cholery! Czy nikt z tych pieprzonych idiotów nie słuchał, co do nich mówię?

Policjantowi krew odpłynęła z twarzy, lecz puściwszy te impertynencje mimo uszu, z zaciętą twarzą dokończył wyuczonaformułkę, podczas gdy kowboj w zapamiętaniu uderzał dłonią o pręty kraty, dając upust bezsilnej wściekłości. Pozostali aresztanci, z wyjątkiem Theresy i Eliasza, pogrążonych w głębokim śnie, obserwowali przebieg tej sceny bez większego zainteresowania. Cała trójka czuła się zbyt wyczerpana, by myśleć o czymś innym niż sen, a już z całą pewnością nie mieli dość siły, by porywać się na utarczki z władzą.

Niech się dzieje, co chce - jeśli świat ma jutro stanąć dęba, trudno, nic na to nie poradzą.

- Czyż nie udzieliłem wam wskazówek zgodnych z prawdą? Znaleźliście ofiary rzezi czy nie? W opuszczonej górniczej osadzie, tak jak powiedziałem? W takim stanie, jak opisałem? Tak czy nie? Dlaczego więc nie chcecie przyjąć do wiadomości, że cała ta reszta też nie wysłałem sobie z palca? Zresztą wcale nie mu się dawać wiary moim słowom, pozwólcie mi tylko zatelefonować. Proszę, jedna jedyna rozmowa telefoniczna, nic więcej. Tyle chyba możecie zrobić? - Jess mimo wszystko wciąż się nie poddawał.

Obydwaj policjanci spoglądali chmurnie. Młodszy rangą stał o krok za zwierzchnikiem, zamarłszy niczym wierna kopia szefa w identycznej jak on postawie i nawet ręce złożył na plecach w takim samym geście.

W innych okolicznościach Lynn, doceniając komizm tej sceny, z pewnością parsknęłaby śmiechem, lecz nie teraz.

- Nie wypuszczę nikogo z celi, dopóki nie ustalimy waszej tożsamości.
Poczyniliśmy już stosowne kroki, ale musimy poczekać na potwierdzenie.

- A nie możecie wobec tego zadzwonić w moim imieniu? Podam wam numer i wszystko, co trzeba przekazać. Proszę. Do licha, czy nie rozumiecie, że każda minuta zwłoki naraża nas na pewną śmierć? Macie rodziny? Żony, dzieci? Oni wszyscy jutro umrą. Czy rozumiecie, co do was mówię? Jutro o dziewiątej połowa tego kraju wyleci w powietrze!

- Czy to groźba? - Oczy starszego oficera zwęziły się w szparki.

- Nie! To tylko ostrzeżenie. - Jess z rezygnacją oparł czoło o kraty, potem zaś ponownie uniósł głowę, mierząc twardym spojrzeniem przeciwnika. - Mówiłem już, że pracowałem jako agent służb rządowych. Chcę skontaktować się z moim byłym przełożonym. Co wam, do cholery, szkodzi zadzwonić do niego? Co najwyżej ryzykujecie, że wam powie, iż macie do czynienia z pieprzonym pomyleńcem.

- Jess - mitygowała kowboja Lynn, spoglądając to na niego, to na starszego oficera, którego rysy tężały z każdym mocniejszym słowem zatrzymanego. - Lepiej będzie, jeśli powściągniesz trochę język.

- Będę się wysławiał cholernie elegancko, jeśli pozwolą mi wreszcie skorzystać z tego pieprzonego telefonu! - wrzasnął Jess, piorunując ją wzrokiem.
W złości nie panował już nad sobą. W gruncie rzeczy nie dziwiła mu się zbytnio. Sama też wymieniała swoje nazwisko i wskazywała miejsce pracy w WMAO tyle razy, że aż w końcu ochrypla, lecz wiedziała doskonale, że nikt nie dał wiary jej słowom, choć policjanci kurtuazyjnie kiwali ze zrozumieniem głowami i obiecywali zatelefonować do Chicago.

Rano, oczywiście.
Pogratulować rozsądku!

- Czy to ma być międzymiastowa na dużą odległość? - Starszy oficer niezdecydowanie ruszył w stronę telefonu.

- Tak. Niestety, tak. Ale ja zapłacę za tę rozmowę. Zapłacę kartą kredytową tam, do diaska, nie mam jej przy sobie, a nie pamiętam numeru. Wobec tego proszę dopisać należność do mojego domowego rachunku telefonicznego.

- Tego nie mogę zrobić bez ustalenia pańskiej tożsamości.- Policjant cofnął rękę, którą już właśnie sięgał po słuchawkę. - Przykro mi, lecz mimo wielu prób jak dotąd nie udało nam się ściągnąć tu nikogo, kto mógłby ją potwierdzić.

Jess jęknął.

- No jasne, Owen wciąż kręci się poza domem, z tymi przeklętymi turystkami. Wiem, rozmowa na rachunek odbiorcy! Ben na pewno zgodzi się przyjąć ją ode mnie. Tak, proszę spróbować, bardzo proszę...

- Jaki numer?

- Oficer podniósł słuchawkę.
Zaciskając z całej siły palce na prętach kraty tak, że aż zbiały mu wszystkie kostki, Jess podał numer.

Policjant wystukał go energicznie, odczekał chwilę, by wreszcie przemówić kilka słów, prawdopodobnie do telefonistki.

- To będzie rozmowa na rachunek odbiorcy - oznajmił na koniec.

Potem znowu przez moment słuchał w skupieniu, po czym spojrzał na Jessa, pytając: - Jakie nazwisko zamawiającego mam podać?

- Moje, Jess Feldman.

Oficer powtórzył tę informację do słuchawki.

Zapadła cisza. Minęła minuta albo dwie pełne oczekiwania, nikt najwyraźniej nie kwapił się do odebrania telefonu.

Choć oswojona już z niepowodzeniami, Lynn mimo wszystko poddała się atmosferze rosnącego napięcia.

Wreszcie rysy twarzy policjanta stopniały: ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie.

- Tu komendant Avery Wheeler z policji stanowej Utah. Dzwonię na prośbę człowieka, który znalazł się w naszym areszcie, a podaje się za Jessa Feldmana. Z kim rozmawiam?

Słuchał uważnie przez chwilę.

- Ben Terrell - powtórzył, zezując na Jessa. - A stanowisko? - Po krótkiej przerwie Wheeler podjął zgoła odmiennym tonem: - Zastępca dyrektora ATF, rozumiem. Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale człowiek, o którym wspomniałem, został zamieszany w masowe morderstwo i...

- Ben! - huknął Jess. - Powiedz mu, żeby oddał mi słuchawkę! To pilne! Ben! Komendant zgromił więźnia wzrokiem, nie przestając słuchać. Wreszcie z cierpkim grymasem odłożył słuchawkę na biurko i sięgnął po pęk kluczy.

- Pozwolę ci wyjść i zamienić parę słów. Ale ostrzegam, żadnych sztuczek - dodał ponuro.

Jessowi tak pilno było do rozmowy, że nawet nie zareagował. Kiedy tylko Wheeler otworzył wejście do celi, kowboj wyrwał do przodu jak pies spuszczonej z uwięzi i przypiąwszy się do słuchawki, zaczął w skrócie relacjonować dawnemu szefowi przebieg ostatnich zajęć. Przytoczenie całej historii, pomimo krótkich przerw na dodatkowe pytania od słuchacza i udzielanych na nie natychmiast odpowiedzi, zajęło mu nie więcej niż dziesięć minut.

- Louis, podejdź tutaj - przywołał na koniec chudzielca. Tamten obejrzał się spłoszony, po czym powoli zwłókł się z pryczy, zmierzając do telefonu. Poruszał się ciężko i niezgrabnie niczym starzec. Przejścia ostatnich dni i jemu dały się we znaki, pomyślała Lynn.

- Opowiedz wszystko, co wiesz o bombach - rozkazał Jess, wręczając mu słuchawkę.

- Ile ich jest, gdzie zostały podłożone i w jaki sposób zostaną zdetonowane.

W ten oto sposób Lynn miała okazję jeszcze raz wysłuchać tej historii. Sześć bomb atomowych w sześciu najważniejszych miastach kraju. Sześć nieco mniejszych, lecz także groźnych ładunków w składach broni chemicznej i biologicznej rozmieszczonych w sześciu strategicznych punktach: w Utah, w Kentucky...

Kiedy Louis wymieniał kolejne miejsca, które przemieniają się w gwiazdny pył po naciśnięciu guzika przez Baranka, Lynn zerknęła na zegar.

Trzydzieści dwie minuty po dwudziestej trzeciej.

Niecałe dziewięć i pół godziny do wybuchu. Na tę myśl serce załomotało jej gwałtownie. Starła się uspokoić monotonnym tybetańskim zaśpiewem, praktykowanym zwykle w podobnych okolicznościach. Zamknawszy oczy, mamrotała pod nosem tak długo, aż rozszalałe tętno osłabło, powracając do normy.

Om...om...om...

Nie warto się denerwować. Począwszy od tej chwili musi na uczyć się przyjmować z pokorą wszystko, cokolwiek się wydarzy. I tak nie może już wpłynąć na dalszy rozwój wypadków.

Rozmowę zamknął Jess, z zapalem przekonując swego dawnego przełożonego, że wszystkie podane przez Louisa wskazówki należy uznać za jak najbardziej wiarygodne.

- Jeszcze słówko do pana - oddał na koniec słuchawkę komendantowi, uśmiechając się triumfująco.

Lynn uznała, że zaiste miał powody do zadowolenia. Dwoił się i troił, by ocalić świat przed zagładą, a tymczasem przedstawiciele władzy stanowej kompletnie lekceważyli te wysiłki, traktując go jak skrzyżowanie przestępcy z niebezpiecznym wariatem.

- Uważa pan, że te banialuki to prawda? - wykrzyknął Wheeler do słuchawki, nie kryjąc niedowierzania. Jess wyszczerzył radośnie zęby do Lynn, unosząc oba kciuki do góry.

Rozjaśniła się w odpowiedzi. Siedząca obok niej Rory z namysłem wodziła wzrokiem od matki do Jessa i z powrotem. Lynn obdarowała córkę uśmiechem.

- No cóż - odezwał się Wheeler, odkładając słuchawkę. - To trochę zmienia postać rzeczy. Dyrektor Terrell twierdzi, że był pan jednym z jego najlepszych agentów i ręczy za pańską wiarygodność. Wobec tego zamierzam dać wam nieco bardziej komfortowe warunki, co oczywiście nie oznacza, że was zwolnię - do tego potrzebuję dodatkowych informacji na wasz temat. Umieścimy was na razie w więzieniu okręgowym. Mają tam materace na łózkach i z pewnością nie odmówią wam posiłku. Resztą zajmiemy się rano.

- Co takiego? - wrzasnął Jess, po raz kolejny tracąc panowanie nad sobą.

- Jeżeli zostawimy wszystko do jutra, nie doczekamy poranka - wyjaśniła ponuro Lynn zmęczonym głosem.

Powtarzała to już setki razy bez rezultatu, nie spodziewała się więc i tym razem żadnej reakcji.

Komendant niespodziewanie uśmiechnął się do niej uprzejmie, a potem do Jessa. Choć wciąż nieugięty, od rozmowy z Benem Terrellem stał się niewątpliwie grzeczniejszy.

- Przykro mi, ale z uwagi na ciała znalezione w górach nie mogę was jeszcze wypuścić. Jeżeli nawet nie maczaliście palców w tej zbrodni, najprawdopodobniej zostaniecie powołani na głównych świadków oskarżenia.

- W porządku - opanował się kowboj, spoglądając uspokajająco na Lynn. - To i tak nie ma już większego znaczenia, Ben się wszystkim zajmie. Zapewniam cię, że właśnie stawia na nogi całą armię, może oprócz marynarki wojennej, z zamiarem

wysłania jej do siedziby Uzdrowicieli w Castle Rock w Dakocie Południowej. Urządzą tam taką oblawę, że wielebny Bob nie zdąży kichnąć, a już będzie w ich rękach.

- I po krzyku podsumowała, czując obezwładniające zmęczenie. Wraz z napięciem opuściła ją resztkę sił.

- 1 po krzyku - przytaknął Jess, spoglądając na nią czule.

Mimo wyczerpania Lynn uznała za konieczne otrząsnąć się ze słabości jeszcze na chwilę. W końcu, jeśli śmierć jutro rano nie jest im jednak pisana, pozostaje do załatwienia parę spraw natury praktycznej.

- To zmienia postać rzeczy - nawiązała do przemówienia komendanta. - W tej sytuacji należy nam się chyba opieka medyczna. - Wstała z trudem, lekceważąc zgodny protest wszystkich obolałych członków, i chwiejnie ruszyła w stronę Wheelera. - Moja córka potrzebuje pomocy lekarskiej - zaczęła mu tłumaczyć. - Trzeba koniecznie sprawdzić, czy nie ucierpiała z powodu wstrząśnienia mózgu. Jess, jak pan widzi, ma przestrelone ramię, a Theresa - tu wskazała pogrążoną we śnie dziewczynę - przeżyła szok. Dziecko z kolei jest z całą pewnością porządnie odwodnione, jeśli nie gorzej. Louis także wymaga dokładnego przebadania. Zamiast do więzienia stanowego powinien nas pan jak najszybciej zawieźć do najbliższego szpitala.

- Cóż, nie wiem, czy... - Wheeler zawahał się lekko.

- Oczywiście, decyzja należy do pana - wtrąciła łagodnie, uśmiechając się doń słodko. Dobrze wiedziała, że zbyt ostra presja zwykle rodzi skutki wręcz odwrotne od oczekiwanych. - Moglibyśmy wysłać kogoś, aby popilnował ich w szpitalu - podsunął młodszy oficer szeptem, doskonale słyszalnym nawet w celi.

- Nie mamy dość ludzi.

- A ja? Jeśli oni stąd znikną, nie będę potrzebny w komisariacie. Chętnie się przejadę.

- Zgoda.

Ustaliwszy szczegóły z podwładnym, Wheeler odwrócił się ponownie do więźniów.

- A więc zabieramy was do szpitala. Marty, sprowadź Katza z helikopterem. I zawiadom szpital mormonów w Salt Lake City, że zjawimy się u nich z chorymi.

- Tak jest, panie komendancie - wyprężył się Marty, po czym wyszedł z pokoju.

- Mamy jeszcze chwilę. Czy mogę coś dla was zrobić? Może macie ochotę na kawę? Albo wodę mineralną?

- A czy mogłabym napić się coli? - zaryzykowała Rory.

- Oczywiście, młoda damo.

Jess poprosił o kawę. Komendant przechodzi sam siebie, pomyślała Lynn, zastanowiła się także nad filiżanką kawy i już miała otworzyć usta, by złożyć zamówienie, gdy wtem uprzytomniła sobie, że oto być może nadeszła sposobność, by zaspokoić wreszcie od tak dawna odkładane pragnienie.

- Czy mogłabym dostać papierosa? - zapytała ochryple, zamierając w oczekiwaniu.

Drżała z niecierpliwości, serce jej łomotało, w gardle zaschło, każda najdrobniejsza cząsteczka jej organizmu domagała się swojej porcji ulubionej

trucizny.

Jess i Rory posłali jej spojrzenia pełne dezaprobaty.

- Przykro mi, ale na posterunku obowiązuje zakaz palenia. - Wheeler z galanterią sprowadził Lynn na ziemię. - Poza tym obawiam się, że i tak nie znalazłbym tu papierosów - żaden z moich oficerów nie pali, przynajmniej w pracy, zgodnie z naszym regulaminem. Ale jeśli chodzi o colę lub kawę, nie ma żadnych przeciwwskazań, z chęcią służę. - Co rzekłszy, zajął się telefonowaniem. Zacisnąwszy usta, Lynn doszła do wniosku, że skoro tyle wytrzymała bez papierosa, przeżyje jeszcze trochę. Chyba.

- Powinnaś rzucić palenie - stwierdził Jess, a Rory przytaknęła skwapliwie.

- Wobec tego proszę o filiżankę kawy - zwróciła się Lynn do Wheelera, chmurnie popatrując na córkę i kowboja.

41

23 czerwca 1996, godz. 1.45

Mamo, co zaszło między tobą a Jessem? Szpitalny pokój, w którym umieszczono Rory, okazał się całkiem przyjemny, przynajmniej jak na tego rodzaju lokum.

Betonowe, jak wszędzie, ściany, wyjątkowo cieszyły tu oko miłym odcieniem żółci, zamiast nieśmiertelnej, charakterystycznej dla placówek leczniczych zieleni.

Zdobiły je powiększone, kolorowe zdjęcia przedstawiające surowe krajobrazy Utah.

Zakłopotana niespodziewanym pytaniem córki Lynn obserwowała przez chwilę z uwagą fotografię, grając na zwłokę.

- Co masz na myśli? - zapytała w końcu ostrożnie, nie przypominała sobie bowiem, aby ostatnio dawali z kowbojem powody do podobnych uwag. Niewiele rozmawiali, unikając nawet przypadkowych dotknięć.

- Mamo, przecież nie jestem ślepa - naburmuszyła się Rory. - Widzę, że coś się między wami dzieje.

Dziewczynka, którą otoczono troskliwą opieką: prześwietlono, opatrzone, wykąpano i nakarmiono, powinna padać z nóg. Tymczasem, oparta na wysoko ułożonych poduszkach, tryskała energią, przesywając matkę przenikliwym spojrzeniem.

- Dobrze, już dobrze. Może rzeczywiście dzięki, hm, nazwijmy to przygodzie, która nas spotkała, dostrzegłam w końcu parę jego zalet - przyznała Lynn, nalewając sobie wody z karafki, i upiła łyk.

- Kręcicie ze sobą?

- Rory! - wykrzyknęła jej matka, uderzona jednak celnością tego sformułowania.

- Nie jestem już dzieckiem, mamo. Ty zawsze wymagasz ode mnie, abym opowiadała ci się ze wszystkiego. Dlaczego więc sama ukrywasz swoje sprawy przede mną? To nie w porządku.

Doprawdy trudno było odmówić temu racji. Lynn zastanawiała się, popijając wodę.

- Cóż, może tak bym tego nie określiła, chociaż... owszem, lubię go, nawet bardzo.

- A on ciebie.

- Chyba tak. - Oczy Lynn rozblęły. -1 co ty na to? - zapytała trochę niepewnie.

Rory pokiwała głową z namysłem.

- Hm, chyba byłby dla mnie za stary, a tak przynajmniej zatrzymamy go w rodzime. To świetnie - jest słodki.

Lynn spojrzała na córkę, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

- Cieszę się, że tak uważasz. A teraz może być tak spróbowała trochę podrzemać, co? Ja tymczasem wezmę prysznic w twojej łazience, dobrze?

Rory posłusznie zsunęła się niżej i naciągnawszy kołdrę aż po pachy, przyłożyła głowę do poduszki. Lynn pieśczośliwym gestem potargała jej czuprynę, ucałowała córkę i ruszyła w stronę łazienki, zadowolona, że dziewczynka przełknęła tę pigułkę tak gładko. Spodziewała się raczej, że Rory wpadnie w złość lub w najlepszym razie będzie się dąsać przez wiele następnych dni. Cóż, widocznie mała rzeczywiście dorasta. A może po prostu wyciągnęła z ostatnich wydarzeń podobne jak ona sama wnioski: w obliczu niebezpieczeństwa wszelkie nieporozumienia między nimi przestały mieć znaczenie. Łączące je więzy krwi i wzajemnej miłości w ostateczności pokonają każdą próbę.

- Mamo?

Lynn zastygła z ręką na klamce.

- Tak, kochanie?

- Powinnaś była powiedzieć mi prawdę o tacie. Gdybym ją знаła, nie warczałabym tak na ciebie.

- O czym ty mówisz? - Lynn cofnęła dłoń. Oblana zimnym potem, wpatrywała się zaskoczona w Rory.

Dwoje niebieskich jak niezapominajki oczu patrzyło na nią buntowniczo.

- Och, daj spokój, słyszałam twoją rozmowę z Jessem w pieczarze. Wcale wtedy nie spałam.

- Udawałaś! - wykrzyknęła oburzona Lynn, przypominając sobie doskonale równy oddech dobiegający z posłania Rory. Podeszła do łóżka córki. - Te wyznania nie były przeznaczone dla ciebie.

- Cieszę się, że je usłyszałam. Dzięki temu zrozumiałam parę spraw. Powiedziałam ci przecież, że nie jestem już małym dzieckiem. - Dziewczynka dotknęła ramienia Lynn. - Lubię cię, mamo.

- A ja ciebie - zapewniła żarliwie córkę, nachylając się i obejmując ją mocno.

Wzajemne czułości zajęły im dłuższą chwilę, tak że minęło trochę czasu, zanim wreszcie Lynn udała się pod prysznic. Kiedy wyszła z łazienki, wciąż mając na sobie te same co dotąd strzępy ubrania, lecz przyjemnie odświeżona, Rory już spała.

Lynn zbliżyła się do łóżka i przez moment spoglądała na śpiącą córkę. Poranione czoło przedstawiało żaloszny widok. Zgodnie z przewidywaniami Lynn okazało się, że Rory rzeczywiście doznała wstrząśnienia mózgu, lecz jak zapewniał lekarz, nie było to groźne. Po dwóch, trzech nocach w szpitalu i kilku dniach odpoczynku w domu dziewczynka w pełni wróci do sił.

Lynn starannie otuliła kołdrą ramiona córki i musnąwszy delikatnie jej policzek, wyszła z pokoju. Czowała się lekka jak ptak. Świat nagle znowu nabrał barw, gdyż odnalazła wspólny język z Rory, a na dodatek spotkała Jessa. Od wielu miesięcy

nie była tak szczęśliwa.

Utulila już Rory, pora teraz zajrzeć do kowboja.

Ostatni raz widziała go, gdy unieruchomiony na szpitalnym łóżku, pchanym przez pielęgniarkę o surowym spojrzeniu, która nie zważała na zajadłe protesty pacjenta, odjeżdżał w głąb korytarza. Za nimi, w roli konwojenta, szedł Marty. Zegar wskazywał trzecią rano, co stwierdziła, wymknąwszy się z mrocznej sypialni Rory na jasno oświetlony korytarz. Sześć godzin do wybuchu, chyba, że plan Uzdrowicieli nie dojdzie do skutku. Wolałaby w to uwierzyć, przestać liczyć mijające minuty i drżeć ze strachu. Nie warto się teraz zadreć - to nic nie zmieni.

Sprawdzi tylko, co z kowbojem, a potem szybko wróci do pokoju Rory, padnie na przygotowane tam dla niej posłanie i z miejsca zaśnie snem sprawiedliwego.

Przed nimi kolejny piękny, słoneczny dzień i jeszcze cały tydzień wakacji.

Niewiarygodne. Wydarzenia w górach tak ją pochłonęły, iż miała wrażenie, że spędziła tam wieczność. A to zaledwie cztery dni. Cztery dni od przylotu z Chicago, cztery dni, odkąd po raz pierwszy ujrzała swojego kowboja...

Pielęgniarka urzędująca w dyżurce na końcu korytarza obrzuciła Lynn pytającym spojrzeniem, po czym na jej prośbę usłudźnie odszukała w komputerze numer pokoju, w którym umieszczono Jessa. Okazało się, że ranny został ulokowany na czwartym piętrze, Rory rezyduje na drugim, windy zaś znajdują się w głębi korytarza na lewo.

Po drodze do wind Lynn natknęła się na rząd wiszących na ścianie aparatów telefonicznych. Przystanęła niezdecydowana. Na miłość boską, przecież jest na wakacjach, poza tym to środek nocy. Ale z drugiej strony, gdyby udało jej się dodzwonić do szefa, WMAO jako jedyna stacja dysponowałaby niezwykle cennym materiałem informacyjnym.

Trudno, niech się dzieje, co chce. Zasługuje na miano pracoholiczki i tyle.

Zadzwoń.

Piętnaście minut później z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku udała się do pokoju Jessa. Pomieszczenie to różniło się od sypialni Rory jedynie kolorem ścian - tu bładoniebieskim.

Kowboj leżał w łóżku z głową odwróconą w drugą stronę, tak że nie mogła dostrzec jego twarzy. Na tle białych prześcieradeł opalone na brąz ciało mężczyzny wyglądało zdrowo i krzepko, rozłożyste bary zajmowały całą szerokość materaca.

Lewe ramię rannego spowijał zgrabny opatrunek.

Lynn chciała już się wycofać, sądząc, że Jess śpi, lecz w tej chwili odwrócił się i uśmiechnął do niej czule. Serce jej stopniało.

- Cześć - szepnęła, wchodząc do środka. - A gdzie twój anioł stróż?

- Uznał, że uwięziony w łóżku stanowię mniejsze zagrożenie niż Louis i teraz pilnuje jego. Co z Rory? - zapytał, przechodząc do istotniejszych spraw. Nie od razu odpowiedziała, przyglądając mu się w niemym zachwycie. Wciąż nieogolony, podobał jej się bardziej, niż kiedykolwiek. Ciemny zarost wspaniale współgrał z potarganymi włosami do ramion, nadając Jessowi nieco dziki wygląd godny

nieustraszonego korsarza.

- Miała wstrząśnienie mózgu. Chcą ją tu potrzymać co najmniej do jutra, ale doktor zapewnia, że wyjdzie z tego bez szwanku - odrzekła, zamykając za sobą drzwi, i podeszła do łóżka.

Widok wenflonu przytwierdzonego plastrami do ręki Jessa przyprawił ją o wyrzuty sumienia, gdyż sama czuła się doskonale i nie wymagała żadnej kuracji oprócz kilku maźnięć maścią przeciw zadrapaniom i ukąszeniom komarów. To niesprawiedliwe, że spośród całej trójki ona jedna wyszła z tego zamętu bez większych obrażeń.

- Jak rana? Co mówił doktor?

- Że mogło być gorzej. - Ujął jej dłoń; ich palce splotły się w czułym geście.

- A to po co? - zapytała, wskazując kroplówkę.

- Faszcerują mnie antybiotykami. Rana podobno nie należy do specjalnie niebezpiecznych, ale zalegają ją tony brudu, którego nie sposób doczyścić. Jedna z pielęgniarek biedziła się nad tym bezskutecznie przez dłuższy czas, ale nawet prysznic nie pomógł.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Lynn obrzuciła go uważnym spojrzeniem. -

Rzeczywiście przypominałeś przedtem półdiabłą weneckie, tak byłeś umorusany. Dżinsy to chyba musieli od razu wrzucić do pieca. A tak przy okazji, czy ty właściwie masz coś na sobie pod tym prześcieradłem?

- Proszę, możesz sprawdzić sama. - Wymownym gestem po wiódł ich złączone dłonie ku brzegowi pościeli. Lynn kręcąc głową, wyrwała mu rękę.

- Dobrze, dobrze. Potrzebujesz odpoczynku. A tak poważnie, co się stało z twoim szpitalnym strojem?

- Nie cierpię tej maskarady. Powiedziałem pielęgniarce, żeby dała mi spokój.

- Czy dowiedziałeś się, jak długo chcą cię tu trzymać?

- Dlaczego pytasz? Zamierzasz skorzystać z okazji i czmychnąć do Chicago podczas mojej rekonwalescencji? - Ponownie schwycił jej dłoń i podniósł do ust.

Muśnięcie jego warg sprawiło, że Lynn poczuła przyjemny dreszcz.

- Kiedyś w końcu i tak będę musiała tam wrócić. - Starła się, by zabrzmiało to beztrąsko, lecz myśl o pozostawieniu Jessa sprawiła jej niespodziewaną przykrość.

Tak właśnie bywa z tymi wakacyjnymi przygodami. Kończą się wakacje, zamiera i znajomość.

Tym razem kowboj zanurzył usta we wnętrzu jej dłoni. Lynn przebiegły ciarki.

- Co takiego jest w Chicago, czego brakuje Utah? - dociekał żartobliwie, całując po kolei opuszki jej palców.

Napotkawszy figlarne spojrzenie jego błękitnych oczu, Lynn zadrżała. Coś nieuchwytnego w wyrazie jego twarzy przypomina ło chwile spędzone we dwoje. Jakże do nich tęskniła...

- Mam dobrą pracę, miły dom. Mieszka tam moja matka - wyliczała z pałającymi policzkami.

- 1 żadnego przyjaciela?

Skrzywiła się lekko.

- Byłam przekonana, że Rory nie omieszkała cię poinformować w tej kwestii.
- Mogła coś przeoczyć.
- Nie, nie ma nikogo godnego wzmianki.
- To miło. Usiądź przy mnie. - Przyciągnął ją bliżej za rękę.
- Zaraz, zaraz - powstrzymała jego zapędy - a ty? Nie uwierzę, że nie chowasz w zanadru jakiejś uroczej dziewczyny.
- Nie ma nikogo godnego wzmianki. Pocałujesz mnie w końcu czy nie?
- Nie - odrzekła, cofając się o krok. Tym razem jednak Jess nie wypuścił jej ręki.
- Dlaczego?
- Ponieważ jutro czeka nas ciężki dzień: ty musisz się porządnie wyspać i ja także. Zresztą i tak nie ma powodu, by przyśpieszać sprawy - zostało mi jeszcze całe sześć dni wakacji.

Zabłyśły mu oczy.

- Och, to cała wieczność - odrzekł radośnie.
- Prawie. - Poddawała się jego woli i usiadła na brzeжку łóżka z wielką ostrożnością, uważając, by nie zerwać przy tym przewodów kroplówki. - Pod warunkiem, że się pośpieszysz i opuścisz niezwłocznie te mury.
- Wcale nie musimy czekać.
- Owszem, musimy. - Nachyliwszy się, wycisnęła szybki pocałunek na jego ustach. Nie zważając na krępujące go plastikowe rurki, Jess objął ją mocno w pasie, nie pozwalając odejść. - Nazwij mnie szaloną, jeśli chcesz, ale nie nęć mnie poufałości z rannymi pacjentami w szpitalnych łóżkach.
- Marzę o tym, by nazwać cię szaloną, pozwól mi tylko dać po temu prawdziwy powód.

Lynn się roześmiała. Jego usta były tak nęcąco blisko, ciepły, nagi tors wabił swą siłą, stalowe ramię przytrzymujące jej kibić paliło żywym ogniem.

Tak, tylko on, ale nie tu i nie teraz.

- No dobrze, wystarczy. Pozwól mi wstać. Oboje potrzebujemy snu.
- Śpijmy razem.
- Tutaj? Nie ma mowy.
- W takim razie porozmawiajmy. Nie wiem jak ty, ale ja złapałem drugi oddech, chyba z nadmiaru adrenaliny. Na pewno nie zasnę.
- O czym chcesz rozmawiać?

Lynn także trudno było oderwać się od niego. Cóż znaczy zmęczenie wobec ekscytująco świeżej, magicznej więzi między nimi!

- Opowiedz mi coś o sobie, o swoim dzieciństwie. Bardzo jestem ciekawy.
- Uczyniła zadość jego prośbie, snując długą opowieść. Kończyła ją z głową złożoną na ramieniu kowboja, bezwiednie bawiąc się włoskami na jego nagiej piersi. Trudno jednak stwierdzić jednoznacznie, że leżała z nim razem w łóżku - gdyż przynajmniej jedną nogą dotykała podłogi.
- Teraz twoja kolej - powiedziała wreszcie. - Naprawdę dorastaliście z Owenem na

tym ranczu?

- Oczywiście. Czy okłamywałbym cię w takiej sprawie? - Delikatnie pogłaskał ją po włosach. - Ależ z ciebie niedowiarek.

- No to mów, proszę. - Wyciągnęła się wygodniej, przygotowując do słuchania. Zaczął opowiadać. Gdzieś chyba w połowie tej historii Lynn zasnęła, gdyż nagle obudził ją przeraźliwy dźwięk telefonu, który odezwał się tuż u wezglowia łóżka. Uniósła głowę, otrząsając się z resztek snu, i zerknęła na Jessa, który mrugając nieprzytomnie, po omacku szukał dzwoniącego aparatu.

Wytropiwszy niesforny telefon, uciszył go, podnosząc po prostu słuchawkę do ucha.

- Halo - odezwał się, po czym przez dłuższą chwilę słuchał bez słowa.

Lynn zdążyła przygładzić włosy i sprawdzić, czy wszystkie guziki u koszuli ma zapięte, gdy nagle Jess poderwał się na łóżku z okrzykiem:

- Co takiego? Resztki snu opadły z niego w jednej sekundzie, a serce Lynn skoczyło do gardła.

- Która godzina? - zapytał jeszcze Jess do słuchawki, po czym zawołał wielkim głosem - Rany boskie! Zostały nam trzy godziny!

Nie, zadrzała Lynn, tylko nie to.

- Jak można się z tobą skontaktować? - sięgnął ręką do nocnego stolika, wyławiając spośród zgromadzonych tam drobiazgów długopis.

Lynn próbowała podsunąć mu kartkę papieru, ale potrząsnąwszy przecząco głową, zapisał podany numer na wierzchu dłoni.

- Przynajmniej go nie zgubię - wyjaśnił szeptem, zasłaniając mikrofon ręką. - Odezwę się - zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

Początkowo w milczeniu wbił puste spojrzenie w przestrzeń przed sobą, po chwili przeniósł wzrok na Lynn.

Wyczytała z jego twarzy złe nowiny, zanim nawet zdążył otworzyć usta.

- Wdarli się zgodnie z planem do siedziby sekty, gdzie zastali Uzdrowicieli zgromadzanych w komplecie, wznoszących modły i wyśpiewujących hymny w oczekiwaniu na pełen chwały koniec. Wyłapali ich jak szczury i przetrząsnęli wszystkie zakamarki od piwnic po strychy. Na próżno - wielebnego Boba nie znaleźli.

- Która godzina? - zapytała Lynn przerażona nowiną

- Szósta rano.

42

Jess wyciągnął rękę i krzywiąc się z bólu, zerwał przewody kroplówki, a potem szybkim ruchem wyszarpnął z ramienia wenflon wraz z przytrzymującymi go plastrami.

- Co ty wyprawiasz? - zdumiała się Lynn.

- A jak sądzisz? Wstaję.

- Powinieneś zawołać pielęgniarkę!

- Kochanie, nie mamy czasu. Czy nie słyszałaś, co mówiłem? Wielebnego Boba nie znaleziono wśród rzeszy jego wiernych, co oznacza, że przebywa w jakimś innym,

nieznanym zakątku tego kraju czy innego. To dla niego bez różnicy - aby detonować bomby; wystarczy mu dostęp do Internetu.

- O mój Boże! - Zagrożenie wyrażone słowami nabrało przeraźliwie realnych kształtów.

- Otóż to - podsumował jej reakcję Jess. Puścił igłę, tak że zawisła na plastikowym przewodzie i zalepił plastrem rankę na ramieniu, z której poleciała krew. Zdjął nogi z łóżka i zasłaniając się prześcieradłem, rozejrzał się z irytacją.

- Czy dasz wiarę? Nie mam nic do ubrania - sarknął, prychnąwszy.

- Dokąd się wybierasz? Przecież w pojedynkę i tak nie odnajdziesz wielbego Boba. - Lynn z wolna odzyskiwała zdolność trzeźwego myślenia. - A FBI? A twoi przyjaciele z ATF, służby bezpieczeństwa, CIA i cała reszta? Czy to nie ich zadanie?

Wstał, okręcił się prześcieradłem w pasie i ruszył do drzwi.

- Wierz mi, ktoś z tej listy na pewno go przedziej czy później dopadnie. To tylko kwestia czasu.

Tylko że właśnie czasu nie mieli dość, Lynn zrozumiała ten drobny szczegół, biegnąc za Jessem.

- Nie mam zamiaru nawet próbować tropić wielbego Boba - rzucił przez ramię, defilując przed oczami zdumionej dyżurnej pielęgniarki. Ledwie kobieta, ochłonawszy nieco, uświadomiła sobie, że owo półnagie zjawisko jest umykającym z oddziału pacjentem, Jess rozplątał się za zakrętem korytarza, zanim nawet zdołała się poruszyć. Tam przypadł do wind i nacisnął guzik oznaczony strzałką skierowaną do góry.

Umykając przed zaskoczoną pielęgniarką, Lynn pośpieszyła za nim.

- Skoro nie zamierzasz ścigać wielbego Boba, co chcesz zrobić? - pytała zdyszana.

- Jeżeli ładunki można zdetonować za pomocą komputera, wydaje się oczywiste, iż w ten sam sposób można także zapobiec nieszczęściu. Trzeba tylko odgadnąć, jak. Muszę koniecznie porozmawiać z Theresą i Louisem i ustalić, czy przypadkiem nie wiedzą czegoś, co nam pomoże znaleźć klucz do tej zagadki.

- Przecież nie wiesz nawet, w których są pokojach - biadolila Lynn. W tej samej chwili drzwi windy zamknęły się, odcinając drogę pielęgniarce ścigającej dwoje uciekinierów.

- Wiem, gdzie leży Louis, a Theresę znajdę, nie martw się. Podjechali dwa piętra. Cichy dzwonek oznajmił im, że są na miejscu. Drzwi ledwie zaczęły się rozsuwać, gdy kowboj wyskoczył z windy i pognął korytarzem. Lynn nie odstępowała go ani na krok.

W dyżurce Lynn dojrzała rozpartego swobodnie na krześle Martiego, popijającego kawę i flirtującego z pielęgniarką. Kiedy Jess śmignął mu niespodziewanie przed nosem, policjant wprawdzie otworzył szeroko oczy ze zdumienia, lecz najwyraźniej nie dowierzał sam sobie. Dopiero widok gnającej za podejrzanym Lynn przywrócił mu zdolność reagowania.

- Co, u licha? - wymamrotał, odstawiając niedopitą kawę z takim impetem, że brunatny płyn przelał się przez brzegi papierowego kubka. Spojrzawszy za siebie, Lynn zobaczyła, jak stróż porządku skacze na równe nogi, ssąc przy tym kciuk. Widocznie kawa była gorąca.

Policjant ruszył za nimi, usiłując niezdarnie wyszarpać pistolet z kabury.

Nieświadomy nadciągającej burzy, Jess wpadł jak bomba do pokoju 609, gdzie zwinięty na łóżku spał chudzielec.

- Louis, wstawaj! - Szarpnąwszy za zielony szpitalny strój, w który ubrano współpracownika wielebnego Boba, Jess wyciągnął śpiącego z łóżka.

- Co takiego? O co chodzi? - Tamten, wyrwany ze snu, wił się jak piskorz, na próżno usiłując wywinąć się z żelaznego chwytu dłoni wczepionej kurczowo w przód kusej koszuliny, która stanowiła jego jedyne ubranie. Przyglądająca się tej scenie Lynn skromnie spuściła oczy, nie zamierzając oglądać obnażonych wdzięków chudzielca.

- Nie ruszać się! - zagrział Marty, wbiegając w tym momencie do pokoju z pistoletem w dłoni.

Zanim drzwi się za nim zamknęły, Lynn dojrzała jeszcze dwóch strażników szpitalnych nadciągających korytarzem z odsieczą.

Prawdopodobnie siostra dyżurna wezwała posiłki.

- Ty tam! Puść go natychmiast! - Marty zatrzymał się tuż przy drzwiach i stanął na rozstawionych nogach, w obu wyciągniętych dłoniach ściskając pistolet wymierzony prosto w kowboja.

- No właśnie, natychmiast mnie puść - podchwycił Louis, wpijając się paznokciami w rękę Jessa.

Ten nie uwolnił go jednak, lecz zamiast tego obrócił się razem ze swym więźniem, opuszczając go przy tym na, tyle, że Louis mógł stanąć na podłodze na własnych nogach. Dzięki temu prostemu manewrowi uczeń wielebnego Boba znalazł się całkiem niespodziewanie między lufą pistoletu a Jessem.

Sprytne posunięcie, podsumowała z uznaniem Lym.

- Posłuchaj, imbecyłu! - natarł na policjanta Jess ponad głową chudzielca. -

Chodzi o bezpieczeństwo narodowe! Jestem agentem federalnym i nie mam czasu na zabawy! W tej chwili odłóż broń!

- Nie jesteś. To znaczy... jesteś? - przemówił niepewnie Marty, tracąc cały rezon.

- Przywróconym właśnie do obowiązków przez telefon - poinformował go rzeczowo Feldman. - Możesz sprawdzić, jeśli nie wierzysz, ale pozostały nam zaledwie trzy godziny do największego w dziejach tego kraju aktu terrorystycznego. Wybuch będzie tak potężny, że zdmuchnie ci skarpety. Razem z nogami.

Słyszając ostatnie słowa, Lynn omal się nie uśmiechnęła.

- Coś się nie udało? - Louis wlepił w Jessa zdziwione spojrzenie. Kowboj rozluźnił uścisk.

- Niestety, tak. Musimy szybko się naradzić we trójkę: ty, Theresa i ja. Ubieraj się, Louis. Marty, nie wiesz przypadkiem, w którym pokoju zostało umieszczona

Theresa? Ta dziewczyna z niemowlęciem, no wiesz?

- Ona... ona jest... - Ich stróż wciąż nie mógł się zdecydować, co należy zrobić: zastrzelić podejrzanego czy raczej z nim współpracować. Tymczasem Louis posłusznie usiłował coś na siebie włożyć.

W tej właśnie chwili drzwi z trzaskiem odskoczyły, a do sali wpadli strażnicy z bronią w ręku.

Trzy lufy mierzyły prosto w Jessa.

To koniec, pomyślała Lynn, kuląc się bezradnie. Cofnęła się ostrożnie, schodząc im z drogi.

- W porządku, chłopcy. To agent federalny - odezwał się Marty, chowając rewolwer, po czym dodał, zwracając się do Jessa: - Ta dziewczyna z dzieckiem jest na pediatrii. Pierwsze piętro.

- Dzięki, Marty. Ameryka ci tego nie zapomni. - Połechtany pochwałą, policjant wypiął dumnie pierś, stając się od tej chwili wiernym sprzymierzeńcem kowboja.

- Louis, jesteś gotowy? Idziemy po Theresę - ponaglił chudzielca Jess.

Przytrzymując jedną ręką udrapowane wokół bioder prześcieradło, drugą pociągnął tamtego za ramię w stronę drzwi. Pozostała czwórka przepuściła ich przodem, po czym jak jeden mąż ruszyła za nimi na pierwsze piętro.

Theresa nie spała, lecz siedząc przy łóżeczku, przyglądała się śpiącemu braciszкови. Elias leżał na plecach z jedną rączką wyciągniętą nad główką; nawet przez sen nie przestawał poruszać usteczkami. Wyglądał na zadowolonego, mimo przyklepionej do ramienia kroplówki.

Nie chcąc obudzić maleństwa, Jess gestem przywołał dziewczynę na korytarz.

- Musimy porozmawiać - oznajmił krótko. Oczy Theresy rozbłyły niepokojem na widok towarzyszącej mu gromady, lecz Lynn uspokoiła dziewczynę szerokim uśmiechem.

- W tym pokoju nie ma nikogo. - Jeden ze strażników, zajrzawszy do sąsiedniego pomieszczenia, zapraszająco uchylił drzwi.

- Chodźmy.

- Jess bez wahania poprowadził za sobą Theresę i Louisa, którzy ciskali sobie wzajemnie wrogie spojrzenia. Reszta wtoczyła się tuż za nimi do małej poczekalni.

Dziewczyna wlepiała oczy w twarz kowboja.

- Co się stało? - W jej głosie brzmiał strach.

- Usiądź tu, proszę, na chwilę. - Zaraz do ciebie wrócę. Louis, pozwól ze mną.

Bez protestu usadowiła się w zielonym, wyściełanym sztucznym tworzywem fotelu, Jess zaś powlókł swą ofiarę w róg pokoju, gdzie wcisnąwszy chudzielca w ką, zawisł nad nim niczym jastrząb z tak srogim wyrazem oblicza, że przejęty zgrozą Louis w panice skulił ramiona. Lynn podeszła do zmagających się przeciwników, pragnąc z bliska śledzić przebieg starcia.

- Od dawna nie daje mi spokoju pewna kwestia i ty musisz pomóc mi ją rozwikłać - przemówił kowboj tonem na tyle cichym, by jego słowa nie dotarły do Theresy. - Dlaczego Baranek tak się uparł, żeby zgładzić rodzinę Michaela? Dlaczego

właściwie nie pozwolił im po prostu odejść?

- jjjja tylko wypełniałem rozkazy. Ja nic nie wiem. Chyyyba dlatego, że Stewart był zdrajcą - wyjął Louis, krzyżując ręce na piersi, jak gdyby marzył.

Zaspany i zziębnięty, ubrany jedynie w rozchyloną na plecach szpitalną koszulę i pośpiesznie naciągnięte czarne spodnie, wyglądał wyjątkowo żałośnie. Przyparty do muru przez kowboja, strzelał w bok przestraszonym wzrokiem.

- Dlaczego więc go męczyliście, co? - kontynuował Jess twardo, lecz wciąż przytłumionym głosem.

Nawet Lynn, która pochwytywszy w lot cel indagacji, uplasowała się tuż za plecami kowboja w taki sposób, by oszczędzić Theresie widoku tej sceny, miała kłopot z wyłowieniem poszczególnych słów.

- Mv... dukał Louis ze skruszoną i mocno niepewną miną. - Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Pozostałe ofiary leżały w trawie. Oprócz podciętych gardeł ich ciała nie nosiły żadnych innych śladów przemocy. Wszyscy zachowali ubrania, nie rozebrano ich, tak jak Michaela, do naga. Z nim obeszlście się wyjątkowo okrutnie.

Dlaczego? Przecież me dla zabawy go ukrzyżowaliście? Istniał po temu ważny powód, prawda? Jaki? Na czym tak zależało Barankowi? Co takiego miał lub o czym wiedział Michael, że za wszelką cenę staraliście się to od niego wyciągnąć?

- Nnnic! Jjjja nic nie wiem.

- Posłuchaj mnie uważnie: agenci federalni przetrząsnęli wasz ośrodek w Dakocie, ale Baranka nie znaleźli. On się gdzieś przyczaił, żeby jutro o dziewiątej spokojnie przycisnąć guzik i wysłać nas wszystkich bez wyjątku prosto na łono Abrahama. Mnie i ciebie, kobiety i dzieci. Niewinne niemowlęta. Powiedzieliś, że w kopalni objawił ci się Jahwe, oznajmiając, że Baranek wybrał niewłaściwy moment. Niestety, nie zdążymy go odnaleźć, aby mu to powtórzyć. Jedyne, co możemy jeszcze zrobić, to nie dopuścić do wybuchu. Nie rozumiesz, że to z woli Jahwe powinienes nam pomóc?

Louis dyszał ciężko i wodził dokoła nieszczęśliwym wzrokiem. Tocząc wewnętrzną walkę, przestępował z nogi na nogę.

- Czego chcieliście od Michaela? - napierał Jess.

- Planów - poddał się wreszcie tamten, wydając się kulić pod ciężarem własnego wyznania. - Planów, opisujących szczegóły konstrukcji bomb i zasady ich uruchomienia. Uciekając, Michael zabrał wszystko ze sobą.

- Na papierze?

- Zapisane, wiem tylko tyle. W jaki sposób - pojęcia nie mam. Judasz był typem prawdziwego naukowca: zawsze prowadził bardzo skrupulatne notatki.

- Dziękuję, Louis. - Jess z westchnieniem uwolnił swą ofiarę.

Kiedy się odwrócił, Lynn ze ściśniętym sercem ujrzała jego poszarzałą, pełną napięcia twarz. Nigdy go takim nie widziała, mimo wielu ciężkich chwil, jakie ostatnio wspólnie przeżyli.

Rzut oka na zegar wiszący na przeciwległej ścianie wyjaśnił jej wszystko: dochodziła szósta dwadzieścia pięć.

Zostały dwie godziny i trzydzieści pięć minut.

Louis osunął się na pierwsze napotkane krzesło, a Jess pośpieszył do Theresy. Kiedy przy niej usiadł, spojrzała na niego pytająco.

- Louis właśnie mi powiedział, że twój tata, uciekając od Uzdrowicieli, zabrał ze sobą ważne zapiski - przemówił do dziewczyny tonem zgoła odmiennym od szorstkiej napastliwości, z jaką potraktował Louisa. - Wiesz coś o tym? Może pamiętasz, gdzie trzymał swoje papiery, na przykład skoroszyt lub notes? A może miał segregator?

Theresa zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego w jego rękach. Jeżeli coś takiego miał, nie trzymał tego w chacie. W naszym małym domu nic nie mogło się ukryć przede mną. Znałam wszystkie zakamarki, ponieważ byłam najstarsza i musiałam zajmować się gospodarstwem.

W głosie dziewczyny zabrzmiała tak typowa dla nastolatki skarga, że Lynn z trudem opanowała śmiech.

- Naprawdę? - zapytał Jess ze współczuciem. Nie śpieszył się na pozór ani nie zżymał, jakby nie pamiętał, że czas nagli i z każdą chwilą wydaje się uciekać coraz prędzej. Lynn przeciwnie - rozgorączkowana, omal nie wyszła z siebie, obserwując to irytująco rozwlekłe przesłuchanie. Och, gdyby to ona prowadziła rozmowę, nie mogłaby zachować opanowania.

- A gdzie ojciec zwykł chować różne urzędowe papiery: świadectwo ślubu z mamą, metryki dzieci i inne ważne, rodzinne dokumenty? W domu?

Theresa pokręciła głową.

- Nie. Ponieważ obawiał się, że w razie kolejnej ucieczki moglibyśmy nie zdążyć ich zabrać, przechowywał je w sejfie.

- W sejfie! - Jess wziął głęboki wdech, a tętno Lynn skoczyło gwałtownie. Słowa dziewczyny wzbudziły w niej tak wielkie na pięcie, że oddychała z trudem. - A me wiesz przypadkiem, w którym banku?

Theresa kiwnęła głową.

- Tak, w drugim oddziale National Bank przy State Street w Provo. Ostatnim razem tata zabrał mnie tam ze sobą.

- Tam właśnie zajrzemy najpierw. - Jess uśmiechnął się do dziewczyny. Wstał i podtrzymując prześcieradło, ruszył ku drzwiom. Po drodze porozumiewawczo spojrzał na Lynn, po czym odszukał wzrokiem Martwego.

- Co z tym helikopterem? I może ktoś wreszcie znajdzie mi jakieś spodnie?

43

Widziane z lotu ptaka ulice i budynki Salt Lake City migotały w mroku tysiącami świateł, przypominających sznury choinkowych lampek. Provo nie ucieszyło oczu przybyłych podobną iluminacją, gdyż jasny świt, zwiastun kolejnego, budzącego się dnia, pogasił tymczasem wszystkie latarnie.

Helikopter wylądował na środku jezdni, na wprost banku. Przed budynkiem czekały już dwa policyjne samochody, kilka furgonetek blokowało dojazd z obu stron

ulicy. Krępy, siwowłosy mężczyzna w nienagannym garniturze, w towarzystwie dwóch ubranych po cywilnemu oficerów policji, spacerował po chodniku przed schodami wiodącymi do głównego wejścia. Lynn odgadła, że to zapewne jeden z wyższych urzędników banku, którego wezwano, aby towarzyszył gościom. Przed opuszczeniem szpitala Jess zdążył jeszcze zatelefonować pod zapisany na dłoni numer, domagając się niezwłocznego przysłania do banku kogoś, kto umożliwiłby mu dostęp do skrytek i miał listę wszystkich klientów, którzy je wynajmowali. Swoją drogą, wpływ tego Bena Terrella, którego Feldman złapał w samolocie gdzieś między Dakotą Południową a Utah, najwyraźniej sięgały daleko, skoro zdołał tak błyskawicznie spełnić tę prośbę.

Kiedy helikopter usiadł na ziemi, Jess, wystrojony w zielony strój chirurga wygrzebany naprędce ze szpitalnych zapasów, wyskoczył pierwszy i zanurkował pod wirujące jeszcze śmigło. Za nim wyszli pozostali: Lynn, Theresa i Louis. Pochód zamykał Marty. Przylecieli na miejsce w tym składzie na wypadek, gdyby Jess ich potrzebował.

Feldman dołączył do grupy oczekujących go mężczyzn, witając się ze wszystkimi; wymienił także uścisk dłoni z urzędnikiem bankowym, po czym bez dalszych ceremonii ruszyli spiesznie na górę po schodach. Klucz zazgrzytał w zamku, drzwi otwały się na oścież i cała ekipa spiesznie weszła do środka. W holu unosiła się, tak charakterystyczna dla wszystkich bankowych westybuli, woń pieniędzy. Dzięki niewyłączanej na noc klimatyzacji w pomieszczeniu panował przenikliwy chłód, którego wrażenie potęgowały jeszcze lśniąca marmurowe posadzki. Martwe, pozbawione zaafierowanych interesantów wnętrza zionęło lodowatym tchnieniem. Nawet mając na sobie flanelową koszulę Jessa, Lynn drżała z zimna.

Tuż przed opuszczeniem szpitala ktoś litościwy zaopatrzył, na szczęście, ją i Theresę w ciepłe kapcie, tak że teraz wdzięczna była losowi, iż nie musi dotykać kamiennych płyt bosą stopą.

- Mogę prosić o listę? - Jess nie tracił czasu.

- Oto ona. Nazwiska są ułożone w porządku alfabetycznym. Urzędnik, którego nazwiska Lynn nie zapamiętała, choć na wstępie im się przedstawił, wręczył Jessowi imponujący komputerowy wydruk, spoglądając przy tym znacząco na stojącego obok oficera policji, jakby chciał powiedzieć: "Mam nadzieję, że dobrze robię". Lynn wytropiła nieufne spojrzenie, którym chwilę wcześniej obrzucił przypominającą nieco korowód karnawałowych przebierańców świtę Feldmana. Swoje wrażenia skwitował pogardliwym prychnięciem, aż nadto wyraziście świadczącym o niesmaku. Pierwszy raz w życiu Lynn została jednoznacznie zdyskwalifikowana.

Tymczasem Jess zajął się spisem: niecierpliwie wertował strony, przebiegając wzrokiem listę nazwisk. Na koniec uniósł głowę; na jego twarzy malowało się zakłopotanie.

- Thereso, czy jesteś pewna, że właśnie w tym oddziale banku byłaś wraz z ojcem?

- zwrócił się do dziewczyny, która skinęła głową.

Siostra Eliasza wciąż miała na sobie podartą nocną koszulę, ale ręce i twarz

dziewczyny lśniły teraz czystością, a potargane przedtem włosy zdażyła uładzić, zwijając w węzeł na karku.

- Pamiętam te róże - odezwała się ze smutnym półuśmiechem. - Wtedy sądziłam, że są prawdziwe, lecz teraz widzę, że się myliłam, bo przecież nie przetrwałyby tak długo.

Idąc za jej spojrzeniem, Lynn ujrzała wspaniały bukiet róż kunsztownie ułożony w kryształowym wazonie na stole naprzeciw wejścia. Pąsowe i szkarłatne kwiaty tworzyły niepowtarzalną kompozycję. Niektóre w pełnej krasie pyszniły się bujnie na sztywnych łodygach, inne zaś przekwitały, z opuszczonymi główkami szykując się do zgubienia wyblakłych na brzegach płatków. Theresa ma rację, pomyślała Lynn, takich róż się nie zapomina.

- Na tej liście nie figuruje Michael Stewart. - Głos Jessa za brzmiał oschle.

Lynn wiedziała, że nie pozwoliłby sobie na taki ton w stosunku do tej biedaczki, gdyby nie silne zdenerwowanie. Ujrzała, że kowboj na powrót rozkłada listę. Od nowa zaczął studiować nazwiska, a kiedy skończył, jego twarz wyrażała rosnącą konsternację.

- Tu nie ma nazwiska twojego ojca - powtórzył, spoglądając na dziewczynę. - Jest za to troje innych Stewartów: William T., Bruce H. i Virginia R. Czy te imiona coś ci mówią?

Theresa zaprzeczyła ruchem głowy.

- Mimo wszystko będziemy musieli zajrzeć do tych trzech skrytek - orzekł Jess, zwracając się do urzędnika, który z przerażenia otworzył szeroko oczy. - Tam do licha, w razie potrzeby przeczeszemy wszystkie!

Przedstawiciel banku postąpił krok do przodu, potrząsając głową.

- To niezgodne z regulaminem bankowym. Poza tym ustalono, że otworzę tylko jedną skrytkę, więc...

- Jest siódma dwadzieścia osiem, panie Thompkins - przerwał mu Jess, rzuciwszy okiem na zegarek Louisa. - Czy pan wie, co ma nastąpić o dziewiątej?

Urzędnik przytaknął z nieszczęśliwą miną.

- Udostępnię wszystkie, których pan sobie zażyczy - ustąpił pokonany. - Proszę jednak pamiętać, iż posiadamy tu ponad osiemset skrytek. Przejrzenie ich wszystkich potrwa wiecznie.

Jess jęknął, a jego spojrzenie znów pobiegło do Theresy.

- Czy ojciec posługiwał się kiedykolwiek innym nazwiskiem? Używał może pseudonimu? - zapytał łagodnie. Lynn zdawała sobie sprawę, ile go ta cierpliwość kosztuje.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nigdy o tym nie słyszałam.

- No dobrze. - Potarł twarz dłonią. - Thereso, usiądź przy jednym z tamtych biurek i jeszcze raz przejrzyj sama tę listę. Być może któreś z nazwisk nasunie ci jakieś skojarzenie i uznasz, że twój ojciec mógł się nim posłużyć. Lynn, pomóż jej, dobrze? Czas goni nas nieubłaganie. Panie Thompkins, przystępujemy do otwierania skrytek.

Lynn z wydrukem w dłoni poprowadziła dziewczynę do biurka stojącego najbliżej. Tam usiadły we dwie, pochylając głowy nad listą. Jess i sztywny przedstawiciel banku w asyście jednego z policjantów stanowych zniknęli w głębi korytarza. Marty pozostał w westybulu, krążąc niczym dusza potępiona za plecami obu kobiet, Louis zaś, wytropiwszy nęcącą opływowymi liniami kanapę, wyciągnął się na niej wygodnie.

Przebrnięcie przez listę zawierającą osiemset nazwisk okazało się zajęciem nadzwyczaj nużącym. Mimo to Lynn, choć nie miała pojęcia, czego właściwie szukają, z oddaniem studiowała długie kolumny, podążając oczami za palcem Theresy, nad wyraz mozolnie ześlizgującym się w dół.

Odcyfrowywanie poszczególnych nazwisk zabierało dziewczynie mnóstwo czasu. Dobrze, że w pobliżu nie było zegara, gdyż Lynn z całą pewnością zerwałaby się z krzykiem z krzesła, słysząc, jak bezlitośnie uciekają cenne minuty spędzone przy tym żmudnym i zdającym się nie mieć końca zajęciu.

Marty przestał ich pilnować i znalazł sobie miejsce obok Louisa na miękkiej kanapce. W przeciwieństwie jednak do chudzielca, który siedział nieruchomo jak kukła, policjant wiercił się i kręcił, skubiąc zębami kciuk, konwulsyjnie poruszał nogą albo też stukał stopą o podłogę.

Lynn aż korciło, aby przywołać go do porządku.

Zbliżały się właśnie do końca ostatniej strony, gdy palec Theresy nagle się zatrzymał.

- Popatrz! - odezwała się, podnosząc wzrok na Lynn. - Znalazłam hasło, którego mógł użyć tata.

Lynn odczytała wskazane słowa:

- Piołun, Gwiazda. Gwiazda Piołun?

- To chyba cytat z Księgi Apokalipsy. Piołun to nazwa gwiazdy, która ma spaść na ziemię podczas końca świata, czyniąc wielkie spustoszenie.

Lynn wlepiła w dziewczynę uważne spojrzenie, po czym porwała z biurka długopis i kartkę do notatek, zapisała podany przy hasle numer i poderwała się na nogi, krzycząc głośno:

- Jess!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, popędziła do skarbca.

Jess, pan Thompkins i pomagający im policjant zdążyli otworzyć zaledwie około jednej dziesiątej z niezliczonych skrytek, ciągnących się wzdłuż ścian obszernego pomieszczenia. Kiedy Lynn wbiegła do środka, cała trójka, uporawszy się właśnie z kolejnymi odlanymi z brązu drzwiczkami, przeszukiwała rzeczy złożone w wysuniętej ze ściany metalowej szufladzie.

- Znalazła! Mówi, że w grę może wchodzić hasło „Gwiazda Piołun”! - Pokonała ostatnie stopnie, podbiegła do Jessa i wręczyła mu karteczkę z zapiskami.

- Sześćset siedemdziesiąt trzy - odczytał na głos przedstawiciel banku, a potem ruszył energicznie wzdłuż ściany, kręcąc głową. - Minęłoby jeszcze sporo czasu, zanim byśmy do niej dotarli - oświadczył kwaśno.

Poszukiwana skrytka znajdowała się na szarym końcu długiego szeregu, w trzecim

rzędzie od dołu.

Tymczasem cała reszta ekipy zbiegła również do podziemi, wiedzona chęcią uczestniczenia w chwili tak ważnej dla dalszego rozwoju wypadków.

Pan Thompkins z namaszczeniem umieścił kluczyk w zamku, przekręcił go i otworzywszy drzwiczki, wysunął ze skrytki szufladę. Jess natychmiast porwał leżący na wierzchu plik spiętych spinaczem kartek wyrwanych ze skoroszytu i złożonych zapisanymi stronami do środka. Rozłożył papiery, rzucił na nie pobieżnie okiem, po czym podniósł wzrok, patrząc wprost na Lynn, choć wokół kłębił się spory tłumek innych ludzi.

Wstrzymała oddech w napięciu.

- Znaleźliśmy - oznajmił.

Odetchnęła głęboko.

- Czy to na pewno to? Czy to skrytka Michaela Stewarta? - dopytywała się, podczas gdy urzędnik bankowy, taszcząc z sobą szufladę, skierował się do wyjścia.

Za nim podążał Jess, po drodze przeglądając zawartość bezcennego pliku dokumentów. Dalej dreptała Lynn, a za nią cała reszta uczestniczących w poszukiwaniach osób. Ich komentarze, okrzyki i udzielane sobie nawzajem wyjaśnienia w ogóle do niej nie docierały, całą uwagę skupiła, bowiem na Jessie i trzymany przez niego dokumentach.

- To z całą pewnością plany, których szukamy - uspokoił ją kowboj, kiedy pan Thompkins postawił wreszcie z łoskotem szufladę na stole.

Oparłszy się o krawędź biurka, Feldman wrócił do pierwszej strony pliku, po czym jął wertować go metodycznie, biedząc się z odczytaniem niewyraźnego, odręcznego pisma i rozszyfrowaniem szczegółów drobnych rysunków, które zapełniały kolejne kartki.

- Dzięki Bogu - westchnęła Lynn z niewysłowioną ulgą, przykładając dłoń do ust, następnie osunęła się na najbliższe krzesło.

Jess tymczasem, w miarę postępów w odcyfrowywaniu skomplikowanych notatek, coraz bardziej marszczył brwi.

Na ten widok serce Lynn znów podeszło do gardła.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Czegoś tu brakuje - odrzekł, odłożył notatki i zagłębił dłonie w szufladzie.

Przeczesał drobiazgowo jej zawartość, ignorując takie trofea, jak diamentowe kolczyki czy nagrodę z zawodów tenisowych, aż wreszcie spośród stosu rupieci i luzem poniewierających się dokumentów rodzinnych wyłowił tkwiącą w koszulce z szarego papieru dyskietkę, którą pieczołowicie przechowywano na sa mym dnie szuflady.

Na szarym papierze drukowanymi literami wykaligrafowano napis: "Piołun".

- Jest - oznajmił z satysfakcją i zwracając się do przedstawiciela banku dodał:

- Potrzebny mi będzie komputer.

- Wszyscy nasi pracownicy operacyjni dysponują własnymi komputerami - oświadczył z dumą pan Thompkins, prowadząc Jessa z powrotem do głównych pomieszczeń

bankowych. - Mam nadzieję, że zawartość tej dyskietki da się odczytać na sprzęcie IBM.

Kowboj zerknął na kruchy przedmiot ściskany w dłoń.

- Jak najbardziej - zapewnił urzędnika.

Podszedł do pierwszego z brzegu biurka, zgodnie z zapewnieniami pana Thompkinsa rzeczywiście wyposażonego w komputer, i uruchomił urządzenie. Uderzywszy kilka klawiszy, odczekał chwilę, po czym wsunął do środka dyskietkę.

Na ekranie monitora wyświetliła się ikonka z prośbą o podanie hasła użytkownika. Śledzony przez kilkanaście par rozszerzonych z przejęcia oczu, Jess zawahał się tylko przez ułamek sekundy, zanim wpisał słowo: "Piołun".

Ekran zamrugał, ikonka zniknęła, a po chwili ze środka ciemnej tafli wynurzyła się wolno obracającą się kula. Lynn odgadła, że to wyobrażenie globu ziemskiego. Kiedy kula znikła, na jej miejscu wyskoczył świetlisty punkcik wielkości łebka od szpilki, który rozrósł się błyskawicznie, w mgnieniu oka zajmując cały ekran i napełniając go jasną poświatą. Wówczas rozległ się sygnał połączenia telefonicznego, system łączył się z Internetem. Ekran ponownie zamrugał raz i drugi.

Na koniec pojawił się na nim napis: "Witaj, Michaelu".

Lynn usłyszała, że stojąca obok niej Theresa wstrzymała oddech z niepokoju.

Wyciągnąwszy rękę, mocno ujęła zimną niczym lód dłoń dziewczyny, domyśliła się bowiem, że odtwarzanie informacji zebranych przez Stewarta Theresa najprawdopodobniej odbiera jak rozmowę z duchem ojca.

Obok biurka, przy którym się zgromadzili, stało następne; Jess przeszedł do niego, podniósł słuchawkę telefonu, rzucił okiem na zanotowany na dłoni numer i wystukał go pośpiesznie.

- Ben? - odezwał się kilka sekund później, wracając ze słuchawką przy uchu przed ekran monitora. - Znaleźliśmy zgubę. Detonatory ładunków nuklearnych, pozostałych zresztą również, połączone zostały z pagerami. Tak, dobrze rozumiałeś, z numerycznymi pagerami. No wiesz, z tymi urządzeniami, którymi na przykład posługują się handlarze narkotyków, gdy chcą przyjąć wiadomość w rodzaju: „Potrzebna mi natychmiast działka heroiny”. - Zamilkł, słuchając komentarza, a potem pokiwał głową. - Tak, numery telefonów i tym podobne. Mam tu dwanaście liczb na ekranie - siedzę właśnie w banku przy komputerze - i sądzę, że to numery dwunastu pagerów. Z tego, co tu widzę, program skonstruowano tak, że jedno hasło może zostać przesłane za pośrednictwem Internetu do wszystkim pagerów jednocześnie. Wielebnemu Bobowi wystarczy więc tylko dostęp do Internetu i znajomość tego właśnie hasła, aby z dowolnego miejsca na ziemi posłać nas do piekła. - Zamilkł, dopuszczając do głosu swego rozmówcę, a gdy słuchał, ledwie dostrzegalny półuśmiešek zamajaczył na jego ustach. - Ja również tak sądzę. Stewart z całą pewnością wprowadził do programu także hasło awaryjne, pozwalający jemu czy też jakiegokolwiek innej osobie unieważnić polecenie: „Ognia!”, i nie dopuścić do wybuchu. Tak, coś w rodzaju kodu blokującego dalsze komendy. Wpisujesz to hasło, zatwierdzasz i detonatory pozostają głuche. -

Ponownie zamilkł, pilnie analizując odpowiedź. - No cóż, w tym sęk. Kod uruchamiający operację jest jasny: „Miłość uzdrawia”. Nie, wcale nie żartuję. Wystarczy, że wielebny Bob wpisze hasło: "Miłość uzdrawia" i cały kraj wyleci w powietrze. Niestety, zamiast kodu awaryjnego w programie występuje tylko kilka gwiazdek. Tak, ściśle rzecz biorąc, osiem. Nie, nie sądzę, aby tak mógł brzmieć kod, ale nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Dlatego też pilnie jest mi potrzebny informatyk, który pomoże to rozwikłać. Kiedy najwcześniej możesz tu kogoś przysłać? - Ucichł i znowu słuchał; twarz mu się zachmurzyła. - Musisz znaleźć kogoś bliżej. W przeciwnym razie możemy paść tak blisko celu - sapnął niezadowolony. - Dobrze, niech się tym zajmie u siebie, a ja spróbuję poszperać tutaj na własną rękę. Będę cię informować o postępach.

Odłożył powoli słuchawkę i z namysłem zwilżył językiem usta. Był to grymas dla Jessa tak nietypowy, że Lynn zadrżała, czując, że ten odruch nie wróży niczego dobrego.

Tymczasem Feldman odwrócił się do reszty zgromadzonych, prezentując spokojny wyraz twarzy.

- Słuchajcie, moi drodzy, mamy wszystko, aby rozbroić bomby, oprócz jednego: hasła odwoławczego. Zostało wprowadzone do tego programu, niestety, nie wiadomo, jakim słowem czy też zdaniem Stewart się posłużył. Dyskietka nie podaje brzmienia hasła, oznaczono je tylko gwiazdkami. Musimy wspólnie ruszyć głową. Thereso, czy nie przychodzi ci na myśl żaden cytat, które go ojciec mógł użyć, by powstrzymać zagładę?

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

- Może „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje?” - podsunęła nieśmiało. - Tata powtarzał nam to co rano.

Z miny Jessa Lynn wywnioskowała, iż nie jest przekonany o trafności tej sugestii. Niemniej, wzruszając ramionami, powiedział

- Czemu nie? Spróbujmy.

Wpisał podane przez Theresę zdanie w zaznaczonym miejscu w komputerze i zatwierdził. Ekran mrugnął, a w kilka sekund później wypłynął odpowiedź:

"Niewłaściwy kod".

- A coś innego? - zwrócił się ponownie do dziewczyny.

Zmarszczyła czoło.

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

- A może byśmy tak odwołali się do spraw rodzinnych? Jakie na przykład imię nosiła twoja mama?

- Sally. - Głos Theresy załamał się przy tym, ale dziewczyna dzielnie opanowała łzy.

Jess wystukał to imię na klawiaturze; maszyna jednak powtórzyła uparcie:

„Niewłaściwy kod”.

Z cierpliwością godną podziwu Jess przystąpił do metodycznego wprowadzania do komputera kolejnych imion członków całej rodziny Michaela.

A czas płynął... Gdzieś w oddali zegar wybił ósmą.

Na ten dźwięk krew odpłynęła Lynn z serca.

Pozostała im już tylko godzina.

44

Louis, nie leń się, tylko rusz głową! Jakich zwrotów lub słów, twoim zdaniem, mógł użyć Stewart, co? Czy oprócz pozdrowienia: „Miłość uzdrawia” istnieją inne, równie chwytliwe hasła głoszone przez sektę Uzdrawicieli?

- Takie określenie to zniewaga - nadał się chudzielec. Stał przed biurkiem, Theresa siedziała obok na krześle, a Jess na próżno dręczył niewzruszony ich gorączkowymi wysiłkami komputer.

- Dobrze, dobrze. Myśl zamiast się wymądrzać - zirytował się kowboj. - Może cytaty z Biblii, podobnie jak "Gwiazda Piołun"?

Gwiazda Piołun. Lynn drgnęła, tknięta niejasną myślą, po czym nagle doznała olśnienia. Oczywiście! Poderwała się na równe nogi i podbiegłszy do pierwszego biurka, na którym wciąż spoczywała porzucona lista właścicieli skrytek. Złapała ją niecierpliwie i otworzyła na ostatniej stronie.

Serce łomotało jej w piersi, kiedy odnalazła to, czego szukała.

Nazwa gwiazdy figurowała na wydruku dwukrotnie. Rzecz jasna, mogła to być tylko zwykła pomyłka, ale...

Zatrzymała się przy zlekceważonym uprzednio powtórzeniu, przesuwając palcem do odpowiadającego mu numeru skrytki: 289! Zalała ją fala radości.

- Jess! - zawołała. - Jess! Chyba wiem, gdzie znajduje się kod: w skrytce numer dwieście osiemdziesiąt dziewięć!

- Co? - Uniósł głowę znad klawiatury i poprzez rozdzielające ich przejście napotkał rozradowane spojrzenie Lynn.

- Do "Gwiazdy Piołun" należą dwie skrytki - wyjaśniła głosem drżącym z podniecenia. - Numer sześćset siedemdziesiąt trzy i numer dwieście osiemdziesiąt dziewięć!

- Chodźmy sprawdzić!

Jess w jednej chwili porzucił komputer i ponownie pośpieszył do podziemi w asyście nieodłącznego pana Thompkinsa. Pozostali również podążyli za nimi. Skrytka numer dwieście osiemdziesiąt dziewięć zawierała tylko kartkę z notesu, zwiniętą i przewiazaną gumką.

Lynn drżała z emocji, gdy kowboj zdejmował gumkę i rozkładał papier.

Od razu rozpoznała niestaranne pismo Stewarta, lecz stała zbyt daleko, by móc odczytać treść napisanego czarnym atramentem zdania.

Jess ją wyręczył, mówiąc na głos:

- „Nie znacie dłużej ni godziny”. Rozejrzał się, jakby sprawdzając efekt tych słów.

- Tak, to musi być to - orzekł stanowczo.

- Która godzina? - Tym prostym pytaniem Marty sprowadził wszystkich na ziemię.

- Ósma dwadzieścia siedem... - Zanim pan Thompkins zdążył odpowiedzieć do końca, Jess pędził już do komputera; Lynn deptała mu po piętach.

Pół godziny do wybuchu!

Mając u boku Lynn, a za plecami całą resztę towarzystwa przepychającą się w

poszukiwaniu jak najdogodniejszego miejsca do obserwacji, Jess wystukał magiczne zdanie.

„Nie znacie dnia ni godziny”.

Ekran zamigotał raz, drugi, trzeci, aż wreszcie pojawiła się odpowiedź: „Kod przyjęto”.

Z zapartym tchem śledzili, jak dwanaście znaków przedstawiających poruszane skrzydłami koperty odplywa jeden po drugim z pola widzenia.

Ekran ponownie zamigotał, po czym skwitował całą operację następującym komentarzem: „Zakończono przesyłanie poleceń do pagerów. Bomby zostały rozbrojone”.

W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszyscy bez wyjątku, począwszy od Jessa, na stanowych stróżach porządku kończąc, niczym zahipnotyzowani wpatrywali się w komputer.

Wreszcie pierwszy nie wytrzymał Jess.

- Udało się! - wykrzyknął, unosząc do góry kciuk i porywając Lynn w objęcia.

Jego entuzjazm udzielił się pozostałym. Wokoło rozległy się wiwaty, Marty podskakiwał jak na sprężynie, a policjanci pokrzykiwali z triumfem, uderzając się na znak zwycięstwa w dłonie.

- Już po wszystkim? Tak po prostu? - Lynn, śmiejąc się i płacząc na przemian, przywarła do Jessa i objęła go ciasno za szyję.

- Po wszystkim. - Przypieczętował to zapewnienie pocałunkiem w usta, po czym postawił ją na ziemi. - Wybacz na chwilę, muszę zadzwonić do Bena.

Podszedł do aparatu na sąsiednim biurku, jeszcze raz zerknął na zapisany na dłoni numer i wystukał go energicznie.

- Znaleźliśmy kod - rzucił lakonicznie do słuchawki. - Werset z Biblii: „Nie znacie dnia ni godziny”. Kryzys zażegnany. Twoim chłopcom pozostaje tylko zakończyć porządki. - Umiłkł i zadowolony słuchał odpowiedzi. Nagle jego oczy przygasły. - Nie, o tym nie pomyślałem - odrzekł, a głos na powrót mu stężał. - Dziękuję za tę uwagę. - Znowu przerwał. - Teoretycznie może przebywać w dowolnym punkcie globu. Nie ma większych szans, że zdołamy go odnaleźć w ciągu pół godziny. - Cisza. - Dobrze, wiem, wiem. Zrobię, co się da. W porządku, odezwę się.

Odłożył słuchawkę i spojrzał posępnie na Lynn. Wiwaty wokół komputera nie słabły i nikt oprócz niej nie zwrócił najmniejszej uwagi na przebieg tej ważnej rozmowy telefonicznej.

- Co się dzieje? - zapytała cicho.

- Ben słusznie zauważył, że po ucieczce Stewarta Uzdrowiciele mogli wymienić sposób podłączenia bomb. Nie sądzę, że tak się stało, gdyż, po co by go z takim uporem tropili, ale, ostatecznie, kto wie? Krótko mówiąc, teoretycznie wciąż możemy spodziewać się wybuchu o dziewiątej.

- O, nie! - jęknęła Lynn, zdruzgotana, a potem poczuła, że wzbiera w niej złość.

Po wszystkim, co przeszli, jeszcze takie komplikacje? Tego już za wiele!

- I co mają zamiar teraz zrobić? Czy oprócz ciebie i Bena ktoś w ogóle raczy się

tą sprawą zajmować? Czy ktokolwiek w kraju zadał sobie choć trochę trudu - na przykład FBI, CIA czy Pentagon? ...

Jess wykrzywił usta w słabym uśmiechu.

- Kochanie, oni wszyscy od kilku godzin nie robią nic innego, tylko kręcą się wokół tej właśnie sprawy. Dziewięćdziesiąt procent sił bezpieczeństwa tkwi w tym po uszy, większość z nich wraca właśnie z akcji w Dakocie. Tak się jednak składa, że poniekąd wróciliśmy do punktu wyjścia. Ben chce, abym wypytał Theresę i Louisa, czy nie wiedzą czegoś, co mogłoby naprowadzić nas na trop wielobnego Boba.

- Na wszelki wypadek - dorzuciła Lynn.

- Na wszelki wypadek - zgodził się kowboj, popatrując dookoła. Odnalazłszy wzrokiem dziewczynę, przywołał ją do siebie, mówiąc po prostu: - Thereso, pozwól na chwilę.

Podobnie jak Lynn, z niechęcią myślał o podzieleniu się złymi wiadomościami akurat w chwili, gdy wszyscy ledwie zdołali trochę ochłonąć po tak wielkich emocjach. Byłoby czystym barbarzyństwem wytrącić ich nagle z nastroju tak zasłużonej euforii.

Theresa podeszła do nich zaintrygowana.

- Czy wiesz, dokąd Robert Talmadge mógł się udać, by oczekiwać końca świata? Czy twój ojciec nigdy nie wspominał o żadnej specjalnej kryjówce swego duchowego przewodnika?

Theresa potrząsnęła głową. - Spodziewałabym się chyba, że dołączy do rzeszy wiernych w siedzibie sekty.

- Nie było go tam. Agenci federalni zorganizowali obławę, ale bez rezultatu.

- Może nie zdążył dotrzeć z Utah do Dakoty przed agentami?

Jess zmarszczył czoło.

- Jak to z Utah? Kiedy był w Utah?

- Zglądał do naszej chaty podczas... tamtej nocy. Wszedł do środka.

- Widziałaś go?

Jess wlepił w nią okrągłe ze zdumienia oczy

Znowu potrząsnęła głową.

- Nie, siedziałam z Eliaszem w kryjówce - w składziku pod podłogą. Słyszałam tylko jego głos. - Dziewczyna wzdrygnęła się na to ponure wspomnienie. -

Poznałabym ów głos wszędzie. Odkąd opuściliśmy zgromadzenie, my, dzieci, nie nazywałyśmy już Talmadgea Barankiem, dla nas stał się Śmiercią. Pamiętasz takie słowa z Biblii: „Nadeszła Śmierć, a po niej nastąpiło piekło”? Ochrzciliśmy go tak, ponieważ zamienił nasze życie w piekło - pełne strachu, wiecznej niepewności i ciągłych ucieczek.

- Jesteś pewna, że głos, który słyszałaś, należał do Roberta Talmadgea? - Jess wciąż nie wydawał się przekonany. Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy.

Kowboj zacisnął usta, zbierając myśli. Po chwili rozejrzył się po sali.

- Louis? - rzucił w przestrzeń, by po chwili spytać z rosnącym niepokojem w głosie: - Gdzie jest Louis? Chudzielec przepadł.

Po szybkiej, lecz dokładnej lustracji wszystkich dostępnych pomieszczeń w budynku Feldman wypadł na ulicę. Helikopter stał nieruchomo na swoim miejscu, a znudzony pilot beznamiętnie przyglądał się okolicy. Kordon policji nadal otaczał bank, kilka wozów patrolowych wciąż blokowało ulicę, a pozostałe wciąż znajdowały się na parkingu przylegającym do banku.

Louisa ani śladu.

Z jednego z samochodów na parkingu wysiadł policjant i ruszył w stronę kowboja, który wezwał go gestem dłoni. Policjant przyspieszył kroku.

- Widzieliście mężczyznę wychodzącego z banku? Ciemnowłosa, ubrany w zielony, szpitalny kitel i czarne spodnie?

- Zgadza się. Przeszedł do końca ulicą i wskoczył do taksówki - zameldował rześko funkcjonariusz, ale zmartwił się, widząc minę Jessa. - Nie mieliśmy instrukcji, by zatrzymywać wychodzących z banku. Czy należało go schwytać?

- Teraz to już i tak bez znaczenia - odparł Jess ponuro. - Trudno, to nie wasza wina. Moglibyście sprawdzić, dokąd pojechała ta taksówka? To pilne.

Policjant puścił się pędem do samochodu. Jess spojrzał na Lynn.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wielebny Bob przez cały czas kręci się gdzieś tu pod naszym nosem. Przejrzałem w końcu postępowanie Michaela Stewarta - to nie przypadek zwabił go do Utah. On z rozmysłem osiedlił się właśnie tutaj, chcąc pozostać w pobliżu konkretnego miejsca, a założę się, że jest nim to, z którego Baranek zamierzał zdetonować bomby. Stewart chciał z ukrycia trzymać rękę na pulsie, aby w odpowiednim momencie pomieszać wielebnemu szyki dzięki potajemnie zaprogramowanemu systemowi powstrzymującemu wybuch. Niestety, Talmadge wykrył istnienie owego kodu i udał się w pościg za Stewartem. Pozbywszy się dezertera, Baranek żyje w przekonaniu, że nikt i nic nie zagraża już jego planom - Jess uśmiechnął się blado. - Ale się myli.

Nadbiegł zadyszany policjant, ściskając w dłoni kartkę papieru.

- Taksówka pojechała na Orkdale Road 22079. To za miastem, w kierunku Springville. Ten numer ma farma - wyjaśnił rzeczowo.

- W porządku, dziękuję. Zbierzcie wszystkie dostępne siły, spotkamy się tam na miejscu - tylko, na Boga, żadnych syren. Ja polecę helikopterem. - Ponownie wykrzywił twarz w uśmiechu. - Kto wie, może nawet pojawię się tam przed Louistem? Policjant pobiegł do samochodu, a Lynn podążyła za Jessem w stronę helikoptera. Pilot, który zauważył, iż coś się dzieje, grzał już silniki.

Tuż przed zanurkowaniem pod obracające się śmigła kowboj odwrócił się, a zauważywszy biegnącą za nim Lynn, zatrzymał się nagle i złapał ją za ramię.

- Ty zostajesz! - zawołał, przekrzykując warkot motoru.

- Lecę z tobą! - zaprotestowała.

- Nie ma mowy! Ta wojna nie jest dla cywilów ani kobiet!

- Posłuchaj, ty szowinistyczna... - zaczęła z furją, lecz nie dane jej było dokończyć, gdyż Jess popchnął ją silnie do tyłu, po czym wykorzystując jej zaskoczenie, jednym susem wskoczył do śmigłowca. Zanim Lynn się pozbierała, helikopter poderwał się do lotu.

Kowboj ledwie zdążył pomachać jej radośnie z tylnego siedzenia, gdy maszyna, pochyliwszy się gwałtownie na lewy bok, zwa wo uleciała w przestworza. Tymczasem stróże prawa ruszyli do boju z takim animuszem, że Lynn aż musiała uskoczyć im z drogi.

Jeden z wozów zatrzymał się przy niej z piskiem hamulców; policjant, który wcześniej rozmawiał z Jessem, wychylił się przez okno.

- Wiadomość dla pani: proszę się skontaktować z tym numerem! - Wręczył jej kartkę i już go nie było.

Spojrzała na świstek papieru i popędziła z powrotem do banku, mijając po drodze Theresę, Martego i pana Thompkinsa, którzy stali na schodach, zaintrygowani głośnym zamieszaniem na ulicy.

Dopadłszy telefonu, Lynn wystukała numer.

- Lenny, jestem w Provo, w drugim oddziale National Bank przy State Street - wyrzuciła spiesznie, nie pozwalając mężczyźnie z drugiej strony dokończyć nawet słowa: „Cześć! „ - A ty?

- Depczę ci po piętach, skarbie - odpowiedział. - Kiedy, jak prosiłaś, zjawiłem się w szpitalu, pewna usłużna siostrzyczka uchyliła mi rąbka tajemnicy, dokąd to właściwie pognałaś. Powiedz, co tam u was się dzieje?

- Rozmawiasz z telefonu komórkowego? Wobec tego wyjaśnię ci wszystko, kiedy tu przyjedziesz. Lenny, tylko pośpiesz się, proszę - ta afera to wyjątkowa gratka.

- Już pędzę, skarbie - obiecał Lenny i rozłączył się natychmiast.

45

Jess wszedł na teren samotnej farmy w pojedynkę, gdyż panicznie bał się powtórki scenariusza z Waco. Pamięć o tamtej nieudolnie przeprowadzonej obławie, która doprowadziła do tragedii, powstrzymała go od posłużenia się posiłkami, szczególnie że tym razem, co gorsza, wspierali go nie agenci federalni, lecz grupa kompletnie mu nieznanymi policjantów stanowych. A w tej akcji za żadne skarby nie mógł pozwolić sobie na utratę panowania nad sytuacją.

Na jego życzenie oddział policji ukrył się w oddali. Bukoliczna kępa drzew, parkan i duże stado spokojnie pasących się krów zasłoniły dzielnych stróżów prawa przed niepożądanym wzrokiem. Nieopodal nich przycupnął helikopter.

Nie było innego sposobu sprawdzenia, czy kod odwoławczy zadziała, tylko poczekać do dziewiątej, Jess jednak nie chciał tego robić, gdyż pragnął mieć całkowitą pewność, a tę mógł zyskać jedynie, powstrzymując Talmadgea przed przyciśnięciem guzika.

Taka operacja to rzecz zwyczajna w karierze agenta federalnego ATF. Tam codziennie ryzykuje się własne życie. To, dlatego Jess rozstał się z tą pracą.

Rozstał się, a teraz znowu miał wystąpić w tej samej roli, tyle że bez ubezpieczenia emerytalnego i składki na fundusz zdrowotny.

Do ostatniej chwili oczekiwał pojawienia się Bena i jego ludzi. Na próżno. Przed godziną 8.52 gotów był nawet przyjąć pomoc od dawnych zaciekle rywali - agentów FBI, którzy jak dowiedział się od Bena, podobno także śpieszyli już w stronę farmy.

Nie dotarli jednak na czas, a na odległość nie mogli się do ni czego przydać. O 8.52 kowboj zdecydował, że nie może czekać dłużej. Biegł jak najciszej przez pole oddzielające prawdopodobne miejsce pobytu wielebnego Boba od terenów sąsiedniej farmy, gorączkowo starając się wymyślić wiarygodny pretekst swojej wizyty. Mogło się przecież zdarzyć, że jego podejrzenia okażą się fałszywe, a Louis po prostu zatęsknił do dawno niewidzianej ciotki, niemającej nic wspólnego z aferą bombową.

Ostatecznie jednak doszedł do wniosku, że wykręty nie zdadzą się na nic - choćby przekonał wszystkich o swych godziwych zamiarach, Louis i tak go przecież rozpozna i wyśmieje.

Jess wcześniej wpadł na genialny pomysł, że najskuteczniejszym sposobem zapobieżenia planom Talmadgea będzie pozbawienie jego siedziby elektryczności, a tym samym łączności z Internetem, zdażył jednak sprawdzić, że farma dysponuje własnym generatorem.

Jednym słowem, celem jego samotnej misji stało się zniszczenie owego generatora. Czy podoła temu zadaniu?

Dzięki uprzejmości chłopców z policji stanowej został wyposażony w pistolet, łączność radiową, parę izolacyjnych rękawic i nożyce do cięcia przewodów elektrycznych.

Tak uzbrojony miał tylko odnaleźć generator, przeciąć przewód łączący go z domem i wezwać pomoc do oczyszczenia terenu z nieprzyjaciela..

Proste?

Ze zlokalizowaniem generatora nie było najmniejszego problemu, gdyż Jess usłyszał jego brzęczenie, zanim jeszcze postawił nogę na terenie posesji.

Wyjrawszy zza węgła piętrowego, obłożonego deskami domu z malowniczym gankiem, natknął się na poszukiwane urządzenie. Stało niczym nieosłonięte na powietrzu, a jego opasły, metalowy korpus dumnie połyskiwał w porannym słońcu.

Wokół nie było żywej duszy. Jess wziął głęboki oddech, nałożył rękawice, ścisnął mocno nożyce w dłoni i postąpił krok do przodu, gdy wtem mocny cios w tył głowy powalił go na ziemię.

46

Kiedy Jess otworzył oczy, ujrzał przed sobą ekran telewizora, a na ekranie spikera wiadomości CNN. Widok ów tak go zaskoczył, że zaczął mrugać z niedowierzaniem, jakby spodziewając się, że obraz rozplynie się zaraz w powietrzu.

Spróbował się poruszyć, lecz bez skutku, gdyż solidną liną przywiązano go mocno do oparcia krzesła, na którym siedział. Ręce skrupowano mu z tyłu, a usta zatkano kneblem.

Wszystko wskazywało na to, że jego misja spaliła na panewce.

Rozejrzał się dookoła. Pomieszczenie, w którym się znajdował, w założeniu miało zapewne być wiejską sypialnią. Najbliższe okno częściowo przysłaniały delikatne zasłony. Rzuciwszy okiem przez zostawioną w środku szparę, Jess zorientował się, że pokój usytuowany jest na pierwszym piętrze. Ściany świeciły bielą, podłogę

zaś przykrywała fiołkoworóżowa wykładzina. Uderzył go brak jakichkolwiek mebli oprócz wspomnianego już telewizora oraz drewnianego kuchennego krzesła. Jak zgadywał Jess, sprzęt ów stanowił najnowszy element wystroju w tym pomieszczeniu.

Stał tu jeszcze długi, konferencyjny stół, na środku którego królował komputer. Zobaczywszy go, Jess jęknął w duchu.

Nagle do pokoju weszła grupa mężczyzn w białych, luźnych szatach. Na czele kroczył smukły, wysoki pięćdziesięciolatek o przyjemnie regularnych rysach twarzy i lwiej grzywie srebrnych włosów.

Robert Talmadge. Jess tylko raz widział jego podobiznę w związku ze sprawą Waco, nie miał jednak najmniejszych wątpliwości, że to przywódca sekty we własnej osobie.

Nie racząc zaszczycić więźnia nawet przelotnym spojrzeniem, Talmadge skierował się prosto do komputera.

Gdzieś w głębi domu zegar zaczął wybijać godzinę. Jess z drżeniem odliczał kolejne uderzenia: sześć, siedem, osiem, dziewięć...

- Już czas, moje dzieci - przemówił wielebny Bob.

- Ale Jahwe powiedział... - zaprotestował słabym głosem jeden ze zgromadzonych, w którym Jess rozpoznał Louisa.

Talmadge uciszył krnąbrną owieczkę surowym spojrzeniem i uniósł dłoń.

- Już czas - powtórzył i zaczął stukać w klawiaturę. Z niepojętej przyczyny, nie wiedząc na pewno, czy za chwilę cały kraj wyleci w powietrze czy też nie, Jess nabrał nagle prze konania, że wszystko skończy się dobrze.

- Miłość uzdrawia - zaszemrał chór głosów.

Na ekranie monitora ikonki opatrzone skrzydełkami kopert jedna za drugą nikięły w niezgłębianych przestworzach Internetu.

- Niech będzie pozdrowione imię Jahwe - odezwał się Talmadge nabożnym tonem, uczniowie zaś odpowiedzieli mu zgodnie, po czym wszyscy jak jeden mąż odwrócili się, wlepiając wzrok w telewizor.

Jess domyślił się, że chcieli zobaczyć na własne oczy efekt swoich poczynań Fala wybuchów atomowych prawdopodobnie ominie Utah, śmierć przyniosą tu dopiero trujące gazy, chemikalia, zarazki chorobotwórcze czy inne paskudztwa użyte w drugim uderzeniu.

Prawdę mówiąc, gdyby Jess mógł wybierać, nigdy by się nie zdecydował na powolne gaśnięcie w męczarniach. W porównaniu z tym utrata życia w wyniku gwałtownej eksplozji wydawała się nieomal przyjemną perspektywą.

Reporter CNN prężył się na tle pomnika Waszyngtona, rozprawiając nieprzerwanie na temat Whitewater.

Pomnik stał wciąż na swoim miejscu, reporter mówił ze swadą i mówił...

Jess poczuł ogromną ulgę - a więc kod odwoławczy zadziałał!

Mniej więcej w tym samym czasie i Talmadge zorientował się, że jego plan zawiódł.

Odwrócił się i wbił nieprzeniknione spojrzenie w więźnia. Reszta zgromadzonych

poszła za jego przykładem. Jess dostrzegł ze zdziwieniem, że biały strój i fanatyczny błysk w oku nawet wymizerowanemu Louisowi nadały diaboliczny wygląd.

- Mam nadzieję, że nie należał pan do zatwardziałych grzeszników, panie Feldman

- powiedział wielebny Bob, nachylając się powoli nad klawiaturą. Coś w jego głosie i całej postawie zaalarmowało Jessa.

Wielebny zaczął uderzać w klawisze...

W nagłym przeblasku intuicji kowboj porwał się na równe nogi i wzięwszy błyskawiczny rozbieg, wystrzelił wraz z krzesłem przez okno pierwszego piętra. W tej samej chwili dom wyleciał w powietrze.

Jess uderzył całym ciężarem o ziemię i stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, leżał na boku z krzesłem wciąż przytroczonym do pleców, a wokoło panowało nieopisane zamieszanie. Wyły syreny niezliczonych wozów strażackich i policyjnych karetek gromadzących się wokół domu, rozgorączkowani policjanci biegali we wszystkie strony, wykrzykując coś gardłowo do krótkofalówek, zaafetowani strażacy zmagali się z gigantycznym węzłem, ciągnąc go ile sił przez podwórze, na które wjeżdżał właśnie, mrugając światłami, szpitalny ambulans. Klęby czarnego, gryzącego dymu i drażniąca woń spalenizny napełniły Jessowi nozdrza, wyciskając mu łzy z oczu.

O kilka kroków od leżącego kowboja Lynn z mikrofonem w ręku wdzięczyła się do skierowanej na nią kamery, którą trzymał nieznajomy typ. Mówiła coś, wskazując najpierw Bessa, do które go właśnie przypadli sanitariusze, potem zaś płonący budynek.

Dopiero po zakończeniu relacji i wyłączeniu kamery podeszła do Jessa, którego właśnie układano na noszach.

- Jak się masz, bohaterze? - zapytała z troską, ściskając mu dłoń.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?

- Przekazuję telewidzom na gorąco ważne wiadomości z miejsca katastrofy - odparła. - Na tym właśnie polega moja praca. A wierz mi, koniec świata to nie lada kąsek.

47

Teego samego dnia po południu w szpitalu miejskim w Salt Lake City Theresa tuliła Eliasza. Przed godziną chłopczyka odłączono od kroplówki, gdy lekarze uznali jego stan za zadowalający, jako że małemu nic już nie dolegało oprócz szybko gojących się odparzeń, które powstały pod zbyt długo niezmienianą pieluszką.

Lekarz prowadzący orzekł, że następnego dnia niemowlę może już opuścić szpital.

Werdykt ten napełnił Theresę smutkiem, przypominając jej, że nie mają z braciszkiem dokąd wrócić - wszak rodzinny dom przestał istnieć.

Z dziewięcioosobowej rodziny zostało ich tylko dwoje.

Z całego serca pragnęła się nim zająć, ale czy sobie poradzi? Niemowlętom trzeba przecież zapewnić dach nad głową, jedzenie, pieluszki.

Jak zdobędzie to wszystko? Stać ją tylko na siostrzaną miłość, nic więcej.

Siedziała samotna i zagubiona, drżąc ze strachu przed nie pewnym jutrem.

Eliasz pisał ucieszenie i pulchną rączką chwycił ją za włosy. Uśmiechnęła się do niego czule przez łyzy.

- Theresa Stewart? - W drzwiach pojawił się umundurowany policjant.

Dziewczyna potwierdziła z wahaniem, mocniej obejmując braciszka, w jej umyśle bowiem zrodziło się nagle straszne podejrzenie: czy tego człowieka nie przysłano przypadkiem, by odebrać jej Eliasza?

Skoro ona nie jest w stanie zapewnić dziecku właściwej opieki, zapewne zechcą przekazać chłopczyka w ręce kogoś, kto może temu podołać.

- Chodź ze mną, proszę. Od małego wychowywano ją w poszanowaniu autorytetów, lecz teraz właśnie po raz pierwszy miała ochotę nie usłuchać.

Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na przedstawiciela władzy, by zrozumieć, że wszelki opór jest tu na nic. Wstała i tuląc mocno niemowlę do piersi, bez słowa podążyła za policjantem.

Ich przejście korytarzem wywołało poruszenie wśród pielęgniarek; zaciekawione wyglądały z dyżurki.

Theresa odruchowo przytuliła Eliasza jeszcze mocniej, aż biedne dziecko zaczęło wierzgać i szarpać się na wszystkie strony.

Kiedy podeszli do windy, dziewczyna całkiem straciła odwagę. Z trudem powstrzymywała się, by nie uciec.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, zanim zdecydowała się wsiąść.

- Tylko na pierwsze piętro - odrzekł z miłym uśmiechem, dzięki któremu nieco się uspokoiła. - Proszę się nie obawiać.

Wsiadła.

Na pierwszym piętrze mężczyzna poprowadził ją długim korytarzem, a kiedy doszli do jego połowy, zatrzymał się i otworzywszy jedne z drzwi, uprzejmym gestem zaprosił dziewczynę do środka.

W pokoju stało łóżko, na którym leżał ktoś chory; pochylał się nad nim młody człowiek w białym kitlu. Słyszając kroki, odwrócił się ku wchodzącej.

- Jestem doktor Silva - przedstawił się grzecznie. - Sądzę, że znasz tę kobietę.

Dopiero wówczas wzrok Teresy pobiegł ku nieruchomej postaci na łóżku.

- Mama! - wyszeptała, z wrażenia omal nie upuszczając Eliasza. Kolana ugięły się pod nią, serce zaczęło łomotać, a pokój za wirował przed oczami.

- Mamo? - szepnęła niepewnie, na drżących nogach idąc w stronę łóżka.

Kobieta na łóżku leżała cicho z zamkniętymi oczami i lekko przechyloną na bok głową. Nie odpowiadała, ale bez wątpienia była to Sally Stewart.

- Czy ona żyje? - zapytała dziewczyna z obawą. Wciąż nie wierzyła własnym oczom. To niewiarygodne, niemożliwe...

- Jak najbardziej - zapewnił ją z uśmiechem lekarz znad karty choroby, na której gryzmolił coś drobnym maczkiem. - Otrzy mała większą ilość środków nasennych, dlatego teraz śpi. Nic jej nie dolega, jedynie przemarzła trochę, ale to drobnostka, szybko dojdzie do siebie.

- Myślałam, że nie żyje! - zawołała wzburzona Theresa, nie przytomnie spoglądając na przemian to na doktora, to na policjanta, który zdążył tymczasem

wejść za nią do pokoju. W tej sa mej chwili uprzytomniła sobie, że tak naprawdę nigdy nie widziała swej matki martwej, tylko okoliczności skłoniły ją do takiego wniosku... - Myślałam... Byłam pewna, że została zamordowana!

Policjant zerknął z zakłopotaniem na doktora, a potem jego pełen współczucia wzrok powędrował ku dziewczynie. Odchrząknął, szukając odpowiednich słów, aż wreszcie zaczął trochę nie pewnym głosem:

- W osadzie górniczej natknęliśmy się na kilkanaście ciał. Ułożono je na ziemi wokół centralnie umieszczonej ofiary, uhm, twojego ojca, jak rozumiem, którego, uhm, znaleziono w odmiennej pozycji. Jak stwierdziliśmy później, wszystkie osoby spoczywające w trawie znajdowały się pod wpływem środków odurzających, a pięć z nich uśmiercono przez podcięcie gardel. Mordercy prawdopodobnie zostali spłoszeni, zanim zdążyli rozprawić się w podobny sposób z pozostałymi, dzięki czemu ta oto kobieta i jej pięcioro dzieci żyją. Jeszcze dwoje jej dzieci zostało uznanych za zaginione, ale chyba właśnie stoją tu przede mną, jeśli się nie mylę?

Theresa wpatrywała się bez słowa w policjanta, nie mogąc po zbierać myśli. Jego długi wywód poruszył ją do głębi, krusząc pancierz obojętności, który dla pozostania przy zdrowych zmysłach przywdziała owej pamiętnej nocy. Kiedy dotarła do niej wreszcie prawda, opadła na podsunięte w porę krzesło i dała upust długo tłumionym emocjom, zalewając się gorzkimi łzami.

Tuliła Eliasza i chlipała, lejąc rzęsiste łzy na złocistą główkę braciszka.

- Theresa? - Szept był tak słaby, że prawie niesłyszalny. Czyjaś ręka dotknęła jej głowy.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie matki. Sally patrzyła na córkę szeroko otwartymi oczyma, a jej dłoń gładziła włosy dziewczyny.

- Mamo - Theresa zachłysnęła się łzami. - Och, mammo, myślałam, że me żyjesz! Leżąca uśmiechnęła się słabo.

- Cieszę się, że zaopiekowałaś się Eliaszem. - Ręka Sally powędrowała ku główce dziecka.

- Tak, mammo, zrobiłam to dla ciebie.

- Nie płacz, wszystko się jakoś ułoży. - Z tymi słowami matka zamilkła, ponownie zamykając oczy.

Theresa w popłochu spojrzała na doktora.

- Wkrótce wydobrzeje - uspokoił ja - potrzebuje tylko trochę czasu.

Zacisnąwszy powieki, Theresa odmówiła po cichu modlitwę dziękczynna. Bóg, jakiegolwiek nosił imię, dał oto namacalny dowód swego istnienia: ofiarował jej cud. Zabrał wprawdzie ojca, ale wrócił zza grobu matkę wraz z resztą rodzeństwa.

48

2 sierpnia 1996

Lyan właśnie kończyła czytać ostatnie wiadomości, gdy go ujrzała. Porażona światłem jupiterów w studiu stacji WMAQ w Chicago mówiła, nie przerywając i nie przestając się uśmiechać do kamer, choć serce jej biło jak szalone.

Jess nie odrywał od niej wzroku.

Kiedy pożegnali się po pięciu wspólnie spędzonych dniach od opuszczenia szpitala, uznała wakacyjną przygodę za zakończoną.

Taka już jest uroda owych letnich zauroczeń, perswadowała sobie Lynn: odpływają w dal wraz z ostatnimi gorącymi promieniami słońca.

Tylko jej tęsknota do Jessa jakoś nie chciała odpłynąć, a nawet wręcz przeciwnie - zdawała się narastać z każdym dniem. Lynn daleka jednak była od analizowania własnych nastrojów, dlatego dopiero w tej chwili uprzytomniła sobie, jak bardzo pragnęła znowu go zobaczyć.

Z trudem powstrzymując się od zezowania na przybyłego, uśmiechała się promiennie do kamery na zakończenie programu, gdy wtem poraziło ją jeszcze jedno odkrycie:, że na bezdrożach Utah, czy tego chce, czy nie, oddała swe serce podrabiane mu kowbojowi.

Kiedy wyłączono kamery, odpięła mikrofon z klapy eleganckiego granatowego żakietu. Kolega, wraz z nią prowadzący to wydanie wiadomości, zagadnął ją o coś, ale Lynn odpowiedziała automatycznie, choć przez przypadek najwidoczniej nie całkiem bez sensu, gdyż przytaknął, nie okazując zdziwienia.

Potem wstała i podeszła prosto do Jessa.

Stał oparty o ścianę, mając na sobie nieśmiertelne dzinsy, bluzę i buty kowbojskie. Jego jasne włosy, choć trochę krótsze niż poprzednio, nadal sięgały ramion. Ogarnął gorącym wzrokiem sylwetkę Lynn od stóp do głów.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w błękitnych oczach Jessa zamigotały zawadiackie isierki. Wiedziała, o czym myśli: przypomina sobie ich pierwsze spotkanie na lotnisku, kiedy to z uznaniem otaksował nogi przybyłej turystki, wywołując swym nazbyt śmiałym zachowaniem złowróźbny grymas na jej twarzy. Tym razem doczekał się uśmiechu.

- Witaj, bohaterze - odezwała się rozpromieniona.

- Obeszłoby się bez tych atrakcji - odrzekł kwaśnym tonem. Dzięki relacji telewizyjnej z eksplozji na farmie Jess zyskał swoje piętnaście minut sławy, lecz wcale nie był tym zachwycony i Lynn o tym dobrze wiedziała.

Ponieważ w całym incydencie zginęło zaledwie kilka osób i to za sprawą niewielkiego ładunku wybuchowego, materiał ów nie zagościł w wiadomościach na dłużej, wystarczająco długo jednak, by Lynn otrzymała propozycję lukratywnej pracy dla CNN. Namawiano ją także, by spisała swe przeżycia w książce, ale zaoferowana suma nie wydawała się szczególnie przekonująca. Nie mniej jeżeli kiedyś się namyśli, zatytułuje owo dzieło tak: „Jak rzucić palenie i uratować świat”.

- Co ty tu robisz? - zapytała, ujmując go pod ramię z zamiarem ucieczki spod ostrzału ciekawych spojrzeń kolegów.

- Wpadłem, żeby cię porwać na kolację - odrzekł Jess. - Jeśli masz czas.

- Przyjechałeś aż z Utah, żeby zaprosić mnie na kolację? - droczyła się, marszcząc nos.

- Między innymi.

- Cześć, Lynn!

- Do jutra, Lynn!

Minęli ją dwaj koledzy ze studia, zmierzający do wyjścia. Odpowiedziała im z roztargnieniem, nie zauważywszy nawet, kto to. W tej chwili nie widziała nikogo poza Jessem.

- A te inne sprawy to, co? Wzruszył ramionami.

- Och, to i tamto. A co będzie z kolacją? Pójdziemy czy nie?

- Dobrze, tylko umyję ręce.

Zgodnie z sugestią Lynn postanowili iść do niewielkiej włoskiej restauracyjki o nazwie „Da Vincis”, położonej nieco na uboczu, w której serwowano najlepszą fettucine, jaką Lynn kiedykolwiek jadła.

Nigdy tam nie dotarli. Zamiast na kolacji wylądowali w pokoju hotelowym kowboja. W jakiś czas później Jess zapalił nocną lampkę i spojrzał na Lynn. Leżała z głową na jego piersi, spokojna i zadowolona. Przy świetle zauważyła, że rana pięknie się zagoiła i została po niej tylko wypukła, czerwona blizna.

- Tęskniłem za tobą - wyznał.

- A ja za tobą.

Posłała mu kokietyjny uśmiech, pociągając przekornie za włoski na szerokiej piersi kowboja. Tulili się do siebie szczęśliwi i bezwstydnie nadzy, gdyż cała pościel wśród gorączki miłosnych uniesień niepostrzeżenie opadła na podłogę. Jessowi w ogóle nie przyszło do głowy, by zmienić istniejący stan rzeczy, a Lynn nie chciało się schylić i podnieść prześcieradła.

Zresztą w objęciach swego kowboja nie czuła zimna.

- Naprawdę? Jak bardzo?

Coś w głosie Jessa kazało jej podnieść głowę i spojrzeć mu w twarz, ale wystrzegła się przy tym jego wzroku z obawy, by nie wyczytał zbyt wiele z jej oczu.

- Bardziej niż do papierosów - wykręciła się chytrze. Po powrocie z wyprawy do Utah nie wróciła już do palenia, choć wiele ją to wyrzeczenie kosztowało.

- To dużo czy mało? Parsknęła śmiechem.

- Tylko człowiek niepalący może zadawać podobne pytania.

- To znaczy, że bardzo?

- Nie bądź próżny.

- A co wobec tego sądzisz o nieco trwalszych związkach?

- Czasami zdają egzamin, czasami nie.

Westchnął.

- Nie zamierzasz ułatwić mi zadania, prawda? Otwórz, proszę, tę szufladę.

Skinieniem głowy wskazał nocną szafkę stojącą przy łóżku. Lynn odwróciła się na brzuch i w milczeniu spełniła jego prośbę.

W środku, na stosie reklamowych i informacyjnych ulotek hotelowych, leżała niewielka, kwadratowa paczuszka w srebrnej folii ozdobionej białą kokardą.

Serce Lynn zabiło żywiej.

- Co to? - zapytała, patrząc na kowboja.

- Otwórz. - Nie uśmiechał się już. W jego oczach dostrzegła wyczekiwanie i

niepewność.

Wzięła srebrne opakowanie i powoli zaczęła rozwijać papier. Tak jak się spodziewała i obawiała zarazem, ze środka wyjrzało miniaturowe pudełeczko, w jakie zwykle pakuje się wyroby jubilerskie.

Wahała się chwilę, zanim je w końcu otworzyła.

Zamrugało do niej diamentowe oczko, skromne, lecz pełne wdzięku.

- Może spróbujemy? - przerwał milczenie Jess. - Pomyśl tylko, ile wspaniałych wakacji moglibyśmy sobie zafundować dzięki zniżkom przy częstych przelotach! Spojrzała na niego: na błękitne oczy, miłą twarz, wąskie, lekko uniesione w uśmiechu usta.

- Czy odezwiesz się wreszcie? Ta cisza mnie zabija. - Podniósł się wyżej na poduszkach, pociągając Lynn za sobą.

Nagle się zdecydowała. Niech się dzieje, co chce, oddała mu już serce, odda wolność i wszystko, co tylko jeszcze może oddać.

- Kocham cię - szepnęła Lynn.

- Nareszcie! - Oczy mu pojaśniały. - Ja też cię kocham. - Poszukał ustami jej ust.

Dużo, dużo później, kiedy leżeli przytuleni i wreszcie nasyceni sobą, usłyszała w ciemności pytanie:

- Czy mam przez to rozumieć, że się zgadzasz?

- Tak - odpowiedziała.

Epilog

15 grudnia 1996

Jess obudził się gwałtownie, dręczony sennym koszmarem. Przez chwilę leżał nieruchomo w ciemności, podczas gdy jego dziko tłukące się w piersi serce powoli wracało do normalnego rytmu. Lynn drgnęła w jego objęciach, pomrukując coś niewyraźnie, ale nie otworzyła oczu.

Właśnie odkrywali uroki Bermudów, celebrując swój miesiąc miodowy wśród egzotycznej przyrody. Po trzech dniach spędzonych u boku kobiety, która miała w żyłach gorącą krew, kobiety, którą uwielbiał, podziwiał i kochał, Jess doprawdy miał wszelkie powody, by uznać, że życie jest piękne.

Skąd, więc ten koszmar? Senne majaki nie nękały go już od tak dawna, iż swego czasu uznał, że wyzwolił się od nich na dobre.

Leżąc w ciemności i wpatrując się w przestrzeń, uzmysłowił sobie, że choć śniło mu się to samo, co zawsze, coś istotnego wyróżniało obecny koszmar senny spośród innych.

Zastanawiał się długo, aż w końcu odgadł, co to takiego.

Na pozór wszystko przebiegało jak zwykle: strategia obławy zawiodła, agenci ginęli jak muchy, a wielki kompleks zabudowań płonął niczym pochodnia.

Tym razem jednak Jess nie odczuwał już wyrzutów sumienia, gdyż w niepojęty sposób jego poświęcenie w Provo zmazało wcześniejsze uchybienia.

Odprawił pokutę, co pozwoliło mu wreszcie zaakceptować gorzką prawdę, że w życiu nie zawsze można wygrywać. Czasami, niestety, zwycięża smok, z którym się

walczy.

Na szczęście w Provo stało się inaczej i smok poległ.

Ku chwale i pożytkowi sprawiedliwych, pomyślał Jess. Potem objął mocniej Lynn i obrócił się na bok, by ponownie zapaść w sen.